



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





JAN III SOBIESKI



Król Jan III Sobieski

(portret olejny w zbiorach Zygmunta hr. Kaszowskiego w Warszawie)

OTTON LASKOWSKI

JAN III SOBIESKI

Z DZIESIĘCIOMA ILUSTRACJAMI

LWÓW

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

1933

SKŁAD GŁÓWNY: EKSPEDYCJA WYDAWNICTW
ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH, LWÓW, KALECZA 5

355.48/438/a : 92 (ssbiński) : 93/438/

5746/1.



Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
pod zarządem Adama Wierzbickiego

Niema zapewne wśród władców dawnej Rzeczypospolitej postaci bardziej nam bliskiej swem szczeropolskiem wzięciem od postaci Jana III i niema też pewnie czynu, większą lśniącego chwałą, niż potrzeba wiedeńska.

Krew z krwi i kość z kości, syn ziemi ojczystej, wszystkimi fibrami swej duszy związany z jej glebą, Sobieski łączy w sobie i rycerski animusz jej synów i szlachecką fantazję. Skrzętny gospodarz, miłujący swą rolę nie jeno dlatego, że niesie mu ona pożytek, lecz i przez ową, mgiełką poetycznego sentymentu spowitą, tęsknotę za jej zdrową i malowniczą krasą, jak każdy szlachcic tych czasów, jak prosty towarzysz pancerny, pan Pasek, na skromnym siedzący zagonie, każdej chwili jest gotów „nieść na szańc swoje zdrowie“ i własną ją piersią zasłonić. Litując się bied swej ojczyzny, gdy w lutej się znajdzie opresji, gotów jest zawsze nieść dla niej nie jeno swe życie, lecz i własnej fortuny dostatki, zastawić ostatnią koszulę, by nowe podźwignąć chorągwie, zdobyć „municję“ do dział, lub też niebożęta-piechotę nakarmić. A w tej gotowości jest jakiś gest staropolski, jest jakiś rozmach, tak niezmiernie typowy, że poznać w nim zawsze szlachcica i pana, czy dzierży w ręku hetmańską bu-

ławę, czy też chodzi w królewskiej purpurze. Swą rycerską posturą, swym strojem, swym rasowym humorem, swą ochotą do kielicha i szabli — to brat nieodrodny tej szlachty, która, trzaskając w pałazze, okrzyknie go Królem i, hałasując po sejmikach i sejmach, pójdzie za nim ochotnie, by nadstawiać swych karków i szczerbić swe szable na głowach pohańskich, nie licząc wroga, jeno pytając, gdzie jego kosze.

Ni Zygmunt August, ni Stefan Batory, ni żaden Waza nie ma w sobie tej swojszczyzny, której tak pełno w Sobieskim.

Jest jeszcze jedna przyczyna, przez którą stał się nam bliski. Jego rozległa korespondencja, w której wspaniały stylista i czuły kochanek swej Marysienki odsłonił duchowe oblicze, pisząc nietylko we wzniosłej materji lub o sprawach publicznych, lecz o rzeczach codziennych i prostych, dzięki swym artystycznym walorom i odsłonięciu przez Króla najintymniejszych zakątków osobistego życia, znalazła rychło wydawców. Zwłaszcza listy królewskie z okresu kampanji wiedeńskiej, pełne szczerości, humoru i wdzięku, pełne rozmachu wielkich czynów i bujnego tętna powszedniego życia, trafiły szybko nie jeno do rąk uczonych, żmudnie śledzących tajniki historii, lecz i do szerokich rzesz czytelników, których porwały tą swoją szczerością i tym swoim wdziękiem. I oto Sobieski, stanąwszy niejako z otwartem sercem przed temi rzeszami, zeszedł z piedestału, przestał być tylko Królem i Wodzem, a stał się człowiekiem. Czyż może zachować dla nas ten szlachcic, wyliczający żonie swe łupy, lub goniący papugę po wezyrskich namiotach, ten czuły

kochanek, utyskujący żałością, gdy nie dostanie od najukochańszej listu, czyż może zachować dostojność spiżowego pomnika, odgrodzić się od nas nimbem swej królewskiej wielkości?

A z drugiej strony przeszedł do dziejów ten człowiek z chwałą rycerskich swych czynów. Podhajce i Braclaw, pogrom czambułów, Chocima grom piorunowy i twarda Żórawna obrona, a ponad wszystko wawrzyny sławnej wiedeńskiej potrzeby, co — przecież ratując Chrześcijaństwo przed turecką nawałą — na wieki i jego imię i imię Polski przed całym światem niezmierną sławą okryły, przesłoniły w nim wszystko, co nie jest z jego buławą i jego czynem orężnym związane. Gdy nie notuje historia za jego rządów ziem pomnożenia, owszem, raczej utraty, gdy nie wychodzi państwo z tych rządów spojęne i mocne wewnętrznym ładem, skorzy jesteśmy zestawiać błysk jego szabli i brak politycznych korzyści i widzieć w Sobieskim genjusz wojskowy, lecz słabą głowę statysty. Kiedy widzimy jego czuły i tkliwy do żony stosunek, jego „ojcowską“ dbałość o zapewnienie tronu synowi, kiedy widzimy, jak małżonka królewska prowadzi rozmowy i zawiera traktaty z obcemi dworami, spierając się nieraz o małe sprawy swej francuskiej rodziny, gotowiśmy chętnie przypisać Janowi III brak w dziełach polityki szerokiego poglądu i mocy, której jest pełen w potrzebie orężnej, i jakieś magnackie sobkostwo, dbałe jedynie o dobro własnego domu. I jakże łatwo, ludzkie w nim czując serce, widząc brak politycznych sukcesów, dać się przytłoczyć ogromem wojskowego genjuszu i chwałą Wodza. Jak łatwo, sądząc jedynie

po ostatecznym wyniku rządów, wszystkie utraty i wszystkie klęski przypisać brakowi politycznego talentu.

Czy słuszny jednak i sprawiedliwy będzie sąd taki? Czy wolno oceniać działalność męża stanu po samych jedynie ostatecznych tej działalności wynikach? Czy słuszną miarkę przykładu historyk do Sobieskiego, podobne wypowiadając sądy? Czy ma po temu dostateczne podstawy? Jak łatwo przechodzi się nieraz nad stratami Zygmunta Augusta, wynosząc unję lubelską, Sobieskiemu zaś wyrzuca się ów traktat Grzymułtowskiego. Gdy w czasach Stanisława Augusta za sprawę Rzeczypospolitej uważa się myśl stworzenia dynastji — ta sama idea, gdy ją podejmuje Sobieski, ma zmierzać jedynie do dobra własnej familji. I oto powstaje pytanie, czy słuszna jest taka miara?

Polityczna działalność i jej efekty nie są jedynie wynikiem koncepcyj państwowych i woli jednostki, co nawet państwową kieruje. Działa tu ustrój i środowisko, działają czynniki zewnętrzne, całe ich sploty. Sobieskiemu zarzuca się często, że prowadząc wojnę z Turcją i wspierając swoim ramieniem cesarstwo, mylną kroczył drogą, że w swoich wahaniach pomiędzy Francją a Austrią na błędne skierował się tory. Czy mógł jednak w innym kierunku popchnąć swe państwo? Toć myślał przecie i o Prus odzyskaniu i o ekspansji na Śląsku, lecz tamte plany nie mogły porwać nikogo, owszem, na drodze ku nim rzucano mu kłody pod nogi. Gdy każda decyzja państwowa zależna była od zgody sejmu, gdy sejm ten stale wisiał na

włosku pod groźbą zerwania, gdy pełno było warcholów, gotowych wykrzyknąć swe veto przez własną fantazję lub też za jurgielt, pobrany od obcych, gdy władza królewska nie miała egzekutywy, Sobieski mógł nawą państwową kierować jedynie z prądem powszechnej opinji. By tę opinję urobić, musiał znaleźć hasło, całą porywające szlachtę. Musiało być ono tak popularne, by mu się nie mogła przeciwieć — istniejąca stale za rządów Jana III — opozycja magnacka. A takim hasłem w tych czasach mogło być jedynie hasło wojny tureckiej. Wszelkie inne zgola były zawodne. Nawet sprawa rewindykacji ziem pruskich nie mogła poruszyć szlachty i znaleźć wśród niej zrozumienia. Ilekroć tedy próbował Sobieski zawrócić politykę z torów tureckich na inne, działać musiał wśród niezliczonych trudności, a nie mając oparcia we własnym narodzie, opierać swe plany na stosunkach zewnętrznych. Raz tylko istniał wśród szlachty nastrój przychylny do podjęcia rewindykacji pruskiej, jednak i wtedy nastrój ten nie był wynikiem sprawy tej zrozumienia. Raczej odruchem stanięcia przy Królu po afroncie, co spotkał rodzinę królewską ze strony Berlina i Wiednia. I tym przecież razem nie mogła wejść sprawa na tory realne z powodu intryg magnackich i obcych wpływów. Spętany opozycyjną intrygą, co czterokrotnie knuła spiski, by pozbawić go tronu, związany siecią intrygi obcej, musiał Jan III w polityce swojej zewnętrznej iść torem tureckim, skoro pragnął polityki czynnej. Wszelkie inne kierunki były dla niego zamknięte. Więc rwał się i łamał w jarzmie Ligi Chrześcijańskiej, szukał wyjścia w pomocy fran-

cuskiej, a gdy ta pomoc zbyt mało była skuteczna, upadał pod ciężarem swych zmagañ. Polityka czynna — wprowadzenie państwa na szeroką widownię, obok konieczności powetowania strat króla Michała i grozy istotnej tureckiego sąsiedztwa w razie złamania przez Portę cesarstwa — była jednym z głównych motywów wyprawy wiedeńskiej. Po wspa-
niałym sukcesie otwierają się przed Sobieskim widoki podjęcia polityki Jagiellonów w kierunku państw nad-
dunajskich. Opozycja wewnętrzna złamie możność wyzyskania sposobnej po temu pory zaraz po Wiedniu, a w kilka lat później dwór austriacki, wspierany przez Stolicę Apostolską, swym nieszczerym stosun-
kiem obali plany królewskie i sam zbierze plony jego orężnych sukcesów. Gdy po tym zawodzie będzie So-
bieski szarpał pęta Ligi Chrześcijańskiej i szukał możliwości osobnego pokoju w oparciu o Wersal, upa-
trzy dla polityki państwa swojego rolę medjatora po-
między Francją a Austrią, lecz wtedy rozhukana w swej bezkarności, wspierana potężnymi ramiony Wiednia, Berlina i Rzymu, opozycja magnacka uda-
remni mu wszelkie wysiłki wyzwolenia się z jarzma. Gdy rwie się Sobieski przez całe swe rządy do polityki
czynnej na zewnątrz, gdy marzy o wyniesieniu wła-
snego państwa, tarcia wewnętrzne unicestwiają jego
wysiłki, a gdy myśli o samem uzdrowieniu Rzeczypos-
politej i skruszeniu malkontentów, obce wpływy
i stan polityki zagranicznej wydrą mu broń z ręki. I oto wśród ciągłych szarpań i zmagañ mdleje potężne
ramię i opada bezsilnie.

Za rządów Jana III rozdarła walką wewnętrzną

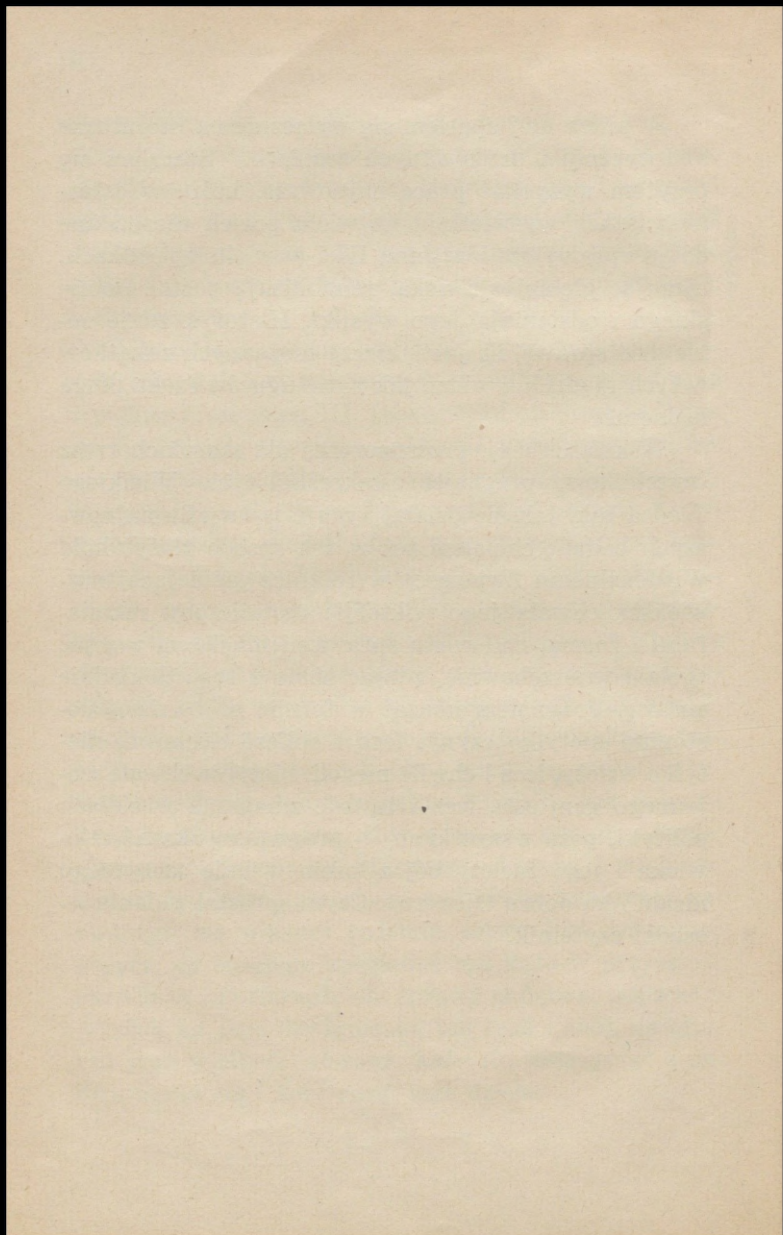
stronnictw, niemocna swoim ustrojem, otwierającym naościęz podwoje swawoli, toczy się Rzeczpospolita w przepaść. Gdy sam Sobieski dąży do wzmocnienia ustroju i poskromienia magnatów, gdy pragnie się oprzeć na zdrowym instynkcie masy szlacheckiej, kraj w coraz większej staje anarchji, a z rąk królewskich coraz wyraźniej wysuwa się władza. Sejm za sejmem jest zrywany i po nieszczęsnej wyprawie mołdawskiej jeden tylko dojdzie do skutku, by pogrzebać wszystkie plany królewskie i wprząc Sobieskiego na nowo w jarzmo Świętego Przymierza, tym razem już do końca królewskiego żywota. I oto schyłek rządów Jana III brzmi groźnem preludjum, zapowiadającym saską epokę i ostateczny upadek. Jak jakaś lawina, poruszona za ostatniego Wazy i króla Michała, porywając i wlokąc za sobą państwo, potężnieje i rośnie anarchja i coraz wyraźniej zamiera duch publiczny w narodzie i coraz szerzej otwarte są wrota na obce wpływy. Powstrzymany potężnem ramieniem Jana III w zaraniu rządów, zahamowany powtórnie w przededniu wyprawy wiedeńskiej, potok prywaty i ambicji magnackiej, bezkarnej swawoli i spisków przeciwkrólewskich, potok intryg wewnętrznych, korupcji i obcych wpływów, po Wiedniu rwie dalej niepowstrzymanym już nurtem, rosnąc z dnia na dzień, zalewając powagę i władzę królewską i tocząc państwo ku progowi przepaści. Prózne są wszelkie próby powstrzymania potoku. Prózne — próby oparcia o szlachtę. Rośnie potęga Lubomirskich, Sapiehów, Leszczyńskich i innych magnatów — maleje władza królewska. I oto, gdy legnie Jan III na marach, ze

wszystkich jego wysiłków, jako trwały dorobek, pozostają wawrzyny czynów orężnych Wielkiego Wodza, co własną piersią tylekroć zasłaniał państwo przed zgubą, co uratować potrafił Chrześcijaństwo przed Półksiężycą nawałą, lecz nie był w stanie przywrócić państwu własnemu powagi na zewnątrz, ani go spoić wewnątrz.

Nieczęsto zapewne trafia się życie tak pełne potężnych wzlotów i bolesnych upadków, jak bujne i piękne życie Jana III. Dźwignięty na stopnie tronu na skrzydłach własnego genjuszu, przez całe swe życie Sobieski zmagał się z losem, to własnej podporządkowując go woli, to upadając pod jego ciosami. Prawdziwe to dzieje niedoli i doli, pełne przepysznych sukcesów, wspaniałych triumfów, pełne tragicznego napięcia, pełne gorzkich zawodów, upadków i rezygnacji. Gdy zmierzy się trud i wolę, włożone w sprawę dźwignięcia Rzeczypospolitej, gdy się zmierzy przeszkody, leżące na drodze ku temu celowi, gdy się zestawi wysiłki z ich ostatecznym wynikiem, zaiste, tragiczna staje się postać Króla o wielkiem sercu i wielkim umyśle, postać tak piękna i ludzka, tak potężna i tak bezsilna zarazem. Gdy widzi się wreszcie Króla, złamanego przez losy, steranego chorobą i wiekiem, samotnego wśród szalejącej nad krajem anarchji, samotnego we własnej rodzinie, łatwo jest zrozumieć gorycz, co posępnie spoglądać mu każe w przyszłość narodu. A ta ofiarność dla sprawy państwa, ten wielki wysiłek ku jego dźwignięciu, ten trud i znój, na ołtarzu jego wielkości złożony, każe się wstrzymać z sądem surowym i każe czcić jego dzieła.

W pracy mej oparłem się wyłącznie na literaturze historycznej i drukowanych źródłach. Starałem się przytem wyzyskać prace najnowsze, które w ostatnich latach wyświełają na wielu polach niezbadane dotąd sprawy rządów Jana III i w wielu wypadkach, ujmując głębiej zjawiska, rehabilitują postać Sobieskiego i odsłaniają jego wysiłki. Historyk zdaje sobie dziś sprawę, ile jest jeszcze nieznanych zakątków w tych rządach, i widzi, jak wiele ugorów czeka pług badacza.

W książce mej, przeznaczonej dla szerokich rzesz czytelników, pragnąłem nakreślić życie Wielkiego Wodza tak, jak się dzisiaj rysuje w świetle najnowszych badań; chciałem też w ten sposób złożyć hołd Wiedeńskiemu Zwycięscy w rocznicę jaśniejszej największą chwałą jego wiktoryi; ograniczony rozmiarami i formą, nad wielu sprawami musiałem przejść zgoła powierzchownie, zdając sobie z tego dokładnie sprawę. Pragnąłem ukazać w formie najbardziej dostępnej nietylko czyny, lecz i oblicze duchowe, nietylko wzloty, lecz i chwile niedoli, nietylko chwałę wojennego genjusza, lecz i twarde zmagania w sidłach polityki, poza wszystkim — pragnąłem ukazać człowieka i jego zacięty bój z losem w imię szczytnego ideału i ku dobru Ojczyzny. Czym sprostał zadaniu — osądzi czytelnik.



LITERATURA I ŹRÓDŁA

Źródła:

Antoni Zygmunt Helcel: Listy Jana Sobieskiego do żony Marji Kazimierzy wraz z listami tej królewskiej rodziny i innych znakomitych osób, Kraków 1860. Nakładem zapisu Świdzińskiego. Franciszek Kluczycki: Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego. Acta historica res gestas Poloniae illustrantia. Kraków 1880—1881. Nakładem Akademii Umiejętności. Franciszek Kluczycki: Akta do dziejów Króla Jana III, sprawy roku 1683 a osobliwie wyprawy wiedeńskiej wyjaśniające. Acta historica. Kraków 1883. Nakładem Akademii Umiejętności. Kazimierz Waliszewski: Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana Trzeciego. Acta historica. Kraków 1879—1884. Nakładem Akademii Umiejętności. X. Liske: Ulyka Verduma diarjusz wyprawy Jana Sobieskiego z roku 1671. Scriptores rerum polonicarum. Archiwum Komisji Historycznej. Kraków 1878. Ambroży Grabowski: Ojczyste wspominki. Kraków 1845, t. I i II. Malinowski i Przezdziecki: Źródła do dziejów polskich, Wilno 1884. G. B. U. i Wł. Skrzydylka: Listy z czasów Jana III i Augusta II, Kraków 1870. Załuski: Epistolarum historico-familiarum, t. I i II. Brunserga 1709—1710. J. U. Niemcewicz: Pamiętniki o dawnej Polsce, Lipsk 1838—1840, t. IV. Hurmuzaki: Documentae priv. la istoria romanilor, t. V supl. 3. Rykaczewski: Relacje nuncjusów apostolskich, Berlin i Poznań 1864. Jakób Kazimierz Rubinkowski: Janina zwycięskich triumfów dziełami i heroicznym męstwem Jana III Króla polskiego, Supraśl 1739. Wespazjan Kochowski: Roczników polskich klimakter IV, Lipsk 1853. Wespazjan Kochowski: Commentarii belli adversum Turcas, Kraków 1684. Bojani: Innocente XI. Sa correspondance avec ses nonces (1676—1679), Rzym 1909. Hirsch u. Heine: Urkunden und Aktenstücke zur Geschichte des Grossen Kurfürsten. 1906, t. XIX. Hirsch: Zur Geschichte der polnischen Königswahl, Zeitschrift des West-Preussischen Geschichtsvereins, Gdańsk

1901, H. 43. Rille: Aus den letzten Jahren der Regierung des polnischen Königs Johann Sobieski 1689—1696, Zeitschrift des Deutschen Vereins für die Geschichte Mährens u. Schlesiens, Berno 1911, H. 15. Bartosz Paprocki: Herby rycerstwa polskiego, Kraków 1858, wyd. J. Turowskiego. Diarjusz wojewody witebskiego J. A. Chrapowieckiego, Warszawa 1845. Edward hr. Raczyński: Portofolio królowej Marji Ludwiki, Poznań 1844. F. Dupont: Mémoires pour servir à l'histoire de Jean Sobieski, Warszawa 1885. Nakładem Biblioteki Ordynacji Krasińskich. Dalerac: Les anecdotes de Pologne ou Mémoires secrets du règne de Jean Sobieski, Amsterdam 1699. Joachim Jerlicz: Latopisiec albo Kroniczka, Warszawa 1853. Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska: Pamiętnik o Marji Wesslównie, królewiczowej Konstantowej Sobieskiej. Pamiątki miasta Żółkwi, Lwów 1852. Janusz Woliński: Przyczynki do wojny 1676 r. Przegląd Historyczno-Wojskowy, 1930, t. II. Janusz Woliński: Relacja Dymitra Wiśniowieckiego z kampanji 1676 r., Przegląd Historyczno-Wojskowy 1930, t. II. Janusz Woliński: Sobieszciana z 1675, Przegląd Historyczno-Wojskowy 1932, t. V. Otton Laskowski: Relacje wyprawy wiedeńskiej 1683 r., Przegląd Historyczno-Wojskowy 1929 t. II. Czesław Chowaniec: Materiały do wyprawy Sobieskiego do Moldawji 1686 r., Przegląd Historyczno-Wojskowy 1931, t. IV.

Ponadto:

Diarium europeum, Theatrum europeum i Gazette de France z tego okresu.

Opracowania:

Coyer: Histoire de Jean Sobieski, roi de Pologne, Amsterdam 1761. N. A. de Salvandy: Histoire de Pologne avant et sous le roi Jean Sobieski, Paris 1829. Konopczyński: Dwaj królowie rodacy, Encyklopedia Polska, t. V, cz. I, Dział VI, cz. 2. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. Artur Śliwiński: Jan Sobieski, Warszawa 1924. Tadeusz Korzon: Dola i niedola Jana Sobieskiego, Kraków 1898. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. Tadeusz Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce, Kraków 1912, t. II i III. Kazimierz Konarski: Polska przed odsieczą wiedeńską, Warszawa 1914. Wiktor Czermak: Z czasów Jana Kazimierza, Lwów 1893. Otton Laskowski: Młodość wojskowa Jana Sobieskiego, Warszawa 1929. Ludwik Kubala: Wojna szwedzka w roku 1655 i 1656, Lwów b. r. Ludwik Kubala: Wojna brandenburska i najazd Rakoczego, Lwów b. r. Antoni Hniłko: Wyprawa cudnowska, Warszawa 1931. Konstanty Górski: Wojna Rzeczypo-

spolitej z Turcją w latach 1672—1673, Biblioteka Warszawska 1890. Hugo Zieliński: Wyprawa Sobieskiego na czambuły tatarskie, Przegląd Historyczno-Wojskowy 1929, t. II. Janusz Woliński: Bitwa pod Lwowem 1675 r. Przegląd Historyczno-Wojskowy 1932, t. V. Aleksander Czołowski: Wojna polsko-turecka 1675, Lwów 1894. Konstanty Górski: Jan III pod Żórawnem, Biblioteka Warszawska 1896. Franciszek Kluczycki: Żórawińska r. 1676, Kraków 1876. Janusz Woliński: Żórawno, Przegląd Historyczno-Wojskowy 1929, t. II. Franciszek Kluczycki: Wyprawa wiedeńska roku 1683, Kraków 1883. Das Kriegsjahr 1683 Mitteilungen des K. u. K. Kriegsarchiv, Wiedeń 1883. Schallhammer: Der Türkenkrieg in Oesterreich und Ungarn 1683—1687. Leon Chrzanowski: Odsiecz Wiednia, Warszawa 1886. Ferdynand Kudelka: Siły polskie w odsieczy wiedeńskiej, Kwartalnik Historyczny 1887, t. I. Soldier (Jagielski): Odsiecz wiedeńska 1683, Przegląd Historyczny 1910. Otton Dąbrowski: Operacja wiedeńska 1683 roku. Przegląd Historyczno-Wojskowy 1929, t. II. Artur Śliwiński: Odsiecz Wiedeńska, Warszawa 1933. Czesław Chowaniec: Wyprawa Sobieskiego do Mołdawji w 1686 r., Przegląd Historyczno-Wojskowy 1931, t. IV. Antoni Zygmunt Helcel: O dwukrotnem zamęzciu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłownej, Kraków 1857. Karol Szajnocha: Opowiadania o królu Janie, Żytomierz 1860. Julian B.: Jan Sobieski do dwudziestego roku życia, Kijów 1884. K. Jarochoński: Przyczynek do dziejów bezkrólewia po Michale Wiśniowieckim i pierwszych miesięcy panowania Jana Sobieskiego (Opowiadania i studja historyczne), Warszawa 1877. K. Jarochoński: O Sobieskich (Opowiadania i studja historyczne, t. II), Poznań 1863. K. Jarochoński: Z dziejów przedkrólewskich Jana Sobieskiego. Pierwotna polityka Jana III, (Rozprawy historyczno-krytyczne), Poznań 1889. J. S. Sękowski: Collectanea z dziejopisów tureckich, Warszawa 1824—1825. Pierling: La Russie et le St. Siège, t. III. Janusz Woliński: Sprawa pruska 1674—1675 i traktat jaworowski, Przegląd Historyczny 1932. Piwarski: Sprawa pruska za Jana III Sobieskiego 1688—1689, Kwartalnik Historyczny 1929. Stanisław Lukas: Dyplomacja Sobieskiego, Ateneum 1881. Piwarski: Śląsk a Polska za Jana III Sobieskiego, Cieszyń 1929. Czesław Chowaniec: Z dziejów polityki Jana III na bliskim Wschodzie, Kwartalnik Historyczny 1926. Czesław Chowaniec: Sobieski wobec tatarszczyzny, Kwartalnik Historyczny 1928. Czesław Chowaniec: Z dziejów po-wiedeńskiej polityki Jana III, Przegląd Współczesny

XVIII

1929, t. XXX. Stella Rubinstein: Les relations entre la France et la Pologne, Paryż 1913. Kazimierz Piwarski: Między Francją a Austrią. Z dziejów polityki Jana III Sobieskiego w latach 1687—1690. Rozprawy wydziału Historyczno-Filozoficznego Polskiej Akademji Umiejętności serja II, t. XLIV, Kraków 1933, oraz osobna odfitka. Ernest Łuniński: Ostatnie chwile Jana III. K. Waliszewski: Marysieńka. Marie de la Grange d'Arquien, Paryż 1898. Wiktor Czermak: Marja Kazimiera Sobieska, Kraków 1899. Jonsac: Życie Stanisława Jabłonowskiego, Poznań 1868. J. W. Zinkeisen: Geschichte des Osmanischen Reiches in Europa, Gotha 1854—1857, t. IV i V. Bronisław Gubrynowicz: Malarze na dworze Jana III, Lwów 1896. Aleksander Czołowski: Ikonografja wojenna Jana III, Przegląd Historyczno-Wojskowy 1930, t. II.

I

ATMOSFERA RODZINNA I WYCHOWANIE

Jakby pod znakiem proroczym walki z Półksiężycem, która jak nić czerwona snuje się przez całe życie wielkiego Wodza, wśród szalejącej dookoła burzy, szczęku bitewnego oręża i łuny podpalonych tatarską ręką wiosek, urodził się dnia 17 sierpnia 1629 roku pomiędzy godziną 2-gą a 3-cią po południu w Olesku Jan Sobieski, drugi syn Jakóba i Teofili z Daniłowiczów. Snać okoliczności urodzin musiały być przez rodziców jego jako niezwykle proroctwo rozumiane, skoro tak mocno zdołali zaszcześcić w nim ich wspomnienia, że później, gdy jako król szkicował dla papieża swój krótki życiorys, na samym jego wstępie okoliczności te podkreślał, pisząc: „Urodziłem się w Olesku zamku na wysokiej górze, mila od Białego Kamienia... Podczas urodzenia mego były pioruny barzo... Tatarowie też podpadli w tenże właśnie czas pod zamek, których zaś ów sławny gromił Chmielecki“ (wojewoda kijowski Stefan Chmielecki, towarzysz broni Żółkiewskiego, wsławiony na kreścach ukraińnych pogromami kozaków i Tatarów).

Po kądzieli prawnuk wielkiego męża stanu i bohaterstwa wodza, hetmana Żółkiewskiego, co śmier-

cią żołnierską na polach cecorskich przypieczętował swój „afekt ku miłej ojczyźnie“; po mieczu wnuk starosty lubelskiego Marka, towarzysza broni Bato-rego i Zamoyskiego, o którym, według słów króla Jana, król Stefan „nieraz mawiał i wspominał, że gdyby mu przyszło stawić całe Królestwo Polskie o jeden pojedynek, nie wybrałby na to, tylko jednego Marka Sobieskiego“; syn towarzysza broni Karola Chodkiewicza i Władysława IV — znakomitego polityka, żołnierza i historyka wyprawy chocimskiej, wojewody ruskiego, a później kasztelana krakowskiego, Jakóba Sobieskiego, miał po kim dziedziczyć rycerskie serce, oraz ideę walki z Półksiężycem w imię wiary chrześcijańskiej, miłości ojczyzny i pomszczenia krwi swoich bliskich.

Najmłodsze swe lata wraz ze starszym bratem Markiem spędził młody Jan Sobieski w starej pradiadowskiej rezydencji, Żółkwi, nawskróś przepojonej kultem pamięci wielkiego Hetmana, od którego śmierci bohaterskiej dziewięć lat zaledwie minęło w chwili urodzin przyszłego pogromcy Półksiężycy. Za lat jego dziecinnych, jak i później w dojrzałym wieku, gdy jako król spoczywał po trudach w pradiadowskiej Żółkwi, z wielką czcią i petyzmem przechowywane były zbroje, broń i sprzęty, pozostałe po wielkim Hetmanie, a komnaty, które niegdyś zamieszkiwał, utrzymywane były w takimże stanie, w jakim je pozostawił, wyjeżdżając na swą ostatnią wyprawę. Zwłaszcza sypialnia Pradziada była prawdziwem sanktuarjum pamiątek po wielkim Wodzu. Nad prostem, pozbawionem ozdób i draperji

łóżkiem płonąła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej złotolita lampa, zawieszona tu przez hetmanową Reginę żółkiewską w dniu sprowadzenia zwłok bohatera do Żółkwi. Obok obrazu wisiał miecz jego, ofiarowana przez papieża buława i pokryty krwawymi plamami płaszcz, porąbany szablami tatarskimi pod Cecorą. A w kościele żółkiewskim stały wykute z czarnego marmuru pomniki pradiada i dziada, Stanisława i Jana żółkiewskich. Dziwny los bowiem coraz to nowych ofiar żądał od tej rodziny i coraz to nowa ofiara ginęła z ręki tatarskiej, lub za jej powodem, stale odświeżając starą ranę i utwierdzając w pamięci klęski, poniesione od muzułmanów. Zaledwie obeschły łzy po śmierci starego Hetmana, zaledwie syn jego zaczął gotować się do wyprawy przeciwko Krymowi, gdy skosiła go bezlitosna śmierć, której powodem była odniesiona w potrzebie cecorskiej a źle zagojona rana. Wkrótce zaś potem zginął wnuk hetmana i brat pani Jakóbowej Sobieskiej, Stanisław Daniłowicz. Dostał się on w roku 1636, w siódmym roku życia młodzieńczego Jana, do niewoli Tatarów Kantemira-Murzy, który niegdyś dokonał pogromu wojsk, cofających się z pod Cecory pod wodzą żółkiewskiego, i tu, w obozie okrutnego tatarskiego wodza, został w nieludzki sposób zamordowany. W kościele żółkiewskim świeży stanął grobowiec z wymownym napisem: „Aviti sanguinis ultor“ — mściciel krwi dziada.

Nic tedy dziwnego, że w tej rodzinie, tak ciężko ręką niewiernych doświadczonej i tak zasłużonej wobec ojczyzny, rosła i krzepła „przyrodzona do po-

gan antipatia“, a obok tej antypatji rosło pragnienie pomszczenia krwi przodków. Umieli rodzice Sobieskiego doskonale wyzyskać atmosferę żółkiewską w wychowaniu swych synów, zaszcześcić im szczytne zasady służby ojczyźnie i wskazać drogę życiową, sposobiąc ich do przyszłej walki z Półksiężycem, do której stanąć mieli nietylko jako wierni synowie ojczyzny, ale też jako mściciele swych przodków.

W późniejszych latach, gdy Jan Sobieski rozpoczynał już swą wojskową karierę, zginął z ręki tatarskiej pod Batohem brat jego starszy, Marek. Ta nowa ofiara raz jeszcze przypomniwała klęski, zadane przez Półksiężyc najbliższej rodzinie, i na całe życie krwią zapisana została w sercu Wielkiego Wodza. Z dumą szlachetną wspominał później Jan III te straty, notując w swym życiorysie te słowa: „Tak tedy pradziad, dziad, wuj i brat rodzony od pogańskiej położeni ręki; ale z pogany, za wiarę świętą i Kościół Boży“. I walka z pogany stała się dlań na całe życie jednym z głównych czynników jego duszy. Czynniki ten umieli wyzyskać i rozwinąć rodzice króla Jana, wychowując swych synów. Z głęboką wdzięcznością i zrozumieniem roli rodziców w swym wychowaniu, wspominał później dziecięce i młodzieńcze swe lata Jan III. „Rodzice nasi z dzielnych zrodzeni przodków, bo i matka nasza nie białogłowskiego, ale męskiego była serca, największe sobie za nic mając niebezpieczeństwa, wprowadzali nas z młodu, abyśmy nie byli wyrodkami od przodków swych, wystawując nam na oczy, jeszcze w dziecinnym będącym wieku, wielką sławę ich, ochotę i od-

wagę na zaszczyt (obronę) Kościoła Bożego, kazawszy nas zaraz z abecadłem (abecadłem) tego wiersza uczyć z nagrobku pradziada naszego: „O quam dulce et decorum pro patria mori“ (O jak słodko i zaszczytnie umrzeć za ojczyznę). A gdy nas do cudzych krajów wyprawiono, napisał nam ociec (ojciec) instrukcją nauk i ćwiczeń, a gdy przyszło do tańców uczenia się, dał wolę, ale przypisał w natchnieniu proroczem, że się tu natańcujecie z Tatarami, powróciwszy do ojczyzny, torem przodków swych. Matka zaś nasza, gdyśmy powrócili z cudzych krajów już po śmierci ojcowskiej, właśnie już podczas elekcji króla Kazimierza, po owej pilawieckiej ekspedycji¹, nie po jeden krok mawiała, że gdyby tak który z synów mych miał ująć z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna; i pokazując nam nieraz na herb nasz², przypominała ową spartańską niewiastę, która, wyprawując synów swoich na podobne ekspedycje, ukazywała im na ich tarcze mówiąc: „Z nią albo na niej“.

Do 1640 roku młodzi Sobiescy chowali się na zamku żółkiewskim w atmosferze, przesyconej miłością ojczyzny i tchnącej nastrojami walk z tatar-

¹ 23 września 1648 roku armja polska, licząca trzydzieścilkilka tysięcy żołnierzy i około dwuchset tysięcy sług pospolitaków na samą wiadomość o zbliżaniu się kozaków Chmielnickiego i Tatarów została ogarnięta paniką i uciekła sromotnie z pola bitwy, pozostawiając w ręku przeciwnika około stu tysięcy wozów i 80 dział.

² Herb Sobieskich „Janina“ wyobrażał tarczę w polu herbowem.

szczyzną, pod okiem rodziców, umiejących zaszczyć w ich młodych duszach wzniosłe ideały. Pan Jakób Sobieski, jeden z najmożniejszych podówczas magnatów, wybitny polityk i dyplomata, należał do najwykształceńszych ludzi swych czasów i, gotując synów do rycerskiego zawodu, przywiązywał też ogromną wagę do ich wykształcenia. Dumny ze swego stanowiska i zasług zarówno swych przodków, jak i własnych wobec Rzeczypospolitej, uważał przecież, że „głupimi szlachcie starożytniej szpetnie zgoła być... Ludzie więcej sobie ważą chudego pacholka uczonego, aniżeli pana wielkiego a błazna, co go sobie więc palcem ukazują“. Synom swym pragnął dać jak najlepsze wykształcenie, ale wykształcenie przede wszystkim praktyczne, które miało im się przydać w późniejszym ich życiu w służbie publicznej Rzeczypospolitej, czy to na urzędach, otwierających się przed nimi na skutek ich pochodzenia i stosunków ojca, czy też w zawodzie wojennym. Sam też bacznie miał pieczę zarówno nad wychowaniem, jak i wykształceniem synów. Już przygotowanie domowe młodych pańskich musiało być gruntowne, skoro później, gdy w roku 1640-tym zostali wysłani na dalszą naukę do Krakowa i zapisani do szkoły Nowodworskiej (dzisiaj gimnazjum św. Anny), przyjęto ich z pominięciem pierwszej klasy t. zw. gramatyki, od razu do drugiej, noszącej podówczas nazwę poetyki. Marek i Jan Sobiescy jechali na naukę do Krakowa pod opieką doświadczonego pedagoga pana Orchowskiego, cieszącego się dużym zaufaniem ich ojca, a jechali z całym dworem, podległym roz-

kazom pana „gubernatora“ (guwernera). Wysyłał ich ojciec na naukę, zaopatrując pana Orchowskiego w szczegółową instrukcję zarówno co do nauk, jak i co do wychowania swoich synów. Jedyna w swoim rodzaju instrukcja maluje nam znakomicie obyczaje czasów i poglądy jej autora i wskazuje dokładnie, jak i czego chłopcy mieli się uczyć, jak bawić i modelić, jak pielęgnować swe zdrowie, co jeść, z kim przestawać, komu ustępować miejsca, kogo traktować jak równego, przed kim szukać pierwszeństwa. Mówiąc o nauce, stary Sobieski pragnął, by jego synowie „w logiki, metafizyki się nie wdawali“. Jego zdaniem były to nauki, które mogą być przydatne tylko teologom lub próżniakom. Synów nie chciał widzieć w sutannach, a tem bardziej próżniakami. Zalecał więc przedmioty, mogące się przydać później w służbie publicznej: stylistykę, dialektykę, wymowę, historję, filozofję moralną, prawo i matematykę, a z nauk przyrodniczych fizykę. Ponadto wielką przywiązywał wagę do gruntownej znajomości języków obcych i wypowiadał zdanie, iż „zacnych kawalerów tych wieków nie bardziej nie zdobi, jako umiejętność różnych języków“. Młodzieńcy poświęcali poza szkołą sporo czasu nauce języków i nie mniej starannie dobieranej lekturze, nad którą czuwał osobiście pan Jakób Sobieski. W szkole uczyli się przemawiać publicznie, co później przydało się wielce Janowi, który był pierwszorzędnym mówcą, i gotowali się w ten sposób do publicznych występów, boć w ówczesnej Polsce niesposób było wyobrazić sobie karjery bez umiejętności gładkiego

i kwiecistego wysłowienia się. Jednocześnie pan Orchowski, w charakterze „gubernatora“, przestrzegał, by chłopcy uczyli się zachowywać swą godność i stanowisko, jakie im przypadało z racji wysokiego urodzenia, ale zarazem też czuwał i nad tem, by ich „od pychy odwodzić wszelkimi sposobami“. Czuwał nad wytwornością ich obejścia, t. zw. podówczas polityki, nad prostotą w stosunkach z ludźmi, przy równoczesnem zachowaniu własnej godności — jednym słowem nad ich ogładą. Chowali się chłopcy w Krakowie pod baczne okiem, chowali się w dużym rygorze i w duchu nawskroś polskim, gdyż ojciec silny kładł nacisk w swej instrukcji na ten wzgląd, nie dopuszczając również i w ubiorze żadnych „błazeństw“, i pouczał pana Orchowskiego, aby dbał o to, żeby krawiec żadnych im innych strojów nie wymyślał.

W 1643 roku po ukończeniu szkoły Nowodworskiej chłopcy wstąpili do Akademji na wydział filozoficzny, a po trzech latach zostali wyprawieni na dłuższą „peregrynację“ po obcych krajach, by nabrać tam ostatecznego poloru i pogłębić naukę. Wyjeżdżali zagranicę znów pod opieką pana Orchowskiego i znowu zaopatrzeni w szczegółową instrukcję ojcowską. W Holandji mieli się uczyć inżynierji wojskowej, we Francji układności i wymowy, we Włoszech szermierki i sztuki dosiadanania konia. Zaraz po przyjeździe do Paryża mieli się postarać o profesora „co najprzedniejszego, coby to był wielki polityk i wielki orator“. Na naukę języka francuskiego i innych języków znów kładł ojciec poważny nacisk, zalecał młodzieńcom poświęcanie każdej wolnej chwili

lekturze i sam osobiście wskazywał im, co i w jakim porządku mają czytać. Jako człek bywały, udzielał wielu praktycznych rad co do zachowania się zagranicą i obcowania z ludźmi, a przede wszystkim zalecał dużą ostrożność w nawiązywaniu znajomości.

Zarówno same studja, jak i cała podróż miały mieć znaczenie wychowawcze, przytem pan Sobieski, życząc sobie, by wrażenia z podróży mocno utkwiły w głowach synów, nakazywał im pilne spisywanie swych wrażeń w specjalnych dziennikach. Mieli brać notować skrupulatnie przebyte odległości i drogi, opisywać zwiedzane miasta, notować ich załogi i uzbrojenie. Jak widać z tych wskazówek, już w podróży mieli się przygotowywać do późniejszych studjów bardziej gruntownych z dziedziny fortyfikacji.

O podróży młodych Sobieskich pozostał pamiętnik, przydanego im w charakterze drugiego wychowawcy Imci pana Sebastjana Gawareckiego. Wiemy z tego pamiętnika, że czujący już pociąg do szabli młodzieńcy, którzy w myśl instrukcji ojcowskiej mieli podczas podróży nabrać pewnej „eksperjencji“ w sztuce wojennej, zwiedzili mnóstwo przeróżnych twierdz, do których łatwy dostęp otwierało im stanowisko i imię ich ojca. Pan Gawarecki notował narysy profilów fortecznych, opisywał bastjony, reduity i rowy i robił notatki co do ilości dział, amunicji i stanu załogi każdej twierdzy, a młodzi wojowodzice nie ograniczali się do pobieżnych oględzin warowni, lecz w każdym wypadku starali się poznać prawdziwą jej wartość obronną i zgłębić kunszt mistrza architektury, według którego planów została

wzniesiona. Gdy tylko nadarzała się sposobność, żądali opowieści o oblężeniach i szturmach, wytrzymanych przez twierdze i starali się zaznajomić ze sztuką oblężniczą i obroną twierdz na przykładach, żywo przemawiających do wyobraźni. Te powierzchowne, być może, wiadomości z dziedziny fortyfikacji, mieli pogłębić później w czasie poważniejszych studjów w Holandji. Podróż dała im również sposobność przyjrzenia się zbliska obrotom świetnej piechoty szwedzkiej i pobieżnego zaznajomienia się z armją hiszpańską. Ponadto zetknęła ona ich z szeregiem wybitnych wodzów, z którymi mieli sposobność rozmawiać. Poznali więc słynnego generała szwedzkiego Torstensonsona i znakomitego holenderskiego admirała Van Trompa, a nawet w Paryżu, w salonach księżnej de Longueville, byli przedstawieni samemu Kondeuszowi. Ucząc się w Paryżu poza językiem i manierami, również i sztuki wojennej, Jan Sobieski przez krótki czas służył nawet w szeregach czerwonej kompanji gwardji królewskiej.

Zakończywszy swe studja we Francji, po krótkiej wycieczce do Anglji, w końcu 1647 roku wyjechali bracia na studja sztuki fortyfikacyjnej do Holandji, słynącej podówczas ze swego wspaniałego rozkwitu. Rozpoczęli tu poważniejsze studja pod kierownictwem Stampiana, mistrza matematyki księcia Orańskiego. W końcu maja jednak następnego roku nauka została przerwana, gdyż wypadki w kraju zawezwały młodych Sobieskich do powrotu do ojczyzny. W końcu lipca też wyjechali z Brukseli przez Antwerpję i Bredę do Polski.

II

W TERMINIE ŻOŁNIERSKIM

Okres systematycznej nauki był skończony. Dwudziestoletni Marek i dziewiętnastoletni Jan Sobiescy wracali do kraju, ogarniętego pożogą wojny domowej. Już wkrótce po wyjeździe braci z Polski na owe zagraniczne peregrynacje zmarł stary i zasłużony pan Jakób, który wytrawną ręką kierował dotąd wykształceniem i wychowaniem swych synów. Na nich teraz, gdy Rzeczpospolita stała wobec groźnego niebezpieczeństwa szalejącego buntu Chmielnickiego, który matkę ich zmusił do opuszczenia żółkwi, każąc jej szukać przytułku w Zamościu, spadał obowiązek stawiania w szeregach obrońców ojczyzny, by nie brakło wśród nich przedstawicieli znakomitego już rodu Sobieskich.

Po krótkim pobycie w Zamościu, młodzieńcy na czele zaciągniętych przez siebie własnych chorągwi wyruszyli w pole, żegnani błogosławieństwem matki, która pod wrażeniem niedawnej pilawieckiej klęski upominała synów, by pamiętni byli na sławę swych przodków, i wtedy to, wskazując im na tarczę herbową, zapowiadała uroczyście, że gdyby mieli ujść z pola w tak sromotny sposób, jak pilawczycy, nie będzie ich

miała za synów. Młodzi rotmistrze i starostowie razem, gdyż Marek odziedziczył po ojcu starostwo krasnostawskie, a Jan — jaworowskie, znaleźli się niebawem w ogniu walki, w której mieli nabywać doświadczenia w służbie żołnierskiej. Prawie odrazu losy rozdzieliły ze sobą braci. Marek brał udział w słynnej obronie Zbaraża, Jan, ciągnący w szeregach armji króla Jana Kazimierza, przybywającej z odsieczą oblężonej twierdzy, walczył w nieszczęśliwej bitwie pod Zborowem. Walczył tu na lewym skrzydle obok Jerzego Lubomirskiego, pod którego rozkazami i przeciwko któremu nieraz mu wypadnie występować. W 1651 roku w zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem obaj bracia stali razem na prawym skrzydle pod rozkazami hetmana Potockiego i walczyli z wielkim zapalem, a chorągwie ich poniosły ciężkie straty. W bitwie tej Jan został ciężko ranny w głowę i omal nie dostał się do niewoli.

W roku następnym nowy cios spotkał rodzinę Sobieskich, znów zadany tatarską ręką. Marek Sobieski wierny przykazaniom matki, poległ pod Batohem. „Marek — pisał później król Jan — skropił krwią pola batohskie i ze swoim poległ puklerzem... kości jego nie mają grobu... ścięty, nierozegrzany w bitwie, ale nazajutrz, jako mówią w zimnej krwi, przykładem okrucieństwa nigdy niesłychanym, bo też się stało i tegoż dnia z kilkunastą tysięcy spółtowarzyszów tej okrutnej tragedji, a od ręki tegoż, predestynowanego niby na linję domu naszego, rodu Kantymirowskiego, które imię znaczy się krwawem żelazem“. Jan Sobieski był teraz jedynym przedstawicielem

trzech zasłużonych Rzeczypospolitej rodów: Sobieskich, żółkiewskich i Daniłowiczów. Dziedziczył nie tylko olbrzymią ich fortunę, która stawiała go od razu w szeregu najpotężniejszych magnatów, ale i świetną ich sławę, a wraz z nią obowiązek pomśzczenia na niewiernych krwi swoich bliskich. Wzrosła też w nim „przyrodzona do pogan antipatia“, w której chowali go od dzieciństwa rodzice, a która sprawiła, że w przyszłości miał stać się prawdziwym rycerzem Chrześcijaństwa w jego zmaganiu się z Półksiężycem. Do przyszłej roli przygotowywał się spokojnie i na zimno, zaprawiając się w walkach z Tatarami i obserwując ich bacznie okiem, zarówno w bojach, jak i w okolicznościach pokojowych.

W 1653 roku na czele własnej chorągwi pancерnej brał udział w wyprawie Jana Kazimierza pod Żwaniec, a gdy podczas traktatów pokojowych chan zażądał zakładników, Sobieski w charakterze takiego zakładnika pojechał do jego obozu. Miał teraz sposobność przyjrzeć się zbliska zwyczajom i życiu tego przeciwnika i opanować jego język, którym później władał tak samo dobrze, jak łaciną, francuskim, niemieckim i włoskim. W następnym roku, pragnąc rozszerzyć swe wiadomości o świecie muzułmańskim, wyjechał wraz z poselstwem Bieganowskiego do Konstantynopola. W rok później walczył z Moskwą i kozakami, odznaczając się pod Ochmatowem, a wkrótce potem zjawił się na dworze królewskim w Warszawie.

Dotychczasowa służba wojskowa pogłębiła znakomicie jego teoretyczne wykształcenie, zwłaszcza że bystry umysł bacznie obserwował i przyswajał sobie

wszystko, czego uczyło go doświadczenie. Pod Beresteczkiem miał możność oglądać nie tylko działania mas świetnej polskiej jazdy, lecz także ocenić znaczenie w bitwie walnej piechoty i artylerji, sprawną pokierowanych ręką. Widział, jak w spokojnym ogniu naszej piechoty i dział załamywały się szarże mas jazdy tatarskiej, która nie mogła dojść do ręcznego spotkania. Jakkolwiek zawsze z temperamentu był urodzonym dowódcą jazdy, znajomość użycia innych broni, która na wstępie kariery uderzyć musiała młodego oficera, została w przyszłości całkowicie przezeń opanowana, a doświadczenie Beresteczka niewątpliwie nie mało się przyczyniło ku temu. Również i sam marsz z Sokala na Beresteczko, wykonany w kilku kolumnach i znakomicie ubezpieczony przez sam ich rozkład, nasuwać mu musiał niejedną myśl o zasadzie dzielenia wojsk w marszu, a zespalandia ich do bitwy. W sztuce tej, której świadomym był wyznawcą, celował później, jak nikt ze współczesnych mu wodzów. Na dwór królewski przybywał widocznie z doświadczeniem, które umieli ocenić jego dowódcy, gdyż w roku następnym występował już jako pułkownik.

Krótki pobyt na królewskim dworze ogromny miał wyrzec wpływ na całe późniejsze życie Sobieskiego. Niezwykłej urody, o błyskotliwym umyśle, czarującym obejściu, żywym, zapalnym temperamencie, dowcipny i wykształcony, świetny magnat miał szerzyć prawdziwe spustoszenie w sercach fraucymeru królowej Ludwiki Marji. Rzucił się tutaj po latach trudów wojennych w wir zabaw, ale wkrótce sam stał się ofiarą amora. Poznał podówczas dworzkę królewską,

piękną 14-toletnią Francuzkę Marję Kazimierę d'Arquien, córkę skromnego kapitana gwardji księcia Orleańskiego. Zapłonął ku niej odrazu gorącą miłością, która później miała się stać jedną z głównych dźwigni jego wewnętrznego życia. Podobno miłość ta odrazu miała być wzajemna, ale podczas gdy młody Sobieski z miejsca oddał urodziwej pannie całe swe serce i kierował się w stosunku do niej wyłącznie gorącym uczuciem, wychowanica królowej zrazu nie przywiązywała może zbyt wielkiej wagi do tego uczucia, a później raczej obliczała korzyści i kierowała się w sprawach serca bardziej rozsądnem wyrachowaniem, niż szczerem uczuciem. Pierwszy rozdział ich romansu nie trwał zbyt długo. Przerwały go wydarzenia wojenne i polityczne. I chociaż Sobieski odrazu powiedział sobie, że nie połączy swych losów z żadną inną kobietą, ukochana jego Marysienka nie miała bynajmniej zamiaru wiązać się trwałemi więzami z młodzieńcem, którego gwiazda nie błyszczała jeszcze w całej pełni i nie zapowiadała olśniewającego blasku przyszłości.

Nad Rzeczpospolitą wisiała okropna burza „Potopu“. Miała ona wzbogacić znakomicie doświadczenie wojenne Sobieskiego i zapoczątkować świetną jego karierę, ale zarazem miała go na pewien czas skierować na manowce polityczne i zaciężać na dobrej sławie jego imienia. Chmielnicki oblegał Lwów. Potężna armja moskiewska zalała Litwę i działała na Ukrainie. Do Wielkopolski w lipcu 1655 roku wkroczyli Szwedzi. Pospolite ruszenie, zgromadzone pod Ujściem, zawarło sromotną kapitulację, przyjmując za sprawą Krzysztofa Opalińskiego protektorat Karola



Gustawa i wydając mu na łup Wielkopolskę. W sierpniu hetman wielki litewski książę Janusz Radziwiłł, wiedziony prywatą, dopuścił się zdrady, stając po stronie szwedzkiego króla. Szlachta, magnaterja i wojsko, całe prowincje bez najmniejszego oporu poddawały się Szwedom. Niebawem całe państwo było w ręku wroga. Król Jan Kazimierz wraz z królową musiał uchodzić zagranicę i szukać schronienia na Śląsku. Zaledwie nieliczna garstka wiernych synów Rzeczypospolitej trwała ze swemi szablami przy prawowitym królu. Brakło jednak wśród tej garstki szabli Sobieskiego. Jako pułkownik wojska kwarcianego, wraz z tem wojskiem przeszedł na stronę króla szwedzkiego. Nie szukał dla siebie osobistych korzyści, lecz podobnie jak masa szlacheckiego narodu, uważał sprawę Jana Kazimierza za straconą. Ogarnął i jego powszechny niemal obłęd i niewiara w możność stawienia czoła szwedzkiemu najeźdźcy. Zresztą, czy mógł młody pułkownik wyłamać się ze swym pułkiem, gdy jego dowódcy i starsi koledzy przechodzili na stronę szwedzką? Tymczasem mocne charaktery Jerzego Lubomirskiego i Stefana Czarnieckiego w Koronie, a Pawła Sapiehy na Litwie trwały wiernie przy sprawie Króla-Tułacza i budziły inne serca do walki z najeźdźcą. Nieznośny ucisk Szwedów wkrótce we wszystkich warstwach narodu wywoływał odruchy samoobrony i powodował tu i owdzie próby powstańcze. Twardy opór stawili w Częstochowie OO. Paulini, a huk ich dział szerokiem echem odbijał się w całym kraju. Wzgardzony przez Szwedów „kurnik“ okazał się niezdobytą twierdzą. Przykład oporu, stawionego

im z powodzeniem, działał zaraźliwie. Chwyтали za kosy chłopci, gromadziła się szlachta, niechętnem okiem spoglądało na Szwedów mieszczaństwo. Coraz ciasniej było najeźdźcy w podbitym kraju. Coraz niebezpieczniej było wyrzeć pojedynczemu szwedzkiemu żołnierzowi poza obręb własnego obozu. Rozpoczęły się na skutek ucisku, świadomości popełnionego błędu i poczucia możności przeciwdziałania porozumiewania się co do podjęcia wspólnej akcji, aż wreszcie zawiązała się konfederacja tyszowiecka, która stała się wyrazem ogólnej dążności do uwolnienia kraju od zalewu szwedzkiego. Gromili już wroga Lubomirski i Sapieha, urywał go Czarniecki, gdy Sobieski trwał jeszcze po stronie Karola Gustawa i odbywał marsze z jego oddziałami. Dopiero w marcu 1656 roku powrócił pod Łańcutem na stronę prawowitego króla. Połączył się tam wraz z Dymitrem Wiśniowieckim, z Czarnieckim i Lubomirskim i rozpoczął teraz z gorącym zapalem swą rehabilitację z powodu owego „szwedyzowania“, idąc z wytrwałością po piętach nieprzyjaciela i szczerbiąc swą szablę na karkach szwedzkich.

Pobył w szeregach szwedzkich nie bez szwanku był dla sławy dobrego imienia, lecz i nie bez pożytku dla własnej biegłości w rzemiośle wojennem. Służąc pod znakiem obcego monarchy, miał sposobność ocenić surową karność i znakomitą organizację doskonałej armji szwedzkiej, a zarazem zapoznać się bliżej z arkanami taktycznego użycia rajtarji i dragonów, a przede wszystkim piechoty. Jeśli później, jak nikt z polskich wodzów, będzie umiał wyzyskać w boju znacznie przez siebie pomnożoną piechotę, a w wypra-

wach komunikiem potrafi ją zastąpić swą ulubioną dragonją, z pewnością niejedno tu będzie zawdzięczał praktycznym naukom, pobranym w szwedzkim obozie pod biegłym kierownictwem Karola Gustawa i jego generałów. Pobyt w szeregach szwedzkich niewątpliwie też pogłębił zrozumienie dla zasady współdziałania broni, której przejawy miał sposobność zaobserwować już niemal na samym wstępie swej kariery wojskowej pod Beresteczkiem.

Wróciwszy do polskich szeregów, kształcił się dalej praktycznie i w małej wojnie, i w działaniach na większą skalę pod kierownictwem doświadczonych i wytrawnych mistrzów, jakimi byli dlań Stefan Czarnecki, Jerzy Lubomirski i sam król Jan Kazimierz. Odnaczył się w bitwie pod Warką. Brał udział w pościgu przez Czersk ku przedmieściom Warszawy, a następnie uganiał się w szeregach Lubomirskiego za Szwedami po Wielkopolsce i Prusach Książęcych, wreszcie pod Toruniem na czele swego pułku „gwoli rycerskiego animuszu“ wyparowywał Szwedów kawalerską szarżą z umocnień toruńskiego przedmościa. Snać czyny jego po nawróceniu się od owego „szwedyzowania“ okupiły w oczach królewskich błąd polityczny i zmyły skazę na jego imieniu, a zarazem dały świadectwo niepospolitym zdolnościom, skoro już w maju Jan Kazimierz nadał mu wysoki urząd chorążego koronnego. Karjera wojskowa i polityczna stała przed nim teraz otworem i gwiazda Sobieskiego wyraźnie zaczynała wznosić się ku górze i lśnić coraz jaśniejszym blaskiem. Chorążowstwo koronne, już samo będące wysokim urzędem, otwierało zazwyczaj drogę

ku najwyższemu. Musiał w tych wszystkich potrzebach ze Szwedami wystawić sobie Sobieski chlubne świadectwo, jako tęgi i inteligentny oficer, skoro przed bitwą warszawską pod jego dowództwo oddany został sześćtysięczny posiłkowy korpus Tatarów. Miał teraz sposobność bardzo gruntownego poznania tych dzikich sojuszników i szybko opanował proceder wojenny Tatarów, a w trzydniowej bitwie pod Warszawą, złączywszy swój pułk z ordyńcami, świetnie w okolicach Białoleki wykonywał natarcia, czyniąc wspaniałą dywersję na szwedzką flankę i tyły.

Kampanja 1657 roku przeciw Rakoczemu, w której brał żywy udział, nastęrczyła Sobieskiemu doskonałą sposobność dalszego kształcenia się w wojnie podjazdowej. Musiała ona zostawić głębokie ślady pod względem znajomości kraju, skoro w roku 1682, powołując się na jej doświadczenia, mógł dawać znakomitemu francuskiemu geografowi, Sansonowi, fachowe wskazówki co do skorygowania dawnych map. Dodajmy tutaj nawiasem, że Sobieski lubił pracować w terenie z mapą w rękę i odznaczał się nadzwyczajną znajomością terenu i pamięcią pod tym względem. Każda raz przebyta droga, każdy raz widziany wąwóz lub grobla były na zawsze zapisane w jego pamięci, to też jako wódz wspaniale umiał wyzyskać teren i, znając jego właściwości, umiał przewidzieć, jak będzie w danych warunkach poczynął sobie nieprzyjacieli i zgóry przedsiębrać odpowiednie środki, by narzucić mu warunki walki.

Rok 1658 nadarzył Sobieskiemu sposobność do prowadzenia działań na własną rękę na czele samo-

dzielnej dywizji. Objąwszy jej dowództwo po wojewodzie sandomierskim Aleksandrze Koniecpolskim pod Sztumem, zaczął nękać przeciwnika wojną szarpaną, zapędzając się swemi podjazdami pod Malborg i zaprawiając się w małej wojnie (w partyzantce).

Z wojny szwedzkiej wychodził on wzbogacony dużem już doświadczeniem wojennem i z ustaloną reputacją tęgiego żołnierza i niepośledniego dowódcy.

Rok 1659 zaznaczył się dla Sobieskiego początkami kariery politycznej. Posłował on w tym roku na sejm i w związku z ugodą hadziacką¹ został nawet wyznaczony do komisji, jako jeden z dwudziestujeden komisarzy z koła poselskiego, którzy mieli się zająć sprawą oddawania dóbr cerkiewnych „jako komu należą“.

W następnym roku powraca znowu do służby orężnej. Sławna cudnowska wyprawa 1660 roku miała być ostatecznem zakończeniem przygotowań do roli samodzielnego wodza. Jan Sobieski podczas kampanji tej stawał dzielnie pod Lubarem. Uważany za doskonałego artylerzystę, z polecenia hetmanów pod Cudnowem ustawiał działa na wyszukanych przez siebie pozycjach, oddając przez to znakomitą swym wodzom usługę. Podczas oblężenia Szeremietiewa miał sposobność podziwiania kunsztu Jana Sapiehy, który umocnieniami polowemi zupełnie związał pod Cudnowem

¹ Ugoda hadziacka zawarta z Kozakami 16-go września 1658-go roku tworzyła księstwo Ruskie złączone z Rzeczpospolitą na zasadach unji zbliżonej do zasad unji łączącej Koronę i Litwę. Tak zwana unja hadziacka nie weszła jednak z rozmaitych przyczyn w życie.

nieprzyjacielskiego wodza, by równocześnie wzmocnić polskie stanowiska w czasie śmiałej wyprawy Lubomirskiego pod Słobodyszczą. Sobieski uczestniczył w tej wyprawie, i w bitwie pod Słobodyszczami dowodził lewem skrzydłem polskim, a prowadząc swoje chorągwie na obsadzone przez przeciwnika ogrody przedmiejskie, wyparł kozaków z zajmowanych stanowisk i otworzył swoim przeprawę przez rzekę, następnie zaś odrzucił nieprzyjaciela na zaczajonych w lesie Tatarów. Uczestniczył potem w pertraktacjach cudnowskich, a w końcu kampanji na czele samodzielnego oddziału szedł na wyprawę przeciwko Boriatyńskiemu.

Szcześliwa cudnowska wyprawa, w której mistrzował Sobieskiemu, obok starego hetmana wielkiego Potockiego, marszałek wielki koronny i hetman polny Jerzy Lubomirski, dała mu mnóstwo nowych doświadczeń, niejeden świeży wawrzyn wplotła do jego krzepnącej już sławy wojennej i ustaliła ostatecznie wojсковą jego reputację.

Z tą kampanją można uważać okres terminowania Jana Sobieskiego w zawodzie wojskowym za ukończony. Wchodził obecnie w nowy okres, intryg politycznych i czekającego go samodzielnego dowództwa. W arkana polityki miała wprowadzić go, kierowana doświadczoną ręką królowej Ludwiki Marji, ukochana jego Marysieńka.

III

W SŁUŻBIE KRÓLOWEJ I W WALCE Z ROKOSZEM

Sprawy sercowe Chorążego Koronnego potoczyły się tymczasem niepomyślnym dlań torem. Piękna wychowanica królowej zdążyła zrobić doskonałą napozór partję. Zjawił się konkurent do jej ręki o rozgłośnem imieniu i olbrzymiej fortunie, a do tego taki, który posiadał wobec Rzeczypospolitej i obojga królestwa ogromne zasługi. Był nim podczaszy koronny i generał gwardji królewskiej Jan Zamoyski, pan na Zamościu, którego potrafił bronić przed nawałą szwedzką, naigrawając się dumnie ze wszystkich pogroźek Karola Gustawa. O względy jego zabiegała właśnie dla własnych celów królowa Ludwika Marja. Nie miał podobno zbyt głębokiego umysłu, ale posiadał szeroki gest, żył hucznie i miał duże wzięcie u szlachty, a co główne, posiadał rzeczywiście ogromną fortunę. Mała d'Arquien, nie posiadająca żadnego majątku, lecz bardzo piękna, przypadła młodemu magnatowi do serca, a że królowej zależało na tem małżeństwie, zaś dla uroczej Francuzki takie zamążpójście było prawdziwą karierą, poszły w kąć sentymenty i górę wziął rozsą-

dek. Zamoyski obiecywał 100.000 talarów swej narzeczonej, 12.000 rocznie na drobne wydatki i 4.000 dochodu na jakimkolwiek starostwie. Gdy oświadczyni zostały przyjęte, zapisał 600.000 złotych i starostwo kałuskie. Nic więc dziwnego, że 3-go marca 1658 roku odbyło się huczne wesele, w którym wzięli udział król i królowa. Zdawać się mogło, że sprawy sercowe pana Chorążego były zupełnie przeegrane. Tymczasem teraz właśnie miał się rozwinąć na dobre romans, rozpoczęty przed paru laty.

Młoda pani Zamoyska liczyła, że po wyjściu zamąż będzie rządziła samowładnie i mężem, i jego fortuną. Zawiodła się w swych oczekiwaniach. To też stosunki w małżeństwie ułożyły się odrazu nieświeżnie. Piękna pani zaczęła szukać pociechy w swem nieszczęściu, a że Chorąży Koronny posiadał w sąsiedztwie Zamościa uroczą posiadłość Pielaszkowice i po wyjściu zamąż swej bohdanki odkrył jakoś raptem wszystkie zalety tej majątności i chętnie zaczął w wolnych chwilach przebywać w Pielaszkowicach, nietrudno było od czasu do czasu o spotkanie, zwłaszcza że obaj panowie byli towarzyszami broni. Pan Sobieski ukazywał się raz po raz w Zamościu i oddawał pani Wojewodzinie — bo Zamoyski został wojewodą kijowskim, a później sandomierskim — drobne usługi. Nawiązał się stosunek początkowo miły i przyjacielski, a obok niego zupełnie niewinna narazie korespondencja, w której pani Zamoyska doradzała nawet pięknemu sąsiadowi ożenek, traktując go niby po maczynie. Że jednak uczucia Sobieskiego przy jego burzliwym temperamencie ani na chwilę nie ostygły wobec pięknej Fran-

cuzki, a pożycie jej z mężem było coraz cięższe, przeto i w jej sercu zaczęło odżywać dawne uczucie wobec wernego rycerza.

Korespondencja przybierała ton coraz cieplejszy i serdeczniejszy, a do listów, mocno naszpikowanych francuszczyzną, zaczęły się wkładać zwroty, zrozumiałe jedynie dla nich dwojga. Wkrótce listy te, noszące już wyraźnie miłosny charakter, były pisane przy pomocy specjalnego słownika, według którego mąż nazywał się „fujarą“, król — „kupcem“, miłość — „pomarańczą“, a same listy — „konfiturami“, Sobieski zaś — raz był Prochem, drugi raz Celadonem lub Sylwandrem, a jego Marysieńka — Bukietem lub Astreą¹.

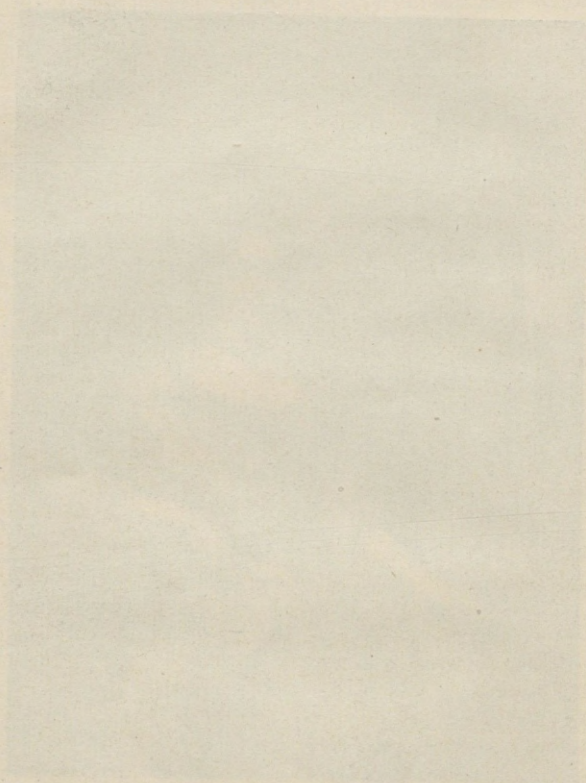
Piękna pani wojewodzina coraz to częściej potrzebowała wypoczynku lub miała interesy u dworu w Warszawie, a że w interesie królowej leżało teraz wciągnięcie Sobieskiego w swe plany polityczne i że rozumiała ona dokładnie ogromny wpływ, jaki miała na pana Chorążego jej wychowanica, otoczyła parę zakochanych swą możliwą opieką i na wszelki sposób ułatwiała im spotkania. Żar miłosny coraz bardziej ogarniał Sobieskiego, aż wreszcie w dzień Św. Jana w 1661 roku w kościele Karmelitów w Warszawie solenizant przysiągł przed ołtarzem żonie swego sąsiada dozgonną miłość. I chociaż jego Marysieńka nie złożyła narazie żadnej przysięgi i o rozwodzie bynajmniej nie myślała, czuł się odtąd związany z nią na

¹ Pseudonimy takie, jak Astrea, Celadon, Sylwander wzięli zakochani ze słynnego wówczas romansu Honorego d'Urfé p. t. „Astrée“.



Królowa Marysieńka

(portret olejny w zbiorach Ordynacji Kasińskich w Warszawie)



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
(Library of Theological Studies)

zawsze. I chociaż buntował się czasami, był teraz prawie zawsze posłusznem narzędziem w jej rękę.

Tymczasem niebawem wybuchnąć miał skandal. Pani Zamoyska, która z mężem prowadziła wojnę o władzę w domu, wyjechała do Paryża, a chcąc ukarać krnąbrnego małżonka, administrację zapisanych sobie przez męża dóbr i opiekę nad dzieckiem poleciła przed wyjazdem nie jemu, lecz pięknemu sąsiadowi z Pielaszkowic. Pan Zamoyski w odpowiedzi na to, zwłaszcza że małżonka wyjechała zagranicę bez jego wiedzy, wstrzymał dochody. Zaczęły się plotki dokoła tej sprawy, którą ułagodzić zdołała dopiero interwencja królowej. Pobyt w Paryżu przedłużał się jakoś i pani Zamoyska zaczęła nawet przemyśliwać nad tem, aby osiedlić się tam na zawsze, — ale z Sobieskim. Proponowała mu kupno dóbr we Francji, uzyskanie tytułu książęcego oraz napomykała, by oświadczył się oficjalnie o jej rękę u ojca. Sobieski jednak, pomimo całego gorącego uczucia, był zbyt dobrym synem swojej ojczyzny, znów znajdując się w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, zbyt wysoko stawiał swój obowiązek i zbyt cenił swój honor, by ulec tej pokusie. Lecz chociaż w tym wypadku potrafił przeciwstawić się ukochanej, sidła jej trzymały go mocno.

Sidła miłosne, w które pani Zamoyska pojmała Sobieskiego, stały się nader sprawnym narzędziem w rękę królowej Ludwiki Marji, która dzięki nim właśnie wciągnęła Chorażego Koronnego do swych intryg i zaprzęgå do roboty nad przeprowadzeniem wyboru na tron polski za życia Jana Kazimierza francuskiego

księcia, jako jego następcy. Sobieski ani nie miał upodobań do intryg dworskich, ani się nie wyznawał w zagadnieniach politycznych, nie mając pod tym względem dostatecznego wyrobienia, ani tem bardziej na początku całej tej sprawy nie czuł zapału dla sprawy partji francuskiej, kierowanej przez królową w porozumieniu z królem francuskim Ludwikiem XIV i za jego pieniądze. Bardziej odpowiadały jego temperamentowi i upodobaniom czyny orężne i życie obozowe, niż skomplikowane machinacje polityczne, wymagające dużej układności i nie zawsze idące w parze z otwartą szczerością. Uważał się przede wszystkim za żołnierza i szlachcica i poglądami swemi nie wznosił się podówczas bynajmniej ponad przeciętny poziom ogółu szlacheckiego. Siłę Rzeczypospolitej widział w zachowaniu „złotej wolności“ i wolnej elekcji. Te przekonania nie miały jednak w tej chwili znaczenia. Rozkochany bez pamięci w swojej Marysienke, ufał jej bezgranicznie i w jej ręku miękł jak wosk. I ona to zabrała się teraz do urabiania jego poglądów politycznych i wciągania go w sprawy, zupełnie mu dotąd obce. Sprytna wychowanka Ludwiki Marji urodzoną była intrygantką, a związana mocno z partją francuską i swoją Panią, umiała użyć wszelkich środków, gdy chodziło o sprawę, której oddana była całą duszą. Na Chorażego Koronnego miała ogromny wpływ i umiała wyzyskać ten wpływ bez najmniejszych skrupułów, by zmusić go do służenia celom królowej. Wprzągłszy go raz w rydwan intrygi francuskiej, trzymała go teraz mocno kokieterją i perswazją, dąsami i miłością, czarem swych wdzięków i groźbami

niełaski. Sobieski stał się powolnem narzędziem królowej, a ilekroć próbował wydobyć się z matni jej intryg i okazać pewną samodzielność — nadbiegała jej z pomocą Marysieńka i, oplotłszy jego wrażliwe serce nową siecią, rzucała go zpowrotem w ręce królowej, uległego już i gotowego służyć celom, które przyświecały jego ukochanej.

Najazd szwedzki i związane z nim klęski Rzeczypospolitej wykazały wiele braków w jej wewnętrznym ustroju. To też, po odparciu zewnętrznego wroga, w światlejszych umysłach kielkowała na dobre poważna myśl usunięcia tych braków, a przedewszystkiem poprawy sejmowania, wzmocnienia władzy królewskiej i usunięcia tego niebezpieczeństwa, które groziło państwu w okresach elekcji, czyniąc zeń łup intryg dworów zagranicznych i wprowadzając przepukstwo i anarchję. Myśl poprawy stosunków, pochwyciona przez dwór, nie znajdowała naogół szerszego odgłosu w masach szlacheckich, rozkochanych w swej „złotej wolności“ i widzących jej źrenicę właśnie w wolnej elekcji. A i u dworu, skoro się do sprawy wzięła królowa Ludwika Marja, z całości planów, zmierzających do poprawy wewnętrznej państwa, pozostał tylko projekt wyboru następcy króla za jego życia, sławetna elekcja vivente rege, która miała sprowadzić na Polskę wewnętrzną wojnę.

Żądna władzy Ludwika Marja, mająca nadzieję przeżyć Jana Kazimierza, nie miała zamiaru wyrzekać się władzy po jego śmierci i pragnęła obdarować Polskę królem „z własnej ręki“, który przez wdzięczność za wybór miałby się kierować jej rozkazami. Fran-

cuzka z pochodzenia, związana mocno z dworem francuskim, pragnęła widzieć na tronie polskim francuskiego księcia. Oczy jej zwracały się na opromieniony wojenną sławą dom wielkiego Kondeusza, którego bądź samego, bądź też jego syna księcia d'Enghien pragnęła widzieć na tronie polskim. W ten sposób Polska zbliżała się do Francji i wspólnie z nią mogła utworzyć najpotężniejszy w Europie sojusz, trzymający w rękę Austrię, jak w kleszczach. Myśl sama nie była zła i mogła wprowadzić Polskę, jako siłę czynną, do polityki zachodnioeuropejskiej — gorsze były środki, jakich się chwyciła królowa dla jej przeprowadzenia. Ponieważ pomysły te dogadzały polityce Ludwika XIV, sypnął on chętnie złotem, przy pomocy którego, działając bez żadnych skrupułów przekupstwem, królowa za obce pieniądze tworzyła w Polsce partję francuską. Mało kto z wpływowych dygnitarzy wahał się przyjąć francuskie złoto, sprzedając za nie mniej lub więcej szczerze swe wpływy u braci szlacheckiej. Co gorsza, królowa godziła się nawet na to, by narzucić swego kandydata przy pomocy szwedzkich żołnierzy.

Planom Ludwiki Marji miał się przeciwstawić zasłużony w okresie „Potopu“, opromieniony świeżą sławą Cudnowa i Słobodyszcz — marszałek wielki koronny i hetman polny Jerzy Lubomirski. Butny magnat, posiadający ogromne wpływy wśród szlachty i wojska, oraz niezmierną pychę, gotów był początkowo służyć celom królowej. Chciał jednak być główną sprężyną intrygi, a nie ślepem narzędziem swej Pani, a gdy się przekonał, że Ludwika Marja nie

postępuje z nim szczerze, zaczął się przeciwstawiać jej planom. Równie jak ona nie przebiegał przy tem w środkach, a gdy wyraźnie wystąpił przeciwko planom francuskim, urósł niebawem na trybuna „złotej wolności“ i bożyszcze szlachty.

Jak wiemy, Marysienka wymową swych wdzięków zaprzęgała Sobieskiego do polityki francuskiej swojej królowej. Im bardziej Lubomirski przeciwstawiał się planom dworu, tem bardziej dworowi chodziło o pozyskanie dla nich Sobieskiego. I tu z pomocą przychodziła Ludwice Marji pani wojewodzina Zamoyska swemi wpływami na rozkochanego rycerza.

Tymczasem wypadki polityczne rozwijały się w szybkim tempie. Sejm 1661 roku przyniósł pierwszy zawód królowej. Podczas następnego, w lutym 1662, chorągwie koronne ruszyły do Warszawy, ruszyły z okrzykami: „Precz z sukcesją, Boże zachowaj Polskę“, a pod ich naciskiem sejm wyraźnie potępił projekty elekcyjne. Porażkę przypisywała królowa Lubomirskiemu, lecz nie rezygnowała ze swych zamiarów. Prowadziła w dalszym ciągu agitację, w której coraz czynniej dopomagał jej Sobieski. Agitacja, rozszerzona na wojsko, poczęści kierowała swe ostrze przeciwko Lubomirskiemu, ale wojsko uważało go za swego protektora. To też, podżegany przez królową, Jan Kazimierz zaczynał się odgrażać, że „psi się krwi tych protektorów napiją“. Tymczasem wojsko zawiązało konfederację, domagając się zapłaty należności, dwór zaś próbował tworzyć inne związki dla własnych celów, hojnie rozdając swym stronnikom francuskie złoto. Zamęt się szerzył coraz bardziej, aż

wreszcie nastąpiło pewne otrzeźwienie, po rozstrzelaniu przez konfederatów litewskich hetmana Gosiewskiego, podejrzanego o sprzyjanie zamiarom królowej. Konfederacje zostały załagodzone gotówką i wojsko wróciło do posłuszeństwa. Ale pozostał ferment i stan zapalny. — Mimo tych przesileni wewnętrznych mógł jednak Jan Kazimierz wyruszyć w 1663 roku na wyprawę przeciwko Moskwie, w której Sobieski dowodząc jedną z kolumn, oddał mu znaczne usługi, zapowiadając się zarazem, jako duży talent wojskowy.

Lubomirski, rozżalony na dwór z powodu zwinięcia przy likwidacji konfederacyj jego opozycyjnych chorągwi, rozpoczął agitację wśród szlachty krakowskiej, aby król — wobec grożącego rzekomo niebezpieczeństwa tatarskiego — wracał do kraju. Wyprawa, obliczona na wielki sukces i podniesienie w ten sposób popularności królewskiej, została złamana od wewnątrz. Królowa, napotykając trudności we wszystkich poczynaniach, widziała wszędzie rękę Lubomirskiego i postanowiła złamać go, pozywając na sąd sejmowy pod zarzutem zdrady.

Sejmiki wiosenne 1664 roku zawrzały agitacją o osobę Marszałka Koronnego. Sejm zebrał się pod znakiem sprawy Lubomirskiego, który istotnie nawiązywał już stosunki z dworem wiedeńskim i myślał o porozumieniu z Moskwą. W chwili zebrania się sejmu, uszedł Lubomirski na Śląsk, szukając tam pomocy cesarskiej i gotując się do jawnej wojny przeciwko królowi. Niebawem miał zwrócić się również o pomoc do cara, ofiarowując mu służbę swego syna

i prosząc o nadanie mu dóbr na Ukrainie, aby mógł tam strzec granic moskiewskich przed napadami Tatarów i... Polaków. Nie znając istotnego stanu rzeczy, gorąco wstawiał się przed królem i królową za prześladowanym magnatem jego niedawny uczeń i towarzysz broni, Sobieski. Nie pomogły zaklęcia i perswazje; zacierzwienie dworu, nie posiadającego dowodów winy Lubomirskiego, lecz wyczuwającego we wszystkich porażkach politycznych, krzyżującą plany francuskie, rękę Lubomirskiego, zaszło już zbyt daleko. Sąd sejmowy, obrany z pogwałceniem praw, osądził sprawę Lubomirskiego zaocznie i wydał wyrok, skazujący go na infamję, utratę dostojęństw i konfiskatę dóbr, nie na podstawie przekonywujących dowodów, lecz tylko pod naciskiem królowej Ludwiki Marji.

Wakowały po Lubomirskim laska marszałkowska i buława polna. Pragnąc pozyskać w Sobieskim tem cenniejszego stronnika i zerwać wszelkie nici, mogące wiązać go jeszcze z Lubomirskim, królowa proponowała mu do wyboru jedno z tych dostojęństw. Wstrętne jednak dla Chorążego Koronnego było budowanie swojej kariery na nieszczęściu swego byłego zwierzchnika i mistrza. Sobieski odmówił z całą stanowczością. Buławę polną otrzymał wtedy — w przededniu swej śmierci — Stefan Czarniecki. Lubomirski tymczasem gotował się do otwartej wojny, intrygując w Wiedniu, Berlinie, Sztokholmie i Moskwie. Dwór, który gotów był sprowadzić dla przeforsowania swych celów wojska francuskie i szwedzkie, w obliczu grożącej wojny domowej, tem bardziej potrzebował pomocy Sobie-

skiego. To też oboje królestwo, a z nimi jego Marysieńka, torturowali go namowami, kusząc przynajmniej laską marszałkowską. Osaczony dąsami i perswazjami „jedynej serca i duszy pociechy“ wahał się pomiędzy pokusą dogodzenia tej „pociesze“ a świadomością, iż nie godzi się mu przyjmować godności, wydartej dawnemu zwierzchnikowi. Ceniąc swą reputację u panów braci, nie chciał narazić jej na konfuzję przez przyjęcie marszałkowstwa po Lubomirskim. Długo i wytrwale odrzucał kuszące propozycje. Raptem przyszedł dworowi z pomocą wypadek. 7-go kwietnia 1665 roku umarł mąż Marysieńki. Gotowa ona była za cenę przyjęcia laski ofiarować Sobieskiemu swą rękę. Rozumiała bowiem, że zabiegi dworu o pozyskanie Sobieskiego otwierają mu świetną karierę; a ponieważ i w jej sercu tlił jakiś płomyk uczucia dla wiernego rycerza, więc oddanie mu ręki nie było chyba zbyt ciężką ofiarą. W obecnej sytuacji, przy zupełnem zaślepieniu miłosnem Sobieskiego, karjera przedstawiała się Marysieńce świetniejszą, niż wtedy, gdy wychodziła za Zamoyskiego. W razie przyjęcia marszałkowstwa otwierały się przed Chorażym Koronnym zawrotne widoki. Sam on, zakochany do zupełnego szaleństwa, gotów był za pozyskanie rączki młodej wdowy narazić się na wszelką konfuzję. Wobec takiej pokusy zniknęły wszystkie skrupuły. 18-go maja 1665 roku Sobieski przyjął laskę marszałkowską, a już 6-go lipca, niespełna w trzy miesiące po śmierci Zamoyskiego, otrzymał zapłatę, biorąc ślub ze swą ukochaną.

W tymże dniu, 6 lipca, Lubomirski, który przez

swych agitatorów jątrzył dotąd szlachtę i wojsko przeciwko królowi, objął pod Sokalem dowództwo sprzyjających sobie chorągwi i jawnie rozpoczął wojnę domową, łupiąc dobra swych przeciwników politycznych, a przede wszystkim Sobieskiego, na którym mścił się za przyjęcie godności marszałkowskiej. Świeżo kreowany marszałek czuł się najnieszczęśliwszy, nie był z samym sobą w porządku, przyjmując łaskę, stracił popularność u szlachty i ściągnął na siebie jej „inwidię“, niezbyt wierzył w czystość metod, stosowanych przez dwór wobec Lubomirskiego, i pomimo osobistych strat, poniesionych z jego ręki, nie mógł się przejąć doń nienawiścią. Brał udział w walkach z Lubomirskim bez najmniejszego zapału. Walki te, polegające na uganianiu się za wojskami rokoszanina, budziły odrazę w całym niemal wojsku królewskim. Niebawem Lubomirski pod nieobecność Sobieskiego zadał stronnikom królewskim ciężką porażkę pod Częstochową i z pańskim gestem, uraczywszy jeńców wspaniałą ucztą, puścił ich wolno, zaklinając się na swą niewinność i płacząc na niewdzięczność dworu. Sprawa królewska jeszcze bardziej straciła na popularności, a z nią razem upadała i popularność Sobieskiego. Zniechęcony w najwyższym stopniu do polityki, stronił od niej i gotów był zwrócić Lubomirskiemu jego łaskę, aby tylko doprowadzić do zgody. Ugięty jednak miękkimi rączkami swego słodkiego tyrana, przyjął 2-go maja 1666 roku w spadku po zmarłym Czarnieckim buławę polną Lubomirskiego.

Wypadało mu teraz z urzędu brać udział w wojnie z rokoszem. Wobec majestatu królewskiego Naczeln-

negu Wodza i powagi obecnego w obozie Hetmana Wielkiego (Stanisława Potockiego) nie próbował narzucać własnych planów porażenia rokoszan. Trawiony walką wewnętrzną, widział Sobieski wyraźnie, jak na szwank narażona zostaje ze wszech stron szarpana dobra jego sława, jak odwracają się odeń, jako od stronnika sprawy — w mniemaniu szlacheckiem — niesłusznej. Pozbawiony dla tej sprawy zapału, potwierdzał w milczeniu zarządzenia królewskie i przy każdej okazji narażał swe życie więcej, niż mu nakazywała powinność. Rozumiał, w jak dwuznacznem świetle wystawia go własna bierność i apatja, i próbował nadrabiać osobistą dzielnością, ale nie mógł się zdobyć nawet na to, by odeprzeć niesłuszne zarzuty.

13-go lipca 1666 roku rokoszanie zadali woj-ską królewskim zupełną klęskę pod Maławami. Porażkę spowodowały własne zarządzenia króla i nieliczenie się ze zdrowymi radami Sobieskiego, ale teraz całą winę spychano na Sobieskiego, który nie próbował się nawet bronić. Wojna domowa nie przyniosła tedy nowych wawrzynów, raczej z dawnych odarła skroń Sobieskiego.

Na szczęście krwawa rzeź pod Maławami położyła kres wojnie domowej. 31-go lipca 1666 roku została w Łęgonicach zawarta ugoda. Król zobowiązał się do zrzeczenia się myśli obioru za swojego życia następcy, a nawet do wystąpienia przeciwko wszelkim podobnym próbom, do udzielenia powszechnej amnestji i zapłacenia żołdu zbuntowanym oddziałom. Lubomirski, nie odzyskawszy urzędów, zobowiązywał się do wyjazdu i pobytu zagranicą aż do chwili uspokojenia umysłów.

8-go sierpnia nastąpiła w Jaroszynie uroczysta ceremonia przeprosin. Opuszczony przez sprzymierzeńców i niedość mocno popierany przez swych stronników, „obnażony z honorów i w nienawistną przybrany sukienkę“, Lubomirski w obecności dostojników i senatorów stanął przed obliczem króla, tuż przy którym stał z łaską marszałkowską Sobieski. W kwiecistych słowach zapewniał wśród łez o swej wierności i z płaczem upadł do nóg królewskich. Wzruszenie i łzy udzieliły się wszystkim. Płakał i król, płakało i jego otoczenie. Po ucałowaniu ręki królewskiej, witał się Lubomirski z senatorami, ściskając ich serdecznie, a doszedłszy do Sobieskiego, ujął go w milczeniu za rękę i położył ją sobie na głowie. Nie wiedzieć, czy tym niemym gestem oddawał się pod opiekę dawnego podwładnego i ucznia, czy też czynił mu wyrzut i skarżył się na krzywdę.

Wojna domowa była skończona. Nie skończyły się jednak intrygi królowej. Nie zrezygnowała Ludwika Marja ze swych planów francuskich i knuła nową intrygę, w której sojusznikiem jej miał być... Lubomirski. Jak przedtem jego, tak teraz Sobieskiego zamierzała wyzuć z buławy i łaski i zwrócić je niedawnemu wrogowi, który poprzec miał jej plany. I te jej zamiary znalazły poparcie u pani Sobieskiej, Francuzki sercem, marzącej o odegraniu roli na dworze francuskiego króla. Już w październiku tegoż roku Ludwik XIV pisał do Sobieskiego, że gdyby po pozbawieniu urzędów nie uważał za zgodne ze swym honorem pozostawanie w Polsce i zechciał przenieść się do Francji, ze względu na położone zasługi on, Ludwik XIV,

gotów mu jest ofiarować tytuł księcia-para, godność marszałka Francji i order Św. Ducha.

Nękany utratą popularności, gnębiony poczuciem, że po przegranej wojnie szuka królowa sojusznika dla swych planów w Lubomirskim dlatego, że ten więcej wykazał energji w niedawno stoczonej walce, niż on, Sobieski, dręczony paryskimi zachciankami żony, nieszczęśliwy w najwyższym stopniu, gotów był na zawsze opuścić Polskę i rozpocząć nowe życie na obczyźnie, byleby poza siecią otaczających go intryg.

Na szczęście dla niego i dla Polski 31-go stycznia 1667 roku zmarł Jerzy Lubomirski, a 10-go maja śmierć zabrała królową. Przerwała się sieć intryg, otaczająca Sobieskiego. Otwierały się dlań nowe możliwości.

IV

PODHAJECKA POTRZEBA

Zaledwie zażegnana została wojna domowa, gdy nad Rzeczpospolitą zbierać się zaczęły ciemne chmury zewnętrznego niebezpieczeństwa. Wisiała w powietrzu groza nowej wojny z Krymem i zawieruchy kozackiej. W polityce tureckiej nastąpił zasadniczy zwrot, nieprzychylny Polsce, i zaczęły kielkować zakusy na zabór Ukrainy. Jednym z pierwszych zwiastunów nowego kursu Porty Ottomańskiej była detronizacja wiernego sojusznika Jana Kazimierza, chana Mohammed-Giereja, i osadzenie w Krymie Aadil-Giereja, wyraźnie nieprzychylnie usposobionego dla Rzeczypospolitej. Rozprężenie wewnętrzne państwa na skutek rokoszu Lubomirskiego i rozpolitykowanie rzesz szlacheckich, wrażliwszych teraz na niebezpieczeństwo wzmocnienia władzy królewskiej, oraz próby narzucenia krajowi francuskiego kandydata do tronu, niż na inne sprawy polityki państwowej, rozzuchwaliły kozactwo, na którego czoło wysunął się Piotr Doroszeńko, polityk nie tyle zręczny, ile zmienny, marzący o odegraniu roli nowego Chmielnickiego. Prowadzone od roku 1664 pertraktacje z Moskwą szły opornie i, dzięki wyczuciu przez przeciwnika słabości we-

wewnętrznej Polski miały kosztować ją utratę Smoleńska i Kijowa, ale drażniły one Krym, obawiający się w razie dojścia traktatu do skutku zwrócenia się sił polsko-moskiewskich przeciwko sobie. Łatwo w tych warunkach przyszło do porozumienia nowego chana z Doroszeńką w sprawie wspólnego wystąpienia przeciwko Polsce.

Doroszeńko do ostatniej chwili grał dwulicową politykę i, porozumiewając się z chanem, zapewniał jednocześnie Sobieskiego, jako hetmana polnego, o swej dla Rzeczypospolitej wierności i prosił o posiłki przeciwko Tatarom, ostrzegając, iż chan wysłał „wielkie mnóstwo Tatarów z Nuradyn-Sułtanem Jegomością i przydanymi dwoma sułtanami“, wyrażając obawy, iż sam „będzie musiał tak skakać, jak mu zagrają“. I raptem sam zagrał wspólnie z Tatarami, wycinając 19 grudnia 1666 roku pod Ścianą, 6.000-ną dywizję regimentarza Machnowskiego, rozłożoną właśnie na leżach na Ukrainie.

W sam dzień Bożego Narodzenia obwieszczał Sobieski obywatelom województwa ruskiego o nieszczęściu i wzywał wojsko uniwersałem, „aby dniem i nocą, jako najprędzej w ten kraj ścigało“. Zanim jednak rozkazy te wykonane zostały, wtargnęły czambuły tatarskie aż pod Gliniany, niszcząc dobra Sobieskiego i Dymitra Wiśniowieckiego i uprowadzając około 25.000 jassyrów. Rzeczpospolita, pogrążona w walkach wewnętrznych, stała bezbronna wobec zewnętrznego wroga, zwłaszcza że 23 grudnia został zerwany czwarty z kolei sejm walny i że wobec tego skarb nie posiadał żadnych środków na obronę kraju. Cały jej

ciężar spadał na barki Hetmana Polnego, któremu właśnie królowa wydrzeć myślała buławę. I przyznać trzeba, że — pomimo całego rozgoryczenia — Sobieski z całkowitem zaparciem się i poświęceniem czynił wszystko, by móc odeprzeć nawałę tatarsko-kozacką.

Niepłatny i głodny żołnierz oskarżał już Rzeczpospolitą nie o niewdzięczność, a o „jadowitą nieprzyjaźń“ i zapowiadał, że o ile należności nie dostanie, nie będzie ona miała w nim żadnej obrony. I jedynie energii Sobieskiego przypisać należy, że nie tylko zdołał on powstrzymać żołnierza przed jawnym buntem, ale zdołał go wyprowadzić przeciwko Tatarom i osłonić kraj przynajmniej do czasu uchwalenia podatków na wojnę.

Tymczasem intryga francuska w dziwnem zaślepieniu zamierzała wyzyskać niebezpieczeństwo tatarskie dla własnych celów. Polska wysłała do Turcji Hieronima Radziejowskiego z propozycjami pokojowemi. Ale ten, pozostając równocześnie na żołdzie francuskim, miał strzec w czasie swego poselstwa raczej interesów Francji, niż Polski, i w tym celu straszyć Rzeczpospolitą tureckiem niebezpieczeństwem, a zarazem zalecać sprowadzenie posiłków francuskich. Zaś, wysłany z prośbą o pomoc do Paryża, Morsztyn miał prosić o przysłanie Kondeusza z korpusem 10.000-ym raczej w celu przeprowadzenia jego własnej elekcji, niż obrony przed Tatarami. Obawiająca się narzucenia francuskiego kandydata, szlachta głucha była na wszelkie perswazje Hetmana o konieczności osłony wschodnich rubieży i z dziwnem zacierzwieniem

powtarzała: „my z tej nie boimy się strony, tylko od Kondeusza. A w ostatku niech tu nas i popalą, a my wolim tu odstraszać wszystkiego, a iść przeciw tamtemu“. I głęboko była przekonana, że niebezpieczeństwo tatarskie, to tylko „udawanie niektórych“ i „że to francuscy tatarowie i że tylko wojsko bawić chcą, aby drugą stroną Kondeusza wprowadzić“. Zacierzenie sięgało tak daleko, że gdy wreszcie sejm wiosenny uchwalił podatki, uchwalono jednocześnie, w przededniu niechybnej wojny, zmniejszenie wojska do 12.500.

Jeden Sobieski zachowywał jasność umysłu i widział wyraźnie niebezpieczeństwo, czynił wszystko, co był w stanie, by przygotować się do jego odparcia. Łagodził pretensje żołnierza, starał się dotrzeć do serc i mglistych umysłów szlachty, zawierał wreszcie porozumienie z hetmanem zaporoskim, Sirką, by w chwili, gdy orda wyruszy na Polskę, spróbował uderzenia na Krym. Ciężka niezmiernie była pozycja wodza, którego pozostawiono własnym siłom i któremu na początku wojny uszczuplono wojsko, miast je powiększyć.

W czerwcu poczęły już wpadać raz po raz czambuły tatarskie, przed którymi musiał oganiać się Sobieski, zanim zostały uregulowane na komisji we Lwowie pretensje wojska. Cieszył się ze schwytanych jeńców, których mógł posłać do Warszawy, aby wszystkich dowodnie przekonać, że to nie ze zmyślonymi Tatarami ma do czynienia. Martwił się zato sprawami komisji, w której na złość królowi chciano zwinąć jego gwardję i która płaciła asygnacjami „trudnemi do

ugryzienia“. Widząc nędzę żołnierza, ostatnią był gotów zastawić koszulę na pożywienie wojska i żalił się gorzko: „Tam (w Warszawie) na to nie dbają i wszystko całe na mnie zwalają, nie chcąc dać żadnego ordynansu, ani żadnej rady, tylko się na mnie spuszczać, żeby zaś było na kogo wszystką złożyć winę. Pieniądze moje na wszystko spendować mi rozkazują, jakoby mnie to floty przychodziły hiszpańskie“. Z wielką chęcią ponosił jednak ogromne koszty, płacąc na potrzeby wojska z własnej kieszeni sumy, zdobyte drogą zastawu swych dóbr ściągając ze swych posiadłości żywność, zapasy amunicji i nawet działa i około 800 ludzi dodatkowo własnym wystawił kosztem.

Dążąc do pomnożenia swych sił, potrafił przemówić do sumień szlachty zagrożonych województw i skłonić jednak około 1.500 ludzi do służby w szeregach. Ponieważ, pomimo wyraźnego zakazu sejmu, nie zwinął wszystkich chorągwi, razem ze zdobytymi w ten sposób posiłkami potrafił doprowadzić swe siły do jakichś 15.000. Co większa, potrafił swą ofiarnością wzbudzić w żołnierzu zaufanie w swą dobrą wolę i przełamać nieufność, datującą się od czasów rokoshu.

Pod Konstantynowem kupiły się tymczasem ogromne siły tatarsko-kozackie, obliczane łącznie na 100.000. I rzecz dziwna, im dalsze było to niebezpieczeństwo, tem się wydawało Sobieskiemu groźniejsze. W miarę gdy bliższą stawała się burza, spokojniejszym na nią spoglądał wzrokiem i jaśniej widział środki zaradcze. Opędzenie potrzeb wojska i osta-

teczne wyklucie się planu wojny wpływały znakomicie na uspokojenie i pewność siebie Hetmana.

Przydały się teraz boje, stoczone ongiś z Tatarami, i owe okresy, w których sam na ich czele biął Szwedów, i znajomość ich obyczajów, oraz celów i sposobów prowadzenia wojny. Powziął Wódz plan wojny, dziwny z pozoru i budzący nawet wśród jego podwładnych pewien niepokój, plan, zdaniem wsławionego w całej Europie francuskiego wodza Kondeusza, wprost szaleńczy. Dzielną rębacz francuski prorokował, iż plan Sobieskiego doprowadzi do tego, że Wódz polski zginie o dzień wcześniej wraz z całym swym wojskiem przed zagładą Rzeczypospolitej. Był to jednak plan, oparty o znajomość natury Tatara, dla którego wojna była jedynie środkiem zdobycia jeńców i łupu, a którego wyprawy były wyprawami po „kozuchy“. Wiedział Sobieski, że wodzowie tatarscy będą się starali jaknajszerzej rozpuścić zagony po łup i jassy. To też, znając znakomicie teren, w którym poważne przeszkody stanowiły rzeki, zbiegające od północy ku Dniestrowi, z przeprawami, wszędzie bronionymi przez zameczki, postanowił nie trzymać wojska razem, lecz rozstawić je partjami przy „fortelach“ tych twierdz, aby „ani wszystkich oblec, ani pojedynkiem pobić, ani pozad siebie nie mógł tatarzyn zostawić wojska“. Prawie przy wszystkich zameczkach podolskich stały jakieś partje. Większe stanęły od Halicza na południe aż do Połonnego i Łabunia, na północy na pograniczu Wołynia i Polesia. Na głównych kierunkach stanęli: na Pokuciu — strażnik obozowy Czaplicki, pod Tarnopolem — starosta doliński Koniecpolski, na Pole-

siu — Modrzewski, nieco głębiej na trakcie lwowskim miał działać Silnicki, wreszcie na najbardziej wysuniętej placówce, w Kamieńcu Podolskim, stanął sam Hetman we trzy tysiące ludzi i marzył, by nieprzyjaciel skierował się przeciw niemu. W połowie września zaczęli Tatarzy próbować szczęścia, puszczając swe zagony, i wkrótce Hetman mógł stwierdzić z dumą, iż „Barzo się nadało to rozłożenie wojska przy fortecach i barzo to nieprzyjacielowi zmieszało głowę, który prosto szedł na nasze wojsko: gdyby było w kupie, obległszy go dopiero myślał puścić zagony tatarskie aż pod samą Wisłę. Teraz zaś nie wie, kogo ma wpierv oblegać“. Istotnie, rozpuszczone zagony nigdzie nie zdołały nietylko zdobyć jassyru, ale i nawet zagarnąć bydła. Skierowany na Tarnopol czambuł otrzymał tęgie cięgi, a i w innem miejscu druga partja również zadała klęskę Tatarom.

W obozie tatarskim nastąpiła konsternacja, to też przez jakiś czas stał nieprzyjaciel beczynnje pod Konstantynowem, przekonany o wielkiej sile Sobieskiego i obawiając się sam zaczepnego jego wystąpienia. Brak decyzji u Tatarów, którzy rozpoczęli nawet już pertraktacje, nie trwał długo. Za twarde na tatarskie zęby mury kamienieckie mało ich ku sobie nęciły. Poczta, przejęta przez Tatarów, a pokazywana przez nich wysłanemu na rokowania Czaplickiemu, zorjentowała o słabości sił polskiego wodza.

Zebrawszy wszystkie swe siły, 25-go września ruszyli Tatarzy pod Zbaraż, następnie stanęli pod Tarnopolem, skąd pociągnęli pod Zborów, który został zdobyty za jednym zamachem. Stąd od Zborowa cią-

gnęła orda wraz z kozakami ku Pomorzanom, paląc i rabując majątki Sobieskiego w błogiej nadziei, iż w ten sposób snadniej wywabią Hetmana w pole i, zniósłszy go, będą mogli rozpuścić bezkarnie zagony. Pod Pomorzanami gościli zaledwie trzy dni, gdyż Sobieski zdążył już stanąć z Kamieńca pod Podhajcami. Masa tatarsko-kozacka ruszyła przeciw niemu, by, starłszy Hetmana, ruszyć następnie spokojnie po jassy. Nikt w obozie kozacko-tatarskim nie przeczuwał, że ta zmiana kierunku oznaczała zupełne załamanie się całej wyprawy, że Sobieski pogrzenie pod Podhajcami wszystkie ich sny o zwycięstwie i że do pokoju pozostaje już zaledwie kilka tygodni.

Przybywszy do Podhajec 4-go października 1667 roku, Hetman szybko rozpoznał teren i rozpoczął przygotowania do godnego przyjęcia nieproszonych gości. Miasteczko warowne, ze starym zamkiem Potockich, leżało nad biegnącą z północy na południe rzeczką Koropiec, trudną do przebycia od Kozowej aż do Podhajec i dalej na południe dzięki nieprzerwanemu pasmu szerokich stawów, otoczonych podmokłymi łąkami. Od Podhajec ku Brzeżanom, niemal równolegle do drogi, ciągnęły się nieprzerwane lasy, sięgające na południu aż ku Monasterzyskom. Szczyt kąta pomiędzy rzeką a lasami stanowiło miasteczko, przed którym Sobieski rzucił dwa szance, uzbrojone w nieliczne działa. Tu zamierzał Wódz przyjąć nawałę nieprzyjacielską, a jednocześnie osaczyć nieprzyjaciela pomiędzy pasmem stawów a lasami, zamykając mu drogi odwrotu ściągniętymi na jego tyły pozostałymi partjami. Pragnąc wzmocnić swe siły, Sobieski poruszył mieszczan i chło-

pów okolicznych, wcale z nich niezłą sformowawszy milicję.

Dnia 6 października nadciągnął w 80.000 Tatarów Sołtan-Gałga Krym-Gierej w towarzystwie Doroszeńki, prowadzącego 24.000 kozaków. Gorącą przemową zagrzał Hetman swe wojsko, wskazując, iż każdy powinien mieć „w sercu jedno z dwojga: umrzeć lub zwyciężyć; trzeciego być nie może“, iż „zwycięstwo się zdobywa męstwem nie liczbą“. „Jak się komu podoba — wołał do swych żołnierzy — walczyć albo dla ojczyzny, albo dla sławy. Ja, hetman, będę przy was, współtowarzysze. Jeśli kto nie zechce śmiercią pogardzać, pozwalam — niech umyka, a w drodze niech zginie haniebnie“. Nie było jednak takich, którzyby w chwili rozprawy zechcieli opuścić Hetmana. Jego energja i wiara w zwycięstwo udzieliła się jego żołnierzom. Gdy tegoż samego dnia ruszył nieprzyjaciel do natarcia, został przyjęty gorąco ogniem dział i muszkietów. Potem w ręcznym starciu z kawalerją zdawał się już przełamywać szyki i już się przedzierał ku opłotkom miasta, gdy ruszone przez Hetmana odwody złamały zapal wroga i zmusiły Tatarów i kozaków do cofnięcia się od umocnień na przyzwoitą odległość. „Wszystko za łaską Boską dobrze się stało. Nabrano tak wielu więźniów, jak nigdy więcej, jako Polska Polską“. Poniósłszy ciężkie straty i dostawszy porządną nauczkę, ostrożniej już odtąd poczynął sobie nieprzyjaciel, który wołał dobywać Sobieskiego oblężeniem, niż kusić się o nowe szturmy. Szereg dni upływał teraz na drobnych utarczkach, w których czeladź polska tak się wprawiała w wycieczkach na Tatarów,

że co noc brała im po kilkaset koni. Zamiast niepokoić garstkę obrońców podhajeckich, Tatarzy sami bezustanku byli urywani przez nich i niepokojeni. Podczas gdy liczyli na to, że zmiotą za jednym zamachem garstkę hetmańskiego żołnierza, sami znaleźli się w potrzasku. Czambuły tatarskie, wyruszające po żywność i paszę, były bite pomiędzy Brzeżanami i Kozową i przedrzeć się nie mogły poza tę linię. A z paszą i żywnością było coraz gorzej w obozie tatarsko-kozackim, gdyż masa koni armji tatarskiej, wiodącej zawsze po kilka koni zapasowych na wojownika, szybko wyjadła resztki ubogie trawy październikowej na niedużym stosunkowo terenie, na którym był osaczony nieprzyjaciel. Konie zaczęły padać, żołądki ścisnąć głód. W obozie nieprzyjacielskim rosło coraz bardziej zdenerwowanie w miarę, jak próby zdobycia żywności coraz to nowem kończyły się niepowodzeniem. Do tego i przez odpowiednio pouczonych chłopów, i w inny sposób przekradała się do obozu tatarskiego zręcznie szerzona przez Sobieskiego wieść, że z odsieczą hetmanowi ciągnie — w 20.000 świeżego żołnierza Dymitr Wiśniowiecki. Co gorsza, dostała się jakoś do Tatarów wiadomość prawdziwa o tem, że hetman zaporoski Sirko, korzystając z ich nieobecności, łupi niemiłosiernie i puszcza z dymem ich krymskie siedziby.

Nie o zniesieniu hetmana, lecz o wyjściu z opresji przyszło teraz myśleć Tatarom. I oto wreszcie, 16-go października, stanęło „Postanowienie z Tatary“, zaczynające się od oryginalnej deklaracji tatarskiego wodza: „Sołtan Imć Krym-Gierej Gałga nie z inną tu

w państwa J. K. Mści Rzeczypospolitej z wojskami krymskimi, nahajskimi, biłogrodzkimi wszedł intencją, jeno aby dawne i od tak wielu lat na czas stwierdzone potwierdził i postanowił pakta“.

Pokój z Tatarami, zawarty bez udziału Doroszeńki, postawił go w dziwnem wobec własnego sojusznika położeniu, zmuszając do ufortyfikowania się od strony Tatarów. I jego zapęły wojenne prysły. To też skwapliwie przyjął propozycję chańskiego pośrednictwa i 19-go października podpisał, podyktowane przez Polaków, warunki ugody, zredagowanej w postaci pokornego oświadczenia wierności poddańczej.

Rzeczpospolita została uratowana dzięki mocy charakteru, ofiarności i talentowi wojskowemu Sobieskiego. Pozostawiony samemu sobie w pierwszej swej prawdziwie hetmańskiej wyprawie, nie krępowany żadnemi względami pobocznej natury, potrafił on odrazu wykazać możliwości swego genjuszu, przyjmując na swoje barki całą odpowiedzialność i nie dzieląc się z nikim chwałą swoich wawrzynów.

Podhajecka wyprawa miała ustalić na zawsze reputację wojskową Hetmana, napełnić podziwem i wdzięcznością dla bohatera całą Rzeczpospolitą, zdobyć dlań szturmem i przykuć do jego buławy serca żołnierskie.

Dopiero na drugi dzień po zawarciu traktatu z cha-nem, zdecydował się Jan Kazimierz na powołanie popospolitego ruszenia, które miało śpieszyć na ratunek Sobieskiemu, a winne było zebrać się na dzień 15-go listopada w Lublinie. Szczęściem dla Rzeczypospolitej, dziwny ten pośpiech był już całkiem zbyteczny dzięki

triumfowi i niepodzielnej zasłudze Sobieskiego. Mógł więc teraz król odwołać swe wici i pograżyć się nadal w intrygach nad narzuceniem Polsce francuskiego kandydata. Wyniósłszy na własnych barkach Rzeczpospolitą z ciężkiej opresji, miał Sobieski pełną świadomość wartości dokonanego czynu. „Uczył się taki pokój — pisał już w kilka dni po zawarciu traktatów — jaki nie mógł być na świecie lepszy na stronę króla Imci i Rzeczypospolitej... rozumiem tedy, że ma być za co obligowana Rzeczpospolita Sylwandrowi“. Nie była to żadna zarozumiałość. Tak samo oceniał czyn Sobieskiego i uzyskane przezeń warunki pokoju ambasador francuski, który pisał do swego pana, że gdyby Sobieski wygrał nawet trzy bitwy, nie mógłby dla Polski korzystniejszego zawrzeć traktatu i przewidywał, że „zasmakuje on w sławie, jaką zdobył sobie w tej okazji“ i że on jeden może odegrać wielką rolę w tem królestwie. I Rzeczpospolita, jak zobaczymy, potrafiła ocenić zasługę Hetmana.

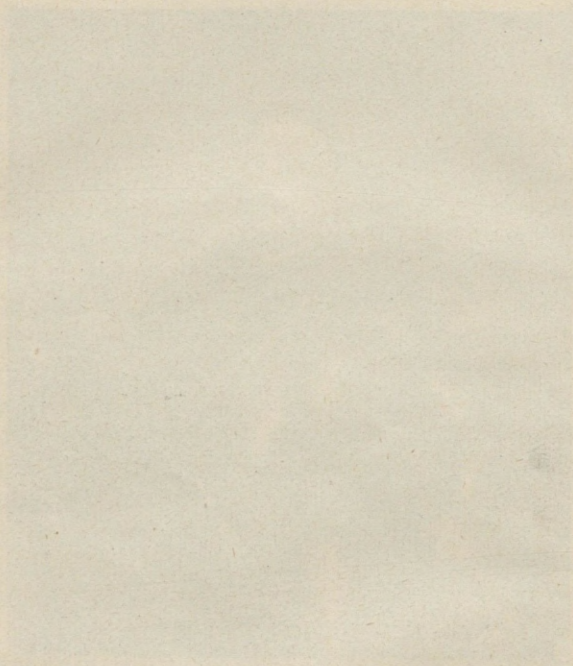
Czem mógł być nieodparty przez Sobieskiego najazd Tatarów i jakie spustoszenie szerzyły ich zagony, świadczył najlepiej stan majątności Sobieskiego, w których ledwie można było poznać, gdzie była wieś lub miasteczko. Trupa było pełno po polach, chłopów ani na lekarstwo; od Złoczowa do Tarnopola na wielkich mil sześć nie było gdzie popaść konia. „To jest tak pewna, jak słońce na niebie — pisał Hetman — że w moich samych majątnościach zginęło więcej niż 30.000 ludzi, a bydła wzięto najmniej także z 50.000“. Gdy wieść o tych spustoszeniach rozeszła się szeroko po kraju, uświadomiła sobie wreszcie szlachta, że to



IOANNES III REX POLONIAE EX ANTIQVISSIMA
FAMILIA SOBIESKICH

Non opus hic catamo subscribere quis sit
terrore hunc hostis, civis cognoscit amore.
Turca, Vienna, Fides Caesar, nomenq; loquentur.

Jan Sobieski jako marszałek wielki koronny



nie z „francuskimi Tatarami“ miał do czynienia Hetman i zrozumiała, przed jakim nieszczęściem osłonił kraj swym puklerzem. To też innem zupełnie okiem spoglądała teraz na swego obrońcę.

Widząc ofiarność Hetmana i poniesione przezeń straty, głodne, niepłatne i obdarte wojsko czekało cierpliwie wśród listopadowych mrozów na rozdział hyberty (opłaty na utrzymanie podczas zimy) i niemal bez targów godziło się za perswazją Wodza wziąć nie więcej, jak po 20 złotych z osiadłego łanu prowjantem, nie ruszając dóbr ubogich, klasztornych, szpitalnych i dziedzicznych. Pomimo poniesionych strat nie kazał Sobieski zwalniać swych własnych starostw od tego ciężaru. Był to oddawna niewidziany w Polsce gest. Magnateria, biskupi, każdy kto miał protekcję, wyrażał podówczas zwolnienie swych dóbr — ciężary hyberty ponosił ten, kto nie miał oparcia u możnych. Tem większe wrażenie wywarł postęp Sobieskiego i tem większy zdobywał on dla siebie mir i poważanie wśród swoich żołnierzy. „Tym procederem — pisał — nie mam z łaski Bożej żadnej w wojsku inwidji, i owszem wielką miłość i poszanowanie, jakiego żaden nigdy mieć nie mógł“. Zresztą miłość tę miał nietylko wśród wojska, dziękowali mu wszyscy i wszyscy, jego skromnem zdaniem, przyznawali więcej, niż dokonał. Jeśli doniedawna jeszcze gardłowały sejmiki, iż nie wolno łączyć w jednym ręku łaski marszałkowskiej z buławą hetmańską, teraz po wszystkich sejmikach stały uchwały, by na przyszłym sejmie została oddana Sobieskiemu wielka buława, wakująca po śmierci starego Potockiego.

V

O KROK OD DYKTATURY

Po Podhajcach los uśmiechnął się bohaterowi i zdawał się szukać sposobu, by opromienić go radością w nagrodę za przeżyte niedawno ciężkie chwile. Szczęści mu teraz nie tylko na polu publicznem, ale i w osobistem jego życiu. W początku grudnia otrzymał z Paryża radosną wieść, że przebywająca tam jego ukochana Marysienka 2-go listopada powiła mu szczęśliwie syna. Sobieski szalał z radości, a odtąd listy jego przepełnione są najtkliwszemi czułościami nie tylko pod adresem ubóstwianej żony, ale i jego pierworodnego, którego żartem przezywa „małym francikiem“. Wzruszające są, naprawdę, te wszystkie żarciki, pozdrowienia, pieszczoty i prezenty pod adresem owego francika. Czyż można czytać bez rozczylenia, jak zwycięski wódz posyła swemu malutkiemu synkowi „kiereczkę, która suknia jest najkkształtniejsza i najwcześniejsza dla tak małych kawalerów i krymeczkę bardzo dobrą robotą... sama ją pani wojewodzina (Jabłonowska) uwijała i obszywała, a miarę brano z Sieniasia (Sieniawskiego) małego, bo się nie godziło brać z lada kogo na tak humorowatego kawalera. Ogonki umyślnie przyszyto, żeby je sam sobie poury-

wał“, lub jak żartobliwie zaleca: „Chłopcu mi nie grozić o złości — uniżenie proszę... niech będzie humoru dobrego, mamkę niech za łeb rwie mocno“. Niemalym zaszczytem było dla Hetmana i niemalą sprawiało mu radość to, że syna miał do chrztu trzymać, tytułujący już Sobieskiego swoim kuzynem i podziwiany przezeń, „wielki monarcha“, Ludwik XIV. Na wyraźne żądanie ojca chłopiec starym polskim obyczajem miał otrzymać po dziadku imię Jakóba, chociaż Sobieski, chcąc dogodzić swej Marysieńce, zgodził się przecież na to, aby, trzymając do chrztu dziecko, król francuski nadał mu inne imiona dla zagranicy — w Polsce bezapelacyjnie miał być Jakóbem. Reskryptem z 27-go maja 1668 roku król francuski zawiadomił uprzejmie polskiego hetmana, że trzymał do chrztu jego syna i nadał mu imiona Ludwik Henryk Jakób.

Tymczasem na polu publicznem spotykały zwycięskiego Hetmana nowe niebywałe sukcesy. Już 5-go lutego 1668 roku w nagrodę „sławnej i na wszystkie wieki pamiętnej zasługi“ nadał mu Jan Kazimierz wielką buławę, oddając zarazem buławę pełną księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu.

Sprawy publiczne w kraju wielce się tymczasem gmatwały. Oddawna już Jan Kazimierz nosił się z myślą zrzeczenia się tronu, zaskoczenia w ten sposób szlachty i narzucenia jej swojego francuskiego kandydata, którym obecnie był książę Filip Wilhelm Neuburski. Zatarg pomiędzy królem a narodem szlacheckim nie tylko się nie łągodził, lecz owszem zaostrzał, atmosfera w kraju mocno była podniecona i lada chwila mogła wybuchnąć nowa burza. Stron-

nictwo francuskie, znacznie rozprężone po śmierci Ludwika Marji, nie przedstawiało już dawnej siły, a intrygi francuskiego posła de Bonzy dokuczyły już do żywego szlachcie, to też na sejmikach pisano ostre artykuły i domagano się, by znienawidzony Francuz niezwłocznie wyjechał z Polski, a nawet wygrażano się zabić go, gdyby tego nie uczynił. W tem położeniu „Kupiec“ lub „Aptekarz“, jak w swych listach do żony nazywał Sobieski króla, musiał tem bardziej liczyć na pomoc Sobieskiego, wzywał go do Warszawy „w znacznej i poufalej asystencji“ i upraszał go, aby sprowadził pod stolicę wojsko, które miało być w pogotowiu do wystąpienia na pierwsze skinienie. Wyraźnie więc gotował się do zamachu stanu i liczył na współdziałanie w nim, cieszącego się teraz popularnością, zwycięskiego Wodza.

Sobieski, który miał zdawać na sejmie zimowym 1668 roku sprawozdanie z ubiegłej kampanji, szykował się do uroczystego wjazdu. Spóźnił się coprawda mocno i przybył do Warszawy przed samem zakończeniem burzliwie rozpoczętego 24-go stycznia sejmu, w dniu 1-ym marca, ale zato wjazd jego był prawdziwym triumfem. Przeciw świeżo kreowanemu Hetmanowi Wielkiemu, wjeżdżającemu do stolicy od strony Piaseczna, tłumnie wyjechali na spotkanie senatorowie i posłowie ze swymi dworzanami, gromadą, liczącą do 3.000 osób. Sam on ciągnął we wspaniałym orszaku. Przed nową złocistą kareta, której „musiałby się dużo Paryż wstydać“, postępowało 1.000 paziów i lokajów, oraz podlejszej służby, w jego barwach, świeżo na tę uroczystość poszytych. Przy karecie moc

oficerów polskiego i cudzoziemskiego zaciągu, ussarja i pancerni. Za karetą ciągnęło 60 gwardzistów, przybranych w błękitne stroje ze srebrnymi galonami, dalej 250 dragonów, 100 hajduków węgierskich, 100 jan-czarów, 100 Tatarów i 100 Wołochów. Cały orszak hetmański, którego wystawienie kosztowało Sobieskiego około 100.000 zł., liczył ponad 2.000 ludzi. Towarzyszyli mu ponadto wraz ze swymi dworami jego towarzysze broni i przyjaciele: wojewoda ruski Jabłonowski, pisarz polny Jakób Potocki, wojewoda kijowski Stanisławski, podstoli koronny Feliks Potocki, chorąży koronny Andrzej Potocki i krajczy koronny Stefan Potocki. Ta asystencja tem większego dodawała przepychu wjazdowi triumfatora, i można mu wierzyć, „że w takiej kupie niewielu hetmanów wjeżdżało do Warszawy“. Nic więc dziwnego, że ciżba ludzi wyległa na ulice stolicy, by przyjrzeć się wspaniałemu widowisku, a okna wypełnione były damami. Przy dźwiękach muzyki i huku kotłów, wśród wiwatów rozentuzjowanego tłumu dotarł orszak hetmański do bram zamkowych, przez które przechodziły w triumfie gwardje i inne chorągwie. Przybył na zamek o godzinie drugiej po południu i skierował się na posiedzenie senatu, podczas gdy reprezentanci Rzeczypospolitej i arbitrowie śpieszyli do sal sejmowych. W senacie witał króla w prostych i skromnych słowach i słuchał przemówienia powitalnego podkanclerzego Olszowskiego, który wysławiał jego czyny.

Przybył Sobieski do Warszawy podczas najostrzejszych starć w sejmie pomiędzy królem a przedstawicielami narodu. Izba zajmowała się właśnie sprawą

konfederacji przedelekcyjnej, bo projekty abdykacyjne Jana Kazimierza były już powszechną tajemnicą. Zredagowano właśnie konstytucję generalną o elekcji, mianującą wrogiem ojczyzny każdego, kto śmiałby za życia króla wprowadzać elekcję nowego monarchy, i zabraniającą posłom i rezydentom cudzoziemskim mieszkać na dworze królewskim dłużej, niż 6 tygodni. Ponadto domagała się Izba od króla, by wydał niezwłocznie jedne wici za dwoje na pospolite ruszenie, a zamiast trzecich dał województwom listy przypowiednie, by mogły siadać na koń i zebrać się w czasie, zgóry przez konstytucję sejmową oznaczonym, w dniu 10 czerwca. Był to ostatni dzień sejmu—6 marca. Jan Kazimierz rozumiał, że sejm pragnie mu wyrzucić dowództwo nad pospolitem ruszeniem i że to pospolite ruszenie łatwo się może zamienić w rokosz. Cierpkimi więc słowy odpowiedział na to żądanie: „Znam ja, że w tem pospolitem ruszeniu jest żyd zagrzebany; jeśli go macie, odkopcie a powiedzcie, czego wam nie dostaje. Podobno tęskno waszmościom, że tak długo na tym tronie siedzę; wierzcie mi że i mnie drugie tyle z wami... pospolitego ruszenia nie bronię, ale na takie, jakieście sobie napisali, żadną miarą pozwolić nie mogę i jeżeli waszmościowie moją deklaracją nie kontentujecie się, niech pan marszałek żegna ¹“. Z trudem udało się posłom ułagodzić najzapalczywszych swoich kolegów i uzyskać ich zgodę na odroczenie zamknięcia sejmu do następnego dnia. Nazajutrz

¹ Żegnanie Króla przez marszałka sejmowego oznaczało zamknięcie sesji, a odpowiedź królewska rozejście się sejmu bez przeprowadzenia najdonioślejszych uchwał.

rozpoczęły się dalsze walki i izba poselska zdołała wywalczyć na królu to ustępstwo, że zgodził się na zwołanie pospolitego ruszenia w oznaczonym terminie i oddanie trzecich wici w ręce Sobieskiego, który w ten sposób otrzymywał dowództwo nad uzbrojoną szlachtą całej Korony. W sprawie jednak rezydentów nadal był król nieustępliwy, a i co do pospolitego ruszenia zastrzegał się, że nie może ono zamienić się w sejm konny. Jan Kazimierz liczył widocznie, oddając w ręce Hetmana dowództwo nad pospolitem ruszeniem, że znajdzie w osobie Sobieskiego pewnego sojusznika do swych machinacyj politycznych i, być może, silne ramię do przeprowadzenia zamachu stanu. Zawiódł się jednak zupełnie. Hetman, opromieniony sławą niedawnego zwycięstwa, daleki był obecnie od wszelkich intryg i szczerze miał na sercu dobro i uspokojenie kraju. Jak zawsze, gdy był wolny od zgubnego wpływu swej rozintrygowanej Marysienki, kierował się zdrowym rozsądkiem. Gdy wobec stanowiska króla w sprawie obcych przedstawicieli, posłowie zaczęli się domagać zamknięcia sesji, wystąpił Sobieski nagle z tem, że ma zdać sprawę z zawartych traktatów, oraz przedstawić projekty co do odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego Rzeczypospolitej, i zwrócił się do króla z gorącą prośbą, by w celu zażegnania obecnej niezgody zechciał się zgodzić miłościwie na przyjęcie w całości proponowanej przez izbę konstytucji.

Mowa, będąca żywym odruchem patriotycznego serca Hetmana, zyskała mu niebywałą wprost popularność. Sobieski dzięki niej w jednej chwili stał się bożyszczem tłumów i w ich oczach obrońcą wolności.

Jeden po drugim sejmiki dziękowały mu za mowę i prosiły Hetmana, by się sam jął rządu Rzeczypospolitej. Popularność dawnych trybunów szlacheckich zginęła gdzieś teraz raptownie. Pokoje Sobieskiego pełne były przybywającej z entuzjazmem szlachty, która domagała się, by stanął na jej czele. Ambasador francuski stwierdzał, że cała szlachta oświadcza się z posłuszeństwem Sobieskiemu, że prosi go o zgromadzenie pospolitego ruszenia, gdy uzna tego potrzebę, i wyraża gotowość iść za nim wszędzie, gdzie on zechce. Przewidywał, że jeśli tak dalej pójdzie, Sobieski stanie się panem Polski. Istotnie Sobieski, dzięki posiadanym urządóm, niezmiernej popularności i bezgranicznemu zaufaniu szlachty, łączył w swem ręku ogromną władzę i miał przed sobą jeszcze większe możliwości. Władza hetmańska oddawała w jego ręce wojsko Rzeczypospolitej, w którem z mocy prawa był panem życia i śmierci. Urząd marszałkowski dawał mu prawo karania na gardle w promieniu na milę od rezydencji królewskiej. Nikt jeszcze w Polsce nie jednoczył w swem ręku buławy wielkiej i laski marszałkowskiej i nie posiadał takiej władzy, jak on. Oddane przez króla i sejm w pełnem zaufaniu w jego ręce trzecie wici, na pospolite ruszenie przekazywały mu władzę nad całym uzbrojonym narodem. Posiadał teraz w swem ręku całą siłę zbrojną kraju: wojsko zaciężne i pospolite ruszenie; miał zatem siłę fizyczną całej Rzeczypospolitej do swej dyspozycji. Nigdy żaden z hetmanów nie miał takiej władzy. Co więcej, miał Sobieski w tej chwili nieograniczone władztwo dusz całego narodu, który

oddawał mu w ręce dyktaturę i żądał odeń, by pokierował jego losami, i który godził się bez zastrzeżeń na to, by on sprawował nad nim swe rządy. Mógł skierować na nowe tory losy Rzeczypospolitej. Kto inny, nie Sobieski, ktoś przesycony ambicją, mógł śmiało sięgnąć po koronę i włożyć ją sobie na skroń wśród powszechnego entuzjazmu.

Sobieski nie zdobył się na pokierowanie losami swego narodu i nie ujął oddawanej mu przezeń władzy w swe ręce, ani nie wyzyskał następczających się możliwości. Nie niosły go fale ambicji i nie zdobył się nawet na to, by rzucić hasło, które stać się mogło i musiało w tych warunkach hasłem całego narodu. Co więcej, wobec bliskiej elekcji nowego króla, nie potrafił wskazać szlachcie nawet kandydata do tronu. Usuwał się w cień i oddawał wszelkie pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów z zagranicą w ręce swej ukochanej Marysienki, która tymczasem próbowała w Paryżu w sposób pozbawiony wszelkich skrupułów dobić targu w sprawach swojej francuskiej rodziny i gotowa była sprzedać wpływy swojego męża za zaszczyty dla swoich braci i honorowe stanowisko dla siebie na francuskim dworze. To też, gdy naród czekał niecierpliwie na zbawcze słowo z ust Sobieskiego, ten nie miał mu nic do powiedzenia. I swą beczynnością roztrwonil pokładane w nim zaufanie.

VI

ELEKCJA I POCZĄTKI RZĄDÓW KRÓLA-PIASTA

Dwory zagraniczne pracowały tymczasem nad narzuceniem Polsce, wobec nieuniknionej abdykacji Jana Kazimierza, swych kandydatów i hojnie sypały złotem. Francja miała naraz aż dwóch kandydatów, bo poza plecami, wysuwanego oficjalnie, Neoburczyka, ukrywał się drugi, prawdziwy kandydat — Kondeusz. Austria przemyśliwała o przeprowadzeniu wyboru księcia Karola Lotaryńskiego. Wreszcie 16-go września 1668 roku Jan Kazimierz złożył koronę. 5-go listopada rozpoczynał się sejm konwokacyjny, lecz dopiero 23-go zjawił się w stolicy ze swą Marysieńką hetman Sobieski.

Podczas owego sejmku szlachta stoczyła wstępną rozprawę z przedstawicielami magnaterji, będącej na żołdzie obcych mocarstw i zdołała rozprawę tę wygrać, przeprowadziwszy uchwałę złożenia przysięgi, że nikt nie będzie popierał kandydata, od którego kiedykolwiek otrzymał pieniądze lub nawet ich obietnicę. Sobieski, jako marszałek wielki koronny, odbierał przysięgę i sam ją złożył, a pomimo wszelkich wystąpień swej Marysienki i prymasa Prażmowskiego, starającego się mu wytłumaczyć jej nieważ-

ność, pragnął dotrzymać zobowiązania. Dwukrotnie potrafił też odeprzeć zwycięsko najenergiczniejsze ataki w tej sprawie swego słodkiego tyrana. I wreszcie oświadczył z mocą, że prędzej pozwoli uciąć sobie rękę, niż podpisze umowę, przeczącą złożonej przysiędze. Tymczasem rozpolitykowana hetmanowa, ciągnąca zyski ze swych intryg politycznych, wraz z zaprzędanym francuskiemu dworowi prymasem Prażmowskim już w okresie sejmu elekcyjnego (rozpoczętego dnia 2-go maja 1669 roku), gotowała zamach stanu, którego narządziem miał stać się — według jej planów — w oparciu o wojsko jej mąż. Jego ramieniem pragnęła podeprzeć i przeforsować Kondeusza, a w najgorszym razie Neoburczyka. Gotowa zresztą była traktować nawet z dworem austriackim o przeforsowanie jego kandydata. Wszystkie te plany i rachuby poniosły zupełną klęskę wobec postawy masy szlacheckiej, która po raz wtóry wydała magnaterji walną bitwę i znów potrafiła ją wygrać. Postawa szlachty tak była mocna i zdecydowana, że zdołała ona, broniąc się przed wprowadzeniem na tron kandydata, zdobywającego głosy brzęczącemi ponętne argumentami, zmusić na polu elekcyjnem senatorów do wykluczenia kandydatury Kondeusza. Opornie i wykrętnie pod naciskiem szlachty wotowali za wykluczeniem senatorowie. Ostatni wotował Sobieski. Niedawno tak bezgranicznie popularny i takim cieszący się zaufaniem panów braci, słuchany był wręcz podejrzliwie i niechętnie. Mactwa polityczne żony zaprzępaściły z krete-
sem jego wzięcie wśród szlacheckiego narodu.

Kandydatura Kondeusza była pogrzebana ostatecznie. Ale paliło się rozwścieczenie wśród szlachty, wywołane tą kandydaturą. I podczas gdy Marysieńka kokietowała dwóch innych kandydatów, targując się przytem z nimi zawzięcie, na polu elekcyjnym doszło do dramatycznych scen w dniu 17-tym czerwca i do krwawych zajęć przy szopie senatorskiej, do której szlachta poczęła nadobrze strzelać. Następnego dnia senatorowie nie chcieli przybyć na pole elekcyjne w obawie już nie przed despektem, lecz o całość swej skóry. Dzień 19-ty czerwca 1669 roku miał zadać ostateczny cios planom oligarchów. Pod nieobecność prymasa, województwa jedno po drugim okrzyknęły „Piasta“ za poduszczeniem podkanclerzego Olszowskiego. „Piastem“ tym było mizerne książątko, niegrające dotąd żadnej roli politycznej i niemające zresztą po temu najmniejszych danych. Wybór padł na księcia Michała Wiśniowieckiego, którego jedyną zaletą było to, że ojcem jego był, ongiś wsławiony pogromca Kozaków, książę Jeremi. Zapewne jeden tylko Olszowski pragnął świadomie tego wyboru, który przy słabości umysłu i charakteru kandydata, wróżył mu oddanie w jego ręce nawy państwowej. Cios, wymierzony przez szlachtę oligarchji, był jednocześnie ciosem w losy Rzeczypospolitej.

Entuzjastycznie witany, jako król, przez szlachtę, Michał Korybut-Wiśniowiecki, król Piast narodu szlacheckiego, mniej entuzjastycznie, a nawet wręcz niechętnie, przyjęty był, jako elekt, przez magnaterję. I jakkolwiek zachowała ona wszystkie pozory zachwyty, zachwyt ten bynajmniej nie był szczery. Nie-

chęć do nowego króla wpływała zarówno z zawiedzionych nadziei co do przyszłych korzyści, które mogły ją spotkać z rąk francuskiego czy austriackiego kandydata, jak i z nicości samego elekta. Władający ponoć ośmioma językami, lecz nie mający we wszystkich ośmiu nic narodowi do powiedzenia, król Michał nie posiadał ani tężyzny charakteru, ani zdolności do kierowania nawą państwową. Ograniczony i małostkowy, zawistny o swą władzę, miał dziwny talent zniechęcania ku sobie tęższych umysłów, a jeśli brać szlachecka darzyła go zaufaniem, to nie tyle dla jego zalet, ile dla samej zasady podkreślania swego zwycięstwa i popierania go, jako kandydata, wyniesionego na tron przez szarą masę.

Pierwsze dni panowania króla Michała zaznaczyły się powszechnym entuzjazmem, w którym ubodzy i możni obdarowywali według swojej możliwości nowego króla, by przyczynić jakoś splendoru królewskiemu zamkowi, ogołoconemu sumiennie przez Jana Kazimierza przy jego wyjeździe. Ale też dni te zaznaczyły się odrazu próbą zerwania sejmu, której raczej nie chciał, niż nie potrafił przeciwstawić się Sobieski, marszałkujący w zastępstwie chorego marszałka sejmu, Potockiego. Spowinowacony z Wiśniowieckimi i poróżniony z nimi z powodu zatargów majątkowych, mniej, niż kto inny z magnatów miał on powodów do zachwytów, zwłaszcza że znał doskonale nowego elekta i lekcewał zgoła jego zdolności. Podobnie jak dla Jana Kazimierza, dla Sobieskiego był to „król-nieborak“. Nie takiego króla wymagało dobro Rzeczypospolitej. Pan niewojenny na tronie polskim,

w obliczu grożącej wojny z Turcją, już przez to samo nie był dla Hetmana zjawiskiem radosnem. A przecież Sobieski miał doń rozmaite urazy i powody do niechęci. Nic więc dziwnego, że postarał się być nieobecny wtedy, gdy składano nowemu królowi przysięgę i podpisano akt elekcyjny. Nie przypadkowo wśród innych podpisów na akcie tym zabrakło podpisu Sobieskiego. Zobaczymy go jednak na uroczystościach koronacyjnych, w których weźmie, przypadający mu z tytułu jego urzędu, udział, a to głównie dzięki sprytowi i wrodzonemu taktowi matki królewskiej, księżny Gryzeldy. Ona to bowiem podyktowała swemu synowi krok, który musiał ująć Sobieskiego, a przede wszystkim jego małżonkę. Król Michał oznajmił dworowi francuskiemu o swym wyborze za pośrednictwem brata Hetmanowej, markiza d'Arquien, który przez to występował wobec Ludwika XIV jako człowiek, posiadający w Polsce pewne znaczenie, i sam dzięki temu zyskiwał możność pomyslnego załatwienia swych osobistych spraw na dworze francuskiego króla.

Wkrótce po koronacji Hetman Koronny odjechał z dworu, by pograć się w regulowanie spraw ukraińskich, pomimo traktatu podhajeckiego wciąż grożących nowym wybuchem, zarówno ze względu na matactwa Doroszeńkowe, jak i na ogólny kierunek polityki turecko-tatarskiej. Stronnictwo francuskie, jakkolwiek rozbite na skutek klęski, poniesionej na polu elekcyjnym, nie dało za wygraną i wkrótce, jak feniks, powstało z popiołów i zaczęło przejawiać nową działalność ze świeżą energją. Gdy nieznanym dotąd

przykładem zerwany został sejm koronacyjny, czemu król Michał nie mógł i nie potrafił zaradzić, przytłumiona dotąd poniesioną klęską, intryga francuska zaczęła podnosić głowę. Gdy później, nie zasięgnąwszy opinii narodu, związał się nowy król więzami z dworem austriackim, żeniąc się z arcyksiężniczką Eleonorą, niedawną narzeczoną przepadłego właśnie na elekcji kandydata do tronu polskiego, księcia Karola Lotaryńskiego, stronnicy francuscy z prymasem Prażmowskim i podkanclerzym koronnym Morsztynem na czele, poczuli się zagrożeni w swych interesach. Stronnictwo francuskie odżyło i energiczną zaczęło przejawiać działalność, działając teraz na własną rękę i bez wyraźnego poparcia Ludwika XIV. Polityka dworu francuskiego, wobec zgodności interesów z Austrią, przy mającym nastąpić podziale hiszpańskiego dziedzictwa, kazała mu patrzeć chwilowo przez palce na wzrost wpływów cesarskich w Rzeczypospolitej. Gdy kandydatura księcia Kondeusza zgoła była nie do pomyślenia, oczy intrygantów francuskich zwróciły się na księcia St. Paul de Longueville, z którym rozpoczęto konszachty w gotowości przeprowadzenia na rzecz jego detronizacji króla Michała.

Rzeczpospolita stanęła znów w ogniu walki, tym razem pomiędzy stronnictwem francuskim a austriackim i podczas gdy Sobieski, przebywający na wschodnich rubieżach, zatopiony był w zagadnieniach ugaszenia tlejącego już nowego pożaru ukraińskiego, zawrzała intrygami dwóch wrogich obozów, nie przebiegających w środkach. Walka ta miała znów narazić jego dobre imię, obniżyć jego

wpływy wśród mas szlacheckich i zaostrzyć stosunki z dworem. Zwalczając intrygę francuską, intryga austriacka umiała nastawić szlachtę przeciw Bogu ducha winnemu Hetmanowi, zonglując jego dawnymi sympatjami francuskimi i wyzyskując, przemawiające przeciwko niemu, pozory.

Śmiało można powiedzieć, że nie było tak podłego argumentu, któryby nie został przeciw Hetmanowi użyty. Toć wpadnięcie jakiegoś przygodnego czambułu tatarskiego w dobra Dymitra Wiśniowieckiego wystarczyło zgoła, by pomawiać Wielkiego Hetmana o sprzysiężenie się z Tatarami przeciwko Rzeczypospolitej. A z drugiej strony i intryganci francuscy czynili wszystko, by usposobić Hetmana przeciwko królowi, posługując się w tym celu rozsiewaniem najpotworniejszych plotek, które kazały wreszcie Sobieskiemu wierzyć w to, iż dwór królewski dybie na jego życie.

Sejmiki 1670 roku stały się terenem ohydnej agitacji i widownią krwawych walk pomiędzy dwoma zwalczającymi się stronnictwami. Ofiarą namiętności politycznych padł na sejmiku w Środzie kasztelan Grzymułtowski, srodze posiekany jako stronnik francuski przez szlachtę, ofiarą tych samych namiętności stawało się i dobre imię Hetmana, które szarpano na wszelki sposób w ulotnych paszkwilach i wierszydlach, domagających się wręcz obwieszenia go, jako mściciela wewnętrznego pokoju. Nieświadom istotnego stanu rzeczy, ani zamiarów i zasięgu intrygi francuskiej, Sobieski w listach swych bronił tymczasem przed uzasadnionymi zarzutami swych

dawnych przyjaciół politycznych, nie mogąc uwierzyć, by byli oni w stanie posunąć się aż do wyraźnej zbrodni. Tem bardziej więc rosło przeciwko niemu rozjątrzenie wśród szlachty, która wręcz domagać się zaczęła odjęcia mu jego buławy. I oto niedawny przywódca narodu, który oddawał w jego ręce swe losy, stał się niemal jego wrogiem i według własnego gorzkiego wyrażenia niemal „ojcobójcą ojczyzny“.

W ciężkich dla siebie chwilach miał przecież Sobieski pociechę z jednej strony w zabiegach dworu o załagodzenie wrażenia niesłusznych napaści i doprowadzenia do zgody z Hetmanem wobec coraz to bliższej wojny, z drugiej zaś w mocnej postawie, trwającego przy nim jak mur, wojska. Odbyte we wrześniu 1670 roku pod Trembowłą koło wojskowe było gorącą demonstracją uczuć żołnierskich względem Hetmana, którego dobre imię szkalowały rozpolitykowane sejniki, a którego pracę widziało wojsko. Gromadny zjazd przedstawicieli wojska, liczący ponad 3.000 oficerów i towarzyszy, wziął gorąco w obronę swojego Wodza i, odpierając zakusy sejników na jego buławę, skierował ostrze swych uchwał przeciwko domniemanemu przywódcy stronnictwa austriackiego, podkanclerzemu Olszowskiemu. Wbrew prośbom Sobieskiego, koło, na próbę odebrania Hetmanowi buławy, odpowiedziało złośliwą uchwałą, domagającą się złożenia przez Olszowskiego pieczęci, jako „że się sfatygował, będąc swatem o królową... odbierając żupy wielickie, trzymając tak wiele opactw, probostw, plebanij, dzierżaw świeckich“ i zalecającą, „aby folgując zdrowiu swemu, położył pie-

cząć, a jechał i rezydował w biskupstwie swem chełmińskim i tam, aby pasł owce swoje według powinności kapłańskiej“. To samo koło wysyłało delegatów na sejm, przedstawiając mu swoje uchwały i domagając się uregulowania poważnych zaległości pieniężnych Rzeczypospolitej wobec wojska. Ostatnie momenty obrad wojskowych głęboko musiały wzruszyć Sobieskiego, który mógł się przekonać, jak wiernie trwają przy swoim wodzu serca żołnierskie. Przedstawiając je w swoim liście, pisał on z prawdziwym wzruszeniem: „...widząc ja całego wojska tak wielki ku sobie afekt i niespodziewany, chciałem im podziękować. Ale domówić nie mogłem, bo mi żal tak ścisnął serce i rzucił mi się płacz — co mi się nigdy nie przydało — żem domówić nie mogłem. Który tak poruszył wojsko, że wszyscy jak białogłowy płakali. Krzyknęli potem wszyscy, wzięwszy się za szable, że mi krzywdy czynić nie dopuszczą i pomrą przy mnie“. W pierwszym punkcie instrukcji, wiezionej przez posłów wojskowych do Warszawy, wojsko upominało się o powagę Hetmana i protestowało przeciwko wyrządzonej mu zniewadze. Było to wzruszające zadośćuczynienie, dane Wodzowi, zaszczerztemu niemal przez intrygantów politycznych, przez oceniających jego zasługę i pracę żołnierzy.

Sejm warszawski uchwalił tymczasem powiększenie armji o 12.000 i załatwił niemal wszystkie postulaty wojska, zanim jeszcze wysłannicy koła zdołali przybyć do stolicy. To też chociaż delegacja wyniosła niemiłe wrażenie z posłuchania u króla Michała, na-prężenie w obozie stopniowo się złagodziło. Dalszy

bieg wypadków miał również doprowadzić do złagodzenia tarć i nieufności pomiędzy Sobieskim a królem Michałem. Niemalą rolę w tej pacyfikacji odegrały sprawy osobiste. Najważniejszą był ponoć ślub księcia Dymitra Wiśniowieckiego z siostrzenicą Sobieskiego, księżniczką Ostroorską. Złagodził on napięcie pomiędzy obu hetmanami i dał możność Sobieskiemu zetknięcia się na weselu z królem i nową królową. Względy, okazywane Hetmanowi przez oboje królestwo, wywarły na nim duże wrażenie. To też w listach do żony chwalił on zachowanie się króla Michała, a wręcz z uwielbieniem odzywał się o jego małżonce. Nastąpiło szczere, aczkolwiek chwilowe tylko, zbliżenie się Sobieskiego do królewskiego dworu.

Mniej szczere było zbliżenie się króla Michała, obawiającego się wzrostu potęgi Sobieskiego w wojsku, zwłaszcza wobec niedawnych objawów przywiązania tego wojska do Hetmana. Na naradzie wojennej, odbytej za pobytu Sobieskiego w Warszawie, pomimo wiszącej już w powietrzu nieuniknionej wojny, król Michał okazał się gorącym zwolennikiem prowadzenia jej raczej pospolitem ruszeniem, niż wprowadzenia w czyn uchwały sejmowej, powiększającej liczebność wojska koronnego o 12.000 ludzi. Tajemnica tego dziwnego stosunku króla do przyszłej wojny kryła się w tem, że obawiał się on powiększenia sił Hetmana, który przy swej popularności wśród żołnierstwa wydawał mu się zbyt niebezpieczny. Liczył natomiast król-nieborak, że zwoławszy pospolitaków znajdzie w nich pewne oparcie przedewszystkiem

przeciwko wszelkim zakusom detronizacyjnym. że popolite ruszenie nie nadawało się zgoła jako narzędzie wojny do poważniejszych działań, obchodziło to Wiśniowieckiego mniej znacznie, niż sprawa utrzymania się na tronie.

VII

KU POŁOM BATOHU

Położenie na wschodzie zapowiadało tymczasem już oddawna poważną rozprawę zbrojną. Na Ukrainie, niemal bezpośrednio po ugodzie podhajeckiej, zaczęło się znowu za powodem Doroszeńki gotować, jak w kotle. Rozprawiwszy się 29-go października 1669 roku przy pomocy posiłków tatarskich, udzielonych mu z polecenia sułtana, ze współzawodnikiem do władzy nad kozaczyzną, pułkownikiem humańskim Michałem Haneńką, Doroszeńko poczynił sobie coraz zuchwalej, pisując jednocześnie starym obyczajem układne listy do Hetmana Wielkiego. W maju 1670 roku na komisji w Ostrogu, mającej zawrzeć z nim układ, postawił uwłaczające Rzeczypospolitej żądania. Domagał się, mianowicie, włączenia do Ukrainy części Polesia, Wołynia i Podola i stawiał za warunek, by na całym obszarze tej nowej Ukrainy Polacy nie tylko nie mieli prawa posiadania własności ziemskich, ale nawet zamieszkiwania. Wzbraniał się przed wprowadzeniem na jej terytorjum oddziałów polskich inaczey, jak na wezwanie hetmana zaporoskiego, któremu w razie wojny, według jego żądania, podlegać mieli polscy hetmani.

Sejm jesienny 1670 roku ogłosił Doroszeńkę za zdrajcę i postanowił oddać buławę Haneńce. Doroszeńko tymczasem potrafił uzyskać u Porty zarządzenia, które zapewniały mu wydatną pomoc w działaniach przeciwko Rzeczypospolitej. Przyjmując go pod swą opiekę jako hołdownika, Porta, która oddawna już, jak wiemy, ostrzyła zęby na Ukrainę, przeprowadziła detronizację chana Aadil-Giereja, jako niedość jeszcze wrogo usposobionego dla Rzeczypospolitej, i osadziła na chaństwie Selim-Giereja, który z ordami swemi przybył nad rzekę Cybulnik, by przyjmując przysięgę hołdowniczą od kozaków. Basza białogrodzki został mianowany przez sułtana serdarem ord tatarskich, oraz wojsk tureckich i wołoskich. Konstantynopol gotował się już poważnie do wojny z Rzeczpospolitą i w chwili, gdy Sobieski wyjeżdżał do Warszawy na ślub Dymitra Wiśniowieckiego i radę wojenną, posiadał już wiadomość, że Turcy gromadzą nad Dunajem materiały do budowy mostów. Wszystko to razem zapowiadało, że Rzeczpospolita stoi w obliczu niechybnej wojny z Tatarami i kozakami i że niebawem weźmie w tej wojnie udział również i Turcja. Poczęły się już nawet ukazywać tatarskie czambuły, przed którymi musiał się osłaniać Hetman Wielki.

Całość sił Sobieskiego wynosiła wraz z załogami zaledwie 10.000 żołnierza, z których zaledwie 8.000 było do użycia w polu. Uchwałę sejmową w sprawie owego powiększenia wojska słusznie zupełnie oceniał Hetman w sposób następujący: „Co się... tknie tych nowych zaciągów owoc będzie taki: naprzód się sej-

mików kilka, albo kilkanaście zerwie, drugie: województwa i powiaty zmniejszą sobie tych ludzi liczbę, jako to już uczyniło województwo ruskie, ziemia chełmińska etc..... jeśli zaś te zaciągi przyjdą do skutku, to naprzód że się spóźnią, bo z nich nie będzie nic, chyba in Julio (w lipcu) albo in Augusto (w sierpniu)... Druga, że to te pieniądze pułkownicy a rotmistrze między się rozbiorą...". Coprawda, wydał król trzecie wici na pospolite ruszenie z terminem stawienia się 13-go lipca do Lwowa, a w początku lipca nakazali biskupi modły o pomyślną wyprawę dla króla, który miał oddać życie i krew za nietykalność ojczyzny, ale pospolite ruszenie rozeszło się spokojnie, skoro nadeszły jakieś listy od wezyra, niezapowiadające niezwłocznej wojny z Turcją. Słuszną widocznie była opinia Hetmana o panach braci, że ich pogląd na wojnę streszczał się w maksymie: „aby to siedzieć doma, podatków nie składać, żołnierza nie karmić, a Pan Bóg żeby za nas wojował“. Z goryczą więc oceniał ten wysiłek Rzeczypospolitej Sobieski: „Ono, widzę, jedni mali niemieccy książątka na wzięcie miasta Brunświka, mniej im potrzebnego, więcej zaciągnęli wojska niżeli nasza Rzeczypospolita, widząc ostatnią prawie zgubę swoją, bo oni mieli 25.000, a my ledwo 10.000 i to rachując ze wszystkimi garnizonami, które tylko są po fortecach“.

W obliczu zaczynającej się wojny Hetman znajdował się znowu w niemal tak samo rozpaczliwym położeniu, jak przed wyprawą podhajecką, i podobnie jak wtedy, na własne zdany był siły.

Tymczasem, rozzuchwalony protekcją turecką i po-

mocą tatarską, Doroszeńko rozpoczął w lipcu 1671 roku kroki wojenne. Na Podolu „hałasowała“ już mocno liczona na 40.000 orda białogrodzka. Brat kozackiego hetmana Jego Sułtańskiej Mości, Hryszko Doroszeńko, pustoszył we 2.000 kozaków, nadane niedawno Sobieskiemu, starostwo barskie, podczas gdy sam Piotr Doroszeńko na czele siedmiu pułków kozackich rozpoczął oblężenie Białej Cerkwi. Zagony tatarskie ruszyły też trzema szlakami na Wołyń aż ku Polesiu, w kierunku Lwowa i na Pokucie. Wiadomości o wypadkach zastały Sobieskiego już w drodze do wojska.

23 lipca, zwoławszy podwładnych sobie dowódców do Tarnopola, przedsięwziął Hetman środki zaradcze, wydając zarządzenia do zahamowania niebezpieczeństwa „przykładem podhajeckim“. Straż Wołynia zlecona została młodemu księciu Ostrogskiemu. Dymitr Wiśniowiecki stanął ze swemi oddziałami w Tarnopolu. Partje Piwa, Silnickiego i Polanowskiego stanęły przy innych passach (przejściach). Sam Hetman Wielki we cztery tysiące ludzi zatoczył 30-go lipca obóz w pobliżu Orynina, opodal Kamieńca. Ze swej twierdzy złoczowskiej zabrał na potrzeby wojska niemal wszystkie działa i zapasy amunicji. Stojąc na wysuniętej placówce, spodziewał się lada dzień „wszystkiej tureckiej, tatarskiej i kozackiej potęgi“. Na sam Kamieniec, będący w opłakanym stanie, liczyć mógł mało — zamek był słaby, a jeszcze słabsze umocnienia ziemne. „To miejsce potencji tureckiej i trzech dni pewnie a pewnie nie zatrzymałoby“ — oceniał stan potężnej niegdyś twierdzy Sobieski w 1671 roku.

Stanawszy w obozie, przejawiał Hetman odrazu energiczną działalność, wzmacniając regimentem dra-
gońskim Bokuma załogę Baru i rozsyłając we wszystkich kierunkach silne podjazdy w celu zasięgnięcia języka o nieprzyjacielu. 16-go sierpnia ozwał się przez posła Haneńko z gotowością wystąpienia przeciwko Krymowi, chwając się, że rozporządza 16.000 zapo-
roźców i 5.000 Kałmuków. Następnego dnia jeńcy ta-
tarscy dali dokładniejsze wiadomości o stanie sił nie-
przyjacielskich na Ukrainie. Wyjaśniło się, że orda,
grasująca w lipcu, została spłoszona pogłoską o zbli-
żaniu się króla na czele pospolitego ruszenia, że na
Ukrainie pozostało zaledwie 9 do 10.000 Tatarów,
z których część poszła pod Białą Cerkiew, druga zaś
obojuje wraz z Hryszkiem Doroszeńką w okolicy Pie-
czary i oczekuje tam na ponowne przybycie znacznie-
szych sił z Krymu.

Sobieski nie zamierzał czekać, zanim nieprzyjaciel
wzrośnie w potęgę i postanowił, korzystając z jego
chwilowej słabości, podjąć sam działania zaczepne.
Wysłał tedy rozkazy do Dymitra Wiśniowieckiego,
aby połączył się z nim w okolicach Baru, i 20-go sierp-
nia wyruszył ze swego obozu, pozostawiając w nim
generała Koryckiego z artylerją, piechotą i taborami.
Ze sobą zabierał kawalerję i dragonów, 6 działek,
a z piechoty pozwolił iść tylko oficerom na ochotnika.
Wyruszał komunikiem i z lekkim tylko bagażem, aby
móc łatwo i szybko posuwać się w terenie, bo zależało
mu przedewszystkiem na zaskoczeniu nieprzyjaciela
swem ukazaniem się i spadnięciu nań, jak grom
z jasnego nieba. W marszu zachowywał najwyższą

ostrożność, omijał drogi i posuwał się przez orne pola, lasy i bagna, przez miejsca prawie bezdrożne. W drodze połączył się z pułkiem jazdy wojewody bracławskiego, Jana Potockiego, i w nocy z 23-go na 24-ty sierpnia wyminął Bar, idąc po takich bezdrożach, że wojewoda ruski, Jabłonowski, omal nie utonął w moczarach. 24-go nastąpiło pod Mańkowcami połączenie z Wiśniowieckim. Tegoż dnia w pobliżu Woroszyłówki nad Bohem napotkano jakiś luźny oddział Tatarów, który począł pośpiesznie uchodzić. Wydał więc Hetman rozkazy do jak najszybszego marszu i 25-go stanął w Pieczarach, opuszczonych już przez nieprzyjaciela, który mając widocznie, pomimo ostrożności ze strony Hetmana, wiadomość o jego marszu, wycofał się do Braclawia. Po przeszło 250 kilometrowym marszu, znużone wojsko otrzymało na dawnych obozowiskach tatarskich zasłużony odpoczynek, by następnego dnia uderzyć na stojącego o milę przeciwnika.

Rankiem 26-go sierpnia, wysławszy przodem kilka chorągwi na drugi brzeg Bohu, sprawił Sobieski zwykły szyk polski, stawiając na prawem skrzydle Jabłonowskiego, zajmując sam czoło i na lewem skrzydle umieszczając pułki księcia Dymitra Wiśniowieckiego. Za środkiem w odwodzie stanął z chorągwiami ussarskimi i rajtarją Polanowski, a po jego skrzydłach w posiłkach regiment dragoński Hetmana Wielkiego i jego pułk kozacki. Do Braclawia podeszło wojsko przez chrósty i zakryte miejsca i stanęło opodal, zanim Hetman zdążył wyjaśnić położenie. Zajęte przez nieprzyjaciela, miasto składało się z dwóch części: ze

słabo obwałowanego miasta dolnego i miasta górnego, wznoszącego się na wysokiej skale i posiadającego silną warownię. Z zasięgniętego języka dowiedział się Hetman, że miasto górne zajmują kozacy, dolne zaś zostało obsadzone przez Tatarów.

Sobieski postanowił, wbrew opinii swych oficerów, uderzyć w szyku konnym na oszańcowania dolnego miasta i spaść, jak jastrząb na niespodziewającego się napaści wroga, odcinając zarazem Tatarów od ich sojusznika. Chorągwiom swoim wskazał kierunek „pomiędzy te dwie mieście“. Naprzód ruszyły z kopyta oddziały, stojące w centrum, Bidzińskiego i Zbrozka, za nimi pędził chorąży koronny Mikołaj Sieniawski, w tropy szli za nim na prawem skrzydle na czele swych pułków wojewoda Jabłonowski, na lewem zaś hetman polny Dymitr Wiśniowiecki ze wszystkimi swemi chorągwiami i pułkiem wielkiego hetmana pod wodzą kawalera maltańskiego, Hieronima Lubomirskiego. Zaskoczenie było zupełne. Masa kawalerji, pędząca cwałem, wbiła się potężnym klinem pomiędzy oba miasta, przelatując przez wały dolnego, i parła niepowstrzymanie naprzód, pomimo że kozacy poczęli z górnego grodu walić zawzięcie z dział i pi-szczeli. Zanim się ocknąć zdołał nieprzyjaciel, Tatarzy zostali odcięci od zamku i mostu na Bohu. To też masa ich hurmem zaczęła wypadać w kierunku południowym w szczere pole i uchodzić co koń wyskoczy przed polskimi chorągwiami.

Nie bawiąc się w próby zdobywania potężnego zamku, pozostawił Sobieski wszystkie chorągwie ussarskie pod wodzą Polanowskiego, by miały wraz

z artylerją generała Kątskiego oko na kozaków i, sprawiwszy całą lekką jazdę, ruszył na jej czele w tropy za uchodzącą dziczą tatarską. Jak chmura spłoszonych ptaków, pierzchali na południe Tatarzy, jak druga chmura bystrych sokołów, pędziła za nimi jazda hetmańska. Tatarzy przelecieli przez warowne miasto Ładyżyn, które przepuściło uchodzących sojuszników, dodało im koni i przez chwilę próbowało powstrzymać nadbiegające polskie chorągwie ogniem samopalców. Na widok jednak coraz to nowych oddziałów, wyszli popi z krzyżami, ewangelją i chlebem, by przebłagać zwycięzcę, a ludność, otworzywszy bramy, skomlała o miłosierdzie. Jak wichur przeleciał Sobieski przez miasto za Tatarami i pędził dalej co koń wyskoczy przez Czetwertynówkę aż do Batoha. Coraz to się zmniejszała odległość pomiędzy uciekającymi a pogonią. Niebawem na karki tatarskie zaczęły spadać ciężkie szable polskich rycerzy. Śladami trupów znaczyli Tatarzy drogę swej ucieczki i pędzili na oślep przed siebie. „Rzucali złodzieje — pisał później Sobieski — najprzód ludzi, których pobrali, potem żywności różne, potem konie... w ostatku siodła z pod siebie wyrzucali, a na ostatek koszule et les caleçons, a to dla lekkości... doszliśmy ich jednak i nabrali i nasiekli siła. Jedni się topili, drudzy w lasy piechotą uciekali, trzecich miasta różne do siebie puszczały, ostatek aż w dzikie poszli pola, od których nie byliśmy dalej nad cztery mile“. Pościg trwał przez dobre pięć mil ukraińskich aż do Batoha, skąd Tatarzy rozpierzchli się w stepy na cztery wiatry. Tu, na polach batohskich, skrapiając je krwią niewiernych,

wziął Hetman pomstę za śmierć brata swego, zabitego tutaj przed laty przez Tatarów w chwili straszliwej klęski armji Kalinowskiego.

Po krótkim spoczynku ruszył Sobieski zaraz po północy zpowrotem pod Braclaw, skąd nazajutrz pociągnął przez Pieczary i Krasne, po drodze zrównał z ziemią forteczkę Działów i 30-go sierpnia stanął obozem pod Barem.

Wrażenie wyprawy braclawskiej było piorunujące. W ciągu dwóch dni poddało się Hetmanowi dziesięć miast ukraiennych, a w ich liczbie dwie silne twierdze Szarogród i Niemirów. Na drugi dzień po przybyciu wojsk polskich do Baru, zjawiła się do Hetmana deputacja od miasta Brahiłowa. Na wiadomość o klęsce, porzucił Doroszeńko oblężenie Białej Cerkwi i schronił się do Czehrynia.

Próbująca występować zaczepnie, Winnica została zdobyta przez Lubomirskiego i zburzona, a cała jej załoga wycięta. Nigdzie jednak więcej nie pozwalał Hetman nietylko na rabunki i srogości, ale i na gnębienie ludu wiejskiego rekwizycjami. Na utrzymanie wojska szły zbiory z własnego starostwa hetmańskiego w Barze.

Pomimo zwycięstwa, położenie jednak, przy słabej liczbie wojska, było nad wyraz ciężkie. „Choć się miasta poddają — pisał Hetman — nie wiedzieć czem je osadzić“. Na świeżo zdobytym terenie obsadzał — wypróbowanym już dawniej sposobem — ważniejsze tylko kierunki: na czarnym szlaku stanął więc w Międzybożu Sieniawski, na straży Wołynia stali książę Ostrogiński i strażnik koronny Samuel Leszczyński;

Polesia strzegł pułkownik Piwo; w Szarogrodzie, na Podniestrzu, stał porucznik hetmański Pruszkowski; w Brahiłowie od Bohu — Ruszczyc. Sam Hetman stanął na szlaku Kuczmańskim pod Barem i tu sprowadził z pod Kamieńca generała Koryckiego z piechotą, taborami i artylerją.

Przy końcu września przybyły tutaj słabe posiłki: trzy chorągwie Koniecpolskiego, dwie kompanje piechoty Denhoffa i liczący trzysta głów regiment pieszy biskupa Trzebieckiego. Wzmocniony temi posiłkami, podjął Hetman na nowo działania zaczepne w 6.000 ludzi, tym razem w kierunku Mohylowa, który się poddał 7-go października, zajęty niemal bez strzału. Został on obsadzony załogą, podobnie, jak potężna twierdza Ściana, która już 27-go września oświadczyła się była z posłuszeństwem. Niebawem otworzył Rasków swe bramy przed rotmistrzem Ruszczycem.

Całe Podniestrze było w ręku Hetmana. Postanowił więc teraz zwrócić się ku linji Bohu i 10-go października stanął ponownie wpobliżu Braclawia. Tu połączył się z nim w dwa czy też trzy tysiące kozaków wierny Rzeczypospolitej Haneńko i namawiał Hetmana, by się wyprawił pod Kalnik. Sobieski, który zamierzał nie przekraczać linji Bohu, zgodził się jednak dać mu ku pomocy oddział strażnika koronnego, Stefana Bidzińskiego, ale domagał się oddania sobie zamku braclawskiego. Haneńko godził się na to, choć niechętnie, ale prosił, „aby to nie przy nim było“. Postanowił więc Hetman użyć fortelu i zaskoczyć twierdzę podczas wymarszu Bidzińskiego pod Kalnik. Zawczasu przygotowane oddziały obsadziły dolne mia-

sto i w chwili, gdy kosaactwo wyległo pogapić się na ciągnącą przez most kolumnę Strażnika, uderzyły znienacka na bramę zamkową i wtargnęły do zamku. Niespodziewający się napadu kozacy zaledwie próbowali stawić jakiś opór, tak że kilku z nich tylko „obrazić musiano“. Niezdobyta twierdza prawie więc bez wysiłku przeszła w polskie ręce.

Trudniejsza sprawa była z Kalnikiem, gdyż był to za twarde orzechy, jak na zęby hetmańskiej armji, liczącej w swych szeregach zaledwie 1.000 piechoty, 12 dział i 2 moździerze. To też cała akcja ograniczyła się do bezskutecznej kanonady 17-go października i spalenia przedmieścia. Sobieski tymczasem zbliżył się do Soroki i tu 21-go otrzymał wiadomość, że pod Kalnik przyciągnęła kupa Tatarów i kozaków, licząca do dwóch tysięcy ludzi. Wysłanych przez Hetmana 12 chorągwi zniosło tę kupę, ale resztki jej schroniły się do Kalnika.

Był to ostatni sukces tej twardej kampanji, w której osamotniony Hetman dokazywał cudów wytrwałości i poświęcenia z garstką swoich żołnierzy, podczas gdy Rzeczpospolita w gnuśnym bezwładzie zajmowała się raczej roztrząsaniem domniemych uchybień Wodza, niż sprawą zażegnania niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo to zresztą, podobnie, jak w podhajeckim okresie, wydawało się jej raczej zmyślonem.

Po uzyskanych sukcesach możliwa stawała się pacyfikacja całej Ukrainy, niezbędne było tylko przybycie na teren walki świeżych zaciągów, lub przynajmniej pospolitego ruszenia. Z zaciągów przy-

był tymczasem jeden jedyny rotmistrz z wyprawy lubelskiej. Z własnej ochoty 9 swych nadwornych chorągwi przyprowadził ponadto Andrzej Potocki i jakiś poczet ludzi przyszedł z Marcinem Zamoyskim. Wobec stanowiska króla Michała i postawy sejmików, nie pozostało nic z owej uchwały sejmowej, zapowiadającej powiększenie wojska. Nie przybyły również i pospolite ruszenia. Przychodziły one mniejszemi partjami do obozu pod Glinianami, aż hen, pode Lwowem, i odchodziły zpowrotem bezładnemi kupami. Niedołężny król Michał przesiedział beczynn timer kilka miesięcy w Lublinie, Zamościu i Lwowie, lecz nie zdobył się na wysiłek zorganizowania, a nawet utrzymania w obozie pospolitaków. Była jeszcze nadzieja na przybycie wojsk litewskich, którym wypłacono nawet 64.000 złotych, lecz ta nadzieja niebawem okazała się płonną. Nikt nie obmyślił, ani przygotował dla Litwinów prowiantu na okres ich przemarszu przez ziemie koronne. 16-go października dotarli oni do Dubienki i tu odmówili posłuszeństwa swoim hetmanom. Hetman wielki litewski Michał Pac zdobył się jedynie na wyrzeczenie decyzji: „Więc gdy iść nie chcecie, zwijam wojsko“. Chorążowie złożyli sztandary i wojsko litewskie przestało istnieć. Próbował jeszcze hetman polny Michał Radziwiłł, szwagier Sobieskiego, zaciągnąć na nowo swych żołnierzy, lecz nie znalazł najmniejszej ochoty do wojny. Bezładnemi kupami powrócili Litwini do domów.

30-go października otrzymał tę straszną wiadomość Sobieski i cofnął niezwłocznie swoje oddziały do Braclawia. Nie o dokończeniu podboju Ukrainy

przychodziło mu teraz myśleć, lecz o utrzymaniu przynajmniej dotychczasowych zdobyczy. Następnego dnia kończył się termin służby całemu wojsku. 1-go listopada, złożywszy koło generalne, ogłosił Hetman zakończenie kampanji i zdołał ubłagać na niem żołnierza, by pozostał na leżach zimowych w Braclawczyźnie i czekał cierpliwie aż sejm obmyśli środki na jego zapłacenie. Tymczasem Doroszeńce nadciągały posiłki tatarskie, które wiodł ze sobą pod Kamieniobród nuradyn-sołtan.

Wyjeżdżając na komisję hybernową do Lwowa, pełen był Hetman najgorszych przeczuć i świadomości, że wszystkie trudy zwycięskiej kampanji pójdą na marne, dzięki nieudolności króla i bierności Rzeczypospolitej. Ostatnią jego czynnością w obozie było wręczenie Haneńce, okrzykniętemu przez jego kozaków hetmanem, insygnjów władzy hetmańskiej nad kozakami. Wyjeżdżał Sobieski chory, zmartwiony, niepewny przyszłości i pełen żalu, iż w nagrodę za ponoszone trudy i ofiarność szarpano tymczasem w kraju jego dobre imię. Jechał bez nadziei nawet znalezienia pociechy u boku swej najukochańszej Marysieńki, która siedziała w Paryżu i gnębiła go stamtąd najprzeróżniejszymi podejrzeniami, napawającami goryczą jego kochające serce.

W kraju nie czekały Hetmana ani wdzięczność współobywateli, ani zasłużone zaszczyty. Przyszłość miała mu przynieść nowe trudy wśród ogólnego niezrozumienia, nieżyczliwości i podejrzeń. Ciężka, w niesłychanie trudnych warunkach prowadzona przez Sobieskiego kampanja, w której sam jeden stał on na

straży interesów nietylko Rzeczypospolitej, ale i chrześcijańskiego świata, miała przynieść niespodziewany zaszczyt ...królowi Michałowi. Król-nieborak, który nietylko nie powąchał prochu, ale nie zdążył nawet dojechać do wojska, został zaszczycony, jako obrońca chrześcijaństwa, dowodami szczególnej łaski Stolicy Apostolskiej, nadsyłającej mu, jako „goddło bohaterskiego męstwa“, miecz poświęcony i szyzak, zaś dla królowej Eleonory złotą różę.

VIII

WYPRAWA NA CZAMBUŁY I TRAKTAT BUCZACKI

„Czausz od Porty Ottomańskiej przyniósł nam wojnę“ — mówił w dniu 30-tym stycznia 1672 roku kanclerz wielki koronny ze stopni tronu do sejmu. Już same te słowa dawały świadectwo wszystkim, że niebezpieczeństwo tureckie nie jest zmyślonym wybiegiem politycznym, lecz stało się faktem nieodwołalnym. Już 24-go grudnia, jako pierwszy zwiastun tej strasznej wojny tureckiej, wystąpił znów w sojuszu z Tatarami Doroszeńko i zaatakował we 12.000 dzielnic polskich chorągwi wpobliżu fatalnego Batołu, w Trościańcu. Do 30-go grudnia 1671 roku prowadził on oblężenie dzielnie broniącej się garstki, lecz dopiero ruszenie się na rozkaz pozostawionego na Ukrainie regimentarza Wyżyckiego ze stanowisk pozostałych oddziałów, zmusiło go do zaniechania oblężenia. Cofał się, rozgłaszając przecieź swoje zwycięstwo nad Polakami, a w styczniu 1672 roku miał już pod swemi rozkazami 15.000 jazdy i 12.000 piechoty kozackiej, oraz 1.000 autentycznych Turków. Wspomagany przez 20.000 ordę nuradyn-sołtana, któremu płacił za usługi

jassyrem z miasteczka Sobolówki i okolicznych wiosek, kusił się o zdobycie Ładyżyna i Ściany. Wojnę więc niosły nietylko pismo sultańskie, ale i towarzyszące mu wieści hiobowe z Ukrainy.

Zdawać się mogło, że w obliczu strasznego niebezpieczeństwa, głoszonego teraz z wysokości tronu, ucichną wszystkie spory i cały naród, reprezentowany na sejmie przez swych przedstawicieli, skupi się we wspólnym wysiłku i będzie dążył do znalezienia środków zaradczych. Sejm tymczasem kłócił się i hałasował o drobnostki, i więcej w tej groźnej chwili i króla i sejm obchodziła sprawa, iż monarcha rozmawiał z przedstawicielami narodu w cudzoziemskim stroju, niż groza okropnej wojny. Dwa jeno głosy odzywały się do narodu z żądaniem obmyślenia środków obronnych i pomnożenia wojska: nieobecny w Warszawie Sobieski składał na ręce królewskie memorjał, wyrażający pogląd na groźne położenie Rzeczypospolitej, i grzmiał na sejmie zagorzały intrygant francuski, prymas Prażmowski, w którego sumieniu odzywał się głos patriotyzmu. Żądał powiększenia wojska do 70.000, wskazywał na konieczność uchwalenia podatków i na inne środki, mające umożliwić przeprowadzenie tej aukcji. Sobieski w swym memorjale przedkładał trzy sposoby zażegnania nieszczęścia: przyjęcie warunków Porty i zrzeczenie się na jej rzecz Ukrainy, porozumienie się z Doroszeńką kosztem ciężkich ofiar i naruszenia powagi Rzeczypospolitej, wreszcie mężne „zastawienie się za wiarę świętą i całość ojczyzny“. Pierwszy sposób zwał nieuczciwym i przewidywał, że jeno odsunie on na pewien czas nie-

bezpieczeństwo, ale trwale go nie zażegna. Drugi uważał za trudny do przeprowadzenia, trzeci dopiero był dlań „szlachetniejszy od dwóch pierwszych i taki, jaki należy“. Radził więc tworzyć potężną armję i przenieść wojnę, nie czekając napaści, na teren posiadłości nieprzyjacielskich, zasilić w gotówkę Zaporozie i wysłać zaporoskich kozaków na morze, by zagrozili nadbrzeżnym posiadłościom Turcji. Przestrzegał przed nadzieją na pomoc zagranicy w tej wojnie i zachęcał wszystkich do ofiarności, głosząc, „że lepiej pozbyć się sierści, niż całego ciała“. Sam dawał przykład tej ofiarności, zrzekając się na rzecz potrzeb wojny dochodowego starostwa w Barze. Radził wreszcie królowi, dla wzniesienia w narodzie zapału, ruszyć niezwłocznie na wojnę własną osobą. Zwracał uwagę, że od wyniku obrad sejmowych zależy „zatrzymanie sławy narodu polskiego“ i bytu Rzeczypospolitej. Przez usta wiernego syna ojczyzny i wielkiego wodza przemawiał do sejmujących stanów głos sumienia, rozsądku i patriotyzmu, lecz głos ten wołał daremnie.

Wybrana z łona sejmu dla rozpatrzenia prymasowego projektu powiększenia wojska, delegacja okroiła go, zmniejszając liczbę przyszłego żołnierza do 50.000, i ogłaszając, że na pokrycie kosztów wystarczy pogłówne i szelągne, że nadzwyczajne podatki zgoda nie są potrzebne. Nawet ten kusy wniosek znalazł sprzeciw wśród wielkopolskich posłów, zgadzających się jedynie na powiększenie wojska o 12.000. Ale i ta nawet uchwała nie przeszła, gdyż sejm rozszedł się wśród gorszących waśni i sporów, nie powziąwszy żadnej

prawomocnej uchwały. Rzeczpospolita pozostawała bezbronna.

Gorsze było jeszcze wdanie się króla Michała w zarządzenia wojskowe Hetmana. Pozostawiony przez Sobieskiego na Ukrainie w charakterze regimentarza Wyżycki zraził sobie swem zachowaniem się głodne chorągwie, pełniące uciążliwą służbę w spustoszonej kraj, i o mało nie doprowadził do buntu i zawiązania konfederacji. Gdy Sobieski zastąpił go na stanowisku regimentarskiem kasztelanem podlaskim, Łużeckim, dając mu rozkazy co do sposobu ubezpieczenia kraju, Wyżycki nie tylko nie podporządkował się rozkazom nowego regimentarza, ale zatrzymawszy pod swoim dowództwem kilkanaście chorągwi, sprowadził je ze stanowisk i wysłał poselstwo ze skargą do króla. Był to akt wyraźnej niesubordynacji, o ile nie wprost buntu. Miał skarcić niekarnego oficera i przywołać go do porządku, król Michał skorzystał skwapliwie z okazji zaskarżenia sobie sympatji chociażby u części wojska i, jakby w nagrodę za to nieposłuszeństwo, wyznaczył chorągwiom dogodne i bezpieczne leże w swym bogatym starostwie samborskiem, co więcej, wypłacił im część należności, podczas gdy reszta wojska nadal nie widziała złamanego szeląga. Była w tem zarządzeniu jakaś tępa bezmyślność i złośliwość w stosunku do Hetmana, którego autorytet dowódcy został poważnie przez nie nadszarpnięty. Wyżycki, urągając Hetmanowi, opuścił swe stanowiska na Ukrainie i pociągnął w głąb kraju, w Samborszczyznę, pozostawiając swych obdartych towarzyszy broni w uszczuplonej liczbie, przy ciężkiej pracy o chłódzie i głodzie. Co gorsza,

wycofanie się Wyżyckiego odsłoniło granice Wołynia i naraziło na ogromne niebezpieczeństwo Haneńkę i jego Zaporozców. Zbudowany przez Sobieskiego plan obronny został zburzony przez zarządzenie królewskie.

Czyż można się dziwić, że krok ten do głębi oburzył Wielkiego Hetmana, że przejmowała go pogarda dla tej karykatury na tronie królewskim i że pod wpływem tych nastrojów wypowiedział zdanie, iż z takim królem Polska musi zginąć niechybnie. Żalił się na zarządzenie królewskie przed Radziwiłłem i prosił o interwencję prymasa. Odnowiła się znowu jego niechęć do króla, a musiała wzrastać na sile, gdy się przekonał, iż dwór lekceważy sobie wojnę turecką i wyzyskuje ją w celu szerzenia agitacji pokątnej, zabijając w narodzie chęć do wojny i kierując ostrze tej agitacji przeciw osobie Hetmana. Z otoczenia króla zaczęła rozchodzić się bowiem niecna plotka, że strachy o niebezpieczeństwie tureckim rozpowszechniają nieprzyjaciele królewscy, jedynie w tym celu, by doprowadzić do pomnożenia wojska i zwiększyć przez to potęgę Sobieskiego i jego przewagę nad królem. Nie można się dziwić, że dotknięty do żywego w swych uczuciach prawego obywatela, zdając sobie dokładnie sprawę i z grozy położenia i z nieobliczalnych klęsk, jakie sprowadzić może na kraj takie postępowanie dworu, Sobieski zbliżył się teraz do prymasa, snującego plany detronizacyjne i zamiar osadzenia na tronie polskim kandydata francuskiego.

18-go maja 1672 roku zebrał się drugi z kolei sejm, mający radzić o bezpieczeństwie Rzeczypospolitej, a zebrał się wśród powszechnego zaślepienia, najpo-

tworniejszych plotek i zaciętego ścierania się stronnictw, które uniemożliwiały mu dojście do jakiegoś porozumienia i prowadziły Polskę na skraj przepaści. Podczas gdy podskarbi koronny mówił o niepłatnem wojsku, o braku amunicji w twierdzach, o nieoporzadzonej artylerji, o długach, sięgających 160.000 złotych, i zupełnej pustce w skarbie, jeden z posłów z bezczelnością oświadczył, iż nie chce powrócić do braci z samemi tylko podatkami. 20-go czerwca przybył do stolicy Sobieski, witany przez gwardję królewską, i stanął w rezydencji prymasa, gdzie był podejmowany bankietem w obecności większej części senatorów. Tymczasem na sali sejmowej król Michał, opuszczony przez senatorów, słuchał wrzasków rozwydrzonych posłów, domagających się usunięcia z izby niedogodnych im arbitrów¹. Wreszcie jeden z posłów zaprotestował przeciwko dalszym obradom sejmu. Zatrwożony nieobecnością senatorów i obawiający się zamachu, król nie zdobył się nawet na to, by protestującego posła zatrzymać na sali.

Dnia następnego podkanclerzy Olszowski udzielił izbie informacji i kazał odczytać list wielkiego wezyra, domagającego się wysłania posłów z pełnomocnictwem odstąpienia Ukrainy Turcji i wyrażenia zgody na płacenie jej corocznego haraczu. Wezyr żądał w tym liście, by posłowie zostali wybrani natychmiast i groził, że, gdy sułtan przekroczy Dunaj, za późno już będzie na układy. Błagał więc podkanclerzy, by izba zaniechała sporów i zajęła się utworzeniem

¹ Arbitrami nazywano publiczność, przysłuchującą się (z galerji) obradom sejmu.

radę wojennej. Wymowa jego nie trafiała jednak do serc i umysłów poselskich i odzywały się nawet głosy, że list jest sfałszowany, że Turcja nie myśli o wojnie i że cała ta sprawa jest tylko niecną intrygą. Dnia 22 tegoż miesiąca (czerwca) złożył Hetman polityczną wizytę królowi, próbując kroków pojednawczych. Nazajutrz prymas Prażmowski wystąpił z piorunującą mową przeciwko królowi, żądając rozpatrzenia przez sejm popełnionych przez króla i jego podkanclerzych wykroczeń przeciwko prawu. Spokojnie przemawiał po nim Sobieski, wstrzymując się od wszelkich napęści na króla, ale również domagał się rozpatrzenia dokonanych bezpraw. Próbując opanować zawziętość rozognionej walką izby, komunikował podkanclerzy, że wojska tureckie przekroczyły Dunaj i że sułtan wyruszył 12 czerwca z Adrjanopola. Pod wrażeniem tej wiadomości prosili posłowie króla, by zwołał natychmiast obronę ojczyzny, pospolite ruszenie, lecz z drugiej strony domagali się rozpatrzenia zarzutów. Posiedzenie zostało zamknięte bez żadnych wyników. Pojednawczo dotąd usposobiony, Hetman zaczął się teraz skłaniać do projektów detronizacyjnych prymasa.

W parę dni potem zjawił się na pokojach królewskich — w otoczeniu sześciu senatorów — prymas Prażmowski i próbował skłonić bezskutecznie króla do abdykacji. W dramatycznej tej scenie nie brał udziału Sobieski, lecz tegoż dnia przyjechała jego małżonka i zaczęła pracować na rzecz intrygi Prażmowskiego. Zaognienie wzrastało, zwłaszcza że przybyły do stolicy oddziały magnackie, które pozwalały sobie na zaczepki w stosunku do gwardzystów królewskich. I oto 30

czerwca wśród krzyków i hałasów rozszedł się drugi z kolei sejm 1672-go roku, nie powziąwszy żadnej uchwały i doprowadziwszy kraj do najwyższego rozognienia politycznego.

Pozbawiona środków pieniężnych i wojska Rzeczpospolita była wydana na łup srogiemu najeźdźcy.

Tegoż dnia w przewidywaniu możliwości zaburzeń Sobieski obsadził swoją dragonją arsenał. Lecz, jak zawsze, pokojowo usposobiony, nie zdobył się na zamach stanu. Podpisał jedynie manifest malkontentów, składający odpowiedzialność za zerwanie sejmu na króla, oraz spisany przez nich akt „konfederacji malkontentów“. Próbował jeszcze, biorąc udział w posejmowej radzie senatu, znaleźć środki ratunku, lecz wreszcie wraz z Prażmowskim zdecydował się wysłać pismo do Ludwika XIV z pokorną prośbą o przysłanie do Polski księcia de Longueville w celu osadzenia go na tronie. W dniu 16 lipca wyjechał z Warszawy ze świadomością, że będzie musiał odpierać najazd turecki resztkami wojska, pozostałego z zeszłorocznej kampanji.

23 lipca wydał Hetman dla wojsk Ukrainy zarządzenia, mające na celu powstrzymanie nawały tureckiej przynajmniej na pewien czas, zanim zbiorą się pospolite ruszenia. W ordynansie swym polecał on Łużeckiemu sprowadzić wszystkie załogi twierdz ukraińskich do Kamieńca i zgromadzić tam wszystkie zapasy amunicji, oraz prosić Haneńkę, aby przydał „ze dwa tysiące zaporozskich samopałów, gdyż tacy ludzie najlepsi są do obrony i znają się z Turkami“.

Tymczasem na Ukrainie poczyniała już sobie na dobre orda wraz z Doroszeńkowymi kozakami. Sam chan Selim-Gierej z wielką potęgą doszedł aż do Bohu i połączył się z wojskiem Doroszeńki, liczonem na 20.000 i posiadającym w swym składzie 2 do 3 tysięcy Turków. Przerażony niebezpieczeństwem Haneńko, mający pod swemi rozkazami zaledwie 4 i pół tysiąca kozaków, wzywał rozpaczliwie na ratunek Łużeckiego. Przyszedł on we cztery tysiące trzysta ludzi w sukurs sojusznikowi rankiem 18 lipca do Ładyżyna, wyzwolił osaczony przez Tatarów i kozaków pułk kozacki Perebijnosa, lecz niewspomagany przez Haneńkę, został zaatakowany na drugim brzegu Bohu, pomiędzy Czwertynówką a Batohem, przez 50.000 przeciwnika i poniósł dotkliwą klęskę. Zniesiony został cały pułk królewski, wyginął zupełnie pułk Czarnieckiego, poszarpane były i inne pułki. Zatrzymawszy się do 9 sierpnia w Ładyżynie, Łużecki wyruszył stamtąd, ale nie do Kamieńca, lecz do Białej Cerkwi, licząc, że otrzyma tam łatwiej pomoc ze strony wojewodów moskiewskich, ale już 21 sierpnia zmienił plan i ruszył dniem i nocą przez Wołyń w Lubelszczyznę, by bronić króla przed „odrodnymi“ — malkontentami. Po raz drugi plany strategiczne Sobieskiego zostały pokrzyżowane przez jego podkomendnych.

Pozbawiony załogi i amunicji komendant Kamieńca, Mikołaj Potocki, wołał w niebogłosy o ratunek — 31 lipca armja turecka szykowała się już do przeprawy. Stojący w Husiatynie z jedenastoma chorągwiami, Prusinowski, na wiadomość, że Chocim i Żwaniec zostały już zajęte przez Turków, cofnął się

4 sierpnia do Trembowli. Koło Kamieńca wytworzyła się zupełna pustka. Chcąc ratować tę twierdzę, nakażywał Sobieski wysłanie tam piechoty łanowej i przysłanych do Poznania przez elektora brandenburskiego prochów, ale niestety i piechotę i prochy król Jego-mość zatrzymał na swe potrzeby w Warszawie. Sejmiki tymczasem prawły o zwołaniu pospolitego ruszenia na 15 lub 20 sierpnia, ale znaczna ich część myślała nie o obronie kraju, lecz o sądzeniu przez pospolite ruszenie Hetmana Wielkiego i prymasa. Z rozpaczą więc pisał Hetman 6 sierpnia do zacnego biskupa Trzebieckiego, który własnym kosztem wystawił regiment piechoty dla Kamieńca i pożyczył 20.000 złotych na potrzeby artylerji: „Zbliżyła się nareszcie godzina zguby naszej... żał więcej pisać nie pozwala, uważając strategię kościołów Bożych, ojczyzny miłej i fortun naszych“. Rozumiał dobrze, że twierdza Kamieniecka, o której „dezolacji“¹ donosił już królowi w zeszłym roku, nie powstrzyma marszu, obliczanej na 277.000, potęgi tureckiej. Jadąc z Krasnobrodu do Lwowa, spotykał już tłumy uchodzącej w przerażeniu ludności. We Lwowie witany z zapalem przez wszystkich obywateli, zbiegających się ku niemu, „jakby ku wschodzącej dobroczynnej gwiazdce“, zaklinał magistrat, aby poczynił zbrojenia i bronił się, zanim poselstwo królewskie nie powstrzyma pochodu nieprzyjaciela, lub nie przybędą wojska posiłkowe. Wiedział dobrze, że kraj nie posiada żadnych posiłków, spodziewał się może jedynie, że przyprowadzi je francuski kandydat

¹ Opuszczeniu.

do tronu, lub może książę Lotaryński zechce się zgodzić za koronę zapłacić dwunastotysięcznym korpusem. Posyłał więc Marysieńce upoważnienie i swój podpis in blanco do zawarcia umowy z jakimkolwiek bądź kandydatem. Dyktowała mu te kroki rozpacz, gdyż zdawał sobie sprawę, że nieudolny król Michał nie potrafi wykrzesać z narodu żadnego wysiłku i nie zdobędzie się na żaden czyn ku obronie Rzeczypospolitej.

Twierdza kamieniecka skazana była tymczasem na zagładę, gdyż komendant jej miał zaledwie 1.100 ludzi załogi, więc na sześć strzelnic przypadała jedna tylko strzelba, a na sześć dział jeden puszkarz. Cóż znały w tych warunkach rozległe mury fortecy, mocno nadgryzione już przez czas, i samo jej obronne z natury położenie. Można się dziwić nawet, że w tych warunkach potrafił komendant Kamieńca powstrzymać na sobie przez dwa tygodnie (od 14 do 27 sierpnia) nawałnicę nieprzyjacielską i zdołał uzyskać zaszczytne warunki kapitulacji, zezwalające na wyjście do Polski ludności cywilnej i wojsku, które otrzymało nawet prawo zatrzymania broni ręcznej.

We wzorowej karności ciągnęła powoli aż do Buczacza, jak groźna chmura, armja sultańska, poprzedzana w kierunku Lwowa przez baszę Aleppu, mającego pod swemi rozkazami wojska Rumelji, Anatolji i Karamanji, wołoskie i kozackie oraz samego chana. Od Husiatyna Czarnym Szlakiem ciągnęła wśród rabunków i pożogi ciżba tatarska Selim-Giereja, który, przyjmując 5 września wysłańca hetmańskiego pod Husiatynem, szczerze zdawał się żałować zguby Pola-

ków, obiecywał starania, aby sułtan jak najpowszechniej ciągnął ku Lwowu, ale pozwalał tylko do 14 września na przybycie posłów, upoważnionych do zrzeczenia się Podola i Ukrainy, oraz zobowiązania się do wypłacenia haraczu. Ostrzegał przytem, że pod Lwowem będzie sułtan już żądał i województwa ruskiego. Turcy tymczasem dopytywali się o zamojską twierdzę, lekceważąc sobie Lwów, z którego jassyr obiecywali Tatarom.

Dnia 10 września otrzymał w Jaworowie te hiobowe wieści Sobieski od swego wysłannika do chana i jego posła Abdermana. Niezwłocznie skierował go też do króla, a w dwa dni potem otrzymał wiadomość od podkanclerzego, że wyznaczeni zostali komisarze do traktowania z sułtanem. Dopiero w początkach października miało się zebrać pospolite ruszenie w okolicach Gołębia. Zawiodły wszelkie nadzieje na pomoc ze strony Ludwika XIV lub Karola Lotaryńskiego. W całej grozie stało przed oczyma Hetmana rozpaczliwe położenie kraju. Wypadki toczyły się szybko: 20 września zbliżyły się już do Lwowa tureckie straże przednie, a 24 Kapłan basza rozpoczął oblężenie twierdzy; 1 października stanęli przed nim z odkrytymi głowami komisarze królewscy, błagając o pokój, a następnego dnia ruszyły w czambuł po jassyr masy tatarskie.

Szeroką połąć kraju napełniły pożogą i rabunkami zagony tatarskie, zapędzały się one na północ od Lwowa, przez Żółkiew i Bełż, pod Hrubieszów, gnały w kierunku Wisły i Sanu aż pod Janów i Leżajsk, łupiły na zachód od Przemyśla, docierając do Jasła

i Biecza i pustoszyły szeroko bogatą Samborszczyznę. Ogromna połać kraju objęta została pożogą i jękiem mordowanej lub uprowadzanej w niewolę tatarską ludności. Niektóre zaś czambuły szły w kierunku Gołębia, gdzie zaczynało się gromadzić przy królu Michale bezradne pospolite ruszenie. W pierwszych dniach października dowiedział się Sobieski, że nieprzyjaciół „idzie prosto na osobę Jego Królewskiej Mości“.

Stał w Krasnym Stawie, mając przy sobie najwyżej 3.130 ludzi, licząc w tem i znużone uciążliwym marszem przez Ukrainę chorągwie Łużeckiego. Na czele tej garstki powziął szaleńczą decyzję ratowania nieszczęsnej ludności przed klęską tatarskich łupiestw. Zniknęły gdzieś urazy do króla, widział tylko nieszczęściem dotknięty kraj i potrzebę ratunku. Czuł, że honor wymaga od Hetmana jakiegoś czynu. To nic, że się porywa z garstką na niezliczoną ciżbę — lepiej zginąć chwalebnie w boju na czele tej garstki, niż patrzeć, jak ginie w hańbie Rzeczpospolita. I oto, nie czekając posiłków, Sobieski rusza z jakąś nieznaną furją przeciwko czambułom tatarskim. Wpobliżu Zamościa stoi z garstką swych mołojców Haneńko. Może i on przyłączyć się zechce do tej wyprawy.

Dnia 5 października ruszył Sobieski w kierunku Zamościa, gromiąc po drodze pomniejsze watahy tatarskie. Następnego dnia przydybał pod Krasnobrodem jakąś znaczniejszą kupę, która się rozpieczęchła po lasach. Tu spotkał się z Haneńką, który jednak wrócił do Zamościa, Hetman zaś, choć „wojsko było nużne i szczupłe bardzo“, napisawszy do króla raport

w polu na bębnie, pociągnął na całą noc w kierunku Sanu. W marszu dowiedział się, że pod Narołem stoi podobno kosz Dżambet-Giereja, który pustoszył cały kąt kraju pomiędzy Sanem a Wieprzem. Zawrócił jak błyskawica w tamtym kierunku i, zniósłszy dwa zagony, ścigał Tatarów do ciemnej nocy dnia następnego, siekąc i topiąc ich w Tanwi. Uwolnił około dwa tysiące jassyrów i po czterogodzinnym odpoczynku wyruszył w kierunku łuny pożarów, ku Cieszanowu, a otrzymawszy tam wiadomość, że kosz Dżambet-Giereja stoi zapewne w Niemirowie, zawrócił i popędził, jak bóg zemsty, w tamtym kierunku. Nie zdołał co prawda pojmać samego sołtana, ale spadłszy, jak piorun, na karki tatarskie, rozgromił jego orde i przez cały następny dzień zbierał aż do Bruśni porzucony przez Tatarów jassyr, umieszczając go w pobliskim monasterze. Od 9 października pędził, jak wichra, dalej w kierunku południa, mijając Jaworów i Gródek Jagielloński. Tegoż dnia stoczył bój pod Komarnem i zniósł kosz nuradyn sołtana, który uchodził ku Samborowi, by połączyć się na drugim brzegu Dniestru z czambułami Adży-Giereja. Wynikiem walki było rozbicie 10.000-ego kosza i wyzwolenie 20.000 jassyrów. Dnia następnego ciężka przeprawa przez Dniestr i przebywanie w niesłychanie uciążliwych warunkach bagien, leżących na południu od tej rzeki. Po trzy godzinny odpoczynku w Hruszowej, dalszy marsz przez Drohobycz i Stryj do Bolechowa i dalej na Doliń i Rożniatów. Tu z łun, świecących na niebie, wynioskował Sobieski, że nieprzyjaciela ciągnie ku Haliczowi i będzie musiał przebywać bednarowskie lasy.

Pchnął więc niezwłocznie do Kałusza wysłańców do zorganizowania chłopów i porobienia zasieków w tych lasach. Istotnie nuradyn sołtan, dokonawszy pod Bolechowem połączenia z Adżi-Gierejem, ciągnął w kierunku tych lasów i nocą z 13 na 14 października zatrzymał się wpobliżu Petranki, w dolinie rzeki Bereżnicy. Nazajutrz rankiem spadły nań ze wszystkich stron oddziały Hetmana i siekły zapamiętałe zaskoczonych i oszalałych z przerażenia Tatarów. Stąd donosił królowi o swem zwycięstwie: „Wszystkie chorągwie wzięte, co aby kiedy z Tatarami trafić się miało, dawniejsze nie wspominają dzieje... drogi, lasy i szlaki pełne trupa... ostatek (Tatarów) z lasów jeszcze dotąd chłopci i czeladź wywłóczą, ale więcej zabijają osobliwie chłopci, między którymi jest wielka na to pogaństwo zawziętość“.

Był to ostatni wysiłek wojska. Odśpiewawszy pod Uhrynowem 15 października „Te Deum Laudamus“, wymaszerował Hetman następnego dnia w kierunku Kałusza, a 18 października zatrzymał się na odpoczynek pod Sokołowem. W wyniku wyprawy osiągnięto: oczyszczenie kraju z zagonów tatarskich i wyzwolenie z rąk pogańskich ogromnej ilości jassyrów, który sam Hetman obliczał na 44.000, inni zaś świadkowie na 80.000 i 100.000. W ciągu dziewięciu dni przebyto ponad trzysta kilometrów drogi wśród ustawicznych bojów i utarczek. Wszystko to było dziełem Hetmana, który z zawziętą zaciekłością i nadludzką energią szczybił swą szablą na karkach tatarskich, „nigdy prawie nie śpiąc, nigdy nie rozbierając się, ognia nie niecąc, mało, ledwie co jedząc, bo w spusto-

szałym kraju o chleba bochenek trudniej było, niż o 1.000 Tatarów“.

Błogosławiły Hetmana tysiące serc, bijących teraz z ulgą, z ziem wyzwolonych płynęły ku Sobieskiemu dziękczynienia, z przerażeniem wymawiał imię straszliwego pogromcy Tatarzyn i Turek.

Tymczasem 16 września podpisali w Buczaczu komisarze królewscy haniebnny traktat, oddający Turcji Ukrainę i Podole wraz z Kamieńcem, i nakładający na Polskę obowiązek płacenia sułtanowi 22.000 czerwonych złotych rocznego haraczu. Lwowa i Rusi rzekł się sułtan wspaniałomyślnie za 80.000 talarów okupu. Ogromne połacie najbogatszych ziem Rzeczypospolitej stały się własnością turecką. Haracz, płacony sułtanowi, stawiał ją w zależności lennej w stosunku do niego. Rychło było czekać, aż padyszach przyszłe kaftan poddańczy królowi polskiemu. Rozerwanie wewnętrzne kraju i beznadziejna nieudolność króla Michała święciły triumf.

Szaleńcza wyprawa na czambuły tatarskie, prócz oczyszczenia kraju od tych rabusiów i odebrania im ogromnej masy jassyru, miała i inne jeszcze znaczenie. Wywarła ona ogromne wrażenie na samych Turkach, zmuszając ich do pośpiesznego odwrotu z pod Lwowa i wpłynęła na łagodniejsze warunki traktatu w stosunku do pierwotnie stawianych żądań. Ponadto w samym Sobieskim wzbudziła ona przekonanie, że wojna z Turcją nie jest tak straszna, jak wydawało się na jej początku. „Doszedłem teraz tego samą experjencją — pisał 29 października 1672 roku do biskupa Trzebickiego — że z Turkami nie jest tak straszna

wojna, jakoś my ją sobie imaginowali... kiedy szli pode Lwów, tedy od Złoczowa siódmego dnia stanęli pod miastem, a gdy ich doszła wiadomość o wtórym Tatarów pod Niemirowem pogromie, to drugiego dnia z pode Lwowa stanęli z armatą i ze wszystkim pod Złoczowem, narzucawszy po błotach rzeczy niezmierne, koni, mułów i wielbłądów. O, gdyby mi król Imć choć z kilkanaście tysięcy świeżego był przysłał wojska, o com prosił go pokilkakroć, miałem w Panu Bogu nadzieję, żeby byli i do swych na Dniestrze nie trafili mostów“.

Łatwiej jednak było królowi przyjąć najhaniebniejsze nawet warunki pokoju, niż puścić od siebie do Hetmana jedną bodaj z nielicznych, pozostałych mu jeszcze, chorągwi, mały ten bowiem człowieczek za rzecz większej wagi miał walkę z malkontentami i sprawę utrzymania swej mizernej osoby na tronie, niż walkę ze srogim najeźdźcą.

IX

DWIE KONFEDERACJE

Gdy za pierwszego Wazy źle przygotowana wojna z Turcją skończyła się pogromem Żółkiewskiego na polach cecorskich, zdrętwiała z bólu cała Rzeczpospolita, lecz, szybko otrząsnąwszy się z tego zdrętwienia, potrafiła skupić wszystkie swe siły dla sprawy wystawienia nowej armji, by pogromem chocimskim zapłacić za krew starego Hetmana i jego żołnierzy. Umilkły wtedy wszystkie waśni i spory, gdyż klęskę Cecory odczuwał każdy, jako groźne memento i hańbiącą plamę, ciążącą nad całym narodem. Cała Rzeczpospolita ramię przy ramieniu stanęła wtedy w zgodnym wysiłku, oddając rządy nad wojskiem w doświadczone ręce Jana Karola Chodkiewicza. Sterany życiem i znojem wojennym, stojący już nad grobem, Wielki Hetman Litewski rozpoczął dzieło zwycięstwa, a gdy zeszedł do grobu, dzieła tego dokonał młody Stanisław Lubomirski, przyjmując z rąk umierającego Hetmana buławę. Obecny przy wojsku królewicz Władysław podporządkował się wówczas władzy nowego regimentarza, w którego ręce przekazał ją niezłomny starzec. Bez szemrania przyjęli ją starzy, doświadczeni wodzowie. Tak silne wówczas było poczucie patryo-

tyzmu, tak silne zrozumienie potrzeby zmycia hańby niedawnej klęski. W owym pokoleniu, gdy chodziło o honor ojczyzny, wszystko się musiało usunąć na plan drugi, do owych ludzi klęska Cecory wołała o pomstę, paliła ich czoła, jak jakieś piętno hańbiące, i zmuszała do czynu. A przecież wówczas chodziło tylko o klęskę wojenną, a przecież wówczas nie powiewały buńczuki tureckie pod Lwowem, traktat pokojowy nie oddawał ziem Rzeczypospolitej w ręce najeźdźcy i nie zmuszał jej do płacenia haracz. Zdawać się mogło, że hańba buczackiego pokoju, odrywającego od państwa całe połacie jego rdzennych krajów i spychającego je na stanowisko sułtańskiego lennika, tem bardziej ostrą wywołała reakcję, tem mocniej zepoli Rzeczpospolitą wewnątrz i tem silniej pchnie ją do czynu, że obudzi ona wszystkie sumienia, uciszy wszelkie wąśnie i wykrzesze niespożyte siły do aktu samoobrony. Jednak inni widocznie byli teraz ludzie i inne czasy. Najazd turecki nie otrzeźwił z czadu intryg i warcholstwa masy szlacheckiej i nie przemówił do sumienia jej króla.

W chwili, gdy Sobieski na czele garstki swoich żołnierzy rzucił się, jak potępieniec, na mrowie nieprzyjacielskie, by ratować honor Rzeczypospolitej, ścigały pod Gołąb do króla Michała pospolite ruszenia. Te pospolite ruszenia nie miały się stać bynajmniej puklerzem przeciwko straszniemu najazdowi. Król Michał widział w nich raczej środek do rozprawienia się z malkontentami, a w ich liczbie z Sobieskim. Jeszcze przed wyruszeniem przeciw czambułom, szukał Hetman dróg pojednania z królem, jak szukał ich po-

przednio podczas sejmu, a potem na radzie senatu, lecz szukał ich napróżno. Na prośbę pojednania się z malkontentami i obietnicę zerwania przez nich wszelkiej francuskiej korespondencji odpowiadał król Jego Mość z zaciętym uporem, że „nie jest skłonny przyjąć ich do łaski, ponieważ obrazili go bardzo i ponieważ oburzyłyby się szlachta, żądająca wymierzenia na nich kary przykładowej“. Nie myślał bynajmniej ruszać na czele pospolitaków przeciw Turkom, wolał utworzyć z nich konfederację przy swej osobie. Nie przemawiały doń ani groza położenia, ani zwycięstwa Hetmana, nie elektryzowały go i nie pchały do czynu nadbiegające raporty o pogromach Tatarów pod Narołem, Niemirowem czy Komarnem.

11 października 1672 roku hałaśliwe rzesze pospolitaków, które od tygodnia już rozsiadły się na majdanie pod Gołębiem, zawiązały koło generalne, obradujące wśród ustawicznych burd i srogich pogroźek przeciwko politycznym przeciwnikom króla Michała. Radziło koło generalne wśród mas roznamiętnionej szlachty nad zawiązaniem konfederacji ku obronie majestatu króla Michała, który z wysokości swego monarszego dostojęstwa sprzyjał tym obradom. Projekt konfederacji układał starosta kaniowski i pisarz polny Stefan Czarniecki, wyposażony wprawdzie w słabą głowę, lecz wielkie o sobie mniemanie i jeszcze większe warcholstwo. On też został obrany na marszałka konfederacji, która powoływała do obozu królewskiego pod Gołębiem wszystkich senatorów, stanowiła o połączeniu szlachty Korony i Litwy na obronę osoby królewskiej, nie na obronę Rzeczy-

pospolitej przed klęską najazdu, złożyła z urzędu pry-masa i postanowiła konfiskatę jego dóbr i dóbr jego braci, a na wszystkich zgoła malkontentów ustanowiła sąd konfederacki. Akt konfederacji, podpisany 16 października, nie był pozbawiony również i daleko idących pomysłów reformatorskich, znoszących przedewszystkiem dożywotność urzędów. Ci z malkontentów, którzyby się do konfederacji nie przyłączyli, mieli być ogłoszeni za wrogów ojczyzny, pozbawieni urzędów i dóbr, a pan marszałek konfederacji domagał się oddania pod jego dowództwo wszystkich sił zbrojnych, na co jednak nie uzyskał zgody, otrzymując tylko dowództwo nad nowemi zaciągami — lecz i to było jawnem urąganiem władzy hetmańskiej.

Obrady koła toczyły się wśród ustawicznych pogroźek pod adresem Sobieskiego i jego przyjaciół, a jeśli kto odważał się zabrać głos w jego obronie, chwytała brać szlachecka gorąco za szable. Niejaki Broniewski odwagę krytykowania obrad przypłacił życiem, a okrwawiony jego trup ciśnięto w środek obradującego koła z wrzaskami: „A toż macie pierwszego malkontenta, tak i drugim będzie“. Gdy w czasie obrad czytano długi regestr malkontentów, a starowina żel-ski śmiał się odezwać przeciwko wywodom czytającego, szlachta wzięła się za szable wśród walecznych okrzyków: „Weź! bij, podajcie go nam sam za koło, pošlemy głowę w podarunku Sobieskiemu“. Uratowała tę głowę dopiero interwencja marszałka i sprowadzenie 600 piechoty z gotowemi do strzału muszkietami. Wśród senatorów gardłowali najgłośniej hetman wielki litewski Michał Pac, osobisty wróg So-

bieskiego, i Szczęsny Potocki. W obronie toczącego bohaterskie boje Hetmana nie śmieli nawet odezwać się ani jego szwagier, hetman polny litewski Radziwiłł, ani osobisty przyjaciel, wojewoda ruski Jabłonowski. Jedynie podkanclerzy Olszowski znalazł w sobie tyle mocy charakteru i prawości, by nie tylko odmówić swego podpisu na akcie konfederacji, ale i złożyć protestację. Potrafił nie złożyć podpisu i kanclerz litewski Krzysztof Pac, który był ukrytą sprężyną konfederacji, ale wołał intrygować za plecami innych i na wszelki wypadek się nie narażać.

Nie czekając nie tylko na wyrok sądu, lecz nawet na jego powołanie po zawiązaniu konfederacji, zabrano się pospolite ruszenie przede wszystkim do łupienia dóbr Sobieskiego, poczynając od ulubionych jego Pielaszkowic, które po tych wyczynach szlachty wyglądały niczem po przejściu ordy tatarskiej. Naza-jutrz po podpisaniu aktu pociągnął król wraz z pospolitem ruszeniem, lecz nie w kierunku zagrożonego Lwowa, a pod Lublin, jako że stamtąd chociaż i dalej, ale podobno lepsza miała być droga w kierunku nieprzyjaciela. Mając za sobą konfederację, wyraźnie szedł na otwartą walkę z malkontentami, powołując do siebie wojska zaciężne i posiłki brandenburskie. Król, któremu do walki z najazdem brakło energii, przejawiał jej wiele w stosunku do swych przeciwników politycznych. Ciągająca z nim masa pospolitaków nie przepuszczała już teraz nie tylko malkontentom, ale wsiom i miasteczkom szlacheckim, porywając się nawet na zamki i dwory i obrabowując kościoły. Mógł więc Sobieski pocieszać się w duchu, że nie jego jed-

nego dotknęła ta klęska z rąk walecznych obrońców króla Michała. Na szczęście pora jesienna i deszcze rozproszyły pospolite ruszenie, a 10 listopada został podpisany przez delegatów koła tak zwany reces lubelski, zawieszający obrady do 4 stycznia 1673 roku i przenoszący je do Warszawy.

W całej tej burdzie pod Gołębim wystawił król Michał jak najgorsze świadectwo swej własnej osobie, obracając zgromadzone dokoła siebie tysiące szabel szlacheckich nie na obronę ojczyzny, lecz w kierunku, mającym doprowadzić — w jego zamiarach — do wojny domowej. Wolał przyjąć hańbę buczackiego traktatu, by się jeno utrzymać na tronie, do którego nie dorósł. Ślepy i głuchy na losy kraju, w upojeniu swą popularnością pośpiesznie zaciągał teraz świeżego żołnierza, którego nie mógł zaciągnąć przeciwko Turkom, i oddawał go pod komendę Czarnieckiego, gotując się do rozprawy ze swymi przeciwnikami, a przede wszystkim z prymasem i Sobieskim.

Sobieski do głębi duszy był oburzony przebiegiem i uchwałami konfederacji gołębskiej, a nie mniej i poczynaniem nieproszonych gości w swych dobrach. I gdyby nie utrzymywało go poczucie konieczności „oczyszczenia honoru i reputacji“, gotów byłby pomyśleć o tem, by jak najprędzej unieść „kości swe“ do obcych krajów. Lecz sangwiniczny temperament nie pozwalał ustąpić bez walki, a poczucie doznanej krzywdy domagało się energicznej reakcji. Zbyt dużo jednak posiadał doświadczenia, by działać naoslep, to też czekał narazie spokojnie na rozwój wypadków. Stał właśnie ze swem wojskiem obozem pod Za-

mościem, gdy 18 listopada pojawiło się poselstwo od konfederatów, wzywające jego żołnierzy dołączenia się z konfederacją i złożenia przysięgi. Przyjął je układnie i wprowadził nazajutrz na zwołane przez siebie koło wojskowe. Tu, mianujący się komisarzami króla i Rzeczypospolitej, wysłańcy musieli wysłuchać od wojska, że są raczej wysłańcami tyrana i hołoty i że akt konfederacji zostanie rozsiekany szablami, a podpisy będą zmyte krwią sprawców jego i doradców. Zaledwie osobista interwencja Hetmana zdołała uspokoić rycerstwo i uratować panów posłów. Oburzenie wojska, świadomego zasług własnych i swojego Wodza, nie znało granic. Hetman czuł teraz za sobą zgodne serca swych żołnierzy i zdecydował się na krok stanowczy.

23 listopada zawiązał w Szczebrzeszynie nową konfederację. Zobowiązywała się ona stać przy dostojęństwie królewskiem, trwać dopóty, dopóki pogwałcone w Gołębiu prawa i wolności nie zostaną przywrócone, żołd należny wojsku nie będzie wypłacony, a biorąc w obronę powagę swego Hetmana, postanawiała traktować żołnierzy nowych zaciągów, którzyby nie chcieli słuchać rozkazów hetmańskich, jako zdrajców ojczyzny. Szybko i sprawnie zapadły uchwały nowej konfederacji. Entuzjastycznie zaprzysięgło je wierne Hetmanowi wojsko a on, wywdzięczając się swoim żołnierzom, złożył przysięgę: „A że się wojsko przy honorze i powadze mojej stawać obligowało, więc i ja wzajemnie przy interesach wojska i każdego, który się przy mnie stawać obligował, statecznie stawać będę“.

Sobieski mocno wierzył i w słuszność swej sprawy i w jej ostateczne zwycięstwo. Dla niego ta nowa konfederacja nie była aktem warcholstwa, gdyż miał świadomość, że „wkrótce tę ojczyznę uspokoi i każdy się przy swoim zostanie, ani się złość ludzka z cudzego cieszyć nie będzie“.

Ponieważ złożony bezprawnie z urzędu prymas nie czuł się bezpieczny siedząc w Łowiczu, Sobieski pociągnął ku niemu, a tam wpadł znowu pod wpływy Prażmowskiego i począł na nowo snuć plany osadzenia na tronie polskim francuskiego kandydata. 30 grudnia 1672 roku wysłał w imieniu swoim i swoich przyjaciół list do Paryża, żądając, by Ludwik XIV przysłał francuskiego księcia, i stawiając pięcioletni termin na otrzymanie odpowiedzi.

W dniu 4 stycznia 1673 roku wznowiła konfederacja gołębska swe posiedzenia w Warszawie, ale teraz nastrój jej znacznie już był trzeźwiejszy. Świadomość hańby buczackiego traktatu zaczęła już docierać do sumień szlacheckich, a z nią i poczucie konieczności jej zmycia. To też pojednawcze kroki biskupa Trzebickiego, podejmującego się pośrednictwa pomiędzy obu stronami, tem łatwiej prowadziły do wyniku, że myślano już teraz o wojnie, a jedynym człowiekiem, który mógł nią pokierować, był hetman Sobieski. I on, siedząc u prymasa w Łowiczu, jakkolwiek wraz ze swymi stronnikami twarde stawiał warunki pojednania, przecież wszystkie swe myśli kierował na obmyślenie środków dalszej wojny. 6 marca, w ostatnim okresie pertraktacyj pojednawczych, opracował ostatecznie obszerny memoriał o przyszłej wojnie. Wypo-

wiadał się w nim za utworzeniem ligi chrześcijańskiej, która odtąd do końca życia będzie jego ideałem, ale pewniejsze środki widział „z siebie samych“. Żądał utworzenia wojska, zdolnego do prowadzenia wojny zaczepnej, liczącego 60.000 ludzi, po połowie piechoty i jazdy. Chciał mieć 6.000 dragonów i najmniej 6.000 ussarji, żądał 30 chorągwi lekkich, reszta kawalerji miała się składać z pancernych. Połowę wojska miano uformować przez podwojenie lub potrojenie starych chorągwi i regimentów i wziąć na żołąd skarbu koronnego. Drugiej połowy winne byłyby dostarczyć województwa, ale oficerów mieli mianować hetmani. Na koszty wojska obliczał Hetman podatki, a gdyby one nie wystarczyły, zalecał sprzedanie części klejnotów koronnych i arasów Zygmunta Augusta, zwanych „Potopem“.

Tymczasem akcja biskupa Trzebickiego dała wyniki i 12 marca, po podpisaniu aktu pacyfikacji, Sobieski wraz z Jędrzejem Potockim, podskarbisem Morshytynem i kasztelanem Łużeckim udał się na zamek królewski, gdzie po powitaniu króla i królowej począł pełnić, podjąwszy łaskę marszałkowską, obowiązki, związane z jego urzędem. Jednocześnie konfederacja generalna zamieniła się w sejm walny ordynaryjny.

Umysły uspokajały się stopniowo, a Hetman Wielki wszystkie swe siły poświęcał teraz sprawom obrony Rzeczypospolitej. Dzień pojednania był zarazem dniem, w którym upływał termin ostatecznej odpowiedzi dworu francuskiego. Na szczęście Francja, uwikłana tym razem w inne sprawy, nie wmieszała się

w wewnętrzne tarcia Rzeczypospolitej. Sobieski miał wolną rękę. 15 kwietnia zmarł w Warszawie prymas Prażmowski, będący dotąd duszą intrygi francuskiej i projektów detronizacyjnych. Odtąd więc wolny będzie Hetman od wszelkich jego podszeptów.

X

CHOCIM

W przeddzień zawarcia pojednawczego traktatu przybył do Warszawy czausz turecki z pismem od wielkiego wezyra, z którego jawnie wynikało, że Rzeczypospolitej nie pozostaje nic innego, jak wybierać pomiędzy ratyfikacją buczackiego traktatu a nową wojną. Przy otrzeźwieniu umysłów, wybór był prosty. To też odwróciła się teraz fortuna twarzą do Sobieskiego i zaczęła się doń uśmiechać. Jego memoriał w sprawie przyszłej wojny został przyjęty przez sejm w całej rozciągłości. Zaczynano mówić o jego wielkich zasługach, a sejm, chcąc je uczcić, uchwala 5 kwietnia przyznał potomstwu Hetmana 150.000 złotych na starostwie gniewskiem. Wielbiono teraz jego „wielkie i odważne dzieła“ i liczono się z każdym słowem wielkiego Wodza. Rzeczpospolita gotowała się do wojny i nawet Litwa, zawsze obojętna na sprawy wojny tureckiej, deklarowała wystawienie 12.000 żołnierza. Nie łudził się coprawda Sobieski, że uchwały sejmowe zostaną wykonane w całej rozciągłości, ale zgola dobrej był myśli, gdy w lipcu pisał do biskupa Trzebieckiego: „Naszego... wojska na papierze spisanego skurczy się pewnie i, daj Boże, aby z 60.000 było

effective trzydzieści... Ale już i z temi chorągwiami przy łasce Boskiej poszłoby się stawić czoło nieprzyjacielowi, gdyby tylko na prowjant były obmyślane pieniądze i artylerja z rekwizytami, jako należy, była wyprawiona w pole..."

Na przeglądzie uroczystym, odbytym 8 października 1673 roku przez króla w obozie pod Glinianami, stanęło 40.000 żołnierza w jedenastu regimentach piechoty i stuśięćdziesięciu chorągwach jazdy z pięćdziesięciu działami. Ponadto pod Beresteczkiem obozowało 12.000 Litwinów. Od czasów sławnej beresteckiej potrzeby nie zdobyła się jeszcze Rzeczpospolita na tak potężny wysiłek, chociaż i te zastępy znacznie były szczuplejsze, niż uchwalono na sejmie. Chorągwie i regimenty, wspaniałe wyekwipowane i wyposażone, imponujący przedstawiały widok. Obecny na przeglądzie cudzoziemiec świadczy, że nigdy tak ozdobnego wojska nie widział. Na czele takiego wojska mógł się ważyć Hetman na wielkie czyny i poprowadzenie wojny zaczepnej nawet przeciwko Turcji.

Tak się tymczasem złożyło, że Turcja miała wystąpić na wojnę znacznie mniej potężna, niż w ubiegłym roku. Na dworze sułtańskim snuła się jakaś intryga. Kontyngenty azjatyckie z Kapłan-baszą na czele, owym „tygrysem“ sułtana, nie miały ochoty zmierzenia się ze sławnym „Lwem Lechistanu“ i nie ruszały z pól cecorskich. Po odebranych od Sobieskiego w roku poprzednim strasznych ciębach, Selim-Gierej też wolał siedzieć na Krymie. To też ani sułtan, ani wielki wezyr nie mieli tym razem wziąć udziału w wyprawie, lecz zlecieli dowództwo Hussejnowi-baszy, mia-

nowanemu seraskierem dla obrony granic tureckich w okolicy Jass.

Następnego dnia po przeglądzie przybyli obaj hetmani litewscy na radę wojenną, na której postanowiono połączyć wszystkie wojska pod Trembowłą i wkroczyć do Mołdawji, korzystając z niedługiego już czasu, który pozostawiała spóźniona jesieńna pora. (Przyczyną tego spóźnienia było, jak zawsze w ówczesnej Polsce, powolne zbieranie podatków i jeszcze powolniejsze ściąganie oddziałów do obozu). Schorowany król Michał, ulegając radom lekarzy, zlecił naczelne dowództwo Sobieskiemu i odjechał do Lwowa.

Główne siły tureckie pod dowództwem Hussejnaszysy stały w obozie pod Chocimem w liczbie 35.000 ludzi wraz z wołoskimi posiłkami. Od pół cecorskich ciągnął powoli i niechętnie Kapłan-basza we 20.000 żołnierza. O 15 kilometrów od Chocimia, na czele 10.000 żołnierza, leżał w Kamieńcu Halil-basza.

11 października rozpoczął się wymarsz armji koronnej z obozu. Poprzedzało ją 15 chorągwi lekkiej jazdy, wysłanej przodem na przeprowadzenie rozpoznania pod wodzą kasztelana czernihowskiego Silnickiego. 13 października we 20 chorągwi polskich i 12 dragońskich wysłany został Sieniawski z zadaniem wykonania silnej dywersji na Podolu i powrotu do armji głównej w ciągu dziesięciu dni. Zdobył on swój własny Międzybóż, otarł się o Kamieniec, odebrał Zinków i Satanów, podsunął się pod Bar i, napędziwszy strachu przeciwnikowi, przybył do Hetmana z wiadomością, że od tamtej strony nie zagrażają poważniejsze siły przeciwnika. Tymczasem wojsko koronne cią-

gnęło nie na Trembowłę, lecz prostszą drogą ku Chocimowi przez Narajów, Brzeżany, Podhajce i Dobrowody.

Armja koronna szybko topniała w marszu z powodu dezercji. Martwiło to wielce Hetmana, ale o większe jeszcze zmartwienie przyprawiali go hetmani litewscy, ciągle zgłaszający pretensje. 24 października, podczas przeprawy wojsk koronnych przez Dniestr pod Łuką, zjawili się oni obaj u Sobieskiego z oświadczeniem, że armja litewska dalej nie pójdzie. Dopiero po długich targach, gdy zrozpaczony Sobieski wyrażał już nawet gotowość poddania się pod dowództwo swojego litewskiego kolegi, przełamał się wreszcie opór Litwinów. 1 listopada przekroczył Hetman pod Śniatyniem granicę, połączył się następnie pod Bojanem z Litwinami i stamtąd traktem, wiodącym do Jass skierował się ku Chocimowi.

Dopiero 9 listopada stanęły oba wojska w obliczu obozu tureckiego pod murami Chocimia. Armja Rzeczypospolitej przysła tu znacznie uszczuplona. Przeciwno 35.000 Hussejna-baszy stało zaledwie 30.000 polskich żołnierzy — reszta z owych 52.000, z którymi rozpoczęli hetmani swój pochód. Nader niekorzystny był to dla polskiego Wodza stosunek, gdyż doświadczenia wojenne uczyły, iż żołnierz, ukryty za wałem, odpowiada pięciu szturmującym go z pola.

Obóz turecki rozsiadł się na tych samych polach, na których ongiś sławny Chodkiewicz powstrzymał zwycięsko całą potęgę tureckiego sułtana. Gdzie dzisiaj Turek wznosił swe umocnienia, niegdyś, broniąc dostępu do polskiej twierdzy, walczył ojciec Hetmana.

Zwrócony ku południowemu zachodowi opierał się obóz turecki swym tyłem o Dniestr, dochodził prawem skrzydłem do miasteczka Chocim i zamku na wzniesieniu, zabezpieczającego most na Dniestrze, lewem zaś skrzydłem docierał do szerokiego jaru, wiodącego ku Dniestrowi. Szerokiem półkolem rzucił Sobieski swe wojsko przed tym obozem i ponieważ nieprzyjaciel nie zdradzał ochoty do wyjścia w pole i stoczenia bitwy, zdecydował się na szturm. Prawą stronę zajmowały wojska koronne, po lewej stało litewskie pod swoimi hetmanami.

Od rana 10 listopada zaczęły ziać ogniem działa polskie, kierowane doświadczoną ręką generała artylerji Marcina Kątskiego. Odpowiadały im potężnym grzmotem działa tureckie. Przy odgłosach tej muzyki wojennej porwali się na czele swych oddziałów pułkownik kozacki Motowidło i generał major Denemark, zdołali wdrzeć się na wały, lecz obskoczeni zewsząd przez Turków, musieli się cofnąć i obaj w odwrocie zginęli. Do późnego wieczora grzmiały tego dnia działa. O zmroku rozkazał Sobieski zbliżyć się wszystkim regimentom piechoty na strzał muszkietowy do wałów. Przez noc całą wszystkie oddziały stały w sprawie. Padał dokuczliwy deszcz ze śniegiem, żołnierz przemarzał do szpiku kości i szczekał zębami. Wśród nocnej ciszy z głuchym turkotem podsuwano pod obóz nieprzyjacielski działa. Niebawem z tych nowych pozycyj odezwały się one potężnym swym rykiem. Hetman przechadzał się, lub siadał od czasu do czasu na łożu działowym. O pierwszym brzasku dnia ruszył okryty szronem pieszo ku wałom tureckim i stwier-

dził tam z przyjemnością, że zmożone porannym mrozem szeregi obrońców przerzedziły się znacznie. „Turcy są wrażliwsi na zimno i na niewczasy wojenne, aniżeli Polacy — odezwał się do otoczenia — teraz czas uderzać“. Wysłał rozkazy do wszystkich pułków, sam zaś, stanąwszy na czele swego regimentu dragonów, dobył szabli i przemówił w krótkich a dosadnych słowach, kończąc swe przemówienie: „A więc żołnierzu, bij poganina i zwyciężaj. Przepowiada mi dusza, że krótka chwila wystarczy do zwycięstwa. Szyję mi uciąć, jeśli ich za kwaterę (kwadrans) nie wezmę“.

Pieszko prowadził Hetman do szturmów własny regiment dragonów, a obok ruszały z zapalem inne oddziały piechoty, widząc jak Wódz naraża swe życie. Aż z pod samej fosy przemocą niemal uprowadzić musieli go oficerowie. Zapamiętałe darły się na wały tureckie szeregi polskiej piechoty i zdobyły je za jednym zamachem. Hetman powrócił do pozostałych oddziałów, by pokierować ich działaniami.

Piechota rozkopywała wał i mościła drogę przez rowy dla jazdy. Wpierw jednak wyleciała z obozu przez południową bramę jazda turecka we wścieklej szarży, lecz powstrzymana została przez Bidzińskiego, a Jabłonowski na czele swej ussarji, spadłszy, jak piorun, wparł ją zpowrotem i wjechał na karkach tureckich do nieprzyjacielskiego obozu. Za nim pędził jak wichra sam Hetman Wielki, prowadząc masę swej jazdy. Hussejn-basza, zwątpiwszy już o zwycięstwo, uchodził co koń wyskoczy drogą ku Kamieńcowi, lecz jeszcze łamały się losy zwycięstwa. Basza bośniacki Soliman rzucił się w kilka tysięcy koni ku bramie Ce-

corskiej, odparty przez pułki księcia Dymitra Wiśniowieckiego i wojewody kijowskiego, zawrócił nagle i leciał ztyłu na orszak hetmański. Cztery chorągwie ussarskie, uderzając jak piorun, zepchnęły Bośniaków do fosy, która zapełniła się tureckimi trupami. Była to ostatnia próba oporu. W panicznym strachu zmykała masa przerażonych Turków przed szablami zwycięzców i zwartą tłuszcą pchała się na most, który razila piekielnym ogniem artylerja Kątskiego. Pod ciężarem uciekających tłumów most runął. Oszaleli ze strachu Turcy, skakali ze stromych brzegów do Dniestru, znajdując śmierć w jego nurtach. Zaledwie trzy, do czterech tysięcy niedobitków zdołało dotrzeć z Hussejnom-baszą do Kamieńca. Zwycięstwo było zupełne.

„Z naszego wojska — pisał zaraz po zwycięstwie Sobieski z namiotu Hussejna-baszy — jako w tak ciężkim razie, nie mało dobrych zginęło junaków. Kopij większa skruszonych połowa, bo tak mężnych ludzi, jako to było tureckie wojsko, wiem że wieki nigdy nie miały i już będąc w taborze, po dwa razy bliscyśmy byli bardzo przegranej. Pomimo to zginął nieprzyjaciel we dwóch godzinach... Starszyzna prawie wszystka zginęła. Baszów już trzech na placu znaleziono ...dru-dzy żywcem wzięci. Insignja wszystkie ze stą dwudziestą dział, tabory, wszystkie splendory dostały się w łup wojska naszego za szczęściem JKM-ci na tem właśnie miejscu, gdzie przed pięćdziesiąt lat kilka nasze wojska w oblężeniu były“.

Grom chocimskiego ciosu potężnem echem odezwał się po stronie tureckiej. Kapłan-basza nie czekał na uderzenie polskiego Hetmana, a tem bardziej nie kwa-

pił się sam do szukania z nim rozprawy, cofnął się pośpiesznie, puściwszy z dymem cały swój obóz i zapasy żywności. Sułtan, który rozłożył się był na rezydencję zimową w Baba-dagu i czekał tam na wiadomość o zwycięstwach swojego wojska, również pośpiesznie wyprawił się w głąb swego państwa, do Bazardżyku. Potężne wrażenie sprawiła na nim wiadomość, że 400 buńczuków i zielona chorągiew Proroka znalazły się w ręku polskiego Hetmana, a w namiocie Hussejna odprawiali chrześcijańscy kapłani dziękczynne nabożeństwa.

Wspaniałe jednak zwycięstwo rozpręgåło wewnętrzne więzy, trzymające dotąd w ideowych kłubach armję hetmańską. Wojsko uważało swe dzieło na zakończone, tem bardziej, że właśnie w dniu potrzeby chocimskiej upłynął mu termin przypowiadanej służby ¹. Litwini pod wodzą Paca zgola zabrali się do odwrotu. Wojsko koronne również nie zdradzało ochoty do dalszych bojów. W jego szeregach rozpoczęła się zastraszająca dezercja. Sam tylko Hetman pełen był zapału i chęci do dalszych trudów. Rozsnuwały się przed nim widoki, wróżące niespożyte owoce, o ile przeniesie wojnę do ziem padyszacha. Srogi mściciel krzywd swej ojczyzny snuł teraz plany uwolnienia z pod jarzma Mołdawji i Wołoszczyzny i zajęcia takich stanowisk, któreby pozwoliły w następnej wyprawie nastąpić ostatecznie na gardło sułtana. Zamierzał więc przeciąć Kamieńcowi wszelkie komunikacje, łączące go z Turcją, i wkroczyć do krajów nieprzyja-

¹ Termin, do którego wojsko zobowiązało się służyć.

cielskich. Nie zrażony ani odstępstwem Litwy, z której zaledwie 1.000 żołnierza zatrzymał hetman polny litewski Michał Radziwiłł, ani klęską dezercji, uszczuplającą z dnia na dzień wojsko, ciągnął w kierunku Prutu. 21 listopada inna przeszkoda stanęła na drodze jego zamiarów. Nadeszła wiadomość, że w wigilję chocimskiego pogromu zmarł we Lwowie król Michał. Sądzonem snąć było temu nieszczęśliwemu monarsze nawet śmiercią swą pokrzyżować plany wojenne Hetmana, jak krzyżował je dotąd przez całe swe panowanie nieudolnemi, lub złośliwemi zarządzeniami. Hetman musiał, wobec bezkrólewia i grożącej wewnętrzną burzą nowej elekcji, pośpiesznie kończyć kampanję w pół drogi do ostatecznego złamania potęgi tureckiej.

Licząc się z nieuniknioną nową wojną i pragnąc jak najbardziej skrócić okres wewnętrznych wstrząśnień podczas bezkrólewia, błagał nowego prymasa, Florjana Czarторыskiego, by jak najprędzej zarządził konwokację a następnie elekcję, przyśpieszając terminy wszystkich obrzędów, „iżby przyszedł pan, którego nieba dadzą, in aprili (w kwietniu) z wojskami mógł wynieść w pole“.

Przy zakończeniu wyprawy armję swą podzielił na trzy części. Jedna miała blokować Kamieniec i chronić kraj przed zagonami Tatarów. Druga trwać w Mołdawji i trzymać mocno ważniejsze punkty, jak Chocim, Suczawa i Neamtu. Trzecia wreszcie stać miała na granicy Podola i Pokucia.

27 listopada pod Kakaczanami dziękował w kole wojskowem swemu rycerstwu za jego dotychczasową pracę, ochotę i męstwo i kazał obrać komisarzy dla

wyznaczenia chlebów zimowych. 30 listopada pędził już saneczkami do Kałusza, gdzie czekała nań jego Marysieńka, a stamtąd do Lwowa, by jak najprędzej wziąć udział w wołających go sprawach publicznych. Jechał ze świadomością, iż od losów nowej elekcji zależy przyszłość jego ojczyzny i sprawy dalszej niechybnej wojny. Marzył o wyniesieniu na tron „pana wojennego” i znowu śnił mu się, jako wymarzony kandydat, księżę Kondeusz. Nie powstała mu jeszcze w myśli własna kandydatura, nie śniło się zgoła własne wyniesienie.

Chociaż przybył do Lwowa potajemnie, witały go z wysokiego zamku swym rykiem działa Lwiego Grodu i bijące po kościołach dzwony. Biły one na chwałę zwycięzcy po całej Polsce, głosząc wszędy sławę Chocimia. Rzeczpospolita pełna była entuzjazmu dla zwycięskiego Wodza.

XI

ELEKCJA

W styczniu 1674 roku rozpocząć się miał sejm konwokacyjny. Do osieroconego tronu polskiego zgłaszało naraz swą kandydaturę aż sześciu pretendentów: wspierany przez Austrię, dawny narzeczony królowej wdowy, książę Karol Lotaryński, szesnastoletni Wilhelm Neoburczyk, syn dawnego kandydata do tronu, niezbyt silnie zalecany przez Francję, brat króla duńskiego Jerzy, Tomasz, książę Sabaudzki, książę Modeny Rinaldo d'Este i Hohenzollern, syn elektora brandenburskiego. Poza tymi kandydatami, którzy wypełnili Polskę jawnymi i tajnymi agentami, zalecającymi swoich panów, wisiały w powietrzu dwa nazwiska: starego kandydata Francji, wsławionego swemi zwycięstwami księcia Kondeusza i opromienionego świeżemi wawrzynami Chocimia, Jana Sobieskiego.

Powracające z wyprawy rycerstwo szeroko rozniosło sławę swego Wodza, która zwłaszcza po niedawnym traktacie buczackim i poprzedzających go klęskach, tem jaśniejszego nabierała blasku. Sejmiki, zagajone 29-go grudnia 1673 roku, wyrażały mu wdzięczność za jego trudy i wyprawiały poselstwa

w imieniu województw z uroczystymi dziękczynieniami. Sejm konwokacyjny głosił chwałę zwycięskich hetmanów, a przede wszystkim tego, któremu Rzeczpospolita zawdzięczała i samą wiktoryę i głośnie jej echo, rozlegające się po całej Europie. Wielbiono jego talenty i męstwo w Europie chrześcijańskiej, a sam papież w serdecznym breve, skierowanem do Hetmana, wyrażał zdanie, że nikt lepiej od niego nie zdoła prowadzić do zwycięstwa i nikt nie potrafi zachęcić do prędkiej i zgodnej elekcji nowego pana. Oczy całego kraju zwracały się na Sobieskiego, a imię jego było powtarzane z uwielbieniem i nadzieją przez setki tysięcy ust. Tymczasem ani sam Hetman, ani jego małżonka nie myśleli o wyzyskaniu gwałtownego wzrostu jego popularności i wysunięciu kandydatury.

Zarówno Sobieski, jak Marysienka, jak za elekcji Michała, tak teraz zwracali swe oczy na dwór francuski i stamtąd czekali hasła. Jeszcze przed przyjazdem męża pisała Marysienka do Francji, by tam zasięgnąć opinji i z „zaczarowanego pałacu“, jakim był dla obojga Sobieskich Wersal, otrzymać rozkazy, kogo należy wspierać w walkach elekcyjnych. Sam Hetman wyraźnie na sercu miał Kondeusza, widząc w nim i talenty wojskowe, i możność znalezienia poparcia dla Polski w przyszłej wojnie z Turkami zarówno w gotówce, jak i w wojsku i stosunkach dyplomatycznych. Wyraźnie myślał o nim, pisząc do swych przyjaciół o sprawach elekcji i wyluszczając powody swego stanowiska: „...nam tylko jedna Francja takiego może dać pana, któryby nas w tym razie tak strasznej na nas wojny i pieniędzy, i ludźmi posiłko-

wać mógł. W naszych siłach nie miejmy nadziei, bo i pieniędzy, i ludzi, i ochoty do długiej nie mamy wojny“. Zwracając się przecież do Francji, gotów był przyjąć z jej rąk i innego kandydata, byleby kandydat ten pochodził z krwi królewskiej i niósł ze sobą upragnione posiłki. Francja tymczasem nie zamierzała bynajmniej ani zgłaszać własnego kandydata, ani tem bardziej forsować jego przeprowadzenia, wskazywała raczej na Neoburczyka, który dla Sobieskiego, jako młodzik i pan zgoła niemożny, wcale nie był ponętny.

Nie mając tedy za kim rzucić na szalę swych wpływów i autorytetu swego imienia, Sobieski nie jechał na konwokację i pozostał na Rusi, zwłaszcza że sprawy wojny wymagały tu teraz jego obecności. A województwa słały doń zgoła przeciwne poselstwa, bądź to domagając się jego przyjazdu, bądź też żądając, by z tamtych nie ruszał się krajów i strzegł ich granic. „Otóż moja wolność i ukontentowanie na urzędach moich“ — pisał Hetman, a nie mogąc naraz być i w Warszawie i czuwać nad bezpieczeństwem Rusi, pozostał zdala od stolicy i wszystkie swe siły poświęcił sprawom wojennym.

Dochodziły go zewsząd niepomyślne wieści. Na Ukrainie wichrzył znów Doroszeńko, na stronę Moskwy przechodził hetman kozacki z ramienia Rzeczypospolitej — Haneńko, na czele wojsk carskich poskramiał obu, zwalczających się wodzów kozackich, Romodanowskij i, przekroczywszy Dniepr, utwierdzał pod tym pretekstem władzę moskiewską na polskich ziemiach Ukrainy. Pozostawiony na straży Mołdawji

i Wołoszczyzny, chorąży wielki koronny Sieniawski, zagrożony wtargnięciem przeważających sił Tatarów i Turków, opuścił Mołdawję, cofnął się ku granicy i zdołał utrzymać jedynie Chocim i Neamtu. Gdy wraz z nim wycofał się również i wspierany przez Polskę hospodar Stefan Petryczajko, sułtan zamianował na jego miejsce własnego hospodara, wobec czego zmieniło się przychylne dotąd dla Polski stanowisko obu tych krajów. Odwrót Sieniawskiego naraził poważnie blokadę Kamieńca, a próba zdobycia Baru również została zakończona niepowodzeniem. Karta wojenna zgola się odwróciła, Hetman musiał istotnie mieć baczne oko na granicę, by jej bezpieczeństwo zapewnić. Niemalø zgryzot i kłopotów przyczyniać mu również musiały sprawy „ukontentowania“ wojska i zapewnienia mu utrzymania. Wszystko to dla Sobieskiego większe miało pono znaczenie w tej chwili, niż konwokacja, na której nie mógłby był nawet wymienić z całem przekonaniem własnego kandydata.

Na konwokacji tymczasem stronnictwo austriackie, w którym rej wodzili Pacowie, pchało zawzięcie do tronu Lotaryńczyka, pragnąc ożenić go z królową Eleonorą. Wrogo usposobieni dla Hetmana, lecz obawiający się uroku jego imienia, torując drogę swemu kandydatowi, przeprowadzili Pacowie oryginalną uchwałę, mającą usunąć od tronu Piasta, czyli kandydata polskiego, której jednak nie zapisano w konstytucji tego sejmku. Obawiali się przytem nawet wymienić nazwisko Sobieskiego, by, nie daj Boże, nie nasunąć go komu na myśl i tą ogólnikową uchwałę mieli

nadzieję zagrozić mu drogę do tronu. Sejm konwokacyjny usunął ponadto od udziału w elekcji wojsko, z obawy przed jego wpływem.

Na sejmie elekcyjnym, otwartym 30-go kwietnia 1674 roku, stronnictwo pacowskie ze starym zapalem popierało kandydaturę Lotaryńczyka, gotując się nawet do orężnej rozprawy. Ponieważ jednocześnie chodziły słuchy, że Austria również gotowa jest poprzeć zbrojnie swojego kandydata, Sobieski, gotując się do rozprawy w obronie Kondeusza, którego spodziewał się jednak przeprowadzić siłą swojego autorytetu, obsadził trzema regimentami Kraków i około sześciu tysięcy żołnierza rozmieścił na wszelki wypadek w niewielkiej odległości od Warszawy. Stronnictwo austriackie przez 10 dni upierało się przy ogólnikowym wykluczeniu Piasta, napomykając, że chodzi tu ponoć o Hieronima Lubomirskiego, chociaż publiczną było tajemnicą, że jako Piast przedstawiał niebezpieczeństwo dla Paców i posiadał jakieś szanse wyboru jedynie Hetman Wielki Koronny. Nie pomagały perswazyje, że podobna uchwała musi zohydzić pamięć króla Michała, jako pierwszego Polaka, wyniesionego głosami narodu na tron, i że takie wykluczenie wystawia wobec zagranicy złe świadectwo całemu narodowi, nie wierzącemu w swe własne siły. Dopiero wystąpienie posła Zaremby, który wykazał zupełną nicość pomysłu i wręcz zapytał stronników Lotaryńczyka, co mają do zarzucenia Sobieskiemu, położyło kres tej intrydze. Gdy zaś posłowie wojskowi z entuzjazmem zwali swego Wodza ojcem i dobrodziejem, a żaląc się na usunięcie ich od elekcji przez sejm konwokacyjny, prosili,

by Rzeczpospolita zwolniła wojsko od służby i, zapłaciwszy należność, myślała o zaciągnięciu nowego, Pacowie zmiękli ostatecznie i wyrzekli się uchwały, wykluczającej Piasta, spodziewając się, że na polu elekcyjnym przekupstwem i przemocą zdołają zebrać głosy dla austriackiego kandydata.

Rankiem 2 maja zaledwie się rozpoczęły obrady na polu elekcyjnym, gdy gruchnęła wieść, że po raz pierwszy po zwycięstwie chocimskim zbliża się do stolicy hetman Sobieski. Obrady nie trwały nawet godziny, gdyż wszystko, co żyło, rzuciło się naraz hurmem, by witać zwycięskiego Wodza. Wspaniały zaiste widok przedstawiał wjazd Hetmana, ciągnącego w orszaku przeszło dwutysięcznym, w którego szeregach maszerowała rota janczarska, utworzona z wziętych pod Chocimem Turków. Niemało splendoru nadawały wjazdowi Hetmana prowadzone przezeń, zdobyte w potrzebie chocimskiej, chorągwie i buńczuki tureckie, które zamierzał rzucić pod nogi nowo obranego króla. Wśród ogłuszających wiwatów i dziękczynnych przemówień, wynoszących chocimską wiktoryję, odprawiał Wódz swój wjazd do Warszawy, który przy entuzjastycznych nastrojach tłumów zamienił się w iście triumfalny pochód. Pochód ten działał na wyobraźnię tłumów, rozpalał ich uniesienie, napełniał serca wdzięcznością dla chocimskiego Bohatera i wysuwał jego osobę i jego imię, przyćmiewając zarazem imiona wszystkich kandydatów do tronu. Jeśli w senacie odbywały się w dalszym ciągu targi i walki o pretendentów zagranicznych, to w sercach szlachty koronnej dźwięczało nazwisko Sobieskiego.

Sam jednak Hetman, który bezpośrednio po przybyciu do stolicy począł pełnić obowiązki, związane z jego urzędem marszałkowskim, nie wysuwał bynajmniej własnej kandydatury, lecz ciągle ponoć żywił nadzieję na przeprowadzenie wyboru Kondeusza i czekał niecierpliwie na przybycie francuskiego posła z pożądanem poparciem dla tego kandydata.

Nareszcie 8 maja przybył do Warszawy, wyczekiwany przez oboje Sobieskich, poseł Ludwika XIV, biskup marsylijski Forbin Janson i przywiózł ze sobą wodzowi partji francuskiej najzupełniejsze rozczarowanie. Zamiast nazwiska kandydata, któryby „sławą wojenną był u świata wzięty, a nieprzyjaciółom straszny“, przywoził nazwisko 16-to letniego dzieciaka, księcia Neoburskiego. Jego miał popierać z polecenia francuskiego króla, który się godził coprawda na samorzutny wybór przez Polaków któregośkolwiek z książąt krwi francuskiej, ale odmawiał wszelkiej pomocy przy ich promowaniu do korony polskiej. Wyraźnie natomiast zastrzegał się poseł francuski w imieniu swojego króla przeciwko kandydaturze Lotaryńczyka, która, ze względu na wypowiedzianą już przez Francję wojnę o Holandję, była dla niej zewszecmiar niedogodna.

W czasie pierwszej zaraz rozmowy z ambasadorem oświadczył Sobieski, że jego kandydat jest za młody i za słaby, by sprostać potrzebom Polski i że oficerowie zobowiązali się do popierania jedynie kandydatury Kondeusza. Zgadzał się jedynie co do niemożliwości na tronie polskim austriackiego kandydata. Po audjencji publicznej u sejmu, na której ambasador zale-

cał swojego kandydata sejmowi, Pani Sobieska zrozumiała, że istnieją poważne szanse obioru jej męża, i potrafiła przekonać francuskiego biskupa, że powinien on poprzeć jej męża, którego życzą sobie szlachta, wojsko i większość senatorów, a w którym Francja będzie miała gorliwego przyjaciela. Potrafiła ona od razu zawojować francuskiego dyplomata i zmusić go do czynnego poparcia kandydatury Hetmana. Sam Sobieski oswajał się stopniowo z myślą o koronie, ale ani stawiał swej kandydatury, ani tem bardziej nie miał zamiaru zabiegać u szlachty o głosy dla siebie. Wbrew wszystkiemu postanowił do końca trwać przy swym kandydacie.

15 maja zmarł prymas Florjan Czartoryski. Był to ciężki cios dla austriackiego stronnictwa, gdyż schodził ze sceny człowiek, cieszący się wielkiem wzięciem i autorytetem, mogący zaważyć na szalach elekcji i poprzeć księcia Karola. Większego autorytetu moralnego stronnictwo austriackie nie posiadało. Traciło ono teraz grunt pod nogami i próbowało ratować swego kandydata przekupstwem, roztaczając przed Sobieskim wspaniałe widoki i proponując mu wielkie sumy. Hetman jednak z całą stanowczością odrzucił wszelkie propozycje. Jednocześnie ambasador francuski, popierając pocichu Hetmana, oficjalnie nadal promował swojego Neoburczyka, to też i stronnictwo francuskie nie czuło się zbyt pewnie, zwłaszcza że Sobieski trwał uporczywie przy Kondeuszu. W tem położeniu stronnicy Neoburczyka próbowali rozpocząć rozmowy z Pacem, który odpowiedział im z dumą, że z dwóch kandydatów, stojących obecnie przed wyborcami,

Neoburczyka stanowczo odrzuca, a głos swój oddaje na kandydata Austrii i zaraz z tem idzie do koła.

Był to dzień 19 maja, wyznaczony na ostateczne dokonanie elekcji. Zawiadomiony o stanowisku Paca, Sobieski wybuchnął głośno, że też idzie do koła i w razie zamachu ze strony Paców sprawę rozstrzygnie szablą. Następnie, ująwszy francuskiego ambasadora pod rękę, rzekł mu uspokajająco: „Ufaj pan mnie i pozostaw mi swobodę działania, nie troszcząc się o skutek, nie obawiając się ani Paców z Litwą, ani Austriaków. Wszystko pójdzie dobrze i możesz pan być pewnym, że król (Ludwik XIV) będzie zadowolony“. Postanowił rzucić teraz na szalę cały swój autorytet i był w zupełności przekonany, że dzięki niemu przeprowadzi wybór księcia Kondeusza, a w razie walki orężnej, podjętej przez Paców, zdoła udaremnić wybór Lotaryńczyka.

Zdawać się mogło, że nastąpiła chwila krytyczna, w której musi połać się krew. Tymczasem wypadki przybrały zgoła nieoczekiwany obrót. Gdy Hetman przybył na koło, senatorowie rozeszli się już po swych województwach. Udał się zatem i on do swego województwa ruskiego, gotując się do gorącej mowy na rzecz swego kandydata. Tymczasem do województwa przemawiał już stary jego przyjaciel, wojewoda Stanisław Jabłonowski. Odrzuciwszy stanowczo Neoburczyka, z komplementami obalił Jabłonowski kandydaturę austriacką, podniósł zalety Kondeusza, lecz następnie stanowczo wypowiedział się przeciw niemu, żądając wyboru Polaka. W gorących słowach odmalował

wał zasługi i czyny Sobieskiego i potrafił wzbudzić dla niego powszechny entuzjazm w swem województwie. Jedyńm głosem sprzeciwu był głos Sobieskiego, którego nie chciano zresztą słuchać. Gdy znany obrońca wolności, Andrzej Maksymiljan Fredro, a po nim były przeciwnik Sobieskiego, biskup Dębicki, poparli z zapalem Jabłonowskiego, fala entuzjazmu, ogarniającego województwo ruskie, zaczęła stopniowo zalewać całe pole elekcyjne, po którem coraz to szerzej rozlegał się okrzyk: „Vivat Johannes rex“¹. Do wieczora trzynaście województw żądało już zgodnie wyboru Sobieskiego, a wśród Litwy popierali jego kandydaturę Radziwiłłowie i Sapiehowie. Jedynie Pacowie z głośnym protestem opuszczali błonia elekcyjne. Szlachta domagała się od biskupa Trzebieckiego, zastępującego prymasa, by niezwłocznie ogłosił Sobieskiego królem. Sam jednak Sobieski oświadczał z całą stanowczością, że tylko zupełna jednomyślność skłoni go do przyjęcia wyboru.

Marysienka przyjmowała już w pałacu Kazimierskim powinszowania. Pierwszy zgłosił się z komplementami poseł brandenburski, za którym niebawem przybiegł francuski ambasador, zgłaszając się z gotowością sypnięcia złotem na poparcie Sobieskiego. Nazajutrz niektóre województwa zasiadły w kole generalnem, Sobieski jednak uporczywie oświadczał, że nie przyjmie korony, dopóki jeden z obywateli będzie protestował przeciwko jego wyborowi. Do Paców przeto udało się poselstwo, prowadzone przez księcia Dymitra

¹ „Niech żyje Jan król!“

Wiśniowieckiego. W pałacu Kazimierowskim oczekiwano skutków poselstwa. Minęło południe. Hetman, nie zdradzając najmniejszego zniecierpliwienia, kazał podawać do stołu i prosił doń tłoczącą się po pokojach szlachtę i senatorów. Na dwór jego wkradła się już pokryjomu etykieta królewskiego dworu. Najdostojniejsi panowie służyli przy stole gospodarza z odkrytymi głowami i zachowaniem całego ceremonjału. Wróciła nareszcie delegacja, a wkrótce po niej przybyli delegaci litewscy z oświadczeniem, że Litwa nazajutrz przyłączy się jednogłośnie do wyboru.

W południe 21 maja przybyli na koło Pacowie z oświadczeniem swej zgody. Biskup Trzebicki dokonał więc nominacji. Około 5-tej po południu rozpoczął się z błoń elekcyjnych uroczysty pochód do katedry Św. Jana. Po obu bokach drogi stały szeregi wojska, za nimi niezliczone tłumy, witające swego wybrańca. Przy odgłosach dział arsenału, trzasku muszkietów piechoty, dźwiękach muzyki i kotłów, wśród entuzjastycznych wiwatów tłumów kroczył Sobieski, podziwiany za wspaniałość, iście polską postawę, wielbiony za przystępność i dobroć, sławiony, jako zwycięski pan, pod którego rządami wrócono sobie bezpieczeństwo od strony Półksiężycy.

Dwa tygodnie trwało układanie pactów conventów, w których naród żądał jedynie zapewnienia wolności szlacheckich. Posiedzenia nie odbywały się bez tarć, gdyż Pacowie starali się na wszelki sposób wynajdywać trudności i próbowali uniemożliwić przynajmniej koronację Marysienki, by w ten sposób zatruć odrazu na wstępie panowanie nowego króla. W dniu 5 czerwca

1674 roku złożył Sobieski przepisaną przysięgę na pacta conventa i od tego dnia zaczęto liczyć panowanie Jana III.

Pierwsze czynności nowego króla rozpoczęły się od rady wojennej w gronie czterdziestu senatorów. Ponieważ sejm elekcyjny rozwiązał się, „podatków żądnych extraordinaryjnych na ten czas nie uchwalając“, na barki nowego króla spadał cały ciężar wojny z Turcją. Z wielką energją rozpoczął Król gotować się do niej. Rada wojenna, radząca przez trzy dni, przyjęła wszystkie jego wnioski w sprawach wojny. Na jej zakończenie przemówił Jan III i oto od stopni tronu dały się słyszeć słowa, jakimi nie przemawiali polscy królowie od czasów Zygmunta Augusta i Batorego. Przez usta króla przemawiały, wszczepione mu przez rodziców jego w zaraniu lat, staropolskie cnoty patriotyzmu i ofiarności i dźwięczały nuty tych ideałów, które głosił jego wielki pradziad, kanclerz wielki i hetman koronny Stanisław Żółkiewski: „...Gdy królestwo przez nieustanne od lat 26-ciu wojny i niesnaski doszło do ostatecznej prawie ruiny, zostałem teraz obrany, abym je urządził, umocnił, podźwignął. A stało się to bez mojej osobistej zasługi, tylko z wyraźnej życzliwej woli, wolnego i tem samem prawowicie władnego narodu; tę wolę zawsze najwyżej poważać i wdzięcznym umysłem uznawać będę. Nie są mi tajne, przygniatające ojczyznę od lat tylu, niedole... ani też niebezpieczeństwa, zagrażające zupełnem wypięciem szlachetnemu naszemu, do wolności zrodzonemu, narodowi, bo miałem wielki udział w tem każdego czasu. Stają mi przed oczyma niezliczone trud-

ności, obciążające tę koronę; należało je rozważyć sądem dojrzałym przed obiorem moim... Rozważyłem omdlenie moich sił; wiem też, ile znieść zdołam, lub nie zdołam. Wkońcu i to mi na myśl przychodziło, że ja, jako prosty szlachcic, nie mógłbym dorównać książętom zagranicznym, którzy się o tę koronę ubiegali i nie mogę obiecywać więcej, niż bym spełnić był wstanie. Rozważywszy jednak to wszystko sądem dojrzałym w ciągu dni kilku, postanowiłem... idąc za głosem sumienia, przyjąć to brzemię ciężkie i siłom moim nieodpowiednie. A więc poświęcę i ofiaruję najdroższej ojczyźnie mojej ciało i życie, mienie i krew swoją; pragnę oddać się całkowicie na utrzymanie czci Bożej, na obronę Chrześcijaństwa całego, na obsługę tego istotnego przedmurza — bo nienasycona pycha Porty Otomańskiej to jedno jedyne pozostawiła Chrześcijaństwu — mianowicie naszej wspólnej matki, Korony Polskiej... Obok ofiarowania mej własnej osoby, nad którą nic lepszego nie posiadam... oddaję zarazem najukochańszej ojczyźnie i macierzy mojej wszystko, co posiadam... a więc wszelkie mienie i dobra ziemskie, wszelką majątność moją na jej użytek i korzyść“ — mówił król wśród zupełnej ciszy do zdumionych tą deklaracją senatorów. W dalszym ciągu swej mowy zwracał Rzeczypospolitej wykupione przez siebie klejnoty, przeznaczał 40.000 złotych na polepszenie arsenałów, kazał 300.000 wypłacić wojsku, brał na siebie fortyfikację Lwowa i dla jej przyspieszenia deklarował wpłacenie tegoż dnia 20.000 wojewodzie ruskiemu. „Ponad własne moje korzyści, sprawy i roszczenia — kończył teraz król swoją mowę, omówi-

szy potrzeby wojny i środki na nią, oraz inne sprawy Rzeczypospolitej — przekładam pomyślność Rzeczypospolitej, jak to nakazuje sama cnota. Więc odkładamy koronację do sposobniejszego czasu. Poświęcając siebie i wszystko moje gwoi pomyślności ojczyzny, nie wątpię, że tym sposobem najlepiej okażę moją ku niej przychylność i miłość“.

XII

WYPRAWA NA UKRAINĘ I TRAKTAT JAWOROWSKI

Sprawy wojny tureckiej, a zarazem sprawy ukrai-
inne groziły istotnie poważnem niebezpieczeństwem.
Hetmaniacy na Zadnieprzu z ramienia carskiego Sa-
mojłowicz dążył do zagarnięcia polskiej Ukrainy.
Z twierdz tamtejszych jedynie Biała Cerkiew zdołała
się utrzymać. Na polskiej Ukrainie wichrzył i intry-
gował Doroszeńko. 80.000 armja moskiewsko-kozacka
zdobyła Kryłów, Czerkasy i Kaniów. Haneńko złożył
już buławę, nadaną mu przez Rzeczpospolitą, w ręce
Romodanowskiego, a starszyzna kozacka okrzyknęła
Samojłowicza hetmanem na Ukrainie prawobrzeżnej
i domagała się, by w Kaniowie i Czehryniu stanęły
wojska carskie. W ostatnich dniach lipca wkroczyli
na Podole Turcy pod wodzą kajmakana Kara-Mustafy
i zdobyli Winnicę, Ładyżyn i Humań, wycinając bez-
litośnie jego ludność. W sierpniu car moskiewski, któ-
rego wojska pośpiesznie cofnęły się za Dniepr, prosił
o rychłe przybycie wojska polskiego z pomocą prze-
ciwko Turkom. Na granicach działały tylko pomniej-
sze oddziały polskie od Międzyboża, Łabunia, Tarno-
pola i Śniatynia, a ich działania powstrzymywały dal-

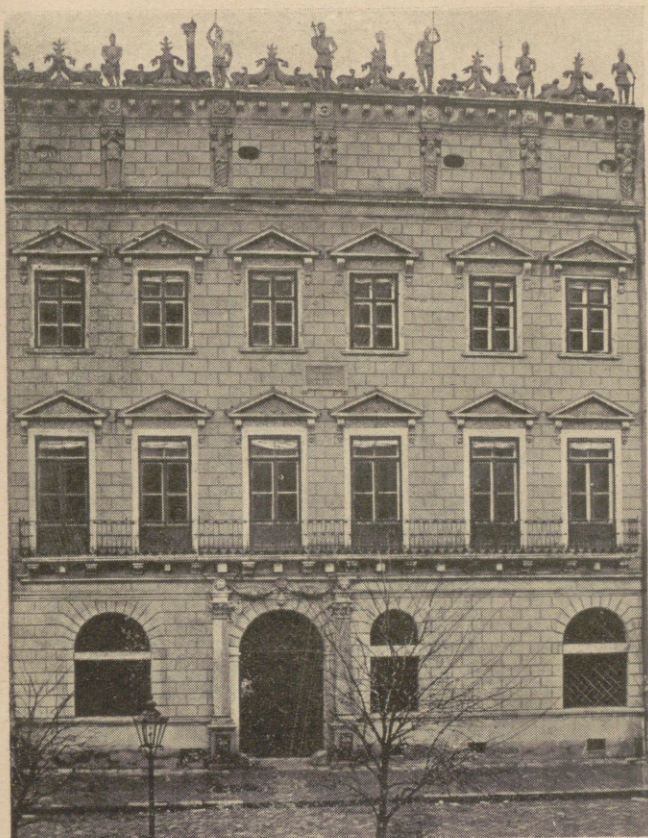
szy zwycięski pochód Turków. Kasztelan czernihowski Silnicki próbował się kusić o Kamieniec. Armja koronna powoli się jednak zbierała, a sam król, zajęty licznymi sprawami początków swego panowania, dopiero 22 sierpnia mógł wyruszyć z Warszawy. Zajmowały go liczne sprawy polityki, a pomiędzy innemi uzgodnienie jej z polityką dworu francuskiego, które wróżyło możność odzyskania Prus Książęcych.

Zawiadomiwszy 23 października 1674 roku cara, że rozpoczyna działania i że drogę swoją „prostuje na Bar“, król Jan III pociągnął w pole, poprzedzony 5.000 oddziałem Jabłonowskiego, który ruszył pod Kamieniec. Siły tureckie cofały się za Dunaj, obawiając się uderzenia króla na swoje tyły. 18 listopada zdobył król szturmem Bar. Pod wrażeniem tego zwycięstwa przechodził na stronę polską pułkownik mohylowski Eustachy Hohol na czele swoich kozaków. Kamieniec był obegnany tak, że nikt się zeń nie mógł wychylić. Zamki okoliczne przechodziły w ręce polskie; ordy tatarskie zmykały ku Czehryniowi lub uchodziły za Dniestr. Całe Podniestrze powróciło do poddaństwa. Na dzień 25 listopada zamierzał Król stanąć własną osobą w Braclawiu i, dawszy tam wypoczynek wojsku, aż rzeki zostaną ścięte lodami, projektował ruszyć stamtąd nad Dunaj. Zapraszając cara, który niedawno wzywał jego pomocy, pisał do niego Sobieski: „Omieszkiwać... pory o lodach nie godzi się zdrowym rozumem: tknąć się Dunaju trzeba, gdzie kraje mullańskie całe, żywności pełne, aby tam się umocniwszy, więcej potęgi bisurmańskiej w kraje chrześcijańskie nie puszcząć. A co wiedzieć, jeśli za sporządzeniem

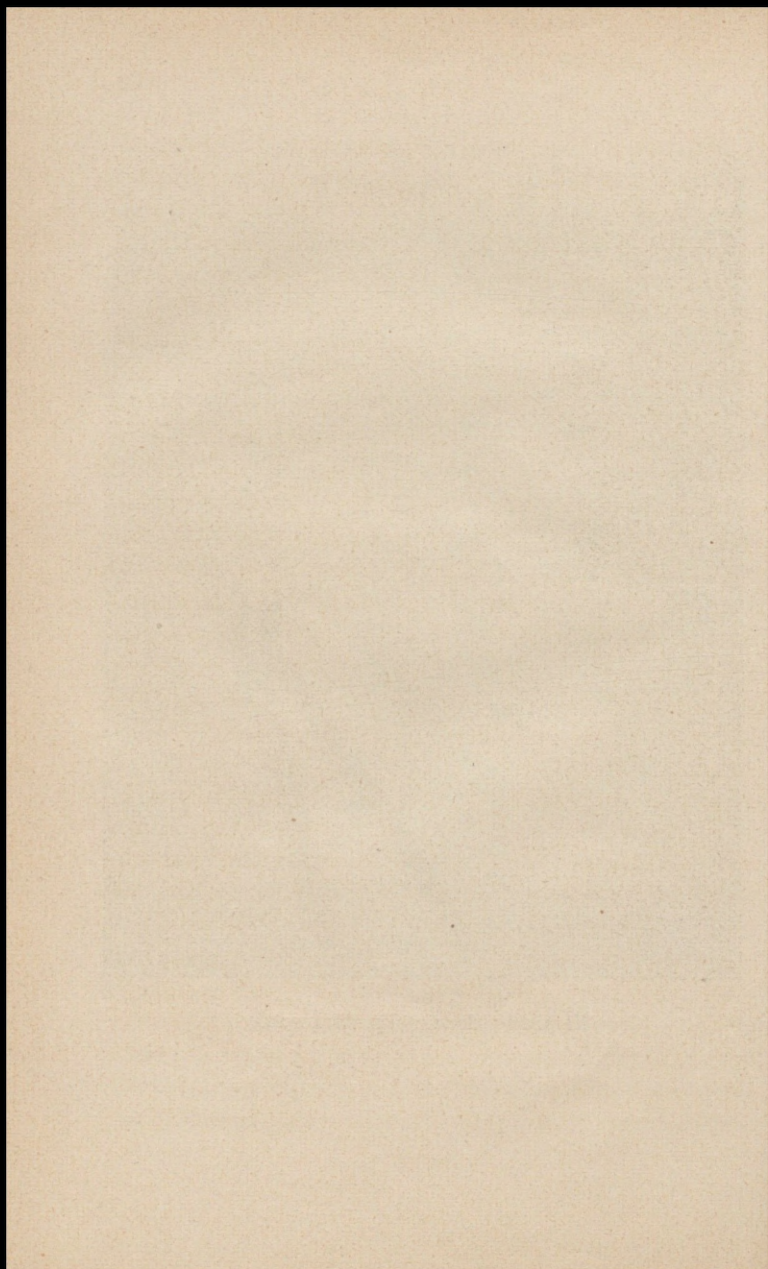
Ducha Świętego narody chrześcijańskie, w niewoli jeszcze jęczące, za zbliżeniem się sił naszych, jakiego przemyśłu (powstania zbrojnego) uczynić nie zechcą?"

Tymczasem spotkał plany królewskie dotkliwy zawód za przyczyną starego jego wroga, hetmana wielkiego litewskiego, Michała Paca. Pragnąc policzyć się z królem za swą porażkę na polu elekcyjnym, oraz obawiając się, że po zwyciężskim zakończeniu wojny, Król może obrócić swe siły na północ, w celu odzyskania Prus Książęcych, uderzając na sprzymierzonego z Austrią przeciwko Francji elektora brandenburskiego, a przedewszystkiem, że umocni i ugruntuje swą władzę, zdradliwy ten wódz Litwinów pożegnał listownie Króla, wymawiając się słabem zdrowiem i zabierał ze sobą całe wojsko litewskie. Zaledwie garstka Litwinów pod hetmanem polnym Radziwiłłem i wojewodą połockim Kazimierzem Sapiehą pozostała przy Królu. Pomimo znacznego osłabienia swych sił Sobieski nie zaniechał jednak działań wojennych. Nadrabiał brak sił fizycznych wzmożoną energją.

Przeprawiwszy się na czele swej armji przez Boh, już 27 listopada stanął pod Kalnikiem i zdobył go szturmem. Przeszły w ręce królewskie Niemirów, Ilińce, Winnica, Bałabanówka, Berszada, Pohrebyszczce i Tulczyn. Tymczasem w końcu grudnia wyjaśniło się, że Moskwa nie myśli bynajmniej o współdziałaniu. Plan wyprawy nad Dunaj upadał tem samem. Z Turcji nadchodziły wieści, że armje nieprzyjacielskie ruszą na wyprawę o wczesnej wiosnie. Krym również poczynął się ruszać i nuradyn-sołtan otarł się już o Berszadę, ale, odparty męstwem Bidzińskiego,



Kamienica królewska we Lwowie



Zbrożka i Czarnieckiego, pociągnął łączyć się z hospodarami wołoskimi i tureckimi baszami. Ostatnim sukcesem polskiego oręża było zdobycie o wczesnej wiosnie kozackiej Pawołoczy, „wszystkiej złości gniazda“.

12 kwietnia 1675 roku, przetrzymawszy ciężką zimową kampanję, odjechał Król do kraju, by gotować siły do nowej wyprawy. Na odjeźdźnym ubezpieczył swoje zdobycze, rozstawiając szeroko swe wojsko trzema grupami: od Dzikich Pól przez Berszadę, Raszków i Mohylów ku Kamieńcowi; przez Kalnik, Bracław, Niemirów, Bar, po Międzybóż i Konstantynów; przez Nastaszkę, Motowidlówkę, Białą Cerkiew, Pawołocz, Kotelnię, Korostyszew, Berdyczów, Cudnów, Łabuń i Połonne aż do Konstantynowa. Kampanja zimowa była skończona i w dniu 23 kwietnia stanął Król w swoim Złoczowie. Stąd po pewnym czasie musiał Król udać się dalej wгłęb kraju, zarówno, by zająć się bliżej zaniedbanymi nieco sprawami polityki, jak też w celu poczynienia przygotowań do dalszej wojny z Turcją.

Już wkrótce po wstąpieniu na tron Jan III, zdając sobie sprawę z niezdrowych stosunków, panujących wewnątrz kraju, zaczął się zastanawiać nad przeprowadzeniem pewnych reform, zmierzających do wzmocnienia władzy królewskiej i powściągnięcia bezkarnego nadużywania „wolnego głosu“ w sejmie, przez owo nieszczęsne liberum veto, udaremniające w tych czasach tak często powzięcie przez sejmy jakiegokolwiek prawomocnej uchwały i przez to niejednokrotnie skazujące Rzeczpospolitą na zupełną bezradność. Zamierzał on ponadto usprawnić kierownictwo polityki

zewnątrznej i liczył się w oddalonej przyszłości z możliwością utrwalenia tronu dla swych sukcesorów i zabezpieczenia w ten sposób Rzeczypospolitej przed wewnętrznymi wstrząsami, wynikającymi chronicznie w okresach elekcyjnych, oraz przed ciągłymi załamaniami linii jej polityki międzynarodowej. W tych projektach reformatorskich niewątpliwie dawały się słyszeć odgłosy dawnych projektów, podnoszonych przez lepszą część społeczeństwa i konfederacje wojskowe w okresie popotopowym, kiedy to groza najazdu szwedzkiego i moskiewskiego, przy towarzyszącym im akompanjamentem rebelji kozackiej, zwróciła uwagę na wewnętrzne niedomagania ustroju państwa i wzbudziła, zniekształconą przez dwór królewski, myśl jego naprawy. Te niesprecyzowane jeszcze w umyśle królewskim i ogólnikowe zamysły dawały się skutecznie w drodze podniesienia autorytetu Króla przez jego sukcesy orężne i pomyślne zakończenie w przyszłości wojny z Turcją.

Zarówno w polityce wewnętrznej, jak zagranicznej zależało na wyborze odpowiedniej linii politycznej i oparciu się nazewnątrz o to lub inne ugrupowanie czynnych w polityce europejskiej mocarstw. Dla Sobieskiego wybór pomiędzy polityką proaustriacką, a profrancuską był rzeczą prostą. Oddawna związany z polityką dworu francuskiego i wspierany przez jego ambasadora w okresie elekcji, Sobieski z natury rzeczy musiał rozpocząć swe panowanie pod znakiem orjentacji francuskiej. Jak wiemy, stanowcze wypowiedzenie się Ludwika XIV w okresie elekcji przeciwko kandydaturze Lotaryńczyka było skierowane ostrzem

przeciwko Austrii i spowodowane wojną, toczącą się o Holandję pomiędzy Ludwikiem XIV a cesarstwem. Jedną z pierwszych trosk biskupa Forbin Jansona było, po dokonaniu elekcji Jana III, pozyskanie go dla celów francuskiej polityki antyaustriackiej. Chodziło o przeprowadzenie przez Polskę dywersji na tyłach Austrii bądź to w kierunku krajów austriackiego sojusznika, elektora brandenburskiego, bądź od strony Węgier lub Śląska. Obie te sprawy były rozważane przez Króla z francuskim ambasadorem w szeregu poufnych konferencyj już w ciągu 1674 roku. Francja kusiła Króla nadarzającą się możliwością odzyskania Prus Książęcych, które oddawna interesowały Sobieskiego, jako zagadnienie — pomiędzy innemi — szerokiego i trwałego dostępu do morza. Obecnie rzecz ta stawiała się tem bardziej kusząca, że w razie gdyby Król, w oparciu o Francję, bez angażowania w tę sprawę Rzeczypospolitej, potrafił zdobyć Prusy, sprawa utrwalenia dziedziczności tronu w Polsce zyskałaby poważny atut. Jako warunek porozumienia jednak w tej sprawie stawiał Sobieski uprzednie zakończenie w korzystny dla Rzeczypospolitej sposób toczącej się wojny z Turcją i spodziewał się pod tym względem pomocy ze strony polityki francuskiej.

Obecnie, po powrocie króla z wyprawy, pertraktacje te zostały sfinalizowane w traktacie jaworowskim, podpisanym 11 czerwca 1675 roku. W myśl tego traktatu Król zobowiązywał się do podjęcia, bezpośrednio po ukończeniu wojny z Turcją, działań wojennych przeciwko elektorowi brandenburskiemu, Francja zaś miała wypłacać przez cały czas trwania tej wojny za-

silek roczny w wysokości 200.000 talarów. W razie, gdyby wystąpienie przeciwko elektorowi spowodowało wojnę pomiędzy Rzeczpospolitą a Austrią, Francja obiecywała tejże wysokości zasiłek. W celu zaś przyspieszenia sprawy zakończenia wojny tureckiej, Francja obiecywała ponadto jednorazowy zasiłek wysokości 200.000 liwów, płatny ratami, w dwa i ośm miesięcy po uderzeniu na Brandenburgję; to uderzenie mogło nastąpić dopiero po ukończeniu wojny na wschodzie. Oznaczała zatem ta umowa częściowe pokrycie kosztów wojny i umożliwiała Królowi większy wysiłek pieniężny na jej prowadzenie: Traktat prowadził do odzyskania przez Polskę Prus Książęcych i Ludwik XIV zobowiązywał się nie zawierać pokoju z cesarstwem, Brandenburgją i Holandją, w którymby pretensje pruskie Sobieskiego nie zostały uwzględnione, a wzamian za to Sobieski obiecywał nie wszczynać rokowań pokojowych z elektorem bez zgody Francji. Tym samym traktatem zezwalał Sobieski na prowadzenie w Polsce zaciągów w służbę Ludwika XIV i obiecywał popierać je w całym państwie, wzbraniając natomiast zaciągów w Rzeczypospolitej przeciwnikom Francji. W ten sposób więc pośrednio traktat jaworowski uwzględniał francuski postulat dywersji przeciwko Austrii na Węgrzech, gdyż agenci francuscy mogli przez kraje polskie wspierać powstańców węgierskich nie tylko pieniędzmi, ale i polskim rekrutem, Polsce natomiast otwierał widoki przez odzyskanie Prus Książęcych na zdobycie szerokiego wyjścia na morze, a Sobieskiemu dawał podstawy do utrwalenia dynastji.

XIII

KAMPANJA LWOWSKA

Sprawy wojenne nastroczały pod względem przygotowania do kampanji niezmierne trudności. Wojna wymagała ogromnych nakładów pieniężnych. Wojsko koronne zniszczone było i wyczerpane kampanją zimową, na Litwinów trudno było liczyć. Niezbędne były pieniądze na prowadzenie nowych zaciągów, uzupełnienie starych chorągwi i regimentów, poprawienie rynsztunku, zaopatrzenie zdobytych twierdz, wyposażenie artylerji i zgromadzenie zapasów amunicji. Wojna była zbyt bliska, by Król mógł sobie pozwolić na zwołanie sejmu i czekać odeń pomocy i to wątpliwej, gdyż w społeczeństwie po kampanji, która zwróciła była Rzeczypospolitej znaczną część utraconej Ukrainy, szerzył się pogląd, że niebezpieczeństwo tureckie minęło i w tym roku wojny nie będzie. W tych warunkach cały ciężar przysposobienia się do zbliżającej się rozprawy spadł wyłącznie na barki i kieszeń samego Króla. Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób potrafił Król Jan podołać wszystkim tym trudnościom, zwłaszcza natury finansowej. Wiemy tylko, że i później już w trakcie wojny dawał się odczuwać znaczny brak gotowizny, a Król się skarżył, że „žadną

miarą już ani (nawet) w Jarosławiu pieniędzy dostać, pożyczyc podskarbiowie jego nie mogli“, a przecież zapewniał, że cnemu rycerstwu „ani głodnieć w oblężeniu pozwoli“. Z nadzwyczajną energją zabierał się jednak do zwalczania wszystkich tych trudności i uzupełniania wojska, które w trakcie kampanji doszło przecież do ogólnej liczby 30.000. Ale, by uzyskać tę liczbę, musiał nietylko dokonywać cudów w dziedzinie gospodarki, a przede wszystkim w umiejętności zaciągania pożyczek, lecz zdobyć się nawet na ukorzenie się przed zbrodniczym hetmanem litewskim Pacem, który w poprzedniej wyprawie, swem zdradzieczkiem wycofaniem się z udziału w wojnie, zniweczył królewskie plany wojenne. Nie wymagał od niego osobistego przybycia: „jeśliby złe zdrowie hamować miało, którego według przyrodzenia i słuszności *primam curam* (pierwszą pieczę) mieć należy“, prosił tylko, by „posłuszne z miłości ku ojczyźnie i w powinności swojej poczuwające się znaki“ wyruszyły pod dowództwem hetmana polnego Radziwiłła ku granicom Podola. Jednocześnie porozumiewał się nadal z Moskwą o wątpliwe współdziałania jej przeciwko Turkom i prowadził korespondencję z zawsze zmiennym, a w obecnej chwili będącym pod wrażeniem oczyszczenia przez Króla Ukrainy, Doroszeńką.

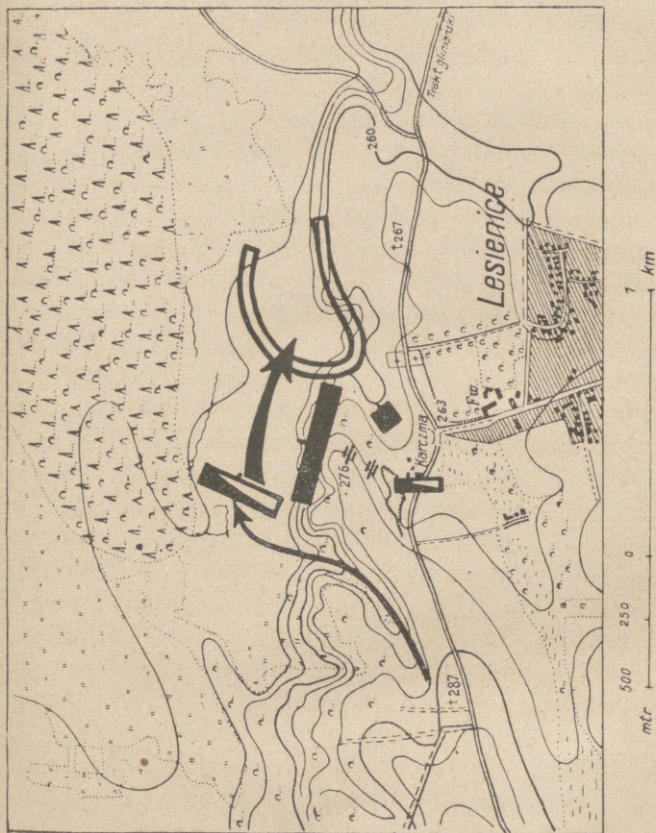
Już wkrótce po opuszczeniu Ukrainy i wyjeździe do Złoczowa musiał Król, zaopatrzwszy twierdze ukraińskie w załogi, zmienić rozkład swych sił, wycofać w głąb kraju *ussarję* „dla poprawienia rynsztunku“, a pozostałą jazdą pod dowództwem podkomorzego sie-

radzkiego, Modrzejowskiego, obsadzić linię od Dniepru po Dniestr przez Dymir, Berdyczów, Lubar, Łabuń, Połonne, Konstantynów, Krasilów, Bar i Mohylów. W ten sposób zabezpieczał Wołyń i wnętrze kraju od najazdu czambułów i zapewniał sobie łączność z mogącymi wystąpić wojskami moskiewskimi.

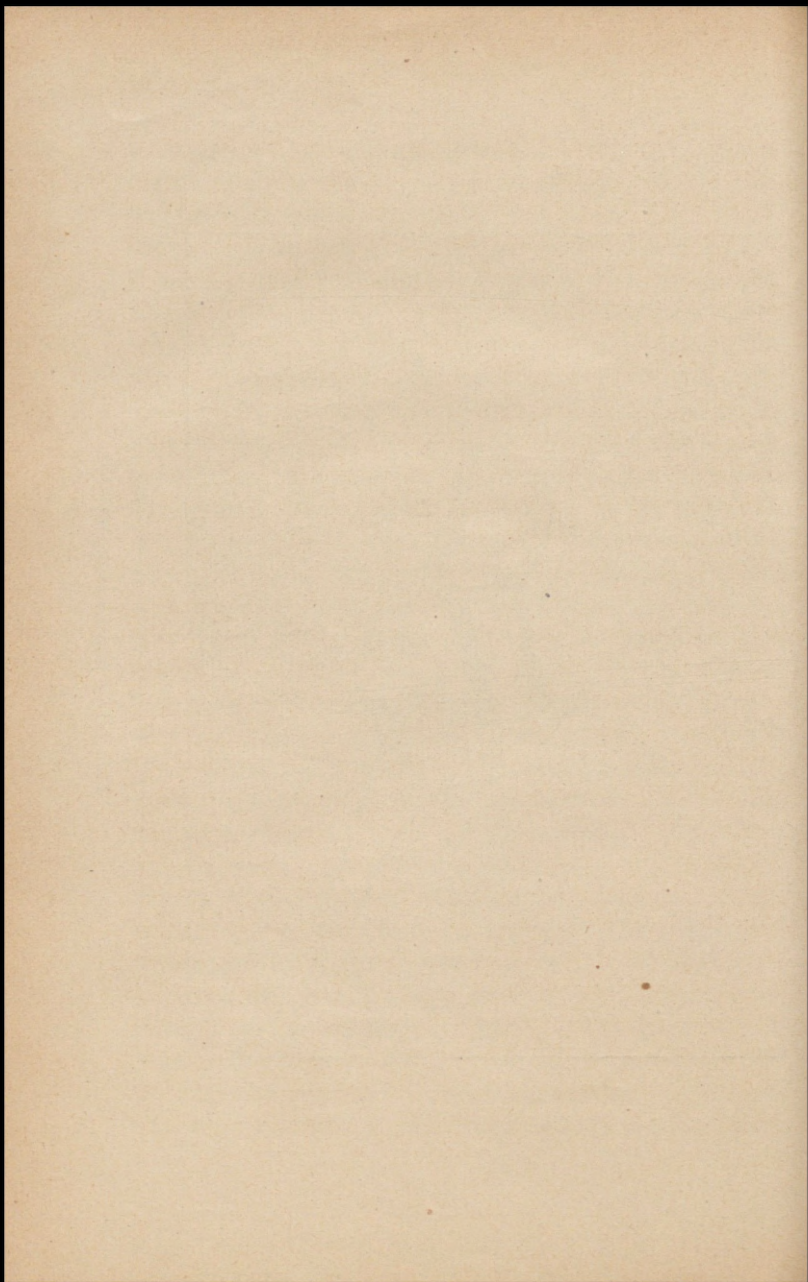
Już w połowie maja 1675 orda tatarska, licząca około 60.000 ludzi, stanęła koszem w okolicy Husiatyna i poczęła rozsyłać stąd swe zagony, które wszędzie jednak napotykały „przyzwoity odpór“, a pod Krasilowem porządnie nawet zostały przetrzepane. W tym samym czasie armja turecka, licząca 30.000 do 40.000 ludzi i 50 dział, przeprawiała się przez Dniestr pod Techinią pod dowództwem mianowanego serdarem sułtańskiego zięcia Ibrahima-Szyszmiana, to jest Tłuściocha. W tym czasie Rzeczpospolita nie była bynajmniej przygotowana do nowej wojny, a król rozpoczynał dopiero swe energiczne zabiegi w kierunku zdobycia odpowiednich środków. Dlatego też, gdy chan wystąpił z propozycją pośrednictwa w sprawie pokoju, Sobieski, pragnąc zyskać na czasie, wysłał doń w połowie czerwca poselstwo, które zresztą usłyszało z ust Szyszmiana „sromotne i niepodobne“ warunki pokoju. W początkach czerwca zdobyli Turcy szturmem Raszków i Mohylów i ciągnęli dalej powolnie Czarnym Szlakiem, mijając Bar, ku Manaczynowi, który został opanowany szturmem, a ludność jego wycięta.

Nie rozporządzając narazie dostatecznymi siłami, by stoczyć walną rozprawę w otwartem polu, a do-

myślając się, że celem tegorocznej wyprawy bisurmańskiej będzie Lwów, Sobieski postanowił ściągnąć rozstawione poprzednio oddziały i większą ich część skupić „na trakcie między Lwowem i Złoczowem“. Z chwilą, gdy posiadał wiadomość o dokonaniu pod Manaczynem połączenia się sił tureckich i tatarskich, plan jego w krótkim czasie przybrał ostateczne formy. Podobnie jak ongiś, na początku swej hetmańskiej kariery, postanowił teraz zahamować rozpęd zaczepny przeciwnika i zmusić go do działania na ograniczonej przestrzeni. 10 lipca następujące wydał zarządzenia: do Złoczowa, „który w Termopilach leży“, rzucił trzy i pół tysiąca ludzi, przeważnie jazdy, pod wypróbowanem dowództwem wojewody ruskiego Jabłonowskiego; na prawem skrzydle w okolicy Gołogór, Pomorzan i Brzeżan ustawił oddziały chorążego koronnego Sieniawskiego w liczbie dwóch tysięcy ludzi; na lewem skrzydle w Brodach i Olesku umieścił dwa tysiące jazdy hetmana polnego koronnego Wiśniowieckiego. Z tyłu, za posuwającym się w kierunku Lwowa nieprzyjacielem pozostawały w Międzybożu, Konstantynowie i Krasilowie wszystkie, znajdujące się tam dotąd oddziały, pod dowództwem Modrzejowskiego i Rzewuskiego. Sam król postanowił osiąść we Lwowie i tam przygotować „front z ussar-jej i różnych regimentów potężny“. Planował ściągnąć na siebie pod Lwów wszystkie siły nieprzyjaciela, a jednocześnie naciskać go mocno z boków i tyłu, aby fala najeźdźcy nie mogła rozplynać się po całym kraju. Wiśniowieckiemu więc, Jabłonowskiemu i Sieniawskiemu kazał cofać się, skoro nie-



Plan bitwy pod Lesienicami



przyjaciół pociągnie dalej ku Lwowu, na nowe pozycje pod Żółkiew, Busk i Świerz, podczas gdy ich stanowiska miały zajmować ztyłu za nieprzyjacielem oddziały Modrzejewskiego i Rzewuskiego. Spodziewał się Sobieski, że w ten sposób nieprzyjaciół, „w takie ciasnoty wszedłszy, zawrze się jak w oblężeniu i niż się spostrzeże, przy łasce Boskiej się zrujnuje“. Był to zatem plan, oparty na tych samych pomysłach, które tak wspaniałe wyniki dały niegdyś pod Podhajcami, oraz na głębokiej znajomości terenu i znajdujących się w nich umocnień, plan, polegający na narzuceniu zgóry przeciwnikowi warunków walki. Plan ten w całości został przyjęty na radzie wojennej, odbytej 15 lipca w Jaworowie.

W dniu 18 lipca przybył Król do Lwowa, witany ogłosem dział, bijących na wiwat, i, po godzinnym pobycie w mieście, udał się traktem gliniańskim, by wybrać pozycje dla założenia warownego obozu. Wkrótce stanęły pod Lwowem mocne okopy „według gościńca gliniańskiego za kościołem św. Antoniego, między św. Piotrem a Rurami“, na zachód od dzisiejszego cmentarza Łyczakowskiego. Wojska gromadziły się jednak bardzo powoli, to też Sobieski żalił się mocno w końcu lipca, że „Ochoty nie masz, z Polski nikt nie przybywa; jedni za Wisłę, a drudzy aż za Gdańsk uciekają. A im się kto lepiej ma w tej ojczyźnie, tem mniej dla niej czyni. Nikt o publice nie myśli, tylko o swojej własnej prywacie. Jedną zaś moją nieszczęśliwą głową pewnie już temu nie wydoła“. Zdołał przecież zgromadzić ostatecznie w swoim lwowskim obozie 6.000 korpusik i, jak zo-

baczymy, potrafił swoją nieszczęśliwą, ale genialną głową sprostać wszystkim trudnościom.

Tymczasem nieprzyjaciół żółwim krokiem wciągał się w zastawioną przez Sobieskiego pułapkę, co krok się zatrzymując i popasając, speszony, oczywiście, zarządzeniami Sobieskiego i rozkładem jego sił. Wkrótce przecież zaczęły przybywać do Lwowa wiadomości o jego marszu. 27 lipca zdobył Tłusćcioch i zrównał z ziemią Zbaraż, a dalej nadchodziły wiadomości o upadku Wiśniowca, spustoszeniu Tarnopola i zajęciu przez nieprzyjaciela Mikuliniec. Szturm jednak, przypuszczony przez Turków do Złoczowa, został odparty przez Jabłonowskiego i broniły się świetnie Załośce, Oleksińce, Brzeżany, Trembowla, Skalał, Janów i Budzanów.

Ibrahim Szyszman, podpędzony surową naganą z Konstantynopola za bezczynność, postanowił wreszcie działać energiczniej, to też na zwołanej 17 sierpnia radzie wojennej, w obozie pomiędzy Zborowem a Jezierną, uchwalono na wniosek chański przełamać linję obronną wojsk królewskich, spędzić je z zajmowanych pozycji, a następnie przyprzeć do samej Wisły. Ibrahim miał ruszyć wszystkimi siłami na Złoczów, a chan z całą ordą runąć na Lwów, przeciąć komunikację pomiędzy Królem a Jabłonowskim i, jeśli się tylko uda, zaskoczyć i zdobyć obóz polski. Ponieważ jednak nie wiadano, jakie siły zgromadził król polski pod Lwowem, postanowiono wyjaśnić sprawę uderzeniem 20.000 doborowej ordy, dowodzonej przez braci chańskich nuradyn-sołtana i Adży-Giereja. Mieli oni wypróbować odporność obozu lwow-

skiego i rozpuścić czambuły aż pod Lublin i San. 22 sierpnia wyruszyli z kosza i, minąwszy Złoczów, walili wprost na Lwów.

Tymczasem 20 sierpnia, ku przerażeniu Króla, przybyła do Lwowa wraz z dziećmi królowa Marja Kazimiera, a w parę dni potem armaty Wysokiego Zamku obwieszczały mieszkańcom miasta zbliżanie się masy nieprzyjacielskiej. W mieście zapanował nastrój nieco nerwowy i podczas gdy Król wydawał ostatnie zarządzenia do jego obrony, zaczęto go nawet prosić, by nie narażał swej osoby na niebezpieczeństwo i wyjechał w miejsce bezpieczniejsze. Z całym spokojem odrzucił Sobieski tę, nieliczącą z jego charakterem, propozycję: „Przestalibyście mnie szanować, gdybym za waszem poszedł zdaniem“.

W dniu 24 sierpnia nadeszły od rozesłanych podjazdów, przybywających o świcie, meldunki o nadciągającej burzy. Od wczesnego ranka, gdy mieszczañstwo obsadzało cechami obronne baszty i mury, a żołnierz w obozie krzątał się w gorączce przedbitewnej, król Jan udał się na punkt obserwacyjny na Lwiej Górze, dzisiejszej Piaskowej, i stąd, rozglądając się przez lunetę w terenie, wydawał zarządzenia i układał plan zbliżającej się bitwy.

W kierunku wschodnim otwierała się przed nim, rozszerzająca się na wschód ku Kamieniopolowi, Biłce i Miklaszewu, płaszczyna wzdłuż Pełtwi, ograniczona na południu szeregiem wzgórz, porośłych lasami i ciągnących się od Wysokiego Zamku ku wschodowi, gdzie na horyzoncie dalej na południe przestaniała widok wyniosłość Czartowskiej Skały. Na północy

silna fałda terenowa przy Zboiskach zamykała widnokrąg. Od Zboisk i Zniesienia — bagna i trzęsawiska Pełtwi; na południowym jej brzegu szeroki pas dębiny, ciągnący się od Kamieniopolu w kierunku Lwowa. Równolegle do wzgórz biegł w kierunku gliniańskim wśród lasu i krzewów gościniec, na który z równiny dawały wyjście dwa wąwozy wpobliżu Lesienic. Przy bardziej wysuniętym na wschód, a idącym od karczmy lesienickiej na równinę, teren tej równiny ściśnięty był bagniskami tak, że pomiędzy wzgórzami a owymi bagnami i porastającą je dąbrową pozostawała wolna przestrzeń, nie przenosząca trzechset metrów.

Stojąc na swem stanowisku i mając wiadomości, iż wali na Lwów cała orda tatarska, rozważał Król wszelkie możliwości i przypuszczał, że nieprzyjaciel pociągnie z pewnością równiną, a być może zechce wyjść na gościniec gliniański. Wydawało się jednak możliwe, że przy ogromnej masie, część jego sił zbliży się ku miastu pod osłoną terenu od północy i runie od Zboisk. Nie było wykluczone również i posuwanie się czambułów wąwozami w okolicy Winnik i Bóbrki, skąd mogły one, zbliżywszy się skrycie, uderzyć na prawy bok, a nawet tyły polskiego obozu.

Przezorny wódz postanowił obsadzić wszystkie kierunki i działać w zależności od tego, jak będzie poczynął sobie nieprzyjaciel. Na gościniec bobrecki ruszyła więc cała obecna w obozie jazda litewska pod wodzą hetmana polnego litewskiego Radziwiłła. Liczyła ona około 800 koni. Na drodze ku Winnikom stanął z piechotą generał-major Korycki. Ku karcz-

mie i wążowowi pod Lesienicami pchnął Król około 200 piechoty z kilku działkami i 200 lekkiej jazdy wołoskiej. Dowództwo nad słabym tym oddziałkiem objął wytrawny żołnierz, strażnik koronny Bidziński, mając przy sobie ognistego kawalerzystę, kawalera maltańskiego Hieronima Lubomirskiego, słynącego ze swej zapalczywej odwagi. Pod Zniesieniem stanęło 200 ussarji, strzegąc dostępu do Wysokiego Zamku i królewskiego obozu. Stąd wysunięte naprzód ku Zboiskom czaty miały mieć oko na tamte okolice i zawczasu dać znać w razie zbliżenia się z tej strony niebezpieczeństwa. Pozostałą jazdę, liczącą 1.200 do 1.500 koni, wyprowadził Sobieski przed obóz w kolumnie, zwróconej ku Lesienicom. Był to jego odwód, który mógł skierować w każdej chwili na zagrożony punkt. Większa część piechoty i dragonji pozostała w obozie. Pod Lesienicami Bidziński zgrabnie porostawiał swoją piechotę i działka w wążiutkim wążowie, a chorągwie wołoskie zatrzymał wpobliżu karczmy.

Około południa mijali Tatarzy Biłkę Szlachecką i, zapaliwszy Miklaszów i Kamieniopol, pędzili szerokim klinem wzdłuż równiny, kierując się ku Lwowu. Jasne już było, że z tej strony spadnie główne uderzenie. Wkrótce potem zaczęły do króla nadbiegać meldunki, że od strony Bóbrki nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Poleciał więc rozkaz do Radziwiłła, by powracał jak najszybciej do Króla.

Znając teren, jak własną kieszeń, Sobieski postanowił uczynić zeń swego sprzymierzeńca i sprawić srogie cięgi ordyńcom na najwęższej przestrzeni,

gdzie nie mogli oni rozwinąć wszystkich swych sił. Chciał przytem zażyć fortelu. Ponieważ porośnięte wzgórza utrudniały ruch jego ussarji, odebrał jej kopje i kazał wziąć jej towarzyszom w ręce petyhorskie rohatyny, kopje zaś ussarskie oddać pachołkom. Zbrojni w te kopje, pachołkowie ussarscy mieli stanąć wśród krzewów u stóp wzgórz, pomiędzy wąwozem pod Lesienicami a drugim, prowadzącym z równiny ku Krzywczycom. Ponadto pozatykano tu jeszcze wśród lasu zbywające kopje ussarskie. Od strony Tatarów musiało się zdawać, że stoją tu potężne masy tak groźnej dla bisurmanów ussarji.

Okolo 3-ciej po południu horda tatarska zbliżyła się do lesienickiego wąwozu i stąd zamierzała zwrócić się na gościniec gliniański, a może i uderzyć na tyły owej widocznej wśród zarośli ussarji, a w każdym razie przedrzeć się masą ku Lwowu. Gdy czołowe szeregi wtoczyły się hurmem w wąwóz, ryknęły raptem dobrze ukryte działa i sypnęły w tłuszcę tatarską kartaczami, a zaraz potem zatrzeszczały muszkiety piechurów Bidzińskiego, plujących zbliżając się do lesienickiego wąwozu. W wąwozie zagotowało się, jak w kotle. Nieprzyjaciel zdumiony niespodziewanem przyjęciem, cofnął się szybko, a następnie raz jeszcze rzucił w wąwóz galopem jakiś czambulik. Z wyciem przelecieli Tatarzy przez wąwóz i, wydobywając się na gościniec, podpalili lesienicką karcznię. Tymczasem, jak grom, spadł na nich na czele swoich Wołochów Lubomirski i, szczerbiąc swe szable na pozańskich karkach, wyjechał na nich aż do wyjścia z wąwozu. Zaskoczona niespodzianką orda tłoczyła

się w zamieszaniu przed wąwozem, ałlachując przeraźliwie, lecz nie śmiąc ruszyć się naprzód. Powiewające wśród krzewów proporce ussarskie napawały ją przerażeniem i odbierały jej wszelką ochotę do śmiałego marszu równiną ku Lwowu pod grozą, mającej spaść na jej bok, burzy zapamiętałej szarży ussarji.

Coraz to nowe tymczasem przybywały zastępy ordyńców i coraz większe stłoczenie i zamieszanie było w ich szeregach. Ściśnięci pomiędzy bagnem a wzgórzami, nie mieli Tatarzy przestrzeni, by rozwiniąć i wyzyskać swe groźne siły. Teraz na rozkaz królewski zaczęły wychodzić drugim wąwozem, wiodącym od Krzywczyz, chorągwie ussarskie, złożone z samych towarzyszy, oraz cała pozostała jazda. Jedna po drugiej sprawiały szyk polskie chorągwie i, ruszając z kopyta, wpadały jak burza w zbitą masę tatarską. Bój nie trwał i pół godziny. „Jakby widmo straszliwe — opowiada pisarz francuski Daleyrac — stanęła ogromna armja przed zagrożonem miastem i jak sen znikła“. Pod ciosem potężnego uderzenia polskiego rycerstwa prysły zastępy tatarskie i rwały co koń wyskoczy w powrotną drogę ku Złoczowu.

Wrażenie lesienickiego pogromu potężny wywarło wpływ na chana i tureckiego wodza. Jak ręką zdjęte upadły zamiary zwycięskiego marszu na Lwów i przyparcia zastępów królewskich do Wisły. Aby przejawić jakąś działalność, zwrócił się Szyszman przeciwko Trembowli, dzielnie bronionej przez Samuela Chrzastowskiego i jego bohaterską małżonkę Annę Dorotę, zachęcającą obrońców do wytrwania. Wpadły uprzednio w ręce nieprzyjacielskie królewskie Pomorzany,

słabo strzeżone przez Sieniawskiego Podhajce i słaby zameczek Zawałów. Cały rozpęd turecko-tatarski był już jednak złamany i trzeba było tylko jakiegoś zaczepnego wystąpienia Króla, by dumny serdar, który niedawno podawał „condicje”¹ sromotne i niepodobne“ pokoju, porzucił niedoszły łup i zaczął się cofać. Jakoż tymczasem rosły siły królewskie, w parę dni po lesie-nickiem zwycięstwie nadciągnął Pac z Litwinami. Wkrótce potem, pościągawszy inne oddziały, miał Król pod swemi znakami około 30.000 żołnierza. Gotował się teraz do wydania nieprzyjacielowi walnej rozprawy pod Trembowłą i wydawał do niej zarządzenia. 3 października stał o 18 kilometrów od Trembowli pod Buczaczem i grzmotem swych dział obwieszczał oblężonym o rychłej odsieczy. Nietylko jednak Chrzanowski słyszał te działa, grzmot ich padł strachem na duszę Szyszmiana. Nie zamierzał on bynajmniej czekać, aż wpadnie nań groźny „Lew Lechistanu” i, porzuciwszy oblężenie, uchodził co prędzej ku Dniestrowi. Urok królewskiego imienia wystarczał teraz, by skłonić tureckiego wodza do pośpiesznego odwrotu, zakrawającego na ucieczkę. Groźna nawala, jak chmura pędzona wiatrem, odpływała szybko z ziem Rzeczypospolitej.

Dotarłszy do Czarnokoziniec i wymiótłszy Podole z ostatnich czambułów, Król ogłosił 10 listopada kampanję za ukończoną i zapowiedział sejm koronacyjny na 4 lutego 1676 roku w Krakowie. Raz jeszcze genjusz królewski wyniósł na swych barkach Rzeczpospolitą z ciężkich opresyj strasznej wojny tureckiej.

¹ Warunki.

XIV

KORONACJA I PRÓBY REFORM

Świeże wawrzyny, wplecione w wieniec zwycięstw Sobieskiego dzięki ostatniej kampanji, znów rozniosły szeroko imię Króla-Bohatera po całym świecie, a w Rzeczypospolitej głośnem odbiły się echem, szerząc wśród jej obywateli poczucie pewności i bezpieczeństwa pod berłem wojennego pana. Wzrósł urok jego imienia i jego popularność wśród narodu, więc gdy zbliżał się sejm koronacyjny, wśród umysłów masy dojrzewały nastroje zaufania, które zdawały się wróżyć łatwe przeprowadzenie pomysłów królewskich w sprawie przygotowania nowych, potężnych środków na dokończenie wojny z Turcją, a być może również i owych zamierzeń, mających na celu wzmocnienie władzy królewskiej. Jeśli jednak triumfy orężne Jana III jednały mu w obecnej chwili serca i zaufanie masy szlacheckiej, która nie zawiodła się na swym wybrańcu, budziły one niepokój i obawę wśród ludzi, nieprzychylnych mu w okresie elekcji, a związanych z dworem austriackim lub z brandenburskim elektorem. Na Litwie knuli przeciw Królowi wrogo usposobieni Pacowie wraz z wojewodą trockim, Marcjanem Ogińskim, gotowi nawet zerwać unję i po-

łączyć się z carem moskiewskim, byle nie znosić rządu Sobieskich. W Małopolsce sprzyjał oddawna Austriakom zacny biskup Trzebicki, a obok niego klientami cesarza byli Stefan Czarniecki, ów były marszałek konfederacji gołąbskiej, oraz książę Dymitr Wiśniowiecki, dobrze opłacany z Wiednia, niedawny pośrednik, torujący Królowi — w okresie elekcji — drogę do tronu w pertraktacjach z Pacami. W Wielkopolsce szerzył się pokryjomu wpływ podziemny Kurfirsta¹, podniecany przez rozmaitych sprzedawczyków z Janem Leszczyńskim na czele. Stanowiący dotychczas zupełną tajemnicę, traktat jaworowski, o którym wiedział w Polsce dokładnie tylko dawny przyjaciel królewski, Stanisław Jabłonowski, nie dotarł jeszcze do wiadomości przeciwników Króla. Nie mogły się ukryć natomiast ciągle porozumiewania się jego z ambasadorem francuskim, a zapewne i niejedno nieostrożnie bąknięte słowo kazało malkontentom mieć się na baczności. Trafnie odgadywali oni zbliżenie się Króla do Francji i przeczuwali w niem projekty wystąpienia przeciwko dworowi austriackiemu, oraz zakusy królewskie na Prusy. Książęce i zamiary wzmocnienia swej władzy, a również utworzenia dziedzicznego tronu.

Już w ciągu 1675 roku zdołali malkontenci wszelkich zabarwień porozumieć się ze sobą i zawiązać tajemną konfederację w celu niedopuszczenia do koronacji Jana III. Ponoć niektórzy gotowi byli nawet znieść to „nieszczęście“, byle nie dopuścić do korona-

¹ Elektora brandenburskiego.

eji Marji Kazimiery. Snuli oni plany rozwiedzenia Króla z Marysienką i ożenienia go z wdową po królu Michale. Gdy te projekty zawiodły, spiskowcy wytężali siły, by pokrzyżować zamiary królewskie co do Prus i Węgier, a przed samym sejmem koronacyjnym rozpuszczali wieść, że król zamierza ukrócić swobody szlacheckie, lecz że cesarz i elektor nie dopuszczą do pokrzywdzenia szlachty, a podczas sejmku zabiegała już opozycja u posłów austriackich o obietnicę protekcji cesarskiej.

Mimo wszystko jednak w dniu 2 lutego 1676 roku odbyła się w Krakowie z wielkim przepychem i wspa-
niałością koronacja królewskiej pary, poprzedzona pogrzebem dwóch ostatnich królów. W dwa dni później został otwarty sejm koronacyjny, który miał naogół — od dawnych już czasów nieznany — spokojny i zgodny przebieg. Na sejmie tym wystąpił Jan III ze znakomicie przemyślanym planem utworzenia potężnej, regularnej armji, oraz z projektami, zmierzającymi do ukrócenia władzy hetmańskiej i uzależnienia jej od króla. Ideą pierwszego projektu było utworzenie potężnego wojska, utrzymywanego kosztem obywateli. Według królewskiego planu 28 dymów miało wystawiać jednego piechura, uzbrojonego w muszkiet i berdysz, zaopatrzonego w zapas amunicji i przybranego w barwę swego województwa. Sejmiki miały obierać kapitanów dla tej piechoty. Koszta utrzymania wojska miały spadać na właścicieli miejskich i wiejskich, oraz kapitalistów, z tem, że utrzymanie jednego żołnierza miało przypadać na każde 20.000 złotych posiadanego kapitału. A ta nowa wy-

prawa wojska miała się odbywać bez uciemnienia poddanych, z własnych zasobów posiadaczy. Wojsko Rzeczypospolitej miało osiągnąć ogromnej liczby 100.000, z których 80.000 przypadało na Koronę, a 20.000 na Litwę. Tak wielki był autorytet Króla i zaufanie doń narodu, że doniosła ta reforma, mogąca odrazu uczynić z Polski jedną z najsilniejszych potęg w Europie, została uchwalona niemal bez tarć.

Drugi natomiast projekt, zmierzający do skrócenia okresu sprawowania władzy przez hetmanów do trzech lat, projekt, z którym wystąpił w porozumieniu z Królem prymas Olszowski, napotkał odrazu na tak silny opór, że wypadło szybko go cofnąć, aby nie narazić również i innych reform na niemożność ich uskutecznienia. A projekt ten miał doniosłe znaczenie, gdyż zmuszał hetmanów, pragnących zachować swą władzę, do poważnego liczenia się z wolą królewską i przez to mógł znacznie ukrócić samowolę i warcholstwo hetmanów w rodzaju Michała Paca i wpłynąć na ogólne wzmocnienie władzy królewskiej.

Na tym samym sejmie rozdawał Jan III po raz pierwszy od wstąpienia na tron wakujące urzędy. Jak zawsze wspaniałomyślny i przezorny, nie zapominał o swych politycznych przeciwnikach. Buławę wielką koronną otrzymał więc Dymitr Wiśniowiecki, choć rozlegały się głosy, że król ją na zawsze powinien zachować przy sobie. Laska marszałkowska przypadła w udziale Stanisławowi Lubomirskiemu, synowi pozbanionego jej niegdyś przez Ludwikę Marię głośnego rokoszanina i przeciwnika Sobieskiego, Jerzego. Buława polna koronna przeszła w ręce przyjaciela Króla

Stanisława Jabłonowskiego. Podkanclerstwo koronne otrzymał biskup Wydzga, gdyż Andrzej Olszowski wyniesiony został do godności prymasa.

Niestety, piękne uchwały w sprawie rozbudowy wojska, mogące uczynić z Polski pierwszorzędną potęgę wojskową i umożliwić Królowi szczęśliwe zakończenie w sposób ostateczny wojny tureckiej, pozostały tylko na papierze. Nie załagodziły malkontentów tylko co okazane przez Króla dobrodziejstwa i zaszczyty. Szerzyli oni wśród szlachty pogłoskę, że pokój z Turcją już został potajemnie zawarty, że Król potrzebuje tego ogromnego wojska dla jakichś osobistych celów, a przede wszystkim, by zagarnąć absolutną władzę. I podszepty te znajdowały posłuch wśród masy i uniemożliwiały przeprowadzenie doniosłej reformy, wydzierając z rąk Króla oręż w przededniu nowej wojny. Rzecz dziwna, nikt tak nie pracował nad sprawą niedopuszczenia do owej rozbudowy wojska i nikt tak pokątnie przeciwko niej się nie podkopywał, jak świeżo kreowany hetman wielki koronny, książę Dymitr Wiśniowiecki. I oto, gdy Król wyruszy na nowe zapasy z Półksiężycem, z uchwalonej przez sejm potężnej 100.000-nej armji będzie miał, ruszając z pod Lwowa, zaledwie 20.000.

Wojna tymczasem się zbliżała, gdyż wszystkie zabiegi dyplomatyczne Francji, pragnącej wpływami swemi w Konstantynopolu doprowadzić do zawarcia pokoju, nie dawały żadnego wyniku, wobec dążności Turcji do przeprowadzenia zbrojnego ramienia swoich zamiarów względem Polski i zmuszenia jej do wykonania warunków buczackiego traktatu. Wobec

przygotowań tureckich do nowej rozprawy i nieprzejednanego stanowiska Porty, poseł Ludwika XIV zwątpił ostatecznie w skuteczność swych starań i doszedł do przekonania, że Turcja podyktuje Polsce warunki, kierując się jedynie poczuciem własnej potęgi.

Zbliżała się nowa gra, w której Rzeczpospolita w dziwnem zaślepieniu odbierała królewskiemu Wodzowi, jak zwykle, szanse zwycięstwa. Było to — co roku powtarzane — chodzenie nad skrajem przepaści, któremu ogłupiane i ślepe społeczeństwo oddawało się z dziwną systematycznością. Szczęściem dla niego na tronie polskim sprawował rządy genjusz wojskowy, który niezłomną wolą i żelazną energją sam jeden umiał odpierać ciosy, mogące powalić ostatecznie Rzeczpospolitą.

XV

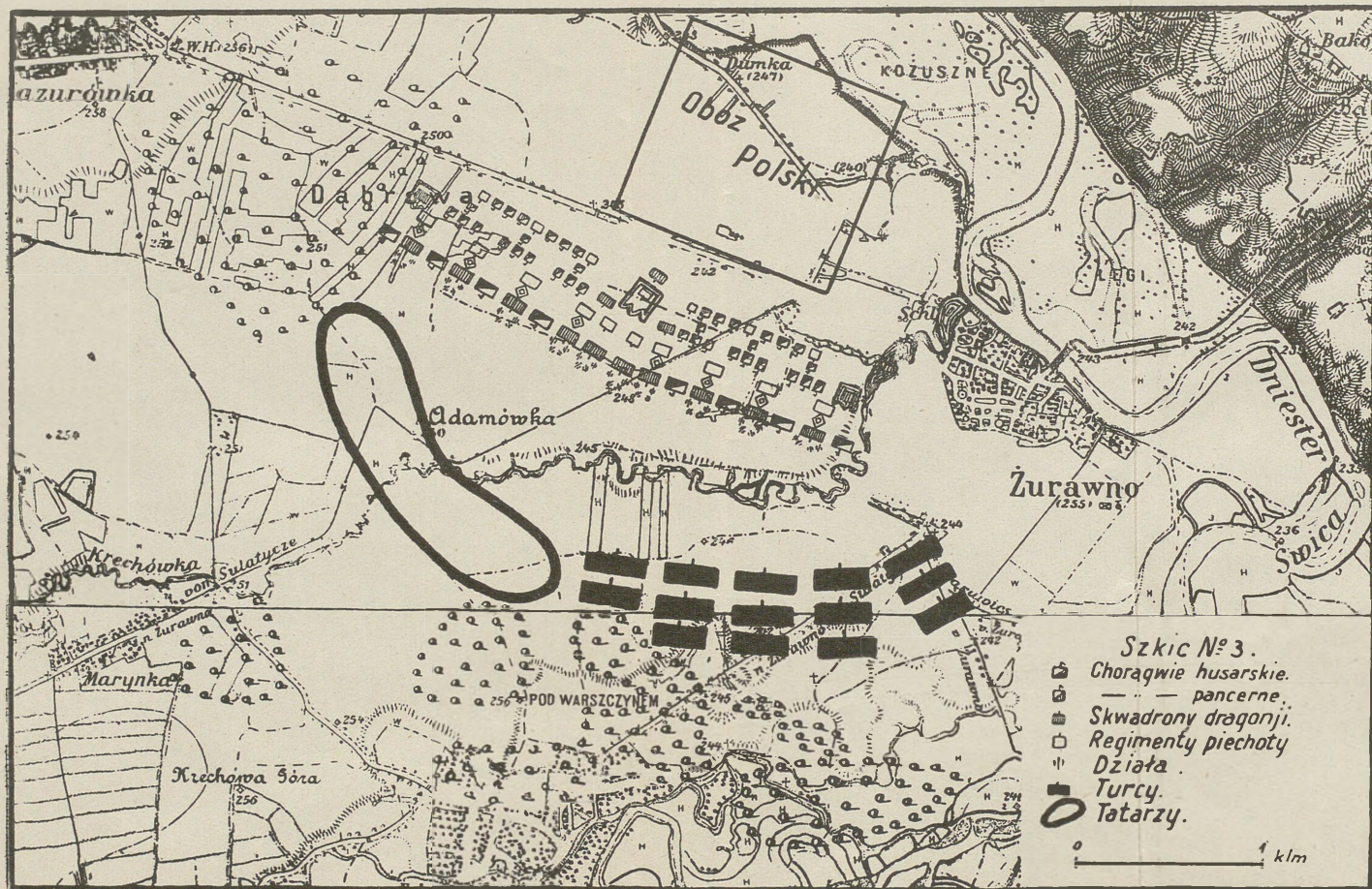
ŻÓRAWNO

Od strony Półksiężycy przylatywały tymczasem pierwsze jaskółki nowej wojny. Gdy dopiero w pierwszych dniach czerwca zatoczono obóz pod Szczercem, w którym się miało zbierać wojsko koronne, a drugi miał stanąć pod Beresteczkiem dla Litwinów, już niefortunny przeciwnik królewski z przeszłorocznej kampanji, Ibrahim-Szyszman, zdążył przekroczyć Dunaj i stanąć pod Cecorą. A wkrótce potem nadbiegła pogłoska o połączeniu się jego z krymskim chanem. W końcu miesiąca wpadły już pierwsze czambuły tatarskie na Wołyń, a przez lipiec i sierpień pustoszyły one Wołyń, i Pokucie, i Polesie, sięgając ku Korcowi za Ostróg. Na szczęście, śmierć serdara na kilka tygodni wstrzymała pochód turecki. W połowie sierpnia, mianowany nowym serdarem, stary, lecz rzeźki pasza Damaszku, Ibrahim-Szejtan (Szatan) zbliżał się już ku Chocimowi, wiodąc ze sobą około 40.000 Turków z potężną artylerją i około 60.000 Tatarów.

Tymczasem Rzeczpospolita gotowała się opieszale do nowej wojny, a jeszcze opieszalej zbierał się do obozu żołnierz. Więc żalił się Król, że „podatki zwleczone i... zmalone, i wyprawy dymowe albo cofnione,

albo spóźnione, że się ledwo ku Św. Marcinowi (11 listopada) spodziewać“. Powoli bardzo zbierały się słabe i kuse chorągwie. W końcu czerwca nie posiadał jeszcze Król sił dostatecznych do rozpoczęcia poważniejszych działań. Musiał więc liczyć narazie, że osadzone w zeszłym roku w Białej Cerkwi, Pawołoczy, Berdyczowie, Kalniku, Niemirowie, Barze, Międzybożu, Brzeżanach, Załoścach, Trembowli i Jazłowcu, załogi potrafią dać „pierwszy wstręt“ nieprzyjacielowi, aż się zgromadzą pod Lwowem dostateczne siły. By powstrzymać pochód nieprzyjaciela, wysłał jednak w połowie sierpnia naprzód ku Chocimowi strażnika wojskowego Zbrożka z poleceniem, by zburzył tam, budowany przez Turków, most na Dniestrze. Wyprawa ta jednak na cztery dni tylko zdołała powstrzymać pochód Szejtana, który po odbudowaniu mostu, zepchnął dzielnego strażnika do Stanisławowa. Wkrótce okazało się, że nowy serdar nie zamierza bynajmniej iść utartym szlakiem na Lwów, lecz ciągnie na Pokucie. Zajął on Czortków i Jagielnicę i stanął pierwszego września pod Jazłowcem. Po łatwych sukcesach, oddających w ręce tureckie Jazłowiec, Buczacz i Potok, masa turecko-tatarska przekroczyła raptownie Dniestr, zdobyła Jezupol i Tyśmienicę, zaatakowała Halicz i ciągnęła na Stanisławów.

Król zwołał więc 17 września radę wojenną w Żółkwi, na której postanowiono ruszyć pomimo słabości sił przeciwko nieprzyjacielowi, by odciągnąć go od Stanisławowa. 19 września wyruszyły wojska koronne z pod Lwowa, podczas gdy Litwini ciągnęli od Beresieczka. A w trzy dni później, złączwszy swe siły, ar-



Plan obrony obozu pod Żórawnem

mja królewska, licząca zaledwie 20.000, przekroczyła Dniestr. Sam Król, maszerując pośpiesznie na czele jazdy, 22 września dotarł do Żydaczowa, o północy ruszył dalej, zaś o świcie dnia następnego stanął pod Żórawnem.

Unoszące się na przedzie dymy wskazywały, że nieprzyjaciel stoi wpobliżu. Jakoż, gdy sam serdar szturmował do Halicza, wysłane przodem oddziały dobywały dzielnie bronionego przez samo chłopstwo Wojniłowa. Pozostawiwszy zatem w Żórawnie całą piechotę i artylerję wraz z taborami, Sobieski zabrał nocą swą kawalerję, dragonów i kilka lekkich armatek i pomknął naprzód. Dotarłszy do Dołhej, zatrzymał wojsko i pchnął w 18 chorągwi Hieronima Lubomirskiego, mianowanego niedawno na sejmie chorążym koronnym, ku Wojniłowu. Ten, wybieżawszy naprzód, wsiadł niespodzianie na Turków, wmgig ich rozprószył i pędził dalej na karkach tureckich aż pod Halicz ku samym obozom serdara. Zuchwałe ukazanie się junaka poruszyło rojowisko turecko-tatarskie. Niebawem 10.000 orda i nieco Turków wpadło na chorążego, który na rozkaz królewski, otrzymany wraz z posiłkami, począł się cofać, naprowadzając pohańców na stojącego pod Dołhą Króla. Tu wśród płonących naokoło wsi, podpalonych przez chana, by ściągnąć czambułujących Tatarów, król Jan przygotował porządne przyjęcie przeciwnikowi, a gdy pod wieczór zaroily się pola i wzgórze tatarskim tłumem, szeregi polskie stały już w sprawie, zwrócone czołem ku Wojniłowu i przeprawie przez potok Bołochówkę. Gdy Tatarzyn spróbował przeprawy i chciał ogarnąć szyk

polski, przyjęły go godnie chorągwie, tak, że z 1.500 trupa pozostawił na polu. Teraz, zebrawszy swoje oddziały, cofnął się Król ku Żórawnu, a w tropy za nim postępowali Tatarzy, paląc wokoło wioski. Przy krwawej łunie wracało wojsko do swego obozu.

Obóz zajmował orne pola na północ od miasteczka Żórawna, na niskim prawym brzegu Dniestru. Od północy i zachodu broniły obozu porośnięte dąbrową bagnicka, od wschodu osłaniał go płynący ukosem Dniestr, od południa — stawy, wpadającej do niego, Krechówki. Dostęp do obozu miał nieprzyjaciół jedynie od południowego zachodu. Tu przecinała teren ta sama Krechówka, a dalej poważniejsza już rzeka Świeca, za którą wznosiły się porośnięte lasami wzgórza. Obierając tu stanowiska, liczył Król, że rzeki osłonią go dobrze w tej porze jesiennej przed nieprzyjacielem i nie mała mu będą przeszkodą. Omylił się jednak, gdyż suche lato pozbawiło go tych naturalnych przeszkód. I Świecę i Dniestr mógł nieprzyjaciół przechodzić dowoli.

Już tej samej nocy nadbiegli Tatarzy i próbowali po raz pierwszy szczęścia, nazajutrz okryli oni pola, a wokół zaczęły się wznosić ku niebu dymy, palonych przez ordyńców, wiosek i brogów. 26 września zjawiała się już cała potęga tatarska i chan, przekroczywszy Świecę, podszedł pod pułki królewskie. Przyjęty jednak potężnym ogniem, musiał się cofnąć. Tymczasem pracowano zawzięcie nad umocnieniem polskiego obozu, a przy sypaniu wałów sami nawet hetmani chwyтали za rydel. „Niedziela (27-go) ...była bardzo cicha — pisał król Jan. — Ciele tylko gadać z naszymi

podjeżdżali Tatarowie, ale już i Turków niemało było między niemi, którzy na tej górze nad Świecą rzeką, co i Tatarowie, obozem stawać przed wieczorem poczęli i już swymi ogniami wszystkie góry okoliczne okryli. Nic piękniejszego, jako na to patrzeć. Właśnie taki bywa grób z lamp, robiony w wielki piątek u Bernardynów“.

Zato następny dzień cały przeszedł wśród nawałnicy bojowej. Skoro przybyło kilku paszów, nie czekając na przyjazd Ibrahima, chan rzucił na obóz polski wszystkie swe siły. Przed tym obozem w oparciu o kilka wybudowanych redut stały polskie szeregi piechoty, pomieszanej z jazdą i najeżone działami Kątskiego. Naogół silnie był ufortyfikowany obóz polski z wyjątkiem strony, obróconej ku Dniestrowi, gdzie, licząc na rzekę, z pewnem opóźnieniem wykańczano wały. Ruszyły, przeszedłszy Świecę, zastępy tureckiej piechoty i popędziły z głośnem ałlahowaniem chmury Tatarów. Spokojnie stojąc w miejscu, zionęła ogniem piechota i zaryczały działa Kątskiego. Jak potężna fala uderza o skały i, rozbiwszy się o nie, odpływa zpowrotem, tak się rozbiły w ogniu działowym zastępy piechoty muzułmańskiej i wstecz zawróciły. Jak skała mocne i nieskruszone stały polskie szeregi. Zato masy Tatarów „wszystkie kąciki obozu zmacały“, a nawet, korzystając z wyschnięcia wód Dniestru, próbowały mu zabiec od tyłu; wszędzie jednak zostali Tatarzy odparci. Przez cały dzień stały w sprawie chorągwie i regimenty, a gdy pod wieczór począł chan ściągać swoje zastępy, Król ruszył naprzód swe wojsko, ziejąc działami. Na łeb na szyję uchodzili Tatarzy za

świecę. Tegoż dnia kazał Sobieski zająć i obwałować zamek i miasteczko Żórawno.

Nazajutrz przybył już ze wszystkimi siłami Ibrahim-pasza i za przykładem chana rzucił całą swą masę do szturm. Na prawem skrzydle, od Dniestru, ruszali Turcy, na lewem — Tatarzy. Dzielnie dawały przecież odpór chorągwie i regimenty, a kule działowe wyrzywały całe szeregi z nieprzyjacielskich zastępów i znów widział wieczór bezładną ucieczkę Tatarów i Turków i pościg polskich oddziałów.

Utracił serdar narazie ochotę do szturm. i rozpoczął regularne oblężenie, któremu towarzyszyły ustawiczne harce. Poczęli więc sypać Turcy coraz to wyższe wały i, ustawivszy działa, zarzucali królewski obóz gradem pocisków. Coraz to bliżej podszańcowywał się nieprzyjaciel i coraz zaciętszą stawiała się kanonada. Przez cały tydzień, spowity w dymach działowych siał obóz polski błyskawice kul armatnich i bezustanku pracowali kanonierzy. Po tygodniowej walce artylerji doszło do nowych szturmów. Coraz trudniejsza tymczasem była obrona. Odczuwano w obozie brak żywności i paszy, głód już zaczynał w oczy zaglądać, a wkrótce zabraknąć mogło nawet amunicji; chwilami zaczynało się szerzyć wśród braci żołnierskiej zwątpienie. Z niespożytą mocą zwalczał je wtedy Sobieski i umiał podnosić ducha. „Z gorszych wyprowadzałem was terminów — mówił do swoich żołnierzy — czyż myślicie, że głowa moja stała się słabszą po włożeniu na nią korony“. Próbował Ibrahim złamać odporność wojska, przysyłając posłów i łudząc pokojem, lecz gdy posłowie tureccy śmieli podawać Królowi warunki

buczackie, usłyszeli groźną odpowiedź, że gdyby nowy poseł śmiał te warunki powtórzyć, każe go Król w tejże chwili powiesić. Rozgorzały więc nowe boje. Po nieudanych szturmach wciąż bliżej podszańcowywał się Turek i coraz gęściej lały kule przez majdan polskiego obozu. Wreszcie 10 października działa tureckie stały już pod samymi redutami. Wypadło opuścić je w nocy z 12 na 13 października i cofnąć się do obozu. Z opuszczonych redut raził teraz ogniem nieprzyjaciół obozowe wały. Lecz i nasze armaty straszne czyniły spustoszenie w tureckich szeregach. Zaczęły się deszcze, więc wódz turecki pod groźą zalewu swoich stanowisk, widząc niesłabnący opór obrońców i ogromne straty wśród swoich, zwątpił o możliwości pokonania Króla i 14 października rozpoczął pertraktacje o pokój, nie wspominając o Buczacz.

17 października 1676 roku, na skutek bohaterskiej obrony, kierowanej niezmożoną energją Jana III, stanął nareszcie pokój, nie taki zapewne, jakiego sobie Król życzył, projektując stworzenie 100.000 armji, lecz zawsze pokój, zmazujący haniebną buczacką sytuację. Znaczna część Ukrainy powracała do Rzeczypospolitej, gdy reszta pozostawała w ręku kozaków pod opieką Porty. Kamieniec pozostał przy Turcji, a sprawa Podola miała być rozstrzygnięta w ciągu dalszych układów, które prowadzić miało poselstwo polskie, po przyjeździe do Konstantynopola. Tatarzy obiecywali powstrzymać najazdy i zwrócić cały jassy. Ponadto grób Pański i Betlejemską Świątynię, będące w ręku schizmatyków, oddawali Turcy katolickiemu duchowieństwu.

Żórawiński układ podnosił Polskę w oczach Europy, która widziała, jak po raz pierwszy najpotężniejsze mocarstwo wojenne świata zostało powstrzymane w rozpędzie zaborczym przez wojska polskiego króla i cofnęło się przed jego szablą. W oczach świata w nowym blasku stał teraz król polski, a dyplomacja francuska chciała z nim dzielić chwałę zawarcia pokoju, podnosząc położone ponoć przy układach zasługi. I tylko Polska płaciła Królowi-Wodzowi niewdzięcznością i witała pomrukiem niezadowolenia żórawiński pokój. Ci sami ludzie, którzy udaremнили Królowi wprowadzenie w czyn jego wojskowej reformy i stworzenie potężnego narzędzia walki, z najsurowszą odzywali się krytyką. Ta sama szlachta, która nie drgnęła, by ruszyć ze swym Królem na boje ze srogim Półksiężycem, i pozostawiła go w ciężkich zmaganiach z niezmierną przewagą nieprzyjacielską na czele słabej garstki żołnierza, wszczęła teraz krzyk o pozostawienie w ręku tureckiem Kamieńca i niepewne losy Podola. Podniosła głowę na nowo austriacka intryga, a opozycja polskich magnatów zwróciła się otwarcie i skrycie przeciw Królowi, by sparaliżować wewnątrz kraju jego poczynania, by utrudnić mu pracę dyplomatyczną, jak przedtem paraliżowała jego sukcesy wojskowe i utrudniała mu pracę w zapasach orężnych.

XVI

PRZED WYPRAWĄ WIEDEŃSKĄ.

O ile zawarcie pokoju Rzeczypospolitej z Turcją dogadzało całkowicie Francji, rozwiązując Królowi ręce i przybliżając wykonanie jaworowskiego traktatu, o tyle było ono zupełnie nie na rękę dworowi cesarskiemu i budziło w nim poważne obawy, zarówno ze względu na możliwość zaatakowania przez Sobieskiego sprzymierzonego z Austrią elektora brandenburskiego, jak też i dlatego, że Turcja była w stanie obecnie zwrócić swe siły przeciwko cesarstwu. Również niepożądane było dla dworu cesarskiego podniesienie autorytetu zwycięskiego Króla Rzeczypospolitej, mogące doprowadzić do wzmocnienia jego władzy. Ponieważ narazie niebezpieczeństwo tureckie zdawało się bardziej groźne, dyplomacja austriacka postarała się o znalezienie sojusznika w państwie moskiewskiem i zawarła 22 października 1676 traktat z carem Aleksym, mający na celu wzajemną gwarancję przed napadem ze strony Turcji lub Polski — Austriakom chodziło tu o możliwą dywersję w kierunku Węgier — oraz zabezpieczenie się przed zamachem Króla na starodawne wolności szlacheckie i próbą pochwycenia w ręce władzy absolutnej. Na szczęście wo-

bec śmierci cara Aleksego traktat ten, jeden z pierwszych, które uknuto w celu podtrzymania nierzędu w Polsce, nie zdołał wejść w życie.

Zato w Rzeczypospolitej intryga austriacka znalazła sojuszników w opozycyjnych magnatach, którym przyszedł z pomocą zaniepokojeni traktatem żórawińskim i niepewni swego losu Podolanie. Cała opozycja, która niedawno utrudniała Królowi stworzenie potężnego wojska, zaczęła teraz krytykować warunki pokoju i wszczęła krzyk o Podole, a przede wszystkim o Kamieniec. Jakkolwiek opozycja ta zachowywała postawę wojowniczą względem Turcji, nie omieszkiała jednak przeprowadzić na najbliższym sejmie, za sprawą Paców i ich przyjaciół, uchwały o zredukowaniu wojska Rzeczypospolitej do 12.500. Działo się to w chwili, gdy nadzwyczajne poselstwo miało wyjechać do Konstantynopola w celu ostatecznych pertraktacyj i wytargowania u Turcji jak najdogodniejszych warunków w sprawie spornych punktów traktatu. A przecież jasną było rzeczą, że poselstwo to może liczyć na sukces tylko wtedy, gdy Rzeczpospolita będzie posiadała dość silne ramię zbrojne do poparcia swych żądań.

W sprawach wojskowych udało się Królowi jedynie przeprowadzić konstytucję o tak zwanej „konsystencji wojsku“, na podstawie której w okolicy Krzemieńca, Buczniowej i Trembowli zakupiono znaczne dobra na postój dla wojska i założono kolonie wojskowe. Dawało to wojsku duże wygody, pozwalało mu żyć dostatnio i zapewniało stałą obronę zawsze zagrożonym kresom. Uchwała ta przez kilka lat bu-

dziła nawet zadowolenie wśród szlachty, która cieszyła się, jak gospodarnie żyje na swej konsystencji żołnierz, sam siejąc i orząc, i nie dokuczając jej uciążliwymi postojami, lecz wkrótce potem narzekala jednak na to, że żołnierz zajmuje się gospodarką, a Rzeczpospolita płaci mu jeszcze za to.

Sejm styczniowy 1677 roku odbywał się wśród lamentów Podolan, niespokojnych o swoje losy i wyzuty z majątności, i zaciętej opozycji stronników austriackich, a zwłaszcza Litwinów, nie chcących dopuścić do uchwalenia jakichkolwiek podatków. Jeśli nie został on zerwany, to tylko dzięki energii Sobieskiego, który, przyszedłszy w południe w ostatnim dniu sesji, oświadczył, że nie opuści posiedzenia, dopóki nie zostaną przeprowadzone uchwały i napisane konstytucje. A powiedziawszy to, przesiedział przez całą noc i ranek dnia następnego i nie pozwolił na zerwanie sejmu, doprowadzając obrady do końca.

Rzecz prosta, że w warunkach, w których odbywał się sejm pożorawiński, nie można było nawet liczyć na ratyfikowanie przezeń jaworowskiego traktatu i wyrażenie zgody sejmu na akcję zbrojną w kierunku Prus Książęcych. Położenie Sobieskiego, który, po zażegnaniu niebezpieczeństwa tureckiego, zamierzał zwrócić swój wysiłek w kierunku morza i odzyskania wpływów Rzeczypospolitej na Węgrzech przez poparcie powstańców węgierskich przeciwko cesarzowi, było nad wyraz trudne. Sam on miał świadomość, że jego zamiary antytureckie, na skutek zawarcia pod przymusem okoliczności traktatu zórawińskiego, zo-

stały zahamowane w pół drogi, że Rzeczpospolita istotnie utraciła szmat swych posiadłości, a niebezpieczny nieprzyjaciół, którego zamierzał wyprzeć za Dunaj, rozsiadł się na jej ziemiach i może wznowić działalność zaczepną. Na skutek tradycji rodzinnych, wychowania i całej swej ideologii pragnął on ostatecznej rozprawy z Półksiężycem, lecz wiedział, że w obecnych warunkach rozprawa ta jest wręcz niemożliwa. Z drugiej strony naciskał go papież, wykazując niebezpieczeństwo tureckie dla całego Chrześcijaństwa. Pod tym naciskiem musiał mu dać obietnicę zerwania pokoju z Turcją, gdy dojdzie do skutku przymierze państw chrześcijańskich. Dla sprawy swej polityki pruskiej i węgierskiej nie mógł znaleźć oparcia we własnym narodzie. A uświadamiał sobie groźnie wyrastającą pod boki Polski potęgę brandenburską i konieczność zahamowania rozrostu tej potęgi przez odebranie jej Prus, a jednocześnie pozyskania dla Rzeczypospolitej szerokiego wyjścia na morze. Postanowił więc zwrócić pomimo wszystko swą ekspansję w tym kierunku w oparciu o Francję i działać na własną rękę bez zgody sejmu.

W sierpniu 1677 roku Sobieski udał się do Gdańska, by dokończyć pertraktacyj, rozpoczętych w Warszawie ze Szwedami, w sprawie współdziałania na terenie Prus i przygotowania odpowiednich sił do zamachu na nie. Doskonały pretekst do tej wizyty dawały mu zamieszki religijne w tem mieście i wystąpienie ludności przeciwko senatowi, działającemu pod batutą elektora. Przyjęty z wielką okazałością przez miasto, potrafił doprowadzić do zgody. Ważniejsza

wszakże była dlań jednak sprawa pruska. Sobieski przeprowadził tu ostateczne porozumienie ze Szwecją, sojuszniczką Francji przeciwko elektorowi, potrzebującą w tym czasie pomocy polskiej wobec podejrzanej polityki moskiewskiej. 21 sierpnia została zawarta tajna konwencja ze Szwecją, która zobowiązała się przysłać na podbój Prus 10.000-ny korpus. Ze Szwedami miał współdziałać zaciągnięty prywatnie przez Króla 7.000-ny oddział polski. Redukcja wojska Rzeczypospolitej ułatwiała Królowi przeprowadzenie tego zaciągu. Prusy, zdobyte przez Szwedów i Króla bez udziału Rzeczypospolitej, miały przejść na własność Jana III i jego następców. Jedynie Kłajpedę mogli zatrzymać Szwedzi do końca wojny. Zdobycie Prus przez Króla dla siebie miałoby doniosłe znaczenie, czyniąc prawdopodobniejszem ustalenie w Polsce jego dynastji.

Cała akcja spaliła jednak na panewce. Szwedzi zbyt długo zwlekali ze swem wystąpieniem, a gdy wreszcie zdecydowali się na nie, natrafili na przeciwdziałanie Paca podczas przemarszu przez terytorjum Rzeczypospolitej i, wtargnąwszy do Prus w grudniu 1678 roku, to jest o rok za późno, zostali pobici przez Kurfirsta 30 stycznia 1679 roku i musieli ratować się ucieczką do Rygi przed zemstą Fryderyka Wilhelma.

Jednocześnie z akcją pruską wspierał Sobieski milcząco dywersję w kierunku Węgier. Za przyczyną francuskiego ambasadora i cichą zgodą Króla, Hieronim Lubomirski podjął się poczynienia w Polsce zaciągów, wysłania ich do Węgier i, po wkroczeniu tam,

objęcia dowództwa wszystkich węgierskich sił zbrojnych, pozostających w walce z wojskami cesarskimi. Działania te posiadały ogromne znaczenie dla Francji, walczącej z cesarzem nad Renem, i wróżyły Polsce odzyskanie wpływów w tym kraju i możliwość zaszachowania polityki cesarskiej w stosunku do bezlitośnie wynaradawianych ziem słowiańskich. Lubomirski rozpoczął już wysyłanie swoich oddziałów, gdy sprawa ta wywołała za przyczyną Austrii wielką wrzawę w Polsce, a nawet wystąpienie nuncjusza papieskiego. Przeciwdziałanie austrjackie udaremniło całkowicie całe to przedsięwzięcie.

Intryga austrjacka mocno rozgałęziła już swe nici i pracowała przy pomocy hojnie opłacanych przez siebie agentów nad spiskiem detronizacyjnym. W spisku tym brali udział Dymitr Wiśniowiecki i biskup Trzebicki, gotowy wydać Austriakom Kraków i Częstochowę, byle doprowadzić do pozbawienia tronu niedogodnego Austrii Sobieskiego a osadzić na nim księcia Karola Lotaryńskiego, ożenionego już z wdową po królu Michale, Eleonorą. Król zdołał szybko udaremnić zamach, ale musiał zdać sobie sprawę, że polityka jego wywołuje sprzeciw w kraju, i przygotować się do zasadniczego w niej zwrotu.

Tymczasem doniesienia wysłanego do Konstantynopola Gnińskiego o nieprzejeździe stanowisku nowego wielkiego wezyra, Kara Mustafy, w sprawie pokoju zmusiło Króla do wydania Turkom Baru, Międzyboża, Niemirowa i Kalnika. Równocześnie energiczny atak turecki na Moskwę nasunął możliwość przedłużenia z nią rozejmu i uzyskania zwrotu

Newla, Wieliza i Siebieża a także otrzymania od niej 2.000.000 złotych. Porozumienie z Moskwą zdawało się szachować Turków.

Zbliżał się sejm 1678 roku, zwołany tym razem do Grodna. Miał się on odbywać w atmosferze zdrady, przekupstw i spisków i miał ostatecznie pogrzebać dotychczasową politykę królewską. Rzym i Wiedeń umiejętnie rozpałały uczucia przeciwmuzułmańskie w Rzeczypospolitej. Interesy magnatów pchały ich do odzyskania ziem południowo-wschodnich. Szlachta poniewczasie odczuwała niebezpieczeństwo tureckie i rodził się stąd powoli zapal do walki z Półksiężycem, wynikający z poczucia żalu za utraconemi na jego rzecz ziemiami i pewnego upokorzenia. Za przyczyną papieża zapal ten zaczynał przybierać zabarwienie religijno-wojenne. Z drugiej strony następowało pewne oziębienie stosunków z dworem francuskim. Ludwik XIV zawarł już pokój z Niderlandami i Hiszpanją i dobijał targu z Austrią, sprawy więc dywersji polskiej traciły dlań znacznie na wadze. Stosunek jego do Króla i jego małżonki, których traktował zgóry, mógł prowadzić do pewnego rozgoryczenia. Dotychczas Król działał jedynie w interesie Francji, nie otrzymując wzamian od niej poparcia, a Ludwik XIV, lekceważąc Jana III i odmawiając mu tytułu Majestatu, jako królowi elekcyjnemu, nie mógł zaskarbić sobie w ten sposób jego sympatji. Uporczywe odsuwanie wszystkich żądań królowej Marji Kazimiery w sprawach jej ojca, przy zawziętem usposobieniu Marysienki, pchało ją w kierunku austriackim.

Atak, prowadzony na politykę królewską na sejmie przez Paców i Wiśniowieckiego, wspieranych przez posłów cesarskiego i brandenburskiego, wytwarzał trudne położenie. Występowali oni gorąco przeciwko akcji węgierskiej Lubomirskiego, a w sprawie przemarszu Szwedów przez ziemie Rzeczypospolitej stali po stronie brandenburczyka. Wystąpienie przeciwko nim groziłoby było zerwaniem sejmu. Poseł francuski podniecał coprawda Króla do wytrwałości w tych sprawach, ale sam już poza plecami jego tworzył własną partję i sam — podobnie, jak obaj dyplomaci niemieccy — gotów był zerwać sejm. W tych warunkach wypadło zrezygnować z projektów węgierskich i pruskich i cofnąć się na całej linii. Król przyjął uchwałę sejmową, nakazującą partyzantom węgierskim wracać w określonym terminie do kraju.

8 lutego zdawał relację ze swego poselstwa Gniński, a nieprzejednane stanowisko wielkiego wezyra, przebijające ze słów tej relacji, wywołało burzę. Król więc, wyzyskując ten nastrój, wystąpił z projektem podniesienia sił zbrojnych Korony do 32.000, a Litwy do 10.000. Występował ponadto z propozycją zainicjowania przymierza państw chrześcijańskich przeciwko Turcji i wyłonienia przez sejm specjalnej rady do spraw tureckich, oraz spraw tego przymierza. Wszystkie te propozycje zostały uwieńczone zupełnym sukcesem.

Tymczasem pokój, zawarty 5 lutego 1679 roku w Nimwegen przez Ludwika XIV z Austrią — bez uwzględnienia postulatów Króla w stosunku do Prus — przyniósł chwilowo uspokojenie w polityce

europęjskiej i rozwiązał Królowi ręce w sprawach tureckich w stosunku do Francji, lecz z drugiej strony przyniósł mu poważne rozczarowanie co do orjentacji francuskiej.

Gotując się do wojny tureckiej, w dziwnem położeniu znajdował się Sobieski. W kierunku antytureckim szli wyraźnie stronnicy austriaccy, będący w nieprzyjaznych stosunkach z Królem; sprzyjające mu dotąd stronnictwo francuskie było raczej przeciwne projektom nowej wojny. Król przez zwrot swój w dziedzinie polityki zagranicznej tracił częściowo oparcie w swych przyjaciółach i częściowo tylko pozyskiwał dla siebie partję cesarską. Niemniej sprawa Ligi chrześcijańskiej została na terenie Polski załatwiona i do dworów europejskich wyjechały poselstwa, mające pozyskać ich współdziałanie do wystąpienia przeciwko Turcji. Do Francji jechał więc Andrzej Morsztyn, obecnie głowa partji francuskiej w Polsce, do Moskwy — referendarz litewski Brzostowski, do Wiednia, Wenecji i Rzymu — Michał Radziwiłł, do Anglii i Holandji — Władysław Morsztyn.

Tymczasem na terenie zagranicznym czekało politykę królewską nowe rozczarowanie. Cesarz austriacki, odkąd Francja przestała popierać przeciwko niemu powstańców węgierskich, nie myślał o wojnie z Turcją i projektowi sojuszu zaczepno-odpornego przeciwstawiał przymierze wyłącznie obronne, które Austrii zapewniało swobodę działania na Zachodzie, lecz Polsce nie mogło przywrócić jej strat, a przede wszystkim Kamieńca. Król francuski chwalił za-

miary Jana III, lecz nie chciał dla widoków Ligi narażać swego handlu na wschodzie i obiecywał współdziałanie jedynie w razie dojścia koalicji państw chrześcijańskich do skutku. Za jego podszeptem wystąpienie Radziwiłła w Wenecji przyjęte zostało zgoła nieprzychylnie. Holandja i Anglja wyraźnie wymawiały się od współdziałania, Moskwa zaś obiecywała chwilowo — i to dopiero po załatwieniu sprawy Kijowa, na który coraz poważniejsze miała apetyty — jedynie bardzo skromne posiłki i gotowała się pocichu do zawarcia 20-letniego rozejmu z Turcją. Wreszcie w styczniu 1681 roku zawarła go ostatecznie. Jedynie Portugalja obiecywała wydatniejszą pomoc. Sprawa Ligi antytureckiej zdawała się więc być pogrzebana.

Tymczasem Ludwik XIV za plecami polskiego króla zawarł 25 października 1679 roku tajny sojusz z elektorem brandenburskim, nie licząc się, naturalnie, ze swemi zobowiązaniami wobec Króla, wynikającymi z traktatu jaworowskiego. W myśl tej umowy, w razie śmierci Jana III miał elektor popierać do tronu polskiego jego syna Jakóba, lub, w razie niemożliwości przeprowadzenia tego wyboru, jakiego innego francuskiego kandydata. Ludwik XIV zamierzał w ten sposób, łudząc Sobieskiego utrwaleniem jego dynastji na tronie i strasząc przeciwdziałaniem w tej sprawie w razie oporu ze strony Króla, przykuć go ostatecznie do polityki francuskiej. Zanim jednak traktat ten został podany do wiadomości Jana III, elektor zdołał już oświadczyć, że królewicza Jakóba w żadnym wypadku popierać nie będzie, i zaczął pchać

wyraźnie dyplomację francuską w kierunku intrygi przeciw rządowej. Drogi Ludwika XIV i Jana Sobieskiego na terenie polityki wyraźnie się rozchodziły.

Partja francuska w Polsce od roku 1680 zaczęła krzątać się coraz żwawiej, zwłaszcza, że wobec ataku apoplektycznego, któremu uległ Sobieski w tym roku, sprawa sukcesji tronu zdawała się być aktualna. Stronnicy francuscy za powodem Morsztyna zaczęli już myśleć o Jabłonowskim, jako następcy Jana III. Dotychczas Ludwik XIV sprawiał zawody polityce zagranicznej Sobieskiego, obecnie jego dyplomaci, współdziałając z intrygą brandenburską, mieli udaremniać mu i krzyżować jego plany w polityce wewnętrznej.

Zbliżał się sejm warszawski 1681 roku, na którym Król zamierzał przeprowadzić niezbędne dla przyszłej wojny z Turcją zbrojenia. W tym samym czasie, pragnąc utwierdzić swe wpływy na Litwie i przygotować grunt do poparcia z tej strony sprawy sukcesji królewicza Jakóba, zamierzał Sobieski ożenić go z Ludwiką Karoliną Radziwiłłówną, dziedziczką ogromnych dóbr, a w tej liczbie czterech ważnych zamków: Siebieża, Kopyła, Słucka i Birż. Lecz opiekunem jej był elektor, dla którego zdobycie tak znacznej fortuny na Litwie przedstawiało nielada gratkę, a opanowanie aż czterech zamków na terenie Rzeczypospolitej było nielada atutem w polityce antykrólewskiej. Wydał ją więc pośpiesznie za syna swego, Ludwika. Zarówno Król, jak otwarty 10 stycznia sejm odczuli ten krok jako zniewagę i poważne niebezpieczeństwo ze strony wpływów brandenburskich.

Sejm rozpoczynał się zatem wśród głośnej wrzawy i głosów, domagających się zajęcia dóbr Radziwiłłowskich na tej podstawie, że według praw litewskich sierota, wychodząca za mąż bez pozwolenia opiekunów, w tym wypadku reszty Radziwiłłów, traciła prawa do swego majątku. Za elektorem ujeli się gorąco jego stronnicy, podjudzani przez posła Hoverbecka, oraz francuscy stronnicy, będący na żołdzie francuskiego ambasadora de Vitry. Drugą sprawą, która spowodowała ogromną wrzawę, była sprawa Morsztyna, któremu zarzucano, że posłując do Francji, przyjął tam tytuł sekretarza króla francuskiego, nabył we Francji znaczne dobra i naraził w ten sposób godność poselską; ponadto i sprawa prowadzenia przezeń rachunków podskarbińskich i pomawianie o nadużycia wywoływały poważne napięcie. Wśród krzyku i walk, spowodowanych temi dwiema sprawami, tonęła w powodzi waśni poważniejsza dla Króla sprawa zbrojeń antytureckich. Napróżno pragnął Sobieski załagodzić krzyki, spowodowane zamężciem Radziwiłłówny, sejm został zerwany przez francuskich i brandenburskich stronników, oraz obawiającego się obrachunku Morsztyna. Najgwałtowniejsze potrzeby kraju nie zostały więc uwzględnione, to też Sobieski, zamykając sejm, z goryczą przypominał słowa cesarza Augusta, skierowane do Varrona: „Varronie, Varronie, oddaj mi moje legjony“. „To też i ja — wołał ze wzruszeniem — mówię teraz do tych, co sejm zerwali: wróćcie mi wojska, wróćcie mi spokój publiczny, wróćcie mi już nabytą i czekającą sławę ...zginęła okazja zdobycia Kamieńca.

Jeżeli Turcy i Tatarzy napadną nas, dowiedziawszy się o zamysłach naszych, niech kto żyje, dosiada konia, chwyta broń i krwią broni ojczyzny“.

Jakoż istotnie przy tym stanie rzeczy, a zwłaszcza wobec pokoju, zawartego przez Moskwę z Turcją, osamotniony w swej polityce i pozbawiony wojska Król musiał się tłumaczyć wobec Porty i zapewniać ją o pokojowych intencjach Rzeczypospolitej.

Sprawa Ligi antytureckiej dzięki wypadkom zewnętrznym przybrała jednak pomyślny dla Polski obrót. Po zawarciu pokoju z Moskwą, Kara Mustafa zwracał swoje zamiary przeciwko Austrii i rozpoczynał gwałtowne zbrojenia, gotując się do nowej wojny. W tych warunkach sojusz polsko-austriacki i pomoc ze strony sławnego pogromcy Półksiężycy nabierały dla cesarza Leopolda wielkiej wagi. Bez względu polityka cesarza w stosunku do Węgier, przed którą Sobieski ostrzegał gorąco Leopolda, dała ten wynik, że kierujący ruchem węgierskim Emeryk Tököly potrafił zgromadzić 60.000 armję i oddał się pod protekcję Porty, która otoczyła go możną opieką, znajdując w tym fakcie doskonały pretekst do wystąpienia przeciw cesarzowi. Austria była gotowa teraz nie tylko do zawarcia Ligi, lecz również do popierania dynastycznych projektów Sobieskiego i zaczęła przebąkiwać o możliwości ożenienia królewicza Jakóba z jedną z arcyksiężniczek. Z drugiej strony mocne usadowienie się Turków na Węgrzech mogło zagrażać niebezpieczeństwem już Krakowowi. Wspólne niebezpieczeństwo zbliżało do siebie dwa nieprzyjazne niedawno dwory i w ciągu zimy 1682—

1683 roku doprowadziło do porozumienia w sprawach Ligi. Pozostawało przeprowadzenie traktatu przez sejm i zdobycie odeń odpowiednich sił zbrojnych.

Polityka francuska gotowała tymczasem za przyczyną Morsztyna zamach detronizacyjny, zmierzający do osadzenia na tronie polskim Jabłonowskiego, lecz na szczęście Król, oddawna już lustrujący korespondencję Morsztyna z Wersalem, trzymał w rękę nici tej intrygi. Mając ten atut w rękę, postanowił Sobieski wyzyskiwać go odpowiednio na sejmie, czyniąc zeń narzędzie do ukucia spraw Ligi. Przejęty gorąco ideą walki z Półksiężycem, gotował się do bezwzględ- nego przełamania wszelkiego oporu w sprawie przeprowadzenia przymierza zaczepno-odpornego z Austrią. Należycie przygotowane sejmiaki zapewniły Królowi większość głosów na sejmie. Przeciwników swych zamierzał bądź steroryzować, bądź przeciągnąć na swą stronę ponętnymi widokami. Wspierali go w akcji mocno nuncjusz papieski Pallavicini i poseł austriacki Zierowski. Ten ostatni oskarżał publicznie ambasadora francuskiego o podburzanie Węgrów i sypnął w chwili rozstrzygającej złotem. Król jednocześnie pozyskał Jabłonowskiego obietnicą buławy wielkiej, wakującej po zmarłym w sierpniu 1682 roku Wiśniowieckim, pozostałych zaś przeciwników ugłaskał innemi wakansami, szykując się jednocześnie do przeobrażenia ich wyciągnięciem na sejmie sprawy spisku Morsztyna, którego postanowił zgnieść ostatecznie, rozprawiając się zarazem z ambasadorem francuskim. Ubezpieczając się przed zerwaniem sejmu, zapowiedział, że gdyby doszło do tego, zwoła pospolite rusze-

nie. Sejm więc rozpoczął się 7 stycznia 1683 roku pod grozą oparcia się Króla o masę szlachecką. Atmosfera była przepelniona elektrycznością.

Dnia 16 marca sejm, oszołomiony już przedłożeniami mu wiadomościami o kolosalnych zbrojeniach Porty, usłyszał oskarżenie Morsztyna o zdradę stanu. Umiejętnie dobrane ustępy z jego korespondencji, kompromitujące innych uczestników spisku, rzuciły na nich blady strach. Na sali zerwała się burza i wśród groźnych przeciwko niemu okrzyków: „Zdrajca, krzywoprzysięzca“ drżący z przerażenia podskarbi nie mógł dojść do słowa. Na wyścigi w płomiennych mowach wypierali się udziału w spisku Jabłonowski, Stanisław Lubomirski i Michał Sapieha. Król i izba udawali, że wierzą w ich oświadczenia. Cały atak kierował się na głowę Morsztyna, który też wypierał się zdrady, usprawiedliwiał kupno dóbr i przyjęcie urzędu we Francji, obiecywał nie zrywać sejmu, nie uciekać z kraju, wykryć treść nieodcyfrowanej części korespondencji i własnym kosztem wystawić oddziały na wyprawę antyturecką, byleby tylko sąd nad jego sprawą został odroczony. Za taką cenę zgodzono się na odroczenie procesu, zwłaszcza że pod grozą tej burzy przeczaił się wszelki wróg planów królewskich. Ambasador francuski musiał się wynieść z Polski, Brandenburgja, pozbawiona jego poparcia, nie śmiała podnieść głosu. Opozycja, siedziała więc wreszcie cicho.

W dniu 1 kwietnia 1683 roku został podpisany przez deputację sejmową traktat przymierza zaczepno-odpornego z posłem cesarskim, Waldsteinem. Cesarz

zrzekał się na mocy tego traktatu wszelkich pretensyj do Polski, datujących się z czasów pomocy austriackiej dla Jana Kazimierza, i obiecywał wypłacić Polsce 1.200.000 złotych na koszt wojny. Obie strony wspólnie miały prowadzić wojnę i wspólnie traktować z Turcją o pokój. Cesarz miał wystawić na Węgrzech przynajmniej 60.000-ną armję, Polska na swoich terenach 40.000 żołnierza. W razie napadu tureckiego na Kraków, lub Wiedeń, obie strony zobowiązywały się do przyjścia z bezpośrednią odsieczą, przyczem obecny przy armji monarcha miał objąć dowództwo nad wspólnymi siłami. Chodziło tu wyraźnie o osobę Króla polskiego, gdyż cesarz nie był bynajmniej wojownikiem. Obie strony miały ponadto zwrócić się o pomoc we wspólnej akcji do innych dworów europejskich, a przedewszystkiem do moskiewskiego cara. Idea wojny zaczepnej przeciwko Turcji triumfowała w całej pełni i znalazła nareszcie swe urzeczywistnienie w traktacie. Rozpoczęły się energiczne przygotowania do wojny, już oddawna wiszącej w powietrzu.

XVII

ODSIECZ WIEDNIA

W dwa i pół tygodnia po podpisaniu traktatu z Austrią został już ułożony tajemny skrypt do archiwum, określający liczebność i skład armji, którą Rzeczpospolita miała wystawić na przyszłą wojnę. Armja ta miała powstać przez rozbudowę dotychczasowego dwunastotysięcznego wojska i liczyć w swym składzie 4.000 ussarzy, 16.000 pancernych, 4.000 lekkiej jazdy, 9.000 piechoty i 3.000 dragonji. Ponadto Litwa wystawić miała dwunastotysięczny korpus. Król wydał energiczne zarządzenia w celu przyśpieszenia zbrojeń. Z tego względu żołd chorągwiom, które przybędą w pierwszych dniach lipca do obozu, miał się liczyć od pierwszego maja, tym zaś, którzy omieszkają z przybyciem, dopiero od pierwszego sierpnia. W celu zaopatrzenia wojska w żywność, oficerowie mieli posiadać dla swych oddziałów zapas prowiantów na wozach na pół roku, a wykonania tego postanowienia miał doglądać generał prowiantmagister. Już 3 kwietnia zwrócił się Król z odezwą do sejmików relacyjnych, aby jak najprędzej przystępowały do wykonania uchwał sejmowych w sprawie zbrojeń, przypominając, jaki zawód sprawiło pod Żórawnem spóźnione i opie-

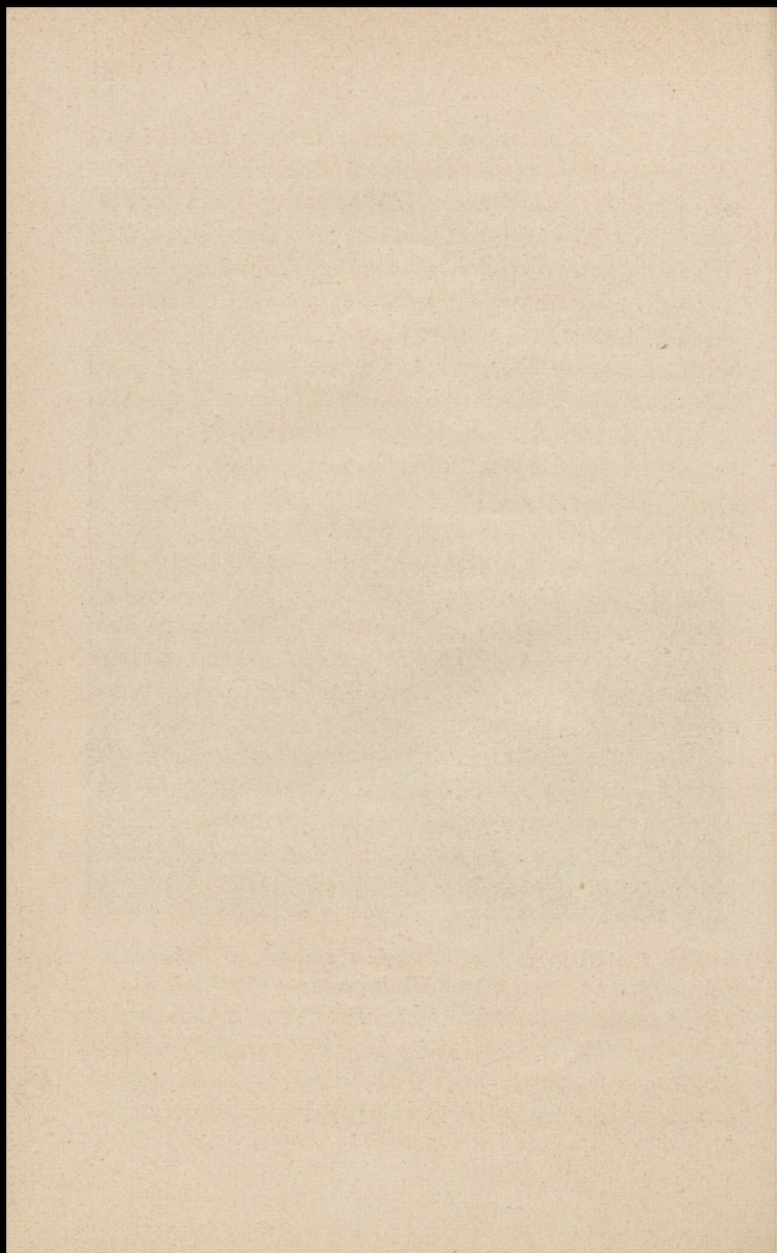
szale ściąganie podatków. Tym razem wobec obiecanych przez cesarza zasiłków pieniężnych na wojnę, zbrojenia mogły postępować znacznie szybciej, zwłaszcza że w krótkim już czasie z zapowiedzianej sumy 1.200.000 złotych 800.000 wpłynęło do kasy. Nieograniczając się do sił, uchwalonych przez sejm, Sobieski polecił Mężyńskiemu zaciągnięcie 4.000 kozaków, zapołoskich i wyliczył mu pieniądze z własnej szkatuły. Tak więc armja, mająca prowadzić wojnę, a składająca się z wojsk koronnych, litewskich i zaciągniętych kozaków, miała — według zamierzeń królewskich — osiągnąć poważną cyfrę 52.000, podczas gdy traktat zobowiązywał Rzeczpospolitą do wystawienia 40.000.

Niezależnie od wojsk, mających walczyć na żołdzie polskim, już znacznie wcześniej, przed zawarciem jeszcze traktatu, zezwolił Król Hieronimowi Lubomirskiemu na przeprowadzenie w Polsce zaciągu żołnierza na żołdzie cesarskim, werbowanego zresztą za pieniądze papieskie. Na mocy zezwolenia królewskiego z 14 lutego 1683 roku zaciągnął Lubomirski 400 pancernych, 2 regimenty jazdy i regiment dragonji po 800 koni w każdym i na czele tego korpusu pomocniczego, liczącego 2.800 ludzi, wyruszył 25 maja do armji cesarskiej, a w końcu czerwca wziął już udział w działaniach w okolicy Wiednia.

Jakkolwiek przymierze z Austrią przewidywało w zasadzie operacje armji polskiej na terenie Podola, Sobieski, śledząc bacznie przez swój wywiad — docierający ponoć aż do najwyższych czynników w Konstantynopolu — przebieg zbrojeń tureckich i zamierze-



Król Jan III błogosławi chorągiew królewicza Aleksandra
pod Wiedniem
(obraz Juliusza Kossaka)



nia Porty, zdawał sobie doskonale sprawę, że ogromna armja turecka runie niewątpliwie na Austrię i prawdopodobnie postawi sobie za cel zdobycie stolicy cesarstwa. Liczył się więc z tem, że wobec zagrożenia Wiednia będzie musiał dążyć z bezpośrednią odsieczą sprzymierzeńcowi i zawczasu uprzedzał dwór austriacki o zamiarach groźnego nieprzyjaciela. Cesarz Leopold niezbyt pochopnie jednak dawał wiarę tym ostrzeżeniom i nie przypuszczał, zawierając traktat, że niebezpieczeństwo jest już tak bliskie. To też w chwili rozpoczęcia wojny, zamiast sześćdziesięcioletniej armji, do posiadania której zobowiązał się zawierając sojusz, miał zaledwie jej połowę.

Już 2 stycznia 1683 roku przed bramą pałacu sułtańskiego w Adrjanopolu zatknięto buńczuki na znak zamierzonej wyprawy. 31 marca, to jest w dniu podpisania odporno-zaczepnego sojuszu polsko-austriackiego, sułtan Mahomet IV ruszył na wyprawę i, dotarłszy do Belgradu, przekazał naczelne dowództwo nad całością swych sił wielkiemu wezyrowi Kara-Mustafie, wręczając mu wielką chorągiew. Niebawem dumny i pewny siebie wódz turecki poprowadził swoje zastępy na skruszenie potęgi cesarskiej. Podczas dwunastodniowego postoju Turków w Osieku (Esseg) nadciągnęli gospodarowie wołoscy, Tököly ze swymi Węgrami oraz chan krymski Murad-Gierej ze 24.000 Tatarów. Całość sił muzułmańskich dochodziła do 310.000 ludzi.

W dniu 1 lipca stanął Kara-Mustafa pod murami potężnej twierdzy cesarskiej Jawaryn (Raab). Naczelny wódz austriacki, którym był niedawny współ-

zawodnik Sobieskiego na polu elekcyjnym i mąż wdowy po polskim królu Michale, książę Karol Lotaryński, nie posiadający genjuszu wojskowego, ale znający znakomicie rzemiosło wojenne, prowadził dotąd działania zaczepne przeciwko twierdzom Gran i Neuhausel. Z chwilą zbliżenia się Turków do murów Jawaryna musiał przejść do obrony, opierając się na wyspie dunajskiej Schüt. Tymczasem Kara-Mustafa, zacząwszy — niespodzianie dla Austriaków — pozorne oblężenie Jawarynu, zamienił je w blokadę i ruszył z nagłą masą swych sił w kierunku stolicy cesarstwa. Nie mogąc nawet myśleć o zmierzeniu się z siłami głównymi przeciwnika, książę Karol rozpoczął pośpieszny odwrót w kierunku Wiednia, stoczywszy 7 lipca walkę pod Petronel z ordą tatarską. Armja jego doznała w tej walce ciężkiej porażki, a uchodźcy z jej szeregów przebyli w panicznej ucieczce 35-cio kilometrową przestrzeń do Wiednia w ciągu tegoż dnia, przynosząc przesadną wiadomość o klęsce armji cesarskiej i zbliżaniu się groźnej tureckiej nawały.

W tym samym dniu zdjęty strachem cesarz Leopold opuścił swą stolicę w zupełnym popłochu, pod eskortą zaledwie 20-tu halabardników, i uciekał przez Linz aż do Passawy, gdzie przybył 17 lipca.

Tymczasem książę Lotaryński, uporządkowawszy swą armję, wysłał prawie całą swą piechotę, około 10.000 żołnierza, do Wiednia celem wzmocnienia jego załogi, którą dowodził hr. Stahremberg, a z całą swą kawalerją i artylerją próbował umieścić się na północ od stolicy, na wyspie Tabor, skąd został jednak wyparty przez Turków na północny brzeg Dunaju.

14 lipca stanęła pod Wiedniem armja turecka Kara-Mustafy, licząca teraz około 138.000 żołnierza, gdyż znaczna część sił, składająca się na całość tureckiego wojska, działającego na ziemiach cesarstwa, została rozproszona na innych widowniach: część wojsk wezyra pochłaniały blokada Jawarynu, obsadzenie należącej do Habsburgów części Węgier, oddziały, zabezpieczające linje komunikacyjne, oraz wysłane na pustoszenie Dolnej Austrii, w której obrócono w perzynę około 5.000 miejscowości, wreszcie zagony tatarskie, sięgające prawie aż do Czech. Kara-Mustafa przystąpił niezwłocznie do oblężenia stolicy cesarstwa, kierując atak na jej południowo-zachodnie umocnienia. Około 170 dział zatoczonych na działobitnie poczęło ziać ogniem na Wiedeń. Piechota turecka, posiadająca ogromne doświadczenie w dobywaniu twierdz i wstawiona już zdobyciem potężnej Kandji, podszanowywała się coraz bliżej pod dzieła obronne twierdzy. Tem śmieiej poczynął sobie nieprzyjacieli, iż był całkowicie przeświadczony o niemożności wszelkiej odsieczy. Dyplomacja francuska w Stambule, zachęcając Turków do wojny, zbyt wymownie zapewniała Wielkiego Wezyra, że Król polski, nazbyt już ocięzający na skutek swej tuszy i schorowany, stanowczo nie wyruszy na wojnę, by Kara-Mustafa nie uwierzył tak przyjemnym dla siebie zapewnieniom. Do ostatniej chwili będzie on trwał — wbrew oczywistości — w swym błędzie, przyjmując z uporem wszystkie meldunki o oddziałach polskich, jako wiadomości o słabym korpusiku Hieronima Lubomirskiego, walczącym w szeregach wojsk Lotaryńczyka.

Oblężenie Wiednia ogromne wywarło wrażenie w całym świecie chrześcijańskim, który, przerażony, całą swoją nadzieję pokładał teraz w Sobieskim, ku niemu zwracał swe oczy i w nim jedynie widział ratunek. Sobieski przebywał właśnie w swym Wilanowie pod Warszawą, gdy doszła go 16 lipca, t. j. w dwa dni po rozpoczęciu oblężenia naddunajskiej stolicy, wiadomość o panicznej ucieczce rodziny cesarskiej z Wiednia wraz z błagalnemi zakłęciami, by jak najszybciej przybywał na ratunek zagrożonej stolicy. Nadzwyczajny poseł austriacki, hr. Waldstein, miał się rzucić przed Królem polskim na kolana, zaklinając go o pomoc jak najpośpieszniejszą dla ginącego państwa swego cesarza. Obok niego zwracał się z błaganiami do Sobieskiego nuncjusz papieski Pallavicini, zebrząc, by ratował dopóki czas Wiedeń, Austrię i całe Chrześcijaństwo. W najwyższym napięciu czekała Europa na rozwój wypadków i z bacznością śledziła każdy ruch sławnego pogromcy Tatarów i Turków, widząc w nim tylko jedyną możliwość ratunku. Dumny cesarz Leopold słał rozpaczliwe prośby, by osobiście chciał przybyć na ratunek jego stolicy, i otwarcie przyznawał, że nie tyle już mu zależy na polskich posiłkach, ile na osobistem objęciu dowództwa armji, idącej na odsiecz, przez Sobieskiego, którego groźne imię przerażeniem napędza Turków. Toć dokoła tego imienia snuła się prawdziwa legenda, budząca w armji tureckiej strach zabobonny, graniczący niemal z uwielbieniem dla tego niezwykłego pogromcy Półksiężycy. Toć po całej Europie chodziła wieść o tem, jak, po nieudaniem zórawińskim oblężeniu, armja turecka

miała się domagać zaszczytu przedefilowania przed zwycięskim Lwem Lechistanu. Przed Królem otwierała się teraz możliwość odegrania wymarzonej przezeń roli obrońcy Chrześcijaństwa i wyprowadzenia swego państwa na tory szerokiej polityki ogólnoeuropejskiej, jako pierwszorzędnego w niej czynnika. Nie potrzebował więc Sobieski, zapatrzony w szczytne ideały nowoczesnego krzyżowca i świetną przyszłość Rzeczypospolitej, żadnej specjalnej zachęty lub podniety do wielkiego czynu.

Na sprawę odsieczy zapatrywał się jednak nie jak bujający w obłokach Don-Kiszot, lecz jak chłodny polityk, obliczający wypadki dziejowe z punktu widzenia racji stanu własnego państwa. „Nie z inszaliśmy w tę ligę z cesarzem JMC. weszli intencją — pisał do hetmana polnego Sieniawskiego — tylko, aby się potęga turecka przez kilka lat przygotowana na nas nie obaliła. Teraz... gdyby strzeż Boże cesarscy do tej przyjąć mieli desperacji, żeby na najniesprawiedliwszych nawet kondycjach z Turkami pogodzić się mieli, toby i Kraków i Polska w tym jeszcze roku w niebezpieczeństwie była i dlatego z wojskami naszymi dodać ducha cesarskim potrzeba“. Był zdania, że „lepiej w cudzej ziemi o cudzym chlebie, w asystencji wszystkich sił cesarstwa, nietylko samego cesarza, wojować, aniżeli samym się bronić o swym chlebie i kiedy nas jeszcze przyjaciele i sąsiedzi odstąpią, gdy im w takim razie prędkiego nie damy sukkursu“. Był jeszcze jeden wzgląd, który kazał mu odsiecz wiedeńską traktować, jako doniosłej wagi akt polityczny. Sukces, odniesiony przez polskiego króla i polski oręż

pod murami Wiednia, wtedy, gdy cała Europa zahipnotyzowana była potęgą ottomańską, nietylko wyprawadzał Polskę na ogólnoeuropejską widownię polityczną, jako siłę czynną, ale zdawał się zdobywać dla niej jedno z pierwszych stanowisk w koncercie wielkich mocarstw i walczyć umacniać stanowisko zwycięskiego polskiego króla zarówno w polityce międzynarodowej, jak i wewnątrz kraju. Z tego punktu widzenia uratowanie Wiednia przez Polskę miało w oczach Sobieskiego ogromne znaczenie i tem się tłumaczy jego pogląd, wyrażony Sieniawskiemu, że „lubo Wiedeń zginie, lubo się (sam) obroni, wszystko to nam nie na rękę będzie“. Dlatego też w wielkiej grze politycznej, jaką była wyprawa wiedeńska, Wiedeń wyrastał dla Sobieskiego w obecnej chwili ponad Kraków, Lwów i Warszawę, jak pisał o tem do księcia Karola Lotaryńskiego, gotując się po otrzymaniu alarmujących wieści ze zwykłą energją do wyprawy: „Dlatego — zapewniał austriackiego wodza — wszystkie chwile dni i nocy na to tylko obróć, aby z pomocą Bożą wesprzeć sprawę Chrześcijaństwa, która przez zagrożenie tego miasta, w niebezpieczeństwie się znajduje“. Zarówno ideały nowożytnego krzyżowca, jak względy realnej polityki, bacznie zważone przez Króla, kazały mu z jak największą energją i pośpiechem spsobić się do wyprawy.

Przejęty gorącym zapałem dla sprawy Wiednia, potrafił zapałem tym i nadzwyczajną energją przełamać bierność swego narodu, rozplomienić go ideą nowej krucjaty, rozpalić w nim ogień entuzjazmu i w krótkim czasie wykrzesać zeń potężny wysiłek.

Pracując dzień i noc, zagrzewając naród szlachecki gorącemi odezwami, doglądając osobiście przygotowań wojennych, przelewał w naród trawiącą jego samego gorączkę czynu. Dzielnie sekundowało mu zagrzewane przez papieskiego nuncjusza duchowieństwo, wytwarzając płomiennemi kazaniami, szeregiem procesyj i nabożeństw ogólny nastrój, sprzyjający w najwyższym stopniu wyteżonej i niezmordowanej pracy Króla. I oto naród, który w najkrytyczniejszych chwilach nie mógł się zdobyć na wystawienie potrzebnej ilości wojska na obronę własnego państwa, zdobył się wśród powszechnego entuzjazmu na utworzenie w nader krótkim czasie poważnej siły zbrojnej na obronę interesów sąsiada, gdy sprawa tego sąsiada zdawała się być sprawą, ostatecznie zagrożonego przez Półksiężyc, Krzyża.

Urosła raptem w narodzie ochota do wielkiego czynu i każdy, podobnie, jak Król, pragnął „ptakiem jako najprędzej przelecieć pod mury Wiednia“. Żołnierz zaciągał pożyczki, by jak najokazalej wystąpić w szeregach i popisać się przed obcymi przepysznym rynsztunkiem. W krótkim stosunkowo czasie wystawiła Korona armję przeszło trzydziestotysięczną, wspaniale wyekwipowaną i znakomicie uzbrojoną.

Przygotowania wojenne i gromadzenie sił w piorunującym postępowały tempie. Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości o ucieczce cesarza, poszły rozkazy do mianowanego na ubiegłym sejmie hetmanem polnym Sieniawskiego, stojącego na czele starego żołnierza na straży granic pod Trembowłą i Śniatyniem,

by jak najprędzej ciągnął do Krakowa, gdzie miały też gromadzić się nowozaciężne chorągwie.

18 lipca wyjechał już Król z Wilanowa, a następnego dnia pisał z Radziejowic gorące wezwanie do wielkiego elektora Fryderyka Wilhelma, by pośpiesznie przysyłał obowiązkowy kontyngent z księstwa pruskiego i zachęcał go do wystawienia większych posiłków dla ratowania cesarza od ostatecznej zguby, zawiadamiając, że sam „pierś swoją niesie w ofierze za ludy chrześcijańskie“. Nie pociągnął bynajmniej za sobą tego twórcy pruskiego państwa. To też w szeregach armji chrześcijańskiej zabraknie pod Wiedniem chorągwi tego potężnego niemieckiego księcia, przyglądającego się biernie, podobnie jak Ludwik XIV, grożącej cesarstwu zagładzie.

Dnia 22 lipca odpowiadał Król na meldunek księcia Lotaryńskiego o rozpoczętem oblężeniu Wiednia i żądał odeń szczegółowych wiadomości o terenie, siłach cesarskich i wydanych zarządzeniach, a przede wszystkim możliwie dokładnej mapy, na podstawie której miał ułożyć plan przyszłych działań. Gotując się do wyprawy zaczepnej, przezornie ubezpieczał dostępy do wnętrza kraju od strony Węgier, skąd łatwo oddziały powstańcze, oraz tureckie wojska mogły się zwalić w kierunku Krakowa. W tym celu stanął z dziesięciu chorągwiami jazdy i regimentem dragonji pod Bielskiem Łaziński, a regiment pieszy kanclerza koronnego miał strzec przejść przez góry w okolicy Żywca.

W dniu 29 lipca stanął Król w Łobzowie pod Krakowem, a już 2 sierpnia nadciągnęły oddziały Sieniaw-

skiego, po forsownym marszu z nad granicy Podola i Pokucia, zaś 8 sierpnia przybył ze swemi oddziałami hetman wielki koronny Jabłonowski. O Litwinach, którzy mieli maszerować z Janowa, nadeszły meldunki, że dopiero zaczynają się zbierać w obozie. Ani o kozakach, ani kontyngentach elektora brandenburskiego nie było jeszcze wieści, lecz Król, zdając sobie sprawę z grozy położenia pod Wiedniem, postanowił nie czekać na opóźniające się oddziały i 15 sierpnia, wyprawiwszy przodem dwiema kolumnami obu hetmanów, wyjechał do Tarnowskich Gór. Hetman polny z częścią kawalerji maszerował przez Bielsk, Cieszyn, Schönauf, Lipnik, Weisskirchen do Nikolsburga (Mikułowa), gdzie stanął 25 sierpnia, zrobiwszy 321 kilometrów w ciągu 12 dni. Kolumna jego miała służyć za straż boczną sił głównych hetmana Jabłonowskiego, ciągnących wraz z Królem przez Tarnowskie Góry, gdzie przybył Sobieski 21 sierpnia, powitany poprzednio w Bytomiu przez wysłanego przez dwór wiedeński hr. Caraffę.

Studjując pilnie nadesłane przez księcia Lotaryńskiego mapy, oraz często przybywające odeń meldunki, już wtedy wyrobił sobie Sobieski pogląd na przyszłe działania i ułożył w ogólnym zarysie ich plan. Zamierzał on zaskoczyć przeciwnika szybkim przerzuceniem swych sił na obszar Tulln-Krems na zachód od Wiedeńskiego Lasu, gdzie miały się również zgromadzić, ciągnące z pomocą cesarzowi, oddziały książąt niemieckich i gdzie w ostatniej chwili ściągnąć miała armja, powiadomionego o zamiarach królewskich, księcia Karola. Zadaniem tej ostatniej było trzymanie

północnego brzegu Dunaju w pobliżu Wiednia i uniemożliwienie przeciwnikowi wglądu na obszary, którymi miała maszerować armja królewska. Zgromadziwszy swe siły pod Tulnem, zamierzał Sobieski przejść wzgórze Lasu Wiedeńskiego i spaść z nich niespodziewanie na dobywających Wiedeń Turków. Plan ten wyłożył już w Bytomiu przedstawicielowi austriackiego dworu, lecz musiał jeszcze później przekonać, co do jego słuszności, swych sojuszników na radzie wojennej. Należy przyznać sprawiedliwość austriackiemu dworowi, że — zdając sobie sprawę z ważności pośpiechu — poczynił on wszelkie zarządzenia, mające przyspieszyć marsz armji królewskiej, przygotowując na jej drodze znaczne zapasy żywności, oraz liczne podwozy dla przewozu piechoty.

Wyprawiwszy nocą z 21 na 22 sierpnia artylerję i załadowaną na wozy piechotę, odbył Król nazajutrz wspaniałą przegład, budzącą swym widokiem powszechny zachwyt, jazdy i, pożegnawszy towarzyszącą mu aż do Tarnowskich Gór królowę, ruszył na czele kolumny Jabłonowskiego, zabierając ze sobą na wyprawę 16-to letniego królewicza Jakóba. Odtąd będzie wysyłał do swej Marysienki przepyszne listy, pełne miłości dla swego „serca pociechy“, malujące barwnie przebieg kampanji, pełne humoru, trafnych obserwacyj, zajmujących charakterystyk i ciekawych drobnych szczegółów. Listy te, będące pięknym zażytkiem piśmiennictwa XVII wieku, lepiej malują osobę ich królewskiego autora i duchowe jego oblicze, niż wszelkie najgruntowniejsze studia.

Kolumna Jabłonowskiego maszerowała na Gliwice,

Raciborz, Opawę i Ołomuniec, skąd ciągnąć miała dalej wślad za Sieniawskim. Już 23 sierpnia w Raciborzu wyprzedził Król Jabłonowskiego i, zabrawszy ze sobą dwadzieścia kilka chorągwi lekkich i kilkuset dragonów, oraz oficerów na ochotnika wraz z generałem artylerji Kątskim, ruszył przodem na czele tego oddziału, dochodzącego do 3.000 ludzi. Śpieszył, by jak najprędzej dopędzić Sieniawskiego, który mógł, wzywany błagalnemi listami księcia Lotaryńskiego, połączyć się z nim i, podejmując jakieś niebaczne kroki na własną rękę, pokrzyżować plany królewskie. Pragnął poza tem jak najszybciej zbliżyć się do terenu przyszłych walk i poznać się osobiście z ludźmi, z którymi wypadnie mu niebawem podjąć we wspólnym wysiłku walną rozprawę z nieprzyjacielem.

Pośpieszny marsz Sobieskiego był iście triumfalnym pochodem. Witany jak zbawca przez ludność, musiał przyjmować jej przedstawicieli, a nawet damy, pragnące poznać słynnego bohatera, słuchać ustawicznych oracyj i komplementów i występować podczas forsownego marszu z przepychem „tak, że się codzień jako do ślubu ubierać musiał i jak pan młody wjeżdżać z kawalkatą“. Jechał wśród kraju „cudownie wesołego“ i „niewymownie dobrego i błogosławiącego mu ludu“. Dnia 26 sierpnia stanął już w Ołomuńcu, a następnego dnia spotkał go w Kowalowicach, w pobliżu wślawionego później przez Napoleona Austerlitzu, Hieronim Lubomirski z wiadomością, że Sieniawski wbrew rozkazom królewskim miał ruszyć na pomoc księciu Lotaryńskiemu. W dniu 29 wjechał Król do Berna (Brünn), a 30, zabrawszy ze sobą 120 us-

sarzy, ruszył pośpiesznie do Nikolsburga, gdzie zastał oczekującego go według ordynansów Sieniawskiego. Nazajutrz, poza Nikolsburgiem na drodze do Hollabrun, nastąpiło połączenie oddziału Króla z kolumną hetmana polnego. A w kwadrans później nadjechał naczelny wódz armii austriackiej, książę Karol Lotaryński, by się przedstawić Królowi.

Były współzawodnik do tronu polskiego zsiadł z konia w odległości dwudziestu pięciu kroków od swego szczęśliwego rywala i pieszo podążał mu na spotkanie w otoczeniu wyższych oficerów swej świty. Sobieski, nie dając się wyprzedzić w grzeczności, również zeszedł ze swego rumaka i „obłapił“ Lotaryńczyka przed frontem czterech chorągwi ussarskich, stojących już „w pięknym porządku, który że się mógł stać w momencie rzecz była godna podziwienia“. Jechali później razem do Hollabrun, gdzie wódz austriacki przypatrywał się bacznie, jak wojsko królewskie sprawnie wchodziło do obozu.

Nawykły do wschodniego wprost przepychu i sam lubujący się we wspaniałych strojach, lekceważąco przyglądał się Sobieski skromnie wyglądającemu księciu, ale szybko ocenił jego bystry umysł i trafne sądy. Żaden szczegół nie uszedł bacznej uwagi, obdarzonego dużym zmysłem obserwacyjnym, Króla, który tak charakteryzował w liście do swej Marysienki austriackiego wodza: „Suknia na nim szara, bez wszystkiego; guziki tylko złote szmuklerskie, dosyć nowe; kapelusz bez piór. Buty żółte były przed dwiema miesiącami albo trzema; napiętki z korków... Peruka blond niecnotliwa — znać że całe o strój nie dba. Koń niezły;

siedzenie stare; uzdy na koniu proste, rzemienne, złe arcy i stare. Ze wszystkim tem nie ma wyglądu kupca lub Włocha, ale człowieka uczciwego i człowieka z kondycją. Dyskurs bardzo dobry, w co go tkniesz. Skromny, nie wiele mówiący i zda się być właśnie pocziwy człowiek i wojnę rozumie bardzo dobrze i do niej się aplikuje. Owo zgoła jest człowiek, z którego fantazją moja bardzo łącznie zgodzi“.

Z prawdziwie staropolską gościnnością prosił Sobieski na poczekaniu księcia i jego otoczenie do stołu, chociaż wozy dopiero nadchodziły i zaimponował sprawnością swej służby i wystawnością przyjęcia, jak niedawno zaimponował wspaniałym wyglądem i wyćwiczeniem swego wojska. Podpoiwszy porządnie sztywnego nieco Lotaryńczyka, z wielkiem ukontentowaniem donosił małżonce o przebiegu owego przyjęcia: „Najprzód nie chciał pić inszego wina jeno mozelskie z wodą, i to wody bardzo siła... Rozochociwszy się jednak pił i węgierskie. Ów Taff, co był posłem od niego na mojej elekcji... często mu do ucha szeptał i aby nie pił, przestrzegał; ale się zasie i sam stróż upił, i sam potem ochoty dodawał. Gdy już sobie tedy podpiał Książę, po różnych komplementach pytał, jak się zowie po polsku ojciec i brat. Powiedziano mu. Tedy powtórzył to z pięćset razy, pokazując na mnie: „To ojciec, a ja syn, a wy bracia moi“. Na Fanfanika (królewicza Jakóba) zaś coraz (pokazując mówił), że ten wprzód i tamci trzej a ja piąty. Było z nim i inszych grzecznych kawalerów. Nie podobna to wyrazić takiej wesołości, takiego ukontentowania, jako ci ludzie pokazowali. Wiwat ustawicznie, wynoszenie nas aż pod

obłoki, tam jeszcze gdzieś wyżej pod niebiosą. Owo zgola rozjechaliśmy się z sobą obie stronie wielce z siebie kontente“.

3 września, wzięwszy ze sobą dwie chorągwie pancerne, wyjechał Król przodem do Stetteldorfu, gdzie wyznaczył radę wojenną, którą miał odbyć z generałami cesarskimi i książętami Rzeszy Niemieckiej. Prezes cesarskiej wojennej rady nadwornej, margrabia Herman Badeński, wręczył tutaj Królowi, jako symbol naczelnego dowództwa, łaskę marszałkowską wojsk cesarskich. Przybyli z nim, obok księcia Lotaryńskiego, Jan Jerzy III elektor saski, książę Waldeck, dowódca wojsk szwabskich i frankońskich, oraz szereg wybitnych generałów niemieckich. Królowi towarzyszyli obaj hetmani.

Wojska cesarskie stały już w odległości dwudziestu kilku kilometrów pod Korneuburgiem, oddziały Rzeszy maszerowały ku mostowi pod Krems, kolumna hetmana Jabłonowskiego, który wyprzedził ją, przybywając na radę, była w odległości dwu dni marszu.

Zaczęły się „konsylja długie, rezolucje nierychłe, adjustamenty to tego to owego: kto wprzód, kto na zadzie, kto po prawej, kto po lewej ręce“. Ścierały się ze sobą aż trzy naraz plany działań. Podczas gdy Austriacy wypowiadali się za uderzeniem od strony Preszburga lub od Wiener-Neustadt i wymanewrowaniem w ten sposób przeciwnika, Król, popierany przez księcia Lotaryńskiego, był po staremu za uderzeniem bezpośrednim przez Las Wiedeński. Ale gdy księciu chodziło przede wszystkim o wprowadzenie odsieczy do oblężonego miasta i zmuszenie Turków do zanie-

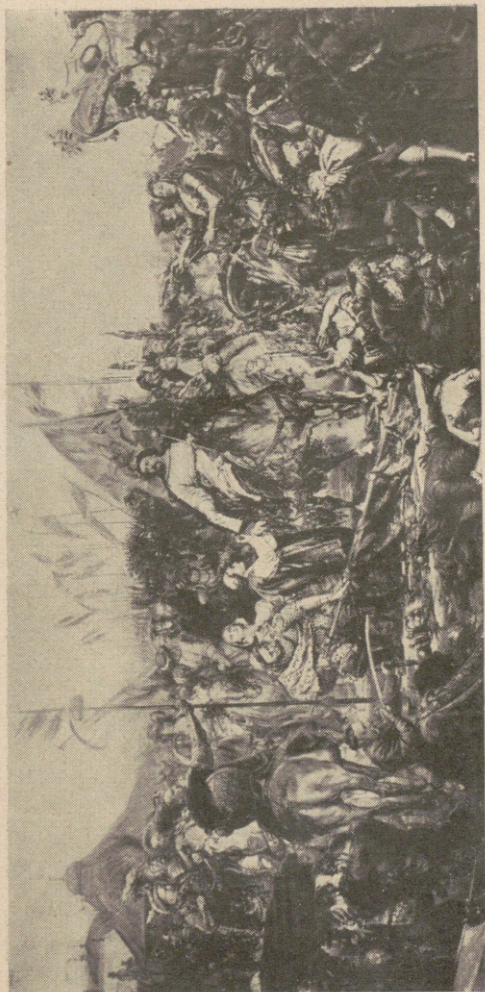
chania oblężenia, Sobieski pragnął walnej rozprawy z przeciwnikiem i zadania mu śmiertelnego ciosu. Wierny zasadniczej swej myśli, zmierzał do rozstrzygającego zwycięstwa i zupełnego powalenia przeciwnika. Autorytet moralny sławnego pogromcy Turków przełamał wszystkie skrupuły niemieckich książąt i generałów. Król polski, narzuciwszy swój plan sprzymierzeńcom, mocną ręką ujął sprawy dowództwa.

W dniu 5 września przybyły pod Tuln wszystkie siły polskich hetmanów. Kolumna Jabłonowskiego przeszła 350 kilometrową przestrzeń od Tarnowskich Gór przebyła w ciągu 15 dni wraz z piechotą swą i artylerją. Był to marsz wyjątkowo szybki, a szybkość ta uwydatni się jeszcze bardziej, jeśli uświadomimy sobie, że w roku 1866 100.000 armja austriacka mogła być przerzucona z Wiednia na rzekę Isonzo na odległość 385 kilometrów przy pomocy dwóch kolei żelaznych zaledwie w ciągu 14-tu dni. Szybkość ta zarówno jak i pośpieszne przybycie Króla były zupełnie zaskoczeniem dla jego sprzymierzeńców, którzy nie zdążyli jeszcze zbudować pod Tuln mostów przez Dunaj, chociaż sprawa ta została zawczasu omówiona przez Sobieskiego z księciem Lotaryńskim. Marsz wojsk królewskich odbył się bez wszelkich przeszkód ze strony przeciwnika, w znacznym stopniu dzięki księciu Karolowi, który wytrwale uniemożliwiał Turkom przejście na północny brzeg Dunaju, tocząc z nimi walki 29 lipca pod Preszburgiem, 6 sierpnia pod Angern i 24 sierpnia pod Bisambergiem.

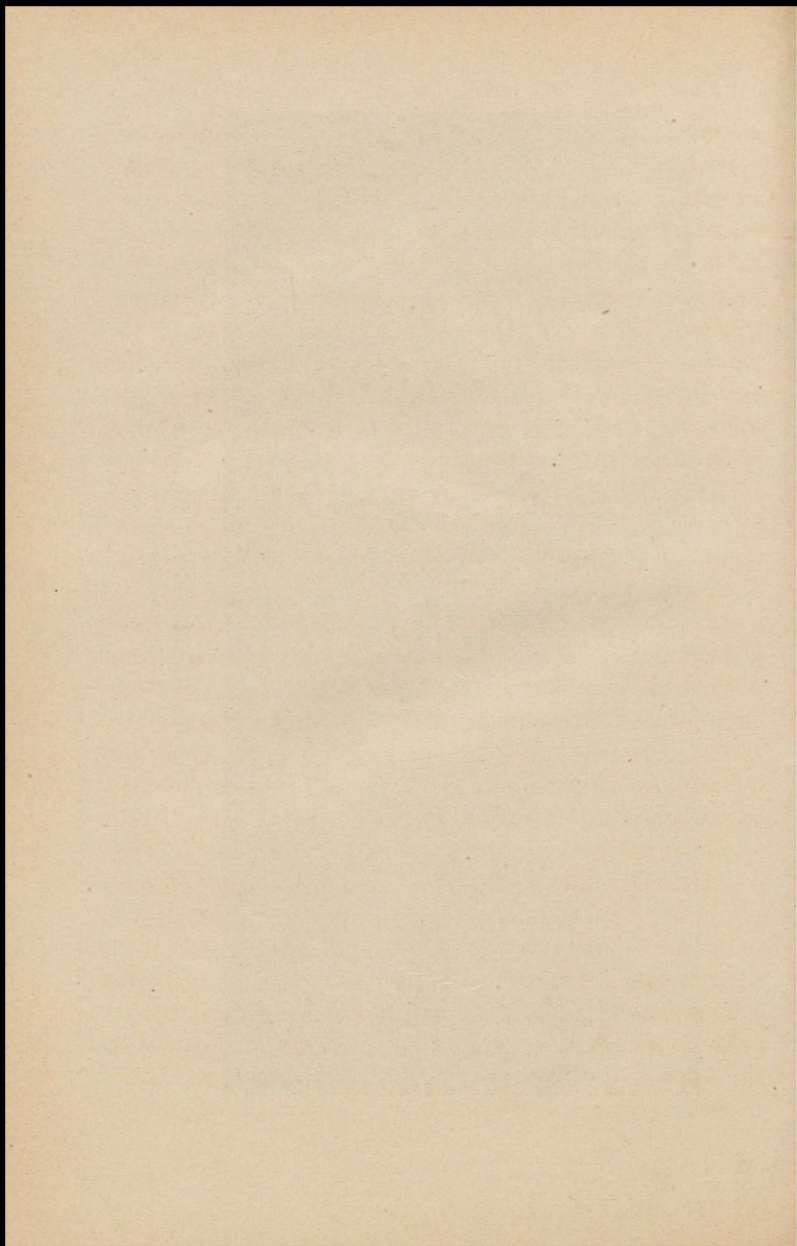
Wczesnym rankiem 6 września, skoro tylko zostały wykończone mosty, przeszedł Sobieski pierwszy na

drugą stronę Dunaju i kazał rozbić dla siebie namiot „invitando drugich“ (zapraszając drugich). Zaczęła się przeprawa. Pierwsze rozpoczęły ją oddziały polskie. Przyglądały się jej z dużym zainteresowaniem, stojące w otoczeniu królewskim, grupki książąt i generałów niemieckich. O ile jazda polska wspaniałym swym rynsztunkiem, świetnem uzbrojeniem, doskonałemi końmi i imponującą postawą sprawiała ogromne wrażenie, o tyle obszarpana, jak zawsze w tych czasach w Polsce, piechota, ciągnąca niemal w łachmanach zaczęła budzić wśród Niemców uśmiechy politowania. Sobieski z właściwym sobie humorem zwrócił się więc do otaczających go książąt i generałów, zalecając baczne przyjrzenie się tym oddziałom, i z całą powagą oświadczył, że są to najlepsze oddziały jego doborowej piechoty, które ślubowały, iż dopiero po zwycięskiej bitwie przystroją się we wspaniałe stroje, zdobyte na Turkach. Wśród szeptów zachwyconego zdumienia przyglądała się teraz generałcja cesarska marsowym postaciom obdartusów, budzących podziw nie tylko swym dziwnym ślubem, ale również dźwiganiem obok muszkietów, a nieznanymi na zachodzie, ciężkimi berdyszami, groźnie połyskującymi w słońcu.

Przez 6 i 7 września ciągnęła się przeprawa wojsk polskich i austriackich. 7 zaczęły nadeiść, przeprawivszy się pod Krems, oddziały Rzeszy Niemieckiej, „arcypiękne, gromadne, munderowane i w wielkim porządku“. Jeden po drugim nadjeżdżali i przedstawiali się Królowi książęta. Charakteryzował ich w listach do swej Marysieńki Sobieski ze zwykłym sobie dow-



Król Jan III Sobieski pod Wiedniem
(obraz Jana Matejki)



cipem i nie mógł się nachwalić, z jaką to gotowością poddawali się pod jego buławę. Zwłaszcza książę Lotaryński przypadał mu coraz bardziej do gustu. „Jestem kontent z niego niewymownie. Postępuje wobec mnie bardzo porządnie, a jest to człowiek uczciwy i rzetelny i rozumie rzemiosło wojenne lepiej niż inni”. „Sam odbiera zawsze odemnie parol — chwalił go dalej — teraz jakośmy się to poczęli zbliżać ku nieprzyjacielowi, niepodobna wyrazić, jakie z nich mam ukontentowanie. Sami zawsze odemnie parol odbierają i dziesięć czasem razy pytają, jeśli jeszcze czego nie rozkażę... Rajtarów nawet zbrojnych przysłali po kilkadziesiąt, aby stali na koniach przed namiotem moim. Owo zgoła kapitan najprostszy nie mógłby być posłuszniejszy nad nich”.

Armja chrześcijańska, zgromadzona ostatecznie w dniu 8 września na prawym, wschodnim brzegu Dunaju, liczyła około 75.000 ludzi i 170 dział, w tem około 24.000 Polaków (14.000 kawalerji polskiej, 10.000 piechoty i 28 polskich dział). Siły austriackie wynosiły zaledwie około 18.000 ludzi, resztę stanowiły oddziały książąt niemieckich.

Odległość od oblężonego Wiednia wynosiła w linii powietrznej zaledwie około 20 kilometrów. Przed armją odsieczy jednak ginął w chmurach grzbiet wysokich szczytów Lasu Wiedeńskiego, przez który prowadziła tylko jedna dogodna droga, idąca niemal równolegle do Dunaju. Według map, dostarczonych Królowi, od szczytów wzgórz — z położonym na północy Kahlenbergiem — ciągnęły się dalej ku Wiedniowi pochyle zbocza o łagodnym stoku, pokryte winnicami;

tak samo też opisywali Sobieskiemu teren austriaccy dowódcy. Armia chrześcijańska, chcąc wyjść na wzgórze, musiała się wżerać stopniowo w teren, posuwając się dolinami i drapiąc się po stromych zboczach na szczyty. Najtrudniejsze podejścia leżały na prawem skrzydle, od którego Sobieski, studjując mapę, postanowił prowadzić rozstrzygające uderzenie, opierając je o rzekę Wiedenkę.

Tegoż samego dnia 8 września dokonał Król ostatecznej organizacji armii chrześcijańskiej, przydzielając po kilka chorągwi ussarskich i pancernych elektorom, którzy odstępowali mu kilka regimentów piechoty i fizyljerów. Książę Lotaryński miał ich zasilić działami.

Dokonawszy organizacji wojska, Król wydał swój rozkaz operacyjny, owo sławne *ordre de la bataille*, które wyznaczało oddziałom ich stanowiska i wskazywało sposób postępowania w walce. „W szyku bojowym — pisał w tym rozkazie — umieściliśmy w pierwszej linii piechotę samą z działami tylko, a bez jazdy, która niemniej tuż blisko za nią ma następować; stało się to tylko z powodu przepraw, ciasnych przejść, gęstw leśnych i gór, w których jazda mogłaby piechocie sprawić utrudnienie, gdyby z nią razem była pomieszana; lecz skoro się wyjdzie na płaszczyznę, jazda, a przede wszystkim ussarze, wysuwając się przez odstępy, uderzą pierwsi... Dla większego bezpieczeństwa piechoty od pierwszych zapędów jazdy tureckiej możnaby bardzo dobrze użyć tak zwanych *Szpanische Rejter* (kozy hiszpańskie, stawiane przed piechotą, i stanowiące poważną przeszkodę w natarciu kawa-

lerji nieprzyjacielskiej)), tylko bardzo lekkich, aby je można było nieść bez zbytej mozoly i za każdym przystaniem ustawiać przed bataljonami. A dragoni z bardzo dobrym skutkiem mogliby użyć kolców żelaznych, tak zwanych *Szweinesfeder* dla zabezpieczenia się od zapędów jazdy tureckiej. Proszę wszystkich panów generałów, ażeby, w miarę jak wojska zstępować będą z ostatniej góry, i na wstępie na równinę, każdy zajął swoje miejsce, jak jest oznaczonem w niniejszym szyku". Armja chrześcijańska podzielona została na trzy części i uszykowana w cztery do pięciu rzutów. Prawe skrzydło mieli zająć w myśl królewskiego rozkazu Polacy, centrum wojska cesarskie, lewe zaś skrzydło oddziały książąt niemieckich.

9 września po południu kolumny, otrzymawszy za przewodników gajowych, rozpoczęły uciążliwy marsz, który miał trwać przez trzy dni a podczas którego żołnierz mógł się żywić wyłącznie żywnością, zabraną ze sobą, karmić zaś swe konie znajdującą pod ręką paszą. Odrazu następnego dnia książę Lotaryński, któremu pilno było dojść jak najszybciej do bram Wiednia, zabrał samowolnie ze sobą oddziały austriackie i saskie i wysunął się na lewe skrzydło, idąc tam najlepszą drogą ku Kahlenbergowi. Król na wiadomość o tem udał się osobiście na lewe skrzydło, by nie dopuścić tu do dalszych zmian swoich dyspozycyj i pokrzyżowania przez to jego zamierzeń i przez 26 godzin był zdala od własnego wojska. Wojska elektorów posuwały się teraz w centrum pomiędzy Austriakami a Polakami.

Armja chrześcijańska posuwała się naprzód wśród

nieprawdopodobnych trudności, wdrapując się na strome zbocza w niezmiernie ciężkim terenie, w którym baczniejszy nieprzyjaciół łatwo mógł uniemożliwić wszelki ruch. Jak słusznie jednak przewidywał Sobieski, Turcy nie spodziewali się bynajmniej uderzenia z tej strony i nie byli do niego wcale przygotowani. Gdzieś tam spotykano tylko małe grupki błąkających się Tatarów, z którymi wdawano się w rozmowę. Podczas jednej z takich rozmów, prowadzonych przez generała Denhoffa, usłyszawszy z ust jego, że ciągnie tu armja królewska, Tatarzy odpowiedzieli ze śmiechem, że dobrze wiedzą o tem, iż garstka Polaków została zaciągnięta pod Hieronimem Lubomirskim do wojsk cesarskich, a Król się wcale nie kwapi z przybyciem Austriakom z odsieczą. Wśród uciążliwego marszu oddziały niemieckie porzucały swą artylerję i jedynie tylko na polskim skrzydle generał Kątski, przy pomocy żołnierzy piechoty polskiej i kawalerji, zdołał wyprowadzić na szczyty całą swą artylerję.

Już 10 września wieczorem, widząc zdaleka szczyt Kahlenbergu, ocenił Król jego doniosłość w przyszłej bitwie, i wysłał przodem przyboczną chorągiew ussari i kilka bataljonów piechoty w celu obsadzenia tego ważnego punktu. Przed wieczorem 11 września przybył tu osobiście i bacznie okiem lustrował teren rozciągającego się przed nim przyszłego pola bitwy.

W promieniach zachodzącego słońca widniał wodali — spowity w dymach działowych, przez które przebijały się tylko szczyty połyskujących wież kościelnych — oblężony Wiedeń. Przed nim, na równi-

nie, barwił się wszystkimi kolorami tęczy, pokryty namiotami, wspaniały obóz turecki, rozsiadły szeroko, jak ogromne miasto, poprzerzynane istnym labiryntem utworzonych przez namioty uliczek. W labiryncie tym uwijało się prawdziwe rojowisko ludzi, określane na oko przez Króla na blisko 300.000. Bliżej ku wzgórzom posuwały się tu i ówdzie w kierunku armji chrześcijańskiej oddziały tureckie, śnać zaalarmowane już wiadomością o zbliżającej się odsieczy. Od Kahlenbergu w kierunku Wiednia nie prowadziła bynajmniej łagodna pochyłość. Szeregi drobniejszych wzgórz, pokrytych lasami i winnicami, wznosiły się tutaj, okalając równinę, na której się rozsiadł obóz Kara-Mustafy. Na północ od Kahlenbergu — pomniejsze wzgórze, Leopoldsberg, za którym szła ku Wiedniowi szeroka srebrzysta wstęga Dunaju. Na wschód spadający grzbiet góry, zakończony wyniosłością Nussbergu. Na południe ciągnęły się, łącząc się z Kahlenbergiem w jedno pasmo, szczyty Vogelsang, Hermanskogel, Dreimarkstein i Rosskopf. Tu na tych szczytach rozwinąć się miała nazajutrz armja chrześcijańska do rozstrzygającej rozprawy z Półksiężycem.

Badając teren, frasował się nieco Król niespodziewanem jego ukształtowaniem i liczył się, że w tym terenie wypadnie mu posuwać się naprzód krok za krokiem, wydzierając przeciwnikowi punkty, o które będzie się czepiał obydwoma rękami. Liczył Sobieski, że walka potrwa ze trzy dni i dopiero w ostatnim dniu dojdzie do zadania nieprzyjacielowi rozstrzygającego ciosu. Przyglądając się jednak nieobwarowanemu tu-

reckiemu obozowi, dobrze sobie wróżył z opieszałości Turków, którzy jedynie kilkudziesięciu chorągwiemi jazdy i kilku tysiącami janczarów podsunęli się byli pod klasztor Kamedułów na Kahlenbergu, oraz w kierunku drogi, prowadzącej wzdłuż Dunaju. Z zadowoleniem pisał tedy nad ranem do swej Marysienki: „Mówiąc... po ludzku, a pokładając wszystkie nadzieje w Bogu naszym, miałby ten nieprzyjaciół wielką odnieść konfuzję, który się ani okopał, bo mu się też okopać niepodobna, ani ścisnął swego obozu w kupę, ale tak stoi, jakobyśmy na sto mil od niego byli“. Podobno, gdy towarzyszący na Kahlenberg Królowi dowódcy austriaccy, przyglądając się olbrzymiej przestrzeni, zajętej przez obóz Kara-Mustafy, wyrażali się z pewnem powątpiewaniem o możliwości sukcesu przy uderzeniu stosunkowo nieznacznymi siłami na tak przerażającą masę nieprzyjacielską, miał się odezwać do nich w ten sam mniej więcej sposób: „Ten wódz, który, pomimo zbliżenia się wojsk naszych, nie skupił swej armji, nie okopał się i obozuje tak, jakobyśmy byli o sto mil od niego, przeznaczony jest na zgubę“ — i dodał z przekonaniem: „pobijemy go przy pomocy Boga“.

Po opuszczeniu wzgórza zwołał Król raz jeszcze radę wojenną, na której poczynił ostateczne zarządzenia, nie zmieniając jednak uszykowania wojska. Zamierzał rozpocząć nazajutrz wczesnym rankiem uderzenie lewem skrzydłem od Kahlenbergu, gdzie działania miał prowadzić książę Lotaryński. We środku od Vogelsangu i Hermanskogel miały nacierać oddziały książąt niemieckich, a dalej na prawem

skrzydle, od Dreimarksteinu aż do Rosskopfu, działać miała armja polska, rozciągnięta na znacznej bardzo przestrzeni. Całość frontu wojsk chrześcijańskich, w chwili rozpoczęcia bitwy, miała zająć niebywałą na one czasy przestrzeń przeszło 10 kilometrów. Ponieważ Niemcy i Austriacy pozostawili w tyle niemal całą swą artylerję, zabierając ze sobą tylko lekkie jedno-funtowe działka, generał Kątski musiał oddać im część swoich armat.

Wiedeń gonił już resztkami sił. Rozpalone z rozkazu Króla na wzgórzach ognie dawały mu znać o zbliżeniu się odsieczy, lecz uprzedzały zarazem i Kara-Mustafę o grożącym Turkom niebezpieczeństwie. Komendant twierdzy puszczał race na znak, że wie o nadciągnięciu pomocy. Przez całą noc trwała jednak pod murami naddunajskiej stolicy zawzięta kanonada, gdyż wódz turecki pomimo wszystko nie zaprzestawał ataków na upadającą już niemal twierdzę. Kanonada ta nie dawała zmrużyć oka Królowi, który dobrze przed świtem pisał swój list do królowej. Po stronie tureckiej słychać było krzątanie, która zapowiadała przygotowywanie się nieprzyjaciela do walki. Podczas gdy Austriacy i Niemcy zajmowali już wyznaczone im stanowiska, oddziały polskie, mające dłuższą i trudniejszą drogę, drapały się dopiero na wzgórze. Artylerja polska dopiero ze świtem mogła rozpocząć wydobywanie się na swe pozycje. Ale — pomimo wszystkich wysiłków — generał Kątski mógł ją wyciągnąć przy pomocy piechoty dopiero około 1-szej po południu następnego dnia i to pozostawiwszy w dolinach wozy z zapasami amunicji. Noc minęła przy odgłosach ka-

nonady i ożywionym ruchu polskich oddziałów we względnym spokoju, ale i w dość znacznym naprężeniu wobec niepewności, jak w ciągu tej nocy nieprzyjaciel wyzyska leżący przed chrześcijanami teren.

Dnia 12 września 1683 r., około godziny trzeciej z rana, przed samym świtem, Król, który spędził noc na prawem skrzydle piechoty niemieckiej, udał się wraz z królewiczem Jakóbem na Kahlenberg. Tu rozpoczęła się już strzelanina. Dragoni, posuwający się drogą nadbrzeżną poza Leopoldsbergiem, i ochotnicy, zbiegający z Kahlenbergu wdół, rozpoczęli utarczki z Turkami, obsadzającymi winnice, otoczone przymurkami i parkanami. O świcie Król stwierdził, że nieprzyjaciel obsadza dość mocno Nussberg na prawem swem skrzydle, rozwinął oddziały w centrum, zajmując Grinzing, Sievering i Pötzleinsdorf, na lewym zaś zajmuje wzgórze Michaelerberg, Schaffberg i Heuberg, trzymając znaczniejsze masy już na równinie pod Dornbachem i Breitensee. Ustawiwszy na Kahlenbergu baterję, która poczęła rozwalać przymurki winnic, zajętych przez Turków, nakazał Król księciu Lotaryńskiemu rozpocząć natarcie, odrzucić nieprzyjaciela od Dunaju i opanować Nussberg. Do huku dział królewskich bateryj dołączył się rehot muszkietów austriackiej piechoty. Kierowana wprawą ręką Króla, wyparowywała ona z winnic i z poza opłotków tureckich janczarów, wytrwale posuwając się naprzód. Do godziny 8-ej, kiedy Nussberg został ostatecznie zdobyty, kierował Sobieski osobiście bitwą

na lewem skrzydle. Najważniejsza część zadania na skrzydle tem niebawem została ukończona. Nussberg i przyległa wieś Nussdorf były w ręku chrześcijan. Król udał się teraz do kaplicy Leopolda, by podziękować Bogu za pierwsze to powodzenie i sam służył do Mszy św., odprawianej przez papieskiego wysłańca, kapucyna Marka d'Aviano, który miał przez omyłkę, czy też w proroczym natchnieniu, zaintonować na zakończenie zamiast „Ite missa est“ — „Vinces Joannes“ (Zwyciężysz Janie). Spożywszy napoczekaniu śniadanie „z piaskiem“, rozejrzał się raz jeszcze w terenie i zeszedł z Kahlenbergu pieszo, podtrzymywany pod ramiona z powodu ogromnej swej tuszy, i dosiadłszy następnie konia, ruszył szczytami ku polskiemu oddziałom Sieniawskiego, gdzie miał wykonać rozstrzygające uderzenie. Towarzyszyły mu tłumy przydzielonych do jego boku adjutantów, którzy mieli biegać z królewskimi rozkazami do swoich oddziałów. Wśród nich znajdował się podobno także młodziutki książę Eugenjusz Sabaudzki, w przyszłości najślawniejszy wódz cesarstwa. Tu pod murami Wiednia odbierał on pod kierownictwem sławnego Wodza pierwszy swój chrzest wojenny.

Na austriackiem skrzydle tymczasem, uporządkowawszy swoje oddziały, ruszył książę Karol znów na przód i odrzucił Turków aż do Heiligenstadt. Około godziny 1-szej po południu walka na tem skrzydle chwilowo ucichła. W tym samym czasie została wciągnięta na wzgórze prawego skrzydła artylerja generała Kątskiego i Król, wyprowadzając piechotę, rozpoczął wydzieranie przeciwnikowi w żmudnej walce poszcze-

gólnych, obsadzonych przez niego, pagórków. Na zmianę to posuwała się pod osłoną ognia dział piechota naprzód, to, stojąc w miejscu, czekała, aż zrównają się z nią armaty, które, siejąc śmierć w szeregach tureckich, z kolei miejsce znowu czyniły piechocie. Bóg zamieniał się tu w szereg pomniejszych uciążliwych utarczek o wyparcie nieprzyjaciela z zajmowanych przezeń stanowisk, a zarazem o wywalczenie przez piechotę i artylerję wyjścia na równinę dla jazdy. Natarcie postępowało jednak raźnie. Około godziny 2-ej zdobyto na Turkach Michaelerberg, a w godzinę później wydarto im Pötzleinsdorf, Schaffberg i Heuberg i zajęto — nad obozem tureckim — wyżynę Galliczynbergu. Próby Tatarów działania na skrzydło Jabłonowskiego z doliny Mauerbachu zostały udaremnione. Wyjścia na równinę były w ręku polskiem.

Ze wzgórz Dreimarksteinu i Rosskopfu spuszczały się, jak lawina, masy polskiej kawalerji, powiewając woddali barwnymi proporcami swych kopij i lanc. Żołnierze szli, jak do tańca. Skoro regimenty austriackie i książąt niemieckich zauważyły trzepocące woddali, niczem chmury barwnego ptactwa wśród zieleni lasów i winnic, proporce polskiej kawalerji, porwane zapalem ruszyły ponownie naprzód i z trudem za ledwie utrzymywali ich oficerowie względny porządek wśród wyrrywających się ku Turkom szeregów. Po godzinie 4-tej po południu wszystkie wyjścia na równinę i przylegające do niej wzgórze były już w rękach sprzymierzonych. Żelazne kleszcze, otaczające Turków, zwierwały się coraz mocniej, gdy poszczególne oddziały, walczące oddzielnie o kurczowo trzymane przez Tur-

ków skrawki terenu, zepchnąwszy ich na równinę, stanęły ramię przy ramieniu.

Od północy Austriacy przekroczyli już strumień Krotenbach i zdobyli Döbling, a obok nich wchodziła w grę świeża, dotychczas nie biorąca udziału w bitwie, grupa oddziałów ksiąząt niemieckich, dowodzonych przez księcia Waldecka; dalej, od Pötzleinsdorf, wyciągały się chorągwie i regimenty Sieniawskiego, przy których własną osobą znajdował się Jan III; od Dornbach dowodził polskim środkiem generał Kątski, a dalej na południu, na skrajnem prawem skrzydle, ruszały oddziały Jabłonowskiego. Turcy bronili się rozpaczliwie już niemal przed samym obozem, osłaniając dostęp doń przed Währing, Weinhaus, Ottakring i Breitensee. Już w chwili zejścia na równinę rzucił Król do natarcia chorągiew ussarską Zbrożka, by wypróbować odporność nieprzyjaciela i wyjaśnić, o ile teren nadaje się do uderzenia mas jazdy. Chorągiew ta, pędząc jak wichra, wbiła się w szyki tureckie i, skruszywszy kopje, zawróciła zpowrotem. Rzucili się za nią spahowie, lecz spędzeni zostali przez polskie i niemieckie hufce. Chorągiew straciła czwartą część swoich ludzi, ale Król miał pewność, że potężne natarcie masy jest w tym terenie możliwe. Wstrzymał więc chwilowo dalsze posuwanie się i porządkował oddziały.

Gdy wezyr ujrzał zdala proporce chorągwi polskich, jak groźna lawina zsuwających się z gór, zdał sobie sprawę, że — wbrew swemu przekonaniu o niemożności nadejścia polskiej odsieczy — ma do czynienia z Polakami. Rozumiał dobrze, że stąd grozi największe niebezpieczeństwo, i że grom, który lada

chwila może uderzyć w lewy bok jego szyku, o ile zdola go przełamać, wróży zupełną klęskę. Wiedział, że uderzenie polskie może się przedrzeć aż do przepraw ku rzece Wiedence, a wtedy cała jego armja, wzięta jak w kleszcze, będzie ostatecznie zgubiona. Przesuwał zatem pośpiesznie swoje oddziały na południe, starając się powstrzymać napór polskiego skrzydła. Niebawem skupił przeciwko niemu trzy czwarte swoich sił, ogałacając nawet odcinek, na który nacierali Austriacy. Wyciągał tutaj „batalję, korespondującą naszej“. „Gęstwa okrutna wojska tureckiego“ formowała pośpiesznie front przeciw Polakom. Teraz, gdy zejście armji chrześcijańskiej na równinę zagrażało już bezpośrednio jego obozowi, z gorączkowym pośpiechem skupiał swe masy na północny-zachód od Ottakringu, osłaniając główny obóz, stojący na dzisiejszym Schmeltzu. Widoczny zdala pod purpurowym namiotem, chroniącym od słońca, wydawał rozkazy. 16 potężnych dział broniło dostępu do jego obozu. Zamierzał działami powstrzymać napór przeciwnika i potężnem uderzeniem masy swej kawalerji odeprzeć cios, wiszący nad tym obozem. Jazda jego runęła na chorągwie Jabłonowskiego, lecz zastała tu „wielki porządek“ i, rezolutnie przyjęta, cofnęła się w zamieszaniu.

Już podczas schodzenia z przedgórzy Sobieski, który na początku bitwy spodziewał się dopiero za dwa dni dojść do ostatecznej rozprawy, ocenił trafnie położenie z ruchów w tureckim obozie i panującego w nim zamieszania. Gorączkowe ściąganie przez wezyra oddziałów na południe i formowanie tu frontu

mówiło mu, że wódz turecki stracił pewność siebie i w przerażeniu próbuje się osłonić przed ciosem. Coraz to gęstsze grupki, odrywające się od wojska i pędzące ku mostom, zwijane w obozie namioty i bezładna wśród nich bieganina mówiły, że nieprzyjacieli zaczyna myśleć już tylko o własnym ratunku. Nabrał więc Król przekonania, że nadeszła chwila, w której cios ostateczny zadać należy. To też, wstrzymawszy pochód linii chrześcijańskiej, formował potężną masę kawalerji pod swem osobistem dowództwem, która miała liczyć ponad 10.000 koni. Jak ciężkim młotem, zamierzał tą masą uderzyć w bramy obozu Kara-Mustafy. Widząc teraz zamieszanie cofającej się kawalerji tureckiej, spędzonej przez Jabłonowskiego, ruszył na czele tej masy naprzód. Przeciwno niemu sunęły również od obozu chmary tureckiej jazdy. Za chwilę obie lawiny pędzących jeźdźców zwarły się ze sobą, a wkrótce już Turcy pędzili zpowrotem. Niebawem Kara-Mustafa myślał o własnym ratunku i składał dowództwo w ręce sędziwego budyńskiego paszy Ibrahima, by móc na kogo innego zwalić odpowiedzialność za niechybną już klęskę. W szeregach chrześcijańskich nikt nie miał wątpliwości, że chwila zwycięstwa wybiła. Nadbiegli ku Królowi książę Waldeck i elektor bawarski i, obejmując go za szyję, całowali „w gębę“ i winszowali zwycięstwa. Tłoczyli się wokół Króla, objęci powszechnym zapalem, generałowie, wyciągając doń ręce. Żołnierze niemieccy całowali szaty królewskie, wykrzykując w uniesieniu „Ach! unser brave König“.

Po stronie tureckiej upadły zupełnie już serca,

a oczy z przerażeniem zwracały się ku tym masom jazdy, gdzie zdaleka powiewała czerwona chorągiew z białym orłem i gdzie widać było zatknięte na bunczuku skrzydło sokole. Wiedzieli Turcy, że tam wśród tej jazdy skrzydlatej, łopocącej barwnymi proporcami swych kopij, stoi ich groźny pogromca, który niebawem tem lśniącym w blaskach słońca wojskiem zada im cios śmiertelny.

Z otoczenia Króla wybiegli już we wszystkich kierunkach adjutanci z rozkazami, by cała linja ruszała naprzód. Król przywołał do siebie porucznika Zbierchowskiego, dowódcę chorągwi ussarskiej królewicza Aleksandra i, wskazując buławą namioty wezyra, kazał mu w imię Boże zaczynać. Pochyliły się kopje ussarskie. Grom — „Jezus, Marja!“ I wspaniała chorągiew niepowstrzymanie ruszyła z kopyta, wbijając się w tłuszczę turecką i roztrącając wszystko na boki. Pędziły w ślad za nią inne chorągwie, wśród nich przybrany, jak na wesele, w białym żupanie i błękitnym kontuszu sadił na potężnym bułanym bachmacie Jan III, prowadząc za sobą masy ussarji, pancernych i niemieckie regimenty jazdy. Pod buławą polskiego króla po raz pierwszy próbowali Niemcy iść cwałem na wroga. Potężne, żelazne zastępy jeźdźców niepowstrzymaną burzą zmiatały wszystko przed sobą. Zdjęci paniką Turcy rzucali wszystko i co koń wyskoczy pędzili oszaleli ze strachu ku mostom. Około 6-tej wieczorem wspaniała obóz wielkiego wezyra, pełen nieprzeliczonych skarbów, był w ręku królewskim.

O zmroku zatrzymał Król swoje oddziały na zdo-

bytych stanowiskach i zakazał Jabłonowskiemu, który ze skrzydłem swem ruszył w pogoń za nieprzyjacielem, dalszego pościgu. Kierował się ostrożnością. Łatwo było przypuszczać, że, ochłonąwszy z pogromu, wezyr uporządkuje swe wojska i spróbuje uderzyć na upojoną zwycięstwem i rozproszoną w labiryncie obozu armję chrześcijańską. Rozkazał wobec tego Sobieski części oddziałów przez całą noc stać w sprawie i być w pogotowiu do odparcia prawdopodobnych zakusów wroga. Sam, znużony całodzienną pracą i pościgiem, nie spoczął z tegoż powodu we wspaniałych wezyrskich namiotach, lecz ułożył się do snu poza obozem pod suchym dębem, w pobliżu oddziałów, stojących na czatach.

Przez całą noc słyhać było jeszcze odgłosy walki w przykopach tureckich, gdzie Hieronim Lubomirski z polecenia księcia Karola wycinał janczarów, „bo to taka była hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta...”

„Bog i Pan nasz na wieki błogosławiony — pisał Sobieski z dumą nazajutrz do swej Marysienki — dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyślały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciół, zasławszy trupem aprosze¹, pola i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydle, owce, które tu miał po bokach, dopiero dziś

¹ Przykopy, pod których osłoną nieprzyjaciół oblegał miasto.

wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą... Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory... namioty jego tak obszerne jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszono. Chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę... dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu Świętemu... Nie rzekniesz mnie tak, moja Duszo, jako wiesz, tatarskie żony mawiać zwykły mężom, bez zdobyczy powracającym, żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił, bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi... Ja ich rachuję prócz Tatarów na trzykroć sto tysięcy, drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcją trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie nocy i dzień rozbierają ich kto chce... ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą... Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło trzymać dłużej nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z beluardów podmurowanych, okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowali (Turcy), że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany. Wojska wszystkie, które dobrze barzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu i nam tę wygraną potrzebę... Cóż dopiero i tu dziś rano książę Lotaryński, Saski, bo mi się wczora widzieć nie przyszło...

Cóż komendant Stahremberg tutejszy. Wszystko to całowało, ścisnęło, swym Salvatorem zwało. Byłem potem we dwóch kościołach, tam lud wszystek pospolicity całował mi ręce, nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali wołając: „Ach niech te ręce tak waleczne całujemy“. Chcieli byli wołać wszyscy: „Wiwat“, ale to było znać po nich, że się bali oficerów i starszych swoich. Kupa jedna nie wytrzymała i zawołała: „Wiwat“, pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano, i dlatego zjadłszy obiad u komendanta, wyjechałem z miasta tu do obozu, a pospólstwo ręce wznosząc prowadziło mnie aż do bramy“.

Spostrzeżenia Króla co do powściąganego przez władze austriackie entuzjazmu wdzięcznego tłumu były słuszne. Cesarz Leopold, który podobnie jak Król nie spodziewał się tak rychłego oswobodzenia stolicy, posuwał się wpobliżu za armją chrześcijańską, by w chwili zwycięstwa ukazać się nagle i odbyć triumfalny wjazd do miasta, sobie samemu w oczach ludności przypisując zasługę oswobodzenia Wiednia. Wydał już nawet zarządzenia, by nie wpuszczano nikogo do stolicy przed jego przybyciem. Rozkazy te władze austriackie otrzymały jednak ku swemu zmartwieniu zbyt późno, by uniemożliwić Królowi polskiemu krótki bodaj pobyt w oswobodzonym Wiedniu. Nie w smak były dumnemu Habsburgowi — którego posłowie niedawno zaklinali na klęczkach Sobieskiego, by przybywał na ratunek — ani odruchowe uniesienia tłumów, ani śpiewanie w murach miasta „Te Deum“, ani tem bardziej zdobycie przez Sobieskiego wszystkich splendorów w tureckim obozie. Niewdzięczny dłużnik pra-

gnał jak najprędzej zapomnieć o danym mu ratunku i wymazać z pamięci powszechnej pomoc i zasługi Polaków. Względę przyzwoitości kazały jednak zachować choćby pozory i bodaj raz spotkać się ze swym zbawcą. Ale i sprawa owego spotkania nie została ułożona bez tarć i targów, gdyż cesarz wzdragał się przed daniem Sobieskiemu prawej ręki w obecności elektorów. Szlachetny i wspaniałomyślny Jan III, dla którego wobec zdobytej chwały cały egoizm, pycha i ceremonja austriackiego dworu nie przedstawiał najmniejszej wartości, znalazł wyjście z tej drażliwej sytuacji. Zaproponował dla uniknięcia trudności spotkanie z cesarzem w polu, przed frontem obu armij, i rozjechał się do swoich wojsk po krótkim przywitaniu.

Niewdzięczny Austriak nie oszczędził i w tych warunkach gorzkiego upokorzenia swemu zbawcy. Spotkanie nastąpiło 14 września w pobliżu Szwechatu. „Dałem mu ...sposób — opisywał później Król owo spotkanie — że się ja tego dnia z wojskiem ruszę. Skoro tedy cesarz zbliżyć się będzie, wyjadę od wojska ku niemu i przywitamy się na koniach i staniemy przeciwko sobie: ja od mego wojska, a on od swego i od Wiednia; on między elektorami, a ja między swym synem, senatorami i hetmanami. Przyjął ten sposób z wielką ochotą i tak się stało. Przyjechał cesarz z samym tylko elektorem bawarskim, bo już saskiego nie było. Kilkadziesiąt z nim kawalerów dworskich, urzędników i ministrów. Drabanci za nim, trębacze przed nim i piesza służba — sześć albo ośm... Przywitaliśmy się tedy dość ludzko. Uczyniłem mu komplement —

kilka słów po łacinie. On tymże odpowiedział językiem, dosyć dobrymi słowami. Stanąwszy tedy przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy uklonił — niepociągnął cesarz nawet ręką do kapelusza, na co ja patrząc ledwie nie zdrętwiał. Toż uczynił wszystkim senatorom i hetmanom, i swemu powinowatemu księciu panu wojewodzie bełżkiemu (Konstantemu Wisnowieckiemu). Nie godziło się jednak inaczej (aby się świat nie skandalizował, nie cieszył albo nie śmiał), jeno jeszcze kilka słów mówić do niego; po których obróciłem się na koniu, pokłoniwszy się spólnie, w inszą pojechałem drogę. Jego zaś pan wojewoda ruski (Jabłonowski) poprowadził do wojska, bo sobie tego życzył, i widział wojsko nasze, które okrutnie było żałośnie i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodzono“.

Po tym afroncie, który spotkał królewicza Jakóba i rozwiął marzenia Sobieskiego, przynajmniej narażenie, o powiązaniu go węzłami małżeńskimi z dworem austriackim, rozpoczęły się wyraźne szykany. Austriacy, którzy niedawno jeszcze skomleli o pomoc i z pośpiechem wykonywali każde życzenie Króla, teraz nie tylko nie wywiązywali się ze swych względem niego zobowiązań, ale zaczęli traktować zwycięzców, jak nieproszonych gości, lub zgola nawet wrogów. Chorzy i „niebożęta postrzeleni“ leżeli na gnojach, bo dla rannych zabrakło pomieszczeń, a Król nie mógł wyprosić tego nawet, by wysłano ich do Preszburga, gdzie chciał ich leczyć własnym kosztem. Poległych w obronie cesarskiej stolicy zakazano chować na cmenta-

rzach wiedeńskich i na instancje Polaków pokazywano im pole, albo „spalone po przedmieściach i pełne trupów pogańskich cmentarze“. Dla wojska zabrakło żywności, o której dostarczeniu wbrew traktatowi nikt nie myślał, konie, pozbawione paszy w zniszczonym przez Turków kraju, padały z głodu, a rozzuchwaleni Austriacy poważali się napadać na żołnierzy królewskich i rabować ich tuż pod jego boki. Wszystkie skargi królewskie nie odnosiły żadnego skutku. Jedyną pociechą dla Króla mogło być to, że cesarz równie niewdziecznie traktował swych niemieckich sprzymierzeńców, a nawet księcia Karola, znajdując słowa uznania jedynie dla Stahremberga, którego zaszczycił laską marszałkowską. Księżę saski, urażony postępowaniem cesarskiego dworu, zabierał się do powrotu. „Ludzie jego i przyjaciele — pisał Król — sakramentują, narzekają, grożą... Uszy tu bolą słuchając zdaleka, co mniejsi mówią, nawet już i na nas narzekają, żeście go (cesarza) sukursowali, niechby tu była ta pycha i z korzeniem do szczętu wyginęła“. Sobieski jednak potrafił na takie postępowanie Leopolda odpowiadać obdarowywaniem go jeszcze zdobycznymi buńczukami, chorągiewkami i końmi i, nie zrażając się wszelkimi afrontami, z żelazną wytrwałością zabierał się do kontynuowania wojny i ostatecznego zniesienia przeciwnika.

O ile dla książąt niemieckich sprawa dalszego kontynuowania wojny, po oswobodzeniu Wiednia, nie przedstawiała żadnego interesu i mogli oni zrażeni polityką dworu austriackiego, powracać do siebie,

nie narażając swych spraw, o tyle dla Sobieskiego kwestja dalszej wojny przedstawiała zasadnicze znaczenie, łącząc się z dawnymi jego planami zupełnego wyparcia Turków z Europy, ze sprawą wywalczenia dla Polski przyzwoitych warunków pokoju, oraz zdobywania dla niej odpowiedniego głosu w polityce europejskiej. Zwłaszcza sprawy węgierskie nastroczały mu doskonałą po temu sposobność, gdyż Tököly pragnął za pośrednictwem Króla dojść do porozumienia z cesarzem. Przedstawiciele węgierscy prosili go również pocichu, by łączył się z powstańcami i bronił Węgier zarówno przeciwko Turkom, jak Austriakom. Wkroczenie na Węgry oddawało całą sprawę w jego ręce, a mogło dać również i koronę węgierską, po którą nie sięgał jedynie ze względu na rzetelny stosunek sprzymierzeńca wobec niewdzięcznego cesarza.

Niemal nazajutrz po wiedeńskiej wiktoryi myślał Sobieski o marszu na Budę, gdzie Kara-Mustafa gromadził niedobitków swej armji i gotował się do dalszej walki. Jako żołnierz, pragnął Król wyzyskać owoce zwycięstwa i zadać nowy cios, nieokrzepłemu jeszcze po klęsce, przeciwnikowi. Tymczasem Austriacy stali uparcie w miejscu, nie prowadząc nawet rozmów o dalszej wojnie, zaś armja królewska, pozbawiona żywności i dziesiątkowana straszliwą epidemią dyzenterji, musiała czekać na swych sojuszników. „Jesteśmy tu — narzekał Król — jako błędni jacy. Spodziewaliśmy się, że to tak należało, że mię pytają, albo spytać każą, jako dalej prowadzić tę wojnę? Aliści ani pytano, ani pytają. Gdyby powie-

dzieli, że nas nie potrzebują, a sami robić co przynajmniej z swej chcieli strony, tobym ja gdzie poszedł urwać też co na swą stronę“. Czekaając, aż Austriacy zdecydują się na jakiś plan działań, posuwał się tymczasem powoli brzegiem Dunaju w kierunku Preszburga. Wiadomość o pochodzie Króla wywarła duże wrażenie wśród Węgrów.

Powstańcy węgierscy na prawym brzegu Dunaju zaczęli podnosić broń i przysyłać do Króla „z poddaństwem i posłuszeństwem“. Tem większe więc miał Król nad narodem węgierskim miłosierdzie, bo „okrutnie byli Węgrzy utrapieni“. Pragnął swem pośrednictwem złagodzić ich los i skłonić cesarza do łagodniejszej względem Węgier polityki. Tymczasem i wkroczenie na Węgry, i późniejsze zwycięstwa Króla miały wydać, wyzwolone od Turków, części kraju na krwawą zemstę cesarza.

Po dłuższej beczynności spowodowanej zachowaniem się Austriaków, dopiero w początkach października miały się wznowić działania wojenne. Miały być one jednak skierowane nie przeciwko Budzie, jak pierwotnie zamierzał Sobieski, lecz przeciw położonym na lewym brzegu Dunaju Parkanom i leżącej naprzeciw nich potężnej twierdzy tureckiej Granowi (Ostrzyhom).

Tymczasem Kara-Mustafa zdążył już ochłonać z wrażenia doznanej klęski. Zwalając z całą perfidją odpowiedzialność za nią na swych podwładnych, by w ten sposób usprawiedliwić się w oczach sułtana, kazał on udusić paszę budyńskiego Ibrahima i stracić szereg wyższych dowódców. Po krwawej tej rozpra-

wie żelazną ręką przywrócił karność w swych szeregach i zabrał się do obsadzania twierdz silnemi załogami, gotując się do zaciętej obrony, gdyż mógł przebłągać sułtana jedynie pod warunkiem, że nie utraci ani jednej piędzi z jego posiadłości węgierskich. Do Granu został wysłany z poważnemi siłami, świeżo mianowany na miejsce Ibrahima pasza budyński, młody i energiczny Kara-Mohamed, pełen zapału do walki i żądny sławy. Nie zamierzał on poprzestać na biernej obronie powierzonej sobie twierdzy i gotów był szukać okazji w polu do walki z wrogami Półksiężycy.

O świcie 7-go października, wysłał Król z pod Komorna lewym brzegiem Dunaju straż przednią pod wodzą Bidzińskiego, rozkazawszy mu, aby czekał nań o milę od Parkan i zbadał, czy są one obsadzone przez Turków. Gdyby forteczka ta, będąca przedmościem Granu, nie była obsadzona, zamierzał, przeprawiwszy się istniejącym tu mostem przez Dunaj, przystąpić do oblężenia samego Granu. Gdyby Parkany były zajęte, chciał zaczekać na przybycie z księciem Lotaryńskim piechoty i dział, i dopiero później ruszyć na nieprzyjaciela. Tymczasem Bidziński, snąc rozzuchwalony dotychczasowymi sukcesami, nie przeprowadziwszy zwiadu, podpadł pod same Parkany i natrafiwszy na całą potęgę Kara-Mohameda, wdał się z nią w walkę. Pod naporem Turków musiał się jednak cofać, walcząc z nimi bezładnie. Niebawem na odgłos walki nadbiegł Jabłonowski i, chcąc ratować położenie, zaczął spieszać dragonów, a gdy z zarośli ukazały się prace zawzięcie naprzód masy bisurmanów,

nie mógł się już wycofać, nie narażając na zgubę swych dragonów. Słał więc do Króla o ratunek, nie zawiadamiając jednak, z jak potężnym ma do czynienia przeciwnikiem.

Sobieski nadbiegł szybko, nie posiadając ani piechoty ani dział, z będącą pod ręką kawalerją. Nadbiegłszy na pole bitwy, Król szybko uszykował swe szczupłe wojsko, liczące zaledwie około 5 tysięcy, stawiając na prawem skrzydle Jabłonowskiego, pośrodku Marcina Zamoyskiego a na lewem Feliksa Potockiego. Pod wrażeniem klęski straży przedniej i wycięcia przez Turków dragonów, po odepchnięciu od nich Jabłonowskiego, w szeregach polskich zaczynało szerzyć się zamieszanie. Widząc, co się święci, Jabłonowski zaklinał Króla, by opuścił plac boju, zanim nastąpi nieunikniona klęska. Królowi się jednak „to ani zdało, ani godziło, przyszedłszy tam z wojskiem, a potem ich tam zostawiwszy, odjechać“. Słał więc gońców do księcia Lotaryńskiego, aby jak najszybciej przybywał z pomocą, albo przynajmniej przysłał chociażby część kawalerji. Tymczasem w szeregach szerzył się nieład. Pozostała dragonja nie chciała zsiąść z koni, a niektóre chorągwie wymawiały się przed zajmowaniem wyznaczonych sobie stanowisk. W tem zamieszaniu Turcy wpadli dwukrotnie na skrzydło Jabłonowskiego, które jednak odparło zwycięsko oba natarcia. Po raz trzeci wódz turecki uderzył znów na to skrzydło, próbując zająć mu tyły. Tym razem uderzenie było skuteczne. Złamane przez nieprzyjaciela skrzydło zaczęło się cofać. Pragnąc ratować je, Król wziął kilka chorągwi ussarskich, uderzył na Turków,

osaczających Jabłonowskiego i zaczął ich przeć przed sobą.

Tymczasem zdjęte nagłą paniką lewe skrzydło i centrum, nie mające przed sobą nieprzyjaciela, rzuciły się do ucieczki. Przykład był zaraźliwy. Walczące dotąd chorągwie, zdjęte zkolei strachem, poczęły uchodzić bezładnie, a na ich karkach jechała zwycięska kawalerja turecka. Rozprzęgły się wszelkie więzy karności. Nie było żadnej siły, by powstrzymać uciekających. Kazawszy królewiczowi uchodzić przodem, Sobieski próbował, otoczony przez garstkę trwających przy nim żołnierzy i oficerów, zażegnać panikę i wstrzymać uciekających. Oszalała ze strachu tłuszcza rwała zapamiętałe, nie zważając na prośby i zakłęcia i, potracając Króla bez żadnych względów na jego majestat, uciekała w haniebnym strachu. Wreszcie porwany przez tłum począł uchodzić Sobieski, mając przy sobie zaledwie ośmiu ludzi. Już się wznosiły nad jego głowę szable tureckie, przed których ciosami uratował go jakiś nieznany rajtar, zasłaniając go własną pierśią i własnem życiem płacąc za życie Króla. Nieprzypadkowa ucieczka na przestrzeni kilku kilometrów trwała aż do oparcia się o własne piechoty i regimenty cesarskie. W szalonym biegu, podtrzymywany z jednej strony przez niejakiego Czerkasa, z drugiej przez wiernego przyjaciela, koniuszego koronnego, Marka Matczyńskiego, który unosił mu głowę w obawie, aby przy swej tuszy nie został Sobieski rażony atakiem apoplektycznym, pozbawiony zupełnie sił, nie mogąc złapać tchu, dobiegł Król do oddziałów, powstrzymujących Turków. Gdy

zdzjęto go z konia i złożono na słomie, przez dłuższy czas leżał z purpurową twarzą, nie mogąc przemówić. Wokół niego kupili się generałowie austriaccy, ukrywając zaledwie radość z porażki niezwyciężonego dotychczas Wodza. Wśród wojska szerzyła się tymczasem wiadomość, iż Król poległ w bitwie. Żołnierzy, zwłaszcza w regimentach pieszych, ogarniała rozpacz. Dawały się słyszeć wśród nich głosy, zwracane do oficerów: „A cóż już i po nas, gdyśmy ojca stracili. Prowadźcie nas, niech tam pomrzemy wszyscy“. Podobna pogłoska rozeszła się i w wojsku tureckiem, zwłaszcza że poległego w bitwie wojewodę pomorskiego Denhoffa, podobnego do Jana III, wzięto za Króla, a Kara-Mohamed, kazawszy uciąć mu głowę, posłał ją wezyrowi do Budy. Fałszywa wieść o śmierci straszego pogromcy wywoływała tu burzę radości i podnosiła wojowniczy zapal armji tureckiej. Zasilony świeżemi oddziałami kawalerji, przysłanemi mu z Budy, zwycięski Pasza szykował się do podjęcia działań zaczepnych. Tököly otrzymał rozkazy, by połączwszy się z nim na czele swych powstańców wziął udział w działaniach.

W wojsku królewskiem znać było wstyd i przygnębienie. Król potłuczony i posiniaczony przez uciekających, szybko odzyskał jednak siły i ze zdwojoną energją szykował się do pomszczenia porażki. Przyjmował ją z pokorą, jako oznakę gniewu Bożego za rabunki i grzechy, szerzące się w wojsku po zwycięstwie wiedeńskiem, jako karę za pychę, którą zwycięstwo to przepełniło jego żołnierzy. Już nazajutrz pragnął ciągnąć ku Parkanom, by zmyć nowem zwy-

cięstwem plamę wczorajszego pogromu. Wypadło jednak stracić dzień cały na przywrócenie porządku w obozującym bezładnie po doznanej porażce wojsku, na wzniesienie w niem wiary we własne siły i zapału do dalszej walki.

Na odbytej radzie wojennej odzywały się jeszcze w dowództwie polskiem trwożliwe głosy, zalecające odwrót i wycofanie się do Polski. Surowo zgromił Sobieski, pragnący gorąco odwetu, niewczesne te rady: „Tę radę w was strach przejmuję, a lubo wojsko wczoraj podrwiło, jutro się poprawi, bo to nie nowina. Posłuchajcie Niemców, którzy że nie strwożeni, to też i rada ich nie będzie trwożliwa. Boga przeprosiwszy, obaczycie jutro odmianę“. Na trwożliwe uwagi o zmienności fortuny, odpowiedział z prawdziwą furją, że zdepcę fortunę, jak małpę. Jakoż Austriacy podzielali opinię królewską o konieczności nowej rozprawy. Stopniowo ochłonął żołnierz z wrażenia sromotnej porażki i lepszej nabrał fantazji. Chorągwie się wypełniły, gdyż powrócili do ich szeregów zapóźnieni i maruderzy. Król sam objeżdżał szeregi, przywracał karność i dawał gorzkie nauki.

Stanąwszy przed jedną z ussarskich chorągwi, której towarzysze porzucali w ucieczce kopje, rozkazał, by ci, co je jeszcze mają, stanęli w pierwszym szeregu. Wśród innych wyjechał z kopją jakiś pachołek a jego towarzysz chciał mu ją wydrzeć. „Mospanie — wołał oburzony pachołek — jam dla siebie wyniósł tę kopję z potrzeby, nie porzuciłem jej, jako drudzy“. Król wielce pochwalił pachołka i dawszy mu pięć czerwonych złotych, kazał stanąć w pierwszym sze-

regu, za nim ztyłu pozostał jego zawstydzony towarzysz. Poczucie wstydu ogarniało niezwyciężonych dotąd ussarzy, co zdjęci strachem ciskali w ucieczce swe kopje, a wraz z niem rosło w ich sercach pragnienie zemsty i żądza zmycia swej hańby bohaterskim czynem.

Pod wpływem przemów królewskich, na widok spokoju i pewności siebie Króla, powracało do wojska zaufanie we własne siły i zaczynało się palić pragnienie odwetu w nowej rozprawie.

Wczesnym rankiem 9 października 1683 roku ruszyła ze swego obozu armja sprzymierzeńcza, licząca około 15.000 Polaków i 17.000 cesarskich. Posuwała się ona powoli, uszykowana do boju, mając na prawem skrzydle oddziały królewskie pod osobistem dowództwem Jana III, w centrum księcia Karola, na lewem zaś skrzydle Jabłonowskiego. Szyk cały, sprawiony w trzy rzuty, składał się z pomieszanych ze sobą polskich i austriackich oddziałów piechoty i jazdy. Front najeżony był działami. Regimenty piechoty niesły przed sobą kozły hiszpańskie, by, rzuciwszy je przed swemi szykami, stworzyć z nich poważną przeszkodę przed atakami jazdy tureckiej i móc pod ich osłoną razić spokojnie nieprzyjaciela ogniem. Około godziny 8-mej zbliżył się Król ku Parkanom, zajmując pole, na którem przed dwoma dniami poniósł porażkę od Kara-Mohameda.

Armja turecka, zasilona świeżym dziesięcioletnim korpusem jazdy, przybyłym w ciągu nocy z Budy, liczyła około 26.000 kawalerji. Około 5.000 ponadto obsadzało twierdzę Parkany, broniąc dostępu

do mostu. Masy nieprzyjacielskie prawem swem skrzydłem opierały się pod dowództwem Kara-Mohameda o wzgórze przy ujściu doliny rzeki Granu, którą lada chwila spodziewano się nadejścia Węgrów Tökölego, lewem zaś o Parkany. W centrum stał wezyr Sylistrii, na lewem skrzydle dowodził Ali, pasza Karamanji. Głęboki ordynek turecki składał się z jednej linii, z trzema kolumnami kawalerji w odwodzie, i znacznie był krótszy od szyku królewskiego. Na lewo od Turków i ukosem przed nimi ciągnął się wygięty kolanem ku północy Dunaj, do którego na tyłach tureckich wpadała rzeka Gran. Wódz turecki, szykując się skośnie do prawdopodobnego kierunku marszu sprzymierzonych, zamierzał uderzyć na nich z boku w oparciu o Parkany i zepchnąć ich do Dunaju.

Na widok zbliżających się chrześcijan ruszyła masa turecka w zapamiętałej szarży, waląc się głównym ciężarem na skrzydło Wielkiego Hetmana. Przyjęta spokojnym ogniem piechoty i dział, skłębiła się w zamieszaniu i, cofnąwszy się wstecz, do ponownego ruszała natarcia. Tym razem uderzyli Turcy nietylko na lewe skrzydło, lecz również i na centrum. Hetman Wielki i książę Karol odpierali dzielnie natarcia i sami ruszali naprzód. Wywiązała się zacięta walka, w której Kara-Mohamed trzykrotnie został cięty szablą. Pasza Karamanji ranny popadł w ręce ussarzy. Wezyr sylistryjski, otoczony ze wszystkich stron, bronił się dzielnie, szukając oczyma kogoś, komu mógłby bez wstydu oddać swą szablę, i dojrzawszy Jabłonowskiego zacięcie przedzierał się ku niemu, aż wreszcie

poddał się, wręczając swą broń osobiście Wielkiemu Hetmanowi.

Gdy nieprzyjaciół uwikłał się w walkę z centrum i lewem skrzydłem, Sobieski pod osłoną pagórków prowadził skrycie prawe swe skrzydło ku Parkanom, kazawszy ussarzom zniżyć swe kopje. Niebawem jego szeregi dochodziły do Parkan, zagrażając lewemu skrzydłu i tyłom tureckim i przecinając drogę odwrotu przez most. Stojąc w pobliżu twierdzy parkańskiej, widział żołnierz pozatykane na palisadach skrwawione głowy poległych przed dwoma dniami towarzyszy i mocno ściskając broń w garści, obiecywał sobie krwawą wziąć pomstę. Na widok zagrażających tyłom chorągwi królewskich, panika ogarnęła walczących Turków. Jabłonowski parł tymczasem zawzięcie naprzód, również zbliżając się ku Dunajowi. Przybyli właśnie ku ujściu z wąwozu Węgrzy przyglądali się spokojnie, jak się zamyka żelazny pierścień chrześcijan i jak w popłochu zaczynają uchodzić srodzy ich protektorzy, budzący więcej strachu, niż zaufania. Otoczeni zewsząd Turcy rzucili się ku mostowi, który ostrzeliwała już teraz prócz dział Kąskiego także i artylerja księcia Karola. Pod ogniem tej artylerji i naporem uciekającej masy, most runął, odcinając możliwość ucieczki. Przerażone tłumy Turków zaczęły szukać ratunku w bystrych nurtach Dunaju. Niebawem całe koryto rzeki pokryło się turbanami, lecz mało kto zdołał przepłynąć przez wartkie wody, które stały się grobem niedobitków tureckich. Z całej armji zdołał się wydobyć na lewy brzeg rzeki jedynie w ośmset koni sam Kara-Mohamed, który przeleciał przez

most, zanim zdołał on runąć. Rozpaczliwie strzelały przez Dunaj działa Granu, nie przynosząc szkody chrześcijanom. Na brzegach rzeki trwała rzeź bez pardonu, gdyż, rozwścieczony niedawną klęską i widokiem pozatykanych na palisadach głów swych towarzyszy, żołnierz nie chciał nikogo darować życia. Broniły się jeszcze same Parkany, lecz niebawem i one zostały zdobyte przez dwa regimenty polskiej piechoty. Armja dzielnego Kara-Mohameda przestała istnieć. Zaledwie 1.200 Turków wziętych do niewoli uratowali przed zemstą żołnierstwa chrześcijańscy oficerowie. Było to wszystko, co zdołało ująć z życiem, nie licząc tych, co uratowali się wraz z samym wężym. Jan III zwycięstwo parkańskie uważał za bardziej doniosłe nawet od wiedeńskiego i kładł je pomiędzy największe swoje sukcesy.

Zamierzał teraz zdobyć Gran i przez Węgry ciągnąć powoli w kierunku polskiej granicy. Po odbudowaniu mostu przystąpił 24 października książę Karol do oblężenia lewobrzeżnej twierdzy. Po czterech dniach, gdy komendanta twierdzy zapewniono, że może się poddać na imię polskiego króla, dumnie odrzucający dotąd propozycje austriackie Ibrahim-pasza podpisał wieczorem 27 października warunki kapitulacji. Nazajutrz wyszedł z 4.000 załogą i 6.000 muzułmańskiej ludności, oddając nienaruszoną twierdzę. „Nieprzyjaciół — donosił Król z radością swej Marysieńce — poddał się tej nocy, to jest czwartego tylko dnia od obsydji (oblężenia) na imię moje, lubo nasze wojska prócz brandenburskich w to się nie mieszały dla słabości i chorób... Z duszą tylko a z ręcz-

nym swoim orężem wychodzi to prezydjum (załoga) do Budy. A jako to dziś wszyscy weseli, wypowiedzieć tego niepodobna. A przed kilką dni nie było człowieka, coby mu się to zdać miało. Jest to forteca najprzedniejsza całego królestwa węgierskiego, arcybiskupstwo, zamek wielki bardzo na górze wysokiej i skale, miasto zaś w dole dokoła zamku. Było w rękę tureckich lat sto czterdzieści... Tu wszystek stek ludzi rycerskich i pogranicznych i niby Kudak kiedyś nasz polski, około którego bywały ustawiczne bitwy, tak że gdyby ścisnął garść tej tu ziemi, toby krew z niej wypłynęła. Dopieroż teraz jeszcze zjednałem sobie przyjaźń turecką, którzy mię zowią katem tureckim, że z mojej okazji tak wielu już ich naginęło. A z tem wszystkim woła się przecie spuszczać na moje słowo i dyskrecją, niżeli na czyje insze. Tak tedy sławnie i pożytecznie dnia dzisiejszego tę tak trudną, krwawą i śmiertelną kończymy kampanję“.

Istotnie kampanja miała się ku końcowi. Wojska cesarskie stawały na leżach zimowych, polskie zaś ciągnęły przez ziemie węgierskie ku krajowi. Król już nie czekał na ciągnących zagadkowo powoli Litwinów. Jak niegdyś Pac, tak teraz, wyniesiony przez Króla na hetmaństwo wielkie litewskie, Kazimierz Sapieha, wyraźnie niechętnie popierał plany królewskie. Wciąż czekał na jakąś artylerję i rozmaite wynajdywał powody, by krążyć po krajach węgierskich i nie przyjsć z pomocą Królowi. Rósł już z niego nowy wróg Króla, który zawichrzy w przyszłości dalsze panowanie Jana III i będzie krzyżował wszelkie plany królewskie, wydzierając Sobieskiemu możność dźwignięcia

Rzeczypospolitej i zdobycia dla niej samodzielnego stanowiska wśród państw europejskich. Jego to głównie zasługą przepłyną w nieładzie i anarchji ostatnie lata panowania przepojonego goryczą bohater-skiego Króla.

Ciągnąc przez Węgry, zdobył Król jeszcze Szczin (Szecsény) po trzygodzinnej tylko kanonadzie. Mnie-mał, że wzięcie tej twierdzy odda bez trudu w ręce cesarskie odcięte ze wszystkich stron Nowe Zamki (Neuhäusel). Gdy ciągnął dalej przez Węgry cesar-skie, spotykał już nieżyczliwy stosunek ludności, gdyż władze austriackie budziły swą bezwzględnością wo-bec Węgrów ogólne rozgoryczenie i niechęć ku Pola-kom za pomoc, okazaną Habsburgom. Tököly — mimo długich układów — nie zawarł jeszcze ugody i cofnął się do Debreczyna. Część tylko magnatów węgier-skich starała się wyjednać za pośrednictwem Króla amnestję cesarską. Zdobywszy Preszów (Eperies), stanął Król jeszcze na tydzień w Lubowli, by załatwić sprawy Węgrów w korespondencji z cesarzem. Spot-kawszy się w Starym Sączu z Marją Kazimierą, przy-był 23 grudnia wraz z nią do Krakowa, a w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia odbył wjazd trium-falny, witany okrzykami rozentuzjasmowanej świeżą sławą, zdobiącą skroń bohaterskiego Króla, ludności podwawelskiej stolicy.

Zwycięska kampanja wiedeńska nową chwałą przyniosła polskiemu Królowi i zwróciła oczy całego świata na Rzeczpospolitą, otwierając przed nią wszel-kie możliwości odegrania poważnej roli w polityce Europy. Dawała Sobieskiemu sposobność do przepro-

wadzenia zwycięsko planów względem Turcji i czyniła zeń arbitra w sprawach węgierskich przez nawiązane tam stosunki z Węgrami, oraz zdobyte stanowisko pośrednika w rokowaniach powstańców z cesarzem. Ale i bezpośrednio, namacalne przyniosła Rzeczypospolitej korzyści. Dzięki pogromowi Turków pod Wiedniem i na Węgrzech, miała Rzeczpospolita rozwiązane ręce na Podolu i w kierunku państw naddunajskich. Już ciągnąc pod Wiedeń, przygotowywał Sobieski działania i w tym kierunku, gdy mianował hetmanem kozackim Kunickiego, który podjął się ruszyć za Prut. W końcu roku Andrzej Potocki odzyskał przeważną część Podola, podczas gdy Kunicki, przekroczywszy Prut, pobił w Besarabji białogrodzkiego kajmakana i osadził w Jassach sprzyjającego Polsce Petryczajkę. Ujawniała się znów przyciągająca siła potężnej Polski w stosunku do naddunajskich państweczek. Król spoglądał teraz ku Czarnemu Morzu, podejmując dawną ideę jagiellońską: zamyślał o zdobyciu ujścia Dunaju i wciągnięciu w obręb polskich wpływów Mołdawji i Wołoszczyzny. Zwycięstwo wiedeńskie zdawało się zapowiadać i w tym kierunku niechybny sukces.

XVIII

KU UJŚCIOM DUNAJU. ZMIERZCH SŁAWY WOJENNEJ.

Udział Polski w kampanji 1683 roku, osiągnięte przez nią wyniki i dominująca rola Króla w wyprawie potężne wywarły wrażenie w całej Europie. Napróżno cesarz Leopold usiłował wysunąć na plan pierwszy własną osobę, lub zwrócić przynajmniej uwagę na bohaterskiego komendanta Wiednia, hrabiego Stahrenberga, napróżno zazdrosny o sławę Ludwik XIV starał się przypisać całą zasługę odsieczy papieżowi Innocentemu XI, a gazety oficjalne francuskie nie wymieniały nawet imienia Sobieskiego, świat cały rozbrzmiewał chwałą Jana III, sławił szlachetne jego bohaterstwo i w nim samym upatrywał jedyne go zbawcę Europy przed groźnym zalewem barbarzyńskiego — wedle ówczesnych pojęć — Półksiężycy. Polska — pomimo wszystko — wysuwała się w polityce europejskiej na widoczne miejsce i stawała się przedmiotem zabiegów o względy nie tylko państw, bezpośrednio zagrożonych przez Turcję w swych interesach, ale nawet samego, sprzyjającego Turkom, Ludwika XIV, który puszczał w niepamięć afront wyrzucenia z Polski swego ambasadora

w związku ze sprawą Morsztyna i wkrótce po zwycięskiej wyprawie wysyłał do Rzeczypospolitej królewskiego szwagra, margrabiego de Béthune, który już nieraz posłował do Sobieskiego, w celu wybadania gruntu do ponownego nawiązania dyplomatycznych stosunków. Śmiała akcja wiedeńska, wyprowadzając Rzeczpospolitą — walczącą dotąd z Turcją na swym partykularzu — na teren zmagania o interesy ogólnoeuropejskie, mówiła zbyt głośno za siebie i zbyt dobitnie zwracała uwagę na Polskę i jej Króla, jako na siłę wojskową, która spowodowała zasadniczy przełom w walce Chrześcijaństwa z Półksiężycem. Cios, zadany Turcji pod Wiedniem, odwrócił kartę dziejową. Dotąd nieubłagane zaborcza, po klęsce tej Turcja wyraźnie przejść musiała do obrony. To też zdawano sobie powszechnie sprawę, że — zahamowana gwałtownie przez Sobieskiego w swym zaborczym rozpędzie — Turcja musi być teraz ostatecznie powalona i niemniej powszechnie w Królu polskim i jego wojsku widziano jedyne ramię, które złamać ostatecznie potrafi potęgę ottomańską. Cesarz austriacki, który w swej pysze okazywać się zdawał wyraźne lekceważenie zbawcy podczas spotkania pod Szwechatem, który później szykanował go w dalszej wojnie i starał się wymazać z pamięci jego zasługę, niebawem próbował zatrzeć wrażenie swego afrontu, zapraszając przymilnie królewicza Jakóba na swój dwór i łudząc ponownie Króla widokami na małżeństwo syna z austriacką arcyksiężniczką, a wszystko, by nie utracić tak cennego sprzymierzeńca. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że w tej chwili największą wartość przed-

stawia dłań bezpośrednie współdziałanie Sobieskiego na węgierskiej widowni wojny, nie zaś dywersja polska od strony Podola. To też już w styczniu 1684 roku zabiegał, wysyłając do Króla generała Scherfenberga, o połączenie obu armij na Węgrzech, lub przynajmniej o skierowanie tam części wojsk polskich. Gdy ciosy, zadane przez Jana III pod Wiedniem i Parkanami, zachwiały tureckim kolosem i wykazały jego słabość, ta sama Wenecja, która przed kilku laty odrzucała niedwuznacznie propozycje królewskie wspólnego wystąpienia przeciwko Porcie, nabrała teraz ochoty do walki i gotowa była wziąć udział w dalszym zmaganiu się, by nie ominąć podziału niechybnemi łupami i mieć przynajmniej prawo do wyciągnięcia ręki po utracone na rzecz Turcji swoje posiadłości.

Z drugiej strony stosunki, nawiązane przez Sobieskiego podczas wyprawy z Węgrami i Siedmiogrodem, sukcesy, odniesione na skutek Wiednia przez Kunickiego i Potockiego na Wołoszczyźnie, przewrót w nastrojach orjentacyjnych, będący wynikiem zarówno wiedeńskiego pogromu, jak i owych sukcesów, wróżyły Królowi możność zrealizowania wspólnym wysiłkiem dawnego marzenia o wyparciu Turków z Europy, zdawały się zapowiadać okrycie go nową chwałą, trwałe wciągnięcie w obręb polskich wpływów państwerek naddunajskich, pozyskanie temi wspaniałymi wynikami widoków na utrwalenie własnej dynastji, zwłaszcza gdyby się udało osadzić nad Dunajem jako władcę królewicza Jakóba. Wszystko to razem sprawiało, że on, w którego żyłach płynęła krew Żółkiewskiego, był ogarnięty zapalem do marszu

„w same wnętrzności wroga“, do trafienia w „jego serce i głowę“ przez zdobycie Konstantynopola. Bardziej niż kiedy indziej ogarniała go „przyrodzona do pogan antipatja“, coraz mocniej czuł się mścicielem krwi swoich bliskich i wykonawcą testamentu politycznego swego Pradziada, „który na postłumienie ciężkiego, pogańskiego sąsiada nie inny znajdował sposób, tylko życzyć ojczyźnie, aby się był kiedykolwiek urodził cny onej syn, któryby pogaństwo tak w domu szukał, jako oni państwo nasze sięgają“.

W ten sposób, w logicznym wyniku odsieczy i dzięki konjunkturze spraw politycznych Europy, dojrzała do realizacji dawna myśl Jana III o lidze chrześcijańskiej przeciwko Turcji, która pod wysokim protektoratem Stolicy Apostolskiej znalazła swe urzeczywistnienie w traktacie, zawartym w Linzu, w marcu 1684 roku, przez Austrię, Polskę i Wenecję.

Król widział przyszlą wojnę jako jednoczesne, dośrodkowe uderzenie trzech armij sprzymierzonych w kierunku Konstantynopola, na trzech odrębnych widowniach. Na prawem skrzydle, w Dalmacji, walczyć mieli Wenecjanie, w centrum, na Węgrzech — wojska cesarskie i Rzeszy Niemieckiej, na prawem skrzydle, na Wołoszczyźnie, posuwać się miały wojska Rzeczypospolitej. Równolegle do zwycięskiego pochodu wojsk lądowych, które pozostawiały za sobą twierdze nieprzyjacielskie, skazane zdaniem Króla już przez samo odcięcie od Turcji na niechybny upadek, miała się — według pomysłów Jana III — rozwijać w kierunku stolicy padyszacha dwustronna akcja morska:

floty weneckiej przez Dardanele i czajek kozackich od strony morza Czarnego i Bosforu.

Poglądy swe na prowadzenie dalszej wojny wyłożył Sobieski w instrukcji dla posłów swych: Rozdrażewskiego i Lubomirskiego, wysłanych do Linzu celem zawarcia traktatu ligi chrześcijańskiej. Skutkiem jednak niezręczności poselstwa plany królewskie nie weszły do traktatu, który, co do prowadzenia wojny, ograniczył się do ogólnikowych wzmianek w duchu przymierza z Austrią z wiosny 1683 roku.

Tymczasem już w kwietniu Austriacy, zamierzający teraz zdobywać Budę, zwrócili się ponownie do Króla z propozycją połączenia sił na Węgrzech, lub przysłania im z pomocą silniejszego oddziału jazdy. Dało to Sobieskiemu pochop do dobitnego wyrażenia swego poglądu na prowadzenie wojny i wyłożenia szczegółowego swych planów. Co do działań sił polskich, to pragnął on wkroczyć na Wołoszczyznę śladem swego Pradziada doliną Prutu i dotrzeć do ujścia Dunaju, opierając się tam aż o morze Czarne. Tuszył sobie, że przez obsadzenie zamków budziackich: Kilji, Białogrodu, Reni i Izmailu odetnie Tataków krymskich od Turcji i zmusi ich do neutralności, oraz uniemożliwi komunikację Turków z ich podolskim i ukraińskim zaborem, że załogi tureckie w Jazłowcu, Kamieńcu, Barze i Międzybożu będą zmuszone na skutek tego do kapitulacji. Liczył, że zdoła osadzić na tronie mołdawskim swego stronnika, że samo zbliżenie się ku Multanom ułatwi wystąpienie, przygotowującemu się do powstania przeciwko Tur-

cji, gospodarowi Serbanowi, że — wreszcie — działania jego zmuszą do opowiedzenia się po stronie ligi księcia siedmiogrodzkiego, Apaffiego. Po opanowaniu krajów naddunajskich pragnął się zbliżyć do armji cesarskiej, walczącej na Węgrzech, która powinna była działać według jego zamierzeń w kierunku Temeszwaru. Argumenty królewskie trafiły do przekonania austriackich wodzów i doprowadziły do uzgodnienia planów. Cesarscy mieli rozpocząć działania nad średnim Dunajem i, po zdobyciu Wisegradu, skierować część sił na opanowanie Mostów Osieckich, uderzając jednocześnie na Budę, a po jej wzięciu ciągnąć przez Temeszwar, by połączyć się następnie z armją królewską i, po przezimowaniu, ruszyć wspólnymi siłami w głąb krajów bałkańskich.

Zawrotne plany, wynikiłe ze studjów nad pomyśłami i planami Batorego i Władysława IV, oraz z rozważań nad domniemanemi możliwościami, jakie powstały po Wiedniu zarówno na widowni wojennej, jak i w dziedzinie układu sił politycznych, nie były oparte ani na gruntownej znajomości terenów przyszłej wojny, ani na ścisłym obrachunku sił własnych i przeciwnika, ani — wreszcie — na baczem zważeniu wszystkich czynników, decydujących o zdolności zaczepnej i rozmachu wojsk własnych i odporności nieprzyjaciela. Genjalne w zasadniczej koncepcji, grzeszyły one nieznajomością realnych warunków terenu walki i układu czynników politycznych, brakiem metodycznego opracowania w szczegółach, przecenianiem sił własnych i lekceważeniem przeciwnika. W tych warunkach musiały one przy zetknięciu się

z rzeczywistością zawisnąć w powietrzu i pozostać w sferze pomysłów.

Zapoczątkowana w ciągu czerwca 1684 roku zwycięstwami pod Wisegradem i Wacem ofensywa austriacka na Węgrzech oddała w ręce wojsk cesarskich Peszt i otworzyła drogę do Budy, ale utknęła też na tem, rozbijając się o zacięty opór Turków, broniących Budy, a ostatecznie zawiodła pod Mostami Osieckimi. Nieuzgodniona w czasie z ofensywą polską, rozpoczętą faktycznie dopiero w sierpniu, straciła ona cały swój rozmach i nie mogła już ruszyć z miejsca.

Jeszcze gorzej przedstawiały się rzeczy po stronie polskiej. Wyprawa, planowana jako śmiały pochód zaczepny w głąb państw naddunajskich, ugrzęzła zaraz na wstępie i to nie z powodu odporności nieprzyjaciela, lecz z przyczyny wewnętrznej niemocy i opozycji, powstałej przeciw Królowi w łonie własnego dowództwa. Opozycja ta skuła wolę królewską i unieruchomiła jego armję, wydzierając Sobieskiemu inicjatywę działań i skazując go na bierność.

Plany królewskie, powstałe bez udziału obu hetmanów wielkich: Jabłonowskiego i Sapiehy, zazdrośnych o swoją władzę, obawiających się wzrostu sławy królewskiej i umocnienia się jego pozycji w kraju, zdawna już biorących bezpośredni udział w knowaniach przeciwko Sobieskiemu, uzyskały coprawda bez sprzeciwu aprobatę lipcowej rady senatu, lecz w wykonaniu znalazły w hetmanach, pragnących obedrzeć Króla z wawrzynów, zawziętych przeciwników. Zagadkowe już w czasie wyprawy wiedeńskiej zachowanie się wodza armji litewskiej dawało dużo do my-

ślenia. W Sapieże rósł coraz niebezpieczniejszy wróg Króla, kierujący się magnacką fantazją i podszeptami obcych dworów. Jabłonowski, zawsze układowy, przebiegły i podstępny, dawny przyjaciel Króla, następnie niedoszły kandydat do tronu w Morsztynowym zamachu, winy którego zostały mu odpuszczone, obdarzony przed Wiedniem wielką buławą, położył podczas wyprawy wiedeńskiej wielkie, niewątpliwie, zasługi, lecz zasmakował zarazem we władzy hetmańskiej i zgoła niechętnem okiem patrzył na chwałę, wciąż wzrastającą, Jana III i rad był zamknąć mu drogę do nowej sławy. Już podczas owej wyprawy, nie narażając się sam, bo zresztą nigdy nie lubił się narażać, potrafił dość poważną opozycję wytworzyć Królowi w łonie dowódców i nieprzychylnie dla Jana III rozpalic nastroje wśród wojska. Z jego to najbliższego otoczenia wyszedł paszkwil, obdzierający Sobieskiego — ironicznie zwanego z powodu zapędów krzyżowych „Christianissimusem” — ze czci i wiary, głoszący jego zamiary zdeptania wolności szlacheckich, przypisujący wreszcie — Jabłonowskiemu zasługę pięknych owoców wojny, Królowi zaś — pychę i złość. Dwaj ci godni przeciwko Królowi sprzymierzeńcy zdołali rozpalic zaraz na początku wojny namiętności i rozpętać taką burzę opozycji wśród wojska, że odebrała mu ona wszelką możliwość działania.

Kampanja, rozpoczęta pięknie w sierpniu zdobyciem na Turkach potężnego Jazłowca, bezpośrednio potem stanęła na przeprawach Dniestrowych pod zwańcem. Gdy Sobieski gotował się do przeprawy przez rzekę i wkroczenia na Wołoszczyznę w zamiarze

dalszego marszu, zerwała się raptem opozycja, staranie przygotowana przez hetmanów. Zamiast wykonywać zarządzenia królewskie, wojsko poczęło radzić nad planem działań i rozważać zagadnienia, czy należy dobywać Kamieńca, świeżo umocnionego przez Turków, siedzącego — według wyrażenia Sobieskiego — na wodzie „jako kaczka“, na skutek zalania dostępów doń, podniesionymi przez groble, wodami Smotrycza. Jałowe dyskusje uniemożliwiły wszelkie działania, aż nadciągnięcie armji tureckiej nad Dniestr sparaliżowało ostatecznie akcję. W listopadzie 1684 roku musiał Sobieski zrezygnować na ten rok ze swoich planów i powrócić do Żółkwi.

Fortuna jęła odwracać twarz od zwycięskiego do tąd Króla.

Minęła najsposobniejsza do podjęcia wielkich planów chwila.

Turcja, na skutek utknięcia działań zaczepnych na obu widowniach, zaczynała odzyskiwać siły. Brak rozmachu w działaniach zaczepnych zaczynał podkopywać w państwach naddunajskich orjentację polską obu gospodarów, zwłaszcza, że, osadzony przez wojska królewskie w Jassach, Petryczajko, został w marcu 1684 roku stracony przez Turków, a wyniesiony na jego miejsce w Mołdawji Kantemir bliżej związany był z Portą. Trzymać się miał on odwiecznej polityki zwodzenia stron obu, by stanąć w ostatniej chwili po stronie zwycięskiej. Mogły go skłonić ku Polsce dopiero wyraźne sukcesy królewskie.

Załamanie się od wewnątrz planów królewskich podczas wyprawy 1684 roku nie mogło, rzecz prosta,

tak potężnej indywidualności, jak Sobieski, zmusić do rezygnacji z zakrojonych na wielką miarę zamierzeń, wynikających z całego jego wewnętrznego nastawienia od lat najmłodszych, związanych z całą jego obecną polityką wielkomocarstwową i widokami na mocne ustalenie własnej dynastji na tronie Rzeczypospolitej. Widoki polityczne istotnie w ciągu 1684 roku przedstawiały się aż nazbyt korzystnie. Na Węgrzech Tököly stracił wszelką nadzieję ocalenia wolności pod rządami Leopolda, kontynuował walkę i oddawał pod protekcję Jana III wszystkie swe siły zbrojne i twierdze. Książę siedmiogrodzki Apaffy występował z propozycją przyłączenia do Polski swego Siedmiogrodu, jako lenna dziedzicznego Królestwa. Z podobnemi propozycjami odzywał się również i gospodar multkański. Czyż mógł wobec takich głosów i takich widoków zrezygnować ze swych planów na skutek jednej nieudanej kampanji, nieudanej nie dlatego, że nieprzyjaciół zdołał swą potęgą złamać wysiłek zbrojny zwycięskiego dotąd Wodza, lecz dzięki tarciom wewnętrznym w łonie własnego wojska, spowodowanym opozycyjnem stanowiskiem własnych hetmanów? Czyż mógł na skutek tej opozycji wyrzec się zamierzeń stworzenia ze swego państwa pierwszorzędnej potęgi przez wydarcie zarówno Porcie, jak cesarstwu, i związanie z Rzeczpospolitą wszystkich krajów, leżących nad dolnym Dunajem: Węgier, Siedmiogrodu, Mołdawji i Multan, i od tych wspaniałych widoków przejść do niewspółmiernie skromniejszych, do odzyskania Kamieńca? Czyż miał po jednym niepowodzeniu — przez zaniechanie wielkich swych planów wojennych i zwró-

cenie się ku Kamieńcowi — rzec się dobrowolnie roli doniosłej w Lidze i dać się zepchnąć na stanowisko podrzędnego pionka? On, który czuł się wodzem całego Chrześcijaństwa w walce z Półksiężycem. On, wychowany w tradycji świętości tej walki, pełen wewnętrzznego przekonania, iż został do wyższych celów zrodzony. On, w tak proroczych okolicznościach wydany na świat, wśród gromów burzy i wycia gromionych niemal przy samej kolebce pohańców. On — groza i bicz bisurmanów i mściciel „krwie swoich bliskich“, z krwi ich powstały. Nietylko teraz, dopóki sił tylko stanie, nie wyzbędzie się swych planów czy snów o okryciu Rzeczypospolitej nową chwałą, o jej przez siebie stworzonej potędze, marzeń o jej wdzięczności i tronie polskim dla swych potomków. Po kampanji zwanieckiej nie myślał bynajmniej ograniczyć swych celów, ani też planów politycznych. Trwał nadal przy swych projektach — pogromienia ostatecznego Porty i polityki względem państw naddunajskich. Pragnął związać je mocno z Polską, osadzić, gdzie będzie można, na tronie królewicza Jakóba, by tem pewniej utorować mu drogę do tronu polskiego, gotów jednak przystać i na luźniejszy tych krajów z Rzeczpospolitą związek — toć i za taki sukces, w jego pojęciu, wdzięczny naród z pewnością obdarzy królewskiego syna koroną. A jakże potężna będzie Rzeczpospolita i jak przemożną pocznie odgrywać w polityce rolę po skruszeniu Osmanów, oparta o Czarne morze i Dunaj. Wobec świadomości i poczucia doniosłości politycznej odsieczy wiedeńskiej, głosów, rozlegających się z nad Dunaju, zabiegów ze strony wiedeńskiego dworu

o dalszą pomoc Jana III — załamanie się planów wojennych pod Żwańcem stawało się w oczach Sobieskiego drugorzędnym epizodem, przykrym coprawda, lecz nie mogącym zawalić mu drogi do realizacji jego planów.

To też już niemal nazajutrz po nieudanej wyprawie zastanawiał się nad przyczynami niepowodzenia, nad charakterem przyszłej wojny i przesłankami, na których powinien był się oprzeć jej plan. Wychodził z założenia, że gdyby wysiłek w przyszłej wojnie miał być skierowany na zdobywanie pogranicza i obsadzanie twierdz, nie opłaci mu się podejmować go osobiście, „skoro te czynności i zadania przeprowadzić potrafią skutecznie hetmani...” Stał na stanowisku, że — jak pisał do posła polskiego w Rzymie — „...udziałem naszym jest przewodzić nad wszystkimi wojskami chrześcijańskimi, wzorem ś. p. Króla Stefana, naszego poprzednika, Księcia Parmy i innych sławnych mężów, których Chrześcijaństwo do tego zadania uprosiło.” Sprawy wojny rozpatrywał więc ze stanowiska naczelnego wodza wszystkich sił zbrojnych koalicji chrześcijańskiej. Owocem tej pracy były „Rozważania o nieuniknionej kampanji” („Considerationes super imminente campania”), rozesłane już na początku 1685 roku dworom europejskim.

W „Rozważaniach” swych, które miały stanowić podstawę do dyskusji, dochodził do wniosku, że przyszły pogrom Turcji może być osiągnięty jedynie przy zupełnem zharmonizowaniu działań wojsk sprzymierzonych w drodze żywej wymiany poglądów na prowadzenie wojny i przez ścisłe uzgodnienie działań na

widowni wojennej. Zbijając świetnemi argumentami zamysły swych przeciwników, tyczące się zdobywania Kamieńca, który może być odzyskany jedynie w drodze pośredniej przez opanowanie ujść Dunaju, występował w zasadzie wogóle przeciwko bawieniu się w zdobywanie twierdz i z żelazną logiką udowydniał konieczność marszu nad Dunaj, zalecając utworzenie z tej strony rzeki jednej potężnej armji chrześcijańskiej, wkroczenie w samo wnętrze państw wroga i szukanie go we własnem jego gnieździe. Zastanawiając się nad sprawą marszu armji polskiej ku Dunajowi, wykazywał wszystkie trudności jego przeprowadzenia, jako to ogromną, trzechsetmilową, przestrzeń do przebycia w spustoszonej kraju, brak dzieł warownych, zabezpieczających tyły i etapy, małą w stosunku do obszaru liczbę wojska komputowego Rzeczypospolitej i znaczne jego oddalenie od wojsk cesarskich i dochodził po rozważeniu tych trudności do wniosku, że na tych terenach bez podania ręki od strony Węgier żadna akcja nie będzie się mogła rozwinąć i każda skończy się niepowodzeniem.

Utworzenie potężnej armji nad Dunajem, wyrwanie inicjatywy przeciwnikowi przez śmiałą ofensywę, zagrożenie jego ogniskom domowym — oto według Sobieskiego idea przewodnia przyszłej wojny. Opanowanie wczesną wiosną i potężne obwarowanie Mostów Osieckich, działanie obronne po drugiej stronie Dunaju w Styryi i Karyntji — oto środki do przygotowania na przyszłość działań zaczepnych z nad dolnego biegu tej rzeki. Uspokojenie Tököly'ego na Górnych Węgrzech, wciągnięcie Siedmiogrodu Apaffy'ego do

Ligi, oddanie im części wojsk cesarskich i zlecenie do-
bywania na Turkach Waradynu, Szolnoku, Agrji,
Ujwarynu i innych twierdz — oto środek ubezpie-
czenia ofensywy z tej strony. Rola Wenecji —
to blokada Sztambułu i Archipelagu oraz uniemożli-
wienie Turkom transportu z Azji Mniejszej na
plac boju.

Tak nakreślony z wielkim rozmachem i dużym po-
lotem twórczym plan działań, poparty świetnemi,
gruntownie przemyślanemi argumentami, znalazł na-
ogół szeroki rozgłos zarówno w Polsce, jak i na ob-
cych dworach. Znakomita argumentacja anty-kamie-
niecka, poparta rzeczowemi dowodami i rozważa-
niami, pochodzącemi ze znajomości rzeczywistego
stanu sprawy, przyczyniła się na polskim terenie wal-
nie do przekonania opozycji — która w ubiegłym
roku, gardlując za Kamieńcem, udaremniła zamierze-
nia królewskie — i skłonienia jej ku planom wojen-
nym Jana III, na obcym zaś gruncie znalazła w przy-
szłości oddźwięk w argumentacji przeciwko dobywa-
niu Budy przez armję cesarską.

„Rozważania“ królewskie, przyjęte naogół z wiel-
kiem uznaniem, powściągliwie zostały wysłuchane
przez dwór cesarski, który niebawem zwrócił się do
Króla z szeregiem zapytań, przedewszystkiem w spra-
wie sposobu połączenia armij i miejsca ich spotkania.
Odpowiadając na te zapytania, skłaniał się tym razem
Sobieski — wbrew swemu zeszłorocznemu stanowi-
sku, dyktowanemu przedewszystkiem interesami Pol-
ski i dynastycznemi planami — do połączenia swych
sił z armją cesarską na Węgrzech, kierując się wzglę-

dami na ogólne cele wojny, i kreślił nowy, nacechowany dużą śmiałością, plan działań.

Pragnął na czele swej armji ruszyć od Stryja przez przełęcz tucholską ku Szatmarowi i połączyć się tu z ciągnącą od Granu armją cesarską. Stamtąd doliną Cisy ruszyć w żyzne okolice Temeszwaru i, stanawszy tam na leżach zimowych, z wiosną 1686 roku podjąć dalsze działania w zależności od zachowania się Turków. Gdyby nieprzyjaciel zachowywał się biernie, zamierzał zostawić na straży Węgier księcia bawarskiego i przez Multany ruszyć śmiało na Konstantynopol, przechodząc Dunaj znaną kupiecką drogą pod Nikopolis; gdyby zaś Turcy wszczęli znacznymi siłami działania zaczepne, czy to przez Mosty Osieckie do Węgier, czy przez Sawę i Drawę na Styrię i Wiedeń, czy przez Górne Węgry w kierunku Polski, Moraw i Śląska, czy wreszcie na Ukrainę i Podole — zamierzał z pod Temeszwaru uderzyć wszystkimi siłami na nich i doprowadzić do walnej rozprawy.

Toczyły się teraz przez całą wiosnę aż do samego lata dalsze dyskusje nad królewskimi planami pomiędzy Sobieskim a kołami wojskowymi i przedstawicielami państw sprzymierzonych. Tymczasem już na luty 1685 roku zwołany był sejm, który miał uchwalić środki na przyszłą wojnę.

Sejm ten na mocy konstytucji 1673 roku powinien był odbywać się w Grodnie, Sobieski jednak, licząc się z przyszłą wojną i pragnąc być jak najbliżej jej przyszłej widowni, powołał sejm do Warszawy, co pogłębiło odrazu na Litwie zawsze niechętnie dla niego nastroje i spowodowało szereg dodatkowych tarć, da-

jąc nowe argumenty w ręce opozycji i powodując znaczne opóźnienie się sejmu. Litwini z zaciętym uporem bronili swego Grodna i wzbraniali się przyjeżdżać do Warszawy. Dopiero po długich targach udało się ich ściągnąć do stolicy, dając zapewnienie, że sejm, odbyty w Warszawie, będzie przecież nosił nazwę Grodzieńskiego.

Obrady sejmu rozpoczynały się pod złym znakiem. Opozycja gotowała się do energicznego ataku na Króla, gardlując na sejmikach przeciwko jego planom wojennym, a za zdobywaniem Kamieńca, rozdzierając szaty nad zagrożoną wolnością i gotując się do obrony przed „absolutum dominium”. Zarzuty, ukute już w paszkwilach politycznych bezpośrednio po wyprawie wiedeńskiej, odnosiły skutek. Przed pierwszym sejmem, jaki miał się zebrać po owej wyprawie, która zwróciła oczy całego świata na Rzeczpospolitą, jako na doniosły czynnik w polityce Europy, a skroń Sobieskiego przyozdobiła wiekopomnym wawrzynem, stawał on jako oskarżony, niemal jako gwałciciel prawa i zbrodniarz, knujący nieczne zamiary na pogniębienie wolności i bodaj zgubę własnego kraju.

Dwie sprawy natury formalnej dawały opozycji broń do zaciekłych ataków i zamącenia obrad na samym początku. Były to sprawy dwóch nominacji, dokonanych przez Króla — wbrew zwyczajowi — przed sejmem. Oddanie wakującej po śmierci Krzysztofa Pacy wielkiej pieczęci litewskiej Marcjanowi Ogińskiemu i mianowanie podkanclerzym koronnym krewnego królewskiego, biskupa Michała Radziejowskiego, wywołały szaloną burzę. Zwłaszcza sprawa kanclerstwa

litewskiego wywołała gwałtowne napaści ze strony Litwinów, podjudzanych przez Paców, rozjuszonych na Sobieskiego za pominięcie ich możnego rodu. Kwestjonowano zgół wśród gorszących zajęć ważność samej nominacji, a dawny adwersarz króla, Paweł Michał Pac, który niegdyś za czasów młodości Sobieskiego zranił go w pojedynku, wystąpił z mową tak nieprzyzwoitą i obelżywą, że zapalny Król aż się porwał do korda i wśród niesłychanego hałasu i zamieszania usłyszał bezczelne słowa dumnego warchoła, że gotów raz jeszcze dać poczuć Królowi ciężar swej ręki. Cała ta, gorsząca zgół, sprawa, tocząca się wśród zamieszania, grożącego udaremnieniem sejmu, zlikwidowana została dopiero oświadczeniem — złożonym podobno za poradą Marji Kazimiery — że skoro Litwa kwestjonuje ważność nominacji nowego kanclerza, kwestjonuje tem samem i własne prawa do obecności na sejmie, gdyż powołana została na sejm aktami prawnymi, podpisanymi przez tegoż kanclerza.

Również i sprawy przyszłej wojny, rozważane na sejmie, stały się przedmiotem zaciekłych walk i uszczypliwych głosów krytycznych, wypominających Kamieniec. Dochodziło już nawet do tego, że sejm przemyśliwać zaczynał o redukcji — na złość królowi — piechoty w przededniu nowej kampanji. Na szczęście świetne argumenty antykamienieckie Sobieskiego, przytoczone w jego „Rozważaniach“, przekonały już były najgorliwszego stronnika dobywania Kamieńca, hetmana Jabłonowskiego, który teraz znowu pojednał się z królem, a z drugiej strony z su-

kursem dla Jana III przybył nuncjusz Pallavicini, który zagroził wstrzymaniem subsydjów papieskich, w razie, gdyby Polacy nie uchwalili sami podatków na wojnę i nie obiecali działać zaczepnie. Opozycja została wreszcie przez dwór przełamana i sejm, idąc za radą królewską, uchwalił podatki na wojnę i komput nowego wojska. Ten był o 3.000 żołnierza szczuplejszy od wiedeńskiego komputu, lecz reprezentował daleko racjonalniejszy układ wojska. Redukcji uległa częściowo tylko jazda, piechota natomiast i dragonja, do których rozbudowy oddawna dążył Sobieski, zyskiwały w nowym kompucie: piechota 3.600 ludzi, dragonja 1.200. Ogółem armja miała się składać z 33.162 głów z Korony i 12.000 z Litwy.

Po takich wynikach obrad sejmu co do spraw wojny zdawać się mogło, że są one na zupełnie dobrej drodze. Czas jednak schodził na ustawicznych, nieobowiązujących dyskusjach z obcymi dyplomatami przy braku wiążących odpowiedzi w sprawie projektów królewskich ze strony wiedeńskiego dworu. To też Sobieski, by przyśpieszyć jego decyzję, wystąpił w początku lipca w sposób zupełnie oficjalny wobec austriackiego posła. Został jednak zgoła niemile zaskoczony dalszą grą jego na zwłokę i odsyłaniem sprawy do Wiednia, a jeszcze niemilej całkiem niespodziewanem stanowiskiem nuncjusza papieskiego, który był dotąd gorącym zwolennikiem połączenia podczas przyszłej wojny obu armij.

Pallavicini przekładał, że Król właściwie nie powinien opuszczać kraju, że książę Lotaryński niechętnie podda się pod jego rozkazy, że armja polska

powinna pozostać w Polsce pod dowództwem hetmanów, że — co najwyżej — kilkanaście tysięcy jazdy mogłoby wraz z Królem przyłączyć się do korpusu generała Schulza, działającego na Węgrzech. Oświadczenie to całkiem przejrzyście wskazywało, że nuncjusz jest obecnie wyraźnym przeciwnikiem planów królewskich. Gdy Król, pragnąc przycisnąć do muru obu dyplomatów, w parę dni potem wyznaczył do pertraktacyj z nimi dwu senatorów, położenie wyświećliło się w sposób zupełnie jasny. Poseł cesarski i nuncjusz oświadczyli się w pisemnej deklaracji zupełnie niedwuznacznie przeciwko planom Jana III. Orzekli oni, że połączenie wojsk podczas najbliższej wyprawy nie jest możliwe, gdyż rada cesarska ułożyła już inne plany, że komitat temeszwariski jest za ciasny dla obu armij, a dowozowi doń żywności i amunicji Dunajem przeszkadzać będą twierdze tureckie, że — wreszcie — cesarz nie zgodzi się na marsz w głąb państwa tureckiego przy pozostawieniu twierdz nieprzyjacielskich na swych tyłach, a to ze względu na bezpieczeństwo własnych swych krajów. Nuncjusz papieski wraz z posłem cesarza, który przed rokiem sam wzywał Króla do połączenia sił, trąbili na odwrót w swej deklaracji.

Za przytaczanemi oficjalnie, całkiem niepoważnemi argumentami ukrywały się najzupełniej poważne względy polityczne. Polityka naddunajska Jana III skrzyżowała się z polityką cesarza Leopolda. Już podczas wyprawy wiedeńskiej wpływy Sobieskiego na Węgrzech i jego stosunki z Tökölym budziły poważne zastrzeżenia na habsburskim dworze. Dalsze stosunki

w ciągu 1684 roku nie mogły się nie ujawnić, a uciekanie się buntownika pod protekcję polskiego Króla godziło wprost w interesy Leopolda, który, skoro tylko zwolniła się pętla turecka, zarzucona na jego szyję, zaczynał już marzyć o zdławieniu żelazną dłonią powstańców węgierskich. Gdy kolos turecki zachwiał się pod ciosami Jana III, polityka austriacka zaczęła już spoglądać łapczywem okiem na Siedmiogród i dalej ku Multanom i Mołdawji. Dopóki mogło się zdawać, że Sobieski będzie wyciągał gorące kasztany z ognia dla Austrii w jej polityce naddunajskiej, współdziałanie jego, nawet bezpośrednie, obok armji cesarskiej mogło być pożądane i wdzięczny cesarz gotów mu był nawet wskazywać zdobycze przy ujściach Dniepru, byle nie nad Dunajem. Gdy jednak wyjaśniło się, że w sprawach naddunajskich zdobył się on na własną politykę, ukazanie się jego na Węgrzech i nowe sukcesy polskie na tych terenach — obok niewątpliwego uroku imienia wielkiego wodza — stawały się wręcz niebezpieczne dla austriackich zakusów. Stosunki Króla z Apaffym i hospodarami, jego plany wojenne, obliczone na współdziałanie z obu węgierskimi książętami, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do nastawienia jego polityki. Ani powodzenie jego planów politycznych, ani wzrost jego wpływów w krajach naddunajskich, ani wzmożenie potęgi Rzeczypospolitej, ani wzmocnienie w niej władzy okrytego nowymi wawrzynami Sobieskiego nie mogło leżeć w interesie habsburskiego sojusznika Polski. Przyjęcie planów wojennych Jana III przez Austrię groziło cesarzowi urzeczywistnieniem zamierzeń politycznych

Sobieskiego i godziło w interesy wiedeńskiego dworu. Dworowi temu wystarczało w zupełności obecnie, by Rzeczpospolita, tocząc wojnę z Turkami na swoim odcinku, trzymała na sobie część sił nieprzyjacielskich i ułatwiała w ten sposób zadanie wojskom cesarskim, a za polityką dworu wiedeńskiego stał, niechętny zawsze Królowi i sprzyjający Austriakom, nuncjusz papieski w Polsce, jeśli jeszcze nie sama Stolica Apostolska. Tak wyglądały istotne przyczyny, dla których dwaj dyplomaci chrześcijańscy przy dworze warszawskim sprawiali w swej deklaracji cichy pogrzeb genialnym planom Sobieskiego ostatecznego rozgromienia Porty, kopiąc zarazem grób dla jego planów politycznych.

Wśród takich rozmów i pertraktacyj, prowadzonych z sojusznicznymi dyplomatami, którzy swem stanowiskiem udaremniali plany królewskie, uchodził czas, działając tem samem przeciwko Sobieskiemu, podczas gdy cesarz, naciskany przez Króla za pośrednictwem działającego w Austrii Hieronima Lubomirskiego, zachowywał dalej zagadkowe milczenie, nie zdradzając swych zamiarów na przyszłość. Uchodził czas, a wraz z nim oddalała się pomyślna sposobność do wyzyskania przychylnych dla Króla nastrojów w naddunajskich państewkach. W sierpniu było już rzeczą najzupełniej jasną, że kampanja 1685 roku, zamiast dać doniosłe, rozstrzygające wyniki, będzie musiała się ograniczyć do akcji zupełnie drugorzędnej i co najwyżej będzie miała znaczenie dla Austrii, jako dywersja, odciągająca w swą stronę część sił tureckich.

Wobec stanowiska dyplomatów sprzymierzeńczych musiał Sobieski nawracać do dawnych planów odrębnego działania na poszczególnych widowniach, planów mniej pewnych, prowadzących do działań w dużo trudniejszych warunkach, wśród znacznie większej ilości niewiadomych, a strata drogiego czasu zmuszała go do ograniczenia celów bieżącej kampanji i odłożenia realizacji tych nawet kusych i niepewnych planów do następnego roku. W sierpniu już oświadczał, że skoro cesarz zamierza prowadzić działania oddzielnie, on sam gotów jest zastosować się do tego, byleby obie armje działały w sąsiedztwie, gotowe w każdej chwili podać sobie ręce. Gdy, przy niezmiennem milczeniu cesarza, w miesiąc później rozgorzały już były na dobre na polskiej widowni działania wojenne, skierował 16 września na ręce Hieronima Lubomirskiego nowy memoriał do cesarza w sprawie planów przyszłej kampanji 1686 roku, na który cesarz tym razem musiał dać konkretną odpowiedź.

Wobec przewlekających się w nieskończoność pertraktacyj z sojusznikami i mocno spóźnionej pory nie mógł już Król wyzyskać uchwał sejmowych w sprawie komputu wojska i musiał ograniczyć na rok bieżący rozmach projektowanych działań. Na wyprawę 1685 roku wystąpiła tedy Rzeczpospolita zaledwie w 14.000 żołnierza: 12.000 z Korony i 2.000 z Litwy. Wobec ograniczenia planów i choroby królewskiej tegoroczne działania zlecone zostały hetmanowi Jabłonowskiemu.

Na czele szczupłej swej armji przekroczył on nie bez trudu pamiętą od czasów Olbrachtowej klęski Bukowinę i 30 września 1685 roku stanął pod Bojanem,

a już nazajutrz został osaczony przez kolosalne siły turecko-tatarskie Solimana-paszy, liczące około 12.000 Turków i około 100.000 Tatarów. Po zwycięsko odpartych przez Jabłonowskiego szturmach w dniu 1 października rozłożył się przeciwnik obozem i przez dni dziesięć nie decydował się już atakować Polaków. Rozpuścił natomiast czambuły na Wołyń, które sięgały aż za Ołykę i Równe. Dla odpierania tych czambułów chory Król powołać musiał rycerstwo najbliższych ziem do obozu pod Złoczów i zdołał na jego czele zagrozić wrogowi drogę do wnętrza kraju.

Jabłonowski rozpoczął tymczasem odwrót przez bukowińskie lasy, odwrót, prowadzony w niesłychanie ciężkich warunkach, wśród ustawicznych napadów Tatarów i Turków. Odwrót ten, przeprowadzony po myślnie dzięki trafnym zarządzeniom hetmana, świetnej postawie piechoty i znakomitemu kierownictwu artylerji, niepróżno przyniósł sławę hetmanowi Jabłonowskiemu i Marcinowi Kątskiemu. Armja została uratowana od grożącej jej klęski i stanęła na Wałach Trajana w okolicy Żuczki, gotując się tu do przyjęcia walnej rozprawy. Gdy, nie przyjmując walki, cofnął się nieprzyjaciel, armja polska kontynuowała bezpiecznie swój odwrót aż do Śniatyna.

Na tem wygasły działania polskie 1685 roku. Nie przyniosły one zgoła żadnej korzyści Rzeczypospolitej, przyjmując jednak na siebie ciężar naporu potężnej masy nieprzyjacielskiej, ochroniły armję cesarską od uderzenia na nią i zasłoniły ją przed ciosem. Owoce wyprawy Jabłonowskiego zebrał nierzetelny sojusznik, jedynym sukcesem Polski, snującej po-

tężne plany zaczepne, było uratowanie się przed gruntownym spustoszeniem własnego kraju.

Tak więc wyprawa Jabłonowskiego odegrała jedynie rolę osłony względem ziem polskich, dywersji w stosunku do działań austriackich, zakończonych odzyskaniem Nowych Zamków. Z punktu widzenia Króla, który gotował się do właściwych działań dopiero w następnym roku, nie mogła być ona oceniana jako niepowodzenie. Niewątpliwie za pożyteczną ze swego punktu widzenia musiał ją również uważać i dwór cesarski. Inne natomiast wrażenia musiały powstać zarówno w państewkach naddunajskich, jak na moskiewskim dworze, z którym właśnie zamierzano rozpocząć rozmowy o przystąpienie do ligi chrześcijańskiej. Po wspaniałych sukcesach wyprawy wiedeńskiej dwa z kolei lata dreptania Rzeczypospolitej w miejscu pod względem wojskowym mogły sprawiać wrażenie wyczerpania jej sił i niezdolności do potężnego czynu. Ogromny kapitał moralny, zdobyty przez wojnę 1683 roku, na skutek braku dalszych sukcesów zaczynał stopniowo topnieć. Naddunajscy władcy nie decydowali się jeszcze wyraźnie na odwrócenie się od Króla, lecz nie śmieli też zbyt otwarcie wiązać się teraz z jego zamierzeniami. By stanąć otwarcie po jego stronie, czekali na nowe sukcesy królewskie. Moskwa gotowa była przy lada okazji wyzyskać położenie i w pertraktacjach w sprawie ligi stawiać miała twarde warunki. Również i Rzym, który po Wiedniu obdarzył Jana III symbolicznym mieczem a jego małżonkę sadzoną brylantami różą, czyto ze względu na dawne sympatje austriackie, czy pod

wrażeniem braku polskich sukcesów, czy wreszcie pod wpływem raportów niechętnego Królowi Pallaviciniego coraz wyraźniej zaczynał stawiać na jednej płaszczyźnie sprawy ligi chrześcijańskiej i austriackiej racji stanu.

Tymczasem Sobieski uporczywie gotował się do przyszłej wojny, którą zamierzał podjąć wczesną wiosną 1686 roku. Plany jego wrześniowe, przedłożone cesarzowi przez Hieronima Lubomirskiego, były już jednak osnute na współdziałaniu sprzymierzonych, prowadzących akcję wojenną na własnych widowniach wojny. Stawiał dla siebie dwa cele wojny: zdobycie Kamieńca, o ile cesarz przysze mu w pomoc odpowiednią ilość piechoty, i marsz przez Wołoszczyznę nad Dunaj. W tym wypadku miał ciągnąć w pobliżu wschodniej granicy Siedmiogrodu przez Mołdawę i Multany ku Nikopolis i Mostom Trajana, a cesarzowi zalecał jednoczesny marsz wzdłuż zachodniej siedmiogrodzkiej granicy na Debreczyn ku Temeszwarowi, prosząc go jednak, by zechciał wesprzeć niebezpieczną, narażoną na boczne uderzenia Turków, operację polską detaszowanymi oddziałami. Ujmując w ten sposób Siedmiogród jak w kleszcze pomiędzy dwie armje, liczył, że skłoni przez to Apaffy'ego do wystąpienia po stronie ligi.

W Austrii tymczasem już w końcu sierpnia roztrząsano również plany przyszłej wojny, a nuncjusz wiedeński, kardynał Buonvisi, doradzał cesarzowi zjednanie na Węgrzech Tököly'ego, przeciągnięcie na swą stronę Apaffy'ego i hospodara multańskiego, opanowanie Mostów Osieckich i Beogradu, zamykając

w ten sposób dostęp Turkom na Węgry i zmuszając odcięte twierdze tureckie do kapitulacji. Zbijając projekty dobywania Budy, przytaczał nuncjusz przytem świetne antykamienieckie argumenty polskiego Króla, przyjmując w całej osnowie pomysły Sobieskiego co do prowadzenia wojny i przystosowując je do potrzeb cesarza przy wykluczeniu polskiej pomocy.

Po długiem milczeniu, w końcu października zdecydował się wreszcie Leopold na udzielenie odpowiedzi Lubomirskiemu na memorjał królewski. Odrzucał w swej odpowiedzi współpracę obu armij i zapowiadał Królowi podjęcie na własny rachunek jego wspa- niałych planów strategicznych, jemu zaś doradzał zdobywanie Kamieńca o własnych siłach. Teraz, gdy pomoc polska nie była już cesarzowi potrzebna, występował wyraźnie przeciwko łączeniu wojsk, opierając się na traktacie linckim, który zalecał bezpośrednią pomoc jedynie w wypadku zagrożenia jednego ze sprzymierzeńców.

Dwór habsburski kradł z całą bezczelnością genialne pomysły wojenne swojego zbawcy, pozostawiając go jego własnemu losowi. W wyniku dwóch lat istnienia ligi chrześcijańskiej Polska, która na skutek wiedeńskiego czynu wkroczyła na szeroką widownię polityki europejskiej, nietylko nie miała według pomysłów wiedeńskich odnieść żadnych korzyści z tej ligi, lecz — straciwszy dwa cenne lata do działań na własną rękę — miała powrócić na własne podwórko, zepchnięta do roli drugorzędnej.

I teraz jednak Sobieski nie rezygnował z wielkich swych planów dunajskich. Zaraz po przybyciu Lubo-

mirskiego z odpowiedzią cesarską zwołał w pierwszych dniach grudnia do Żółkwi radę senatu i na niej przedłożył swe plany przyszłej kampanji, podejmowanej już w zasadzie na własny rachunek, chociaż Król liczył jednak, że sam bieg wypadków, poparty akcją dyplomatyczną, zmusi cesarza do współdziałania. Zamierzał ruszyć już w kwietniu ku Dunajowi, pod koniec maja opanować jego brzegi, zamykając Turkom dostęp do Mołdawji i Kamieńca. Planował następnie, przeciągnawszy na swoją stronę gospodarów, pozostawić im część wojska na obronę brzegów Dunaju, uderzyć na siedziby Tatarów budziackich i po ich zniesieniu przystąpić do oblężenia, pozbawionego wszelkiej możności odsieczy, Kamieńca. Przedłożenie królewskie, poparte doskonałą argumentacją, znalazło uznanie rady, w której uchwałach znalazła się następująca, doniosła konkluzja: „Ponieważ impreza wojny następnej tajoną nie ma być przyczyny, bo tylko dwa jej zaczęcia pozostają środki, to jest albo oblec Kamieniec, albo iść z wojskiem w głąb kraju, przeto, zważywszy okoliczności, gdy zdobycie Kamieńca bardzo niepewne, a zawiedzione pociągnęłoby wiele nieprzyzwoitości i pozbawiłoby sposobów dalszego ratowania się, nie wypada, jak iść ku Dunajowi, bo i Budziaki znieśćby się mogły, Chrześcijan oprócz Wołochów i multanów niezliczone mnóstwo wiązałoby się do Jego Królewskiej Mości, Kamieńcowi odcięłoby się sposobność opatrywania się od Dunaju w prowjanty, Tatarowie musieliby, widząc zawarty Turkom Dunaj, chwycić się propozycji JMP Golczewskiego (prowadzącego pertraktacje o neutralność Tatarów)... a na-

koniec wojska nasze mogłyby się tam na zimę oblokować...“ Plany królewskie stanęły nareszcie na drodze realizacji, rozpoczynały się gwałtowne przygotowania do wojny, której jednym z podstawowych warunków powodzenia było wczesne jej rozpoczęcie.

W tym samym czasie przebywało już w Moskwie wielkie poselstwo polskie z Krzysztofem Grzymułtowskim i Marcjanem Ogińskim na czele, które miało pozyskać dla Ligi pomoc moskiewską. Pomoc moskiewska w danych okolicznościach, przy stanowisku Austrii, tem ważniejsze posiadała znaczenie, że — szachując przeciwnika od strony Tatarów — mogła znakomicie ułatwić Królowi jego działania. Był to jednak nielada trudny orzech do zgryzienia.

Mógł to już stwierdzić ten sam Grzymułtowski, wysłany w 1683 roku na układy do Moskwy. Wtedy to Moskwa sposobiła już swe siły, by w razie niepowodzenia Jana III wyzyskać niezwłocznie położenie i kosztem Rzeczypospolitej powiększyć swe posiadłości. Nawet po Wiedniu i Parkanach czekała jeszcze niecierpliwie, czy nie powinie się noga Królowi na Węgrzech. Wtedy to pisał Grzymułtowski do Benedykta Sapiehy: „Strzeż Boże jakiego wypadku na Węgrzech. Obawiać się trzeba, aby nas nie zaczepili Moskwa wojną, jakoż tak się zda odpowiadać położeniu ich... wyprowadzić wojska na wojnę zewnętrzną...“.

O ileż trudniejsze było zadanie tegoż Grzymułtowskiego, gdy w roku 1685 przybył ponownie do Moskwy, by pozyskać jej pomoc w dalszej wojnie z Turcją. Związana jeszcze pokojem z Portą, rozzuchwalona dwuletniami niepowodzeniami Rzeczypospolitej,

rozłakomiona na ziemię, już przejściowo od Polski oderwane traktatem andruszowskim, i na dalsze zdobycze, przyjmując w tych pertraktacjach zgoła groźną postawę, pragnęła Moskwa sprzedać drogo swą pomoc, gdy pod naciskiem Stolicy Apostolskiej i Wiednia Sobieski wysyłał swoje poselstwo, pragnąc teraz i sam jej pomocy w kierunku Krymu. Za cenę podboju Mołdawji i Multan oraz zhołdowania Siedmiogrodu godził się Król warunkowo odstąpić Moskwie zdobycze andruszowskie z tem, że — o ile cel traktatu nie zostanie uzyskany — ziemie te wrócą zpowrotem do Polski. Za skuteczną więc pomoc moskiewską był jedynie gotów zapłacić wieczystym z Moskwą pokojem i zrzeczeniem się pretensyj do ziem, faktycznie już utraconych. Tymczasem rozzuchwalona Moskwa zajęła podczas rozmów z Grzymułtowskim taką postawę, która obok wojny tureckiej groziła nową, moskiewską. Moskwa za warunek rokowań o przymierze stawiała bezwzględne oddanie Smoleńska i Kijowa i zawarcie wiecznego pokoju, a w rokowaniach oświadczała z bezczelnością, że traktaty buczacki i żórawiński oddały Ukrainę Turcji, od której przeważnie odebrał ją car; co więcej, chwilami wysuwała nawet żądania oddania jej Witebska i Połocka. Widząc uwikłanie się Rzeczypospolitej, związanej ligą, w wojnę turecką i bezbronność granic wschodnich, wyzyskiwała z całą bezwzględnością położenie i przyjmowała wręcz groźną postawę. Rzeczpospolita znajdowała się w przymusowem położeniu: nie mogąc wycofać się z wojny tureckiej, musiała przyjmować najcięższe warunki Moskwy, skoro nowa ta wojna groziła jej

klęską, i za cenę ustępstw zdobywać „wieczny mir“ z Moskwą i złudną nadzieję na pomoc moskiewską w wojnie z Półksiężcem.

1 maja 1686 roku musiał Grzymułtowski podpisać wraz z innymi pełnomocnikami wieczysty pokój z niebezpiecznym sąsiadem. „Dura necessitas (twarda potrzeba) przymusiła, a Moskwa czas dogodny ułapiła na swą stronę“ — określał położenie Sobieski przed zaprzysiężeniem traktatu, mocą którego Moskwa nabywała na zawsze Smoleńsk, Starodub, Dorohobuż, Czernichów i Kijów, zastrzegała pozostawienie przez Polskę niezamieszkałego pasa na prawym brzegu Dniepru od Stajek do Kryłowa przy ujściu Taśminy, warowała dyzunitom wolność wyznania w Rzeczypospolitej i prawo wstawiennictwa za nimi. Wzamian za te ustępstwa Rzeczpospolita zyskać miała sumę 146.000 rubli i przymierze przeciwko Tatarom, które największe korzyści miało przynieść samej Moskwie, zmuszając do wysłuchiwania jej głosu przy rozwiązywaniu sprawy wschodniej.

Po podpisaniu traktatu przez Grzymułtowskiego pod przymusem okoliczności jedyna nadzieja pozostawała Królowi w stosunku do moskiewskiej polityki w odmowie jego ratyfikacji. Można się było o to pokusić jedynie w wypadku zupełnego sukcesu w wyprawie przeciwko Turcji, która tem większego przez to nabierała znaczenia. To też odkładał Sobieski pod wszelkimi pozorami zaprzysiężenie traktatu Grzymułtowskiego do czasu powrotu z wyprawy i z tem większą energją zabierał się do jej przygotowania.

Próby dyplomatyczne w celu pozyskania pomocy

obcej w przyszłej wojnie nie ograniczyły się do samej Moskwy. Czynił Sobieski zabiegi na dworze francuskim za pośrednictwem swego posła, Wielopolskiego, już w grudniu 1685 roku, w lutym i marcu następnego roku traktował z kurfirstem brandenburskim o przysłanie obowiązkowego kontyngentu piechoty, a z lennei Kurlandji zapewniał sobie przysłanie 800 dragonów. Myślał o wciągnięciu w akcję Saksonji, pragnął czynić zaciągi w Szwecji, przypominał Sabaudji obietnicę posiłków na wojnę z Półksiężycem. Akcją dyplomatyczną sięgał aż do Persji i Abisynji, pragnąc skłonić je do wspólnego wystąpienia przeciwko Porcie. Główny jednak wysiłek kierował na własne przygotowania wojenne, wystawienie należycie wyposażonego własnego wojska i zgromadzenie należytych zasobów na samodzielne prowadzenie wojny, łudząc się przecież, że — za cenę pewnych ustępstw w Siedmiogrodzie — uzyska poparcie w działaniach ze strony nieużytego cesarza.

Przygotowania wojenne postępowały energicznie, chociaż nie tak szybko, jak życzyłby sobie tego Sobieski, pragnący rozpocząć działania jak najwcześniejszą wiosną. Dotyczyły one przedewszystkiem prac nad doprowadzeniem stanu armji do wysokości komputu, uchwalonego przez sejm 1685 roku. Nasuwało to dużo trudności hetmanom, którzy musieli przedewszystkiem przywracać porządek w stojących na leżach zimowych chorągwiach, osłaniając zarazem pogranicze przed drobniejszemi inkursjami Tatarów. Wiele uwagi poświęcono też przyciągnięciu na wyprawę kozaków, wśród których — wysłany w marcu

w charakterze pełnomocnego komisarza — kasztelan chełmiński, Drużkiewicz, musiał z wielkim nakładem pracy przywracać ład i porządek, usuwając od dowództwa warcholskich pułkowników szlacheckiego pochodzenia i wynosząc na ich miejsce pewniejszych ludzi z kozackiego gminu. W wyniku tych zabiegów wyruszył ostatecznie na wyprawę mniej więcej sześćtysięczny korpus kozaków, na których udziale w kampanji, ze względu na ich ofensywnego ducha, Królowi specjalnie zależało. W tym samym miesiącu (marcu) zwracał się Król imiennie do senatorów z zaproszeniem, by „według dawnego zwyczaju a woli senatu nietylko przyzwoity poczet na przyszłą wyprawę kampanję, ale też i sam(i) do boku naszego i obrony ojczyzny w pierwsze dni maja pospieszyć zechcieli“.

Z drugiej strony rozwinięto wydajną działalność nad przysposobieniem sprzętu wojennego, natrafiając tu zrazu na trudności ze strony nuncjusza Pallaviciniego, który ociągał się z wypłatą subsydjów papieskich i tracił czas na targach o zaliczki dla artylerji. Król wydawał wobec tego gotówkę z własnego trzosu na najpilniejsze potrzeby, naciskając prace przygotowawcze. Od stycznia więc już pracował generał Kątski nad przysposobieniem sprzętu wojennego, taborów i amunicji. Pracowały arsenały koronne w Warszawie i Lwowie, cekhausy królewskie w Złoczowie, Żółkwi i Pomorzanach, oraz stanisławowska zbrojownia hetmana polnego, naprawiając działa, fabrykując petardy, proch i amunicję. Jednocześnie też przygotowywano pontony, które miały ułatwić

transport zaopatrzenia przy wykorzystaniu arteryj rzecznych Dniestru i Prutu.

Sprawą zaopatrzenia w żywność i przygotowania środków leczniczych dla armji zajmował się skąpy na inne potrzeby, lecz energiczny Pallavicini. Od listopada budował on już we Lwowie śpichlerze, które w grudniu i styczniu zostały wcale obficie wypełnione zapasami żywności.

W pierwszych dniach marca na radzie senatu, odbytej w Żółkwi, widząc powolność wpływów gotówki z powiatów na potrzeby wojska, Jan III ze wspaniałym gestem wyłożył na przyspieszenie zbrojeń 400.000 złotych z własnej szkatuły, prowokując w ten sposób nuncjusza do wypłacenia dalszych zaliczek z kasy papieskiej. Nieco później wydawał Król zarządzenia co do założenia głównych magazynów prowiantowych w Rozdole i Ujściu i czynił przygotowania do dalszego transportu żywności drogą rzeczną, co wymagało uregulowania w kilku miejscach dniestrowego koryta. Około 10 marca nadeszły też od hetmanów litewskich zapowiedzi, że w końcu maja staną ze swem wojskiem pod Lwowem.

Stopniowo precyzował się tymczasem plan wojny, zakreślony ogólnikowo w grudniowej uchwale rady senatu. Przedewszystkiem już na początku 1686 roku odstąpił Sobieski od przerastającej możliwości i siły wojska myśli zakończenia wyprawy dobywaniem Kamieńca i zdecydował się przezimować w okolicy Beogradu, by przekroczeniem Dunaju rozpocząć z wiosną 1687 roku nową kampanję. Pragnąc umożliwić wojsku mocne usadowienie się nad Dunajem, musiał prze-

myśleć sprawę zapewnienia komunikacji z krajem i rzucił na radzie marcowej myśl pobudowania wzdłuż kierunku działań całego szeregu fortów, które miały nie tylko osłonić linię komunikacyjną i ubezpieczyć etapy, lecz również odciąć od południa Kamieniec i trzymać w szachu Mołdawję. Co do samego wyboru kierunku działań, zatrzymał się Sobieski na marszu wzdłuż linii Prutu od Śniatyna i dalej przez puszcze bukowińskie.

Na radzie wojennej, odbytej 10 kwietnia we Lwowie, postanowiono przeprowadzić wstępną koncentrację w trzech odrębnych obozach: pod Stryjem, Śniatynem i Trembowłą, a to w celu łatwiejszego wypasania koni i zmylenia przeciwnika co do istotnych zamiarów. Na tej samej naradzie wyznaczono termin gromadzenia oddziałów na dzień 8 maja. Dalsze szczegóły miały być omówione na nowej radzie wojennej, wyznaczonej na 28 kwietnia w Jaworowie, przyczem sprawę ostatecznego sprecyzowania kierunku działań zastrzegł Król sobie do czasu zgromadzenia się wojsk w generalnym obozie.

Niebawem hetman Jabłonowski przystąpił do wykonania postanowień rady wojennej, ubezpieczając zarazem pogranicze rozstawionemi partjami przed możliwemi inkursjami Tatarów, a wkrótce potem Litwini otrzymali rozkazy zgromadzenia się pod Zbarażem, kozacy zaś — pod dowództwem swego hetmana Mohiły — pod Winnicą. Zdawać się mogło, że w maju — z nieznacznem opóźnieniem w stosunku do pierwotnych zamierzeń Króla — kampanja zostanie już rozpoczęta.

Tymczasem jakby losy sprzysięgły się przeciwko Sobieskiemu, który pieścił w swem sercu plan dokonania bodaj największego dzieła swego życia. Żołnierz zbierał się w obozach ze zwykłą opieszałością, a do tego oddziały przybywające wykazywały wyjątkowy brak karności, uderzający cudzoziemskich obserwatorów, którzy podkreślali znaczny upadek dyscypliny wśród wojska w ciągu ostatnich lat. Co gorsza, sam Sobieski został niespodziewanie złożony chorobą, na skutek której mógł ruszyć z domu dopiero 23 maja, a pod jego nieobecność hetmani wykazali dużą opieszałość, nie przykładając pracy do przyspieszenia gromadzenia żołnierzy i wykonując zarządzenia królewskie z dużą nieudolnością. Nakazany przez Króla wypad, mający na celu — obok uniemożliwienia świeżo mianowanemu komendantowi przybycia do Kamieńca wraz z zapasami żywności — również i podniesienie dyscypliny we własnych oddziałach sukcesem, odniesionym na wstępie kampanji, zawiódł całkowicie, poczęści z powodu nieobecności żołnierza w niektórych obozach, poczęści skutkiem niejasnych rozkazów Jabłonowskiego. Nietylko nowy komendant turecki zdołał sam wkroczyć szczęśliwie z „zacharą“ (żywnością) do Kamieńca, ale sprowadził też doń załogi Baru i Międzyboża.

Dopiero 8-go czerwca, a więc z miesięcznem opóźnieniem, przybył Sobieski do Stryja. Przybywał tu jednak w dobrej myśli, gdyż wieści, otrzymane z Wiednia i Moskwy, zdawały się zapowiadać współdziałanie obu tych sąsiadów, a również niespodziane odzyskanie Baru i Międzyboża musiało podnosić go

na duchu. Słuchy o wkroczeniu generała Scherfemberga do Siedmiogrodu i o zamiarze jego marszu ku krajom naddunajskim, po zmuszeniu Apaffy'ego do układu, wyglądały na to, że zabiegi królewskie o pozyskanie Wiednia za pośrednictwem weneckiem dla planów polskich zostały uwieńczone sukcesem. Z drugiej strony wiadomość o zawarciu traktatu z Moskwą napawała nadzieją skutecznego zaszachowania z tej strony Tatarów. Niebawem jednak pogodne nastroje ustąpić musiały znacznie mroczniejszym. Już w ciągu czerwca donosił cesarz, nie wypowiadając się zgoła w sprawie współdziałania, o własnym zamiarze zdobywania w ciągu bieżącej kampanji Budy, a z biegiem czasu Moskwa coraz wyraźniej dawała do zrozumienia, że do czasu ratyfikacji traktatu ograniczy swe współdziałanie w najlepszym razie do demonstracji kozackiej w kierunku Krymu. Wobec takich oświadczeń niedwuznacznie zgoła poczynąło w oczy zaglądać osamotnienie.

Z chwilą przybycia Sobieskiego do Stryja, przygotowania wojenne zaczęły nabierać coraz żywszego tempa, niemniej wśród gorączkowej pracy mnóstwo trudności leżało wciąż na jego drodze. To też utyskiwał Król, że to „głowę naszą zatrudnia nierychle wojska ściąganie, na które z lękiem serca już na tem czekamy miejscu, głuchość o kozakach, zagony tatarskie, troska z racji sprowadzania prowiantów nieskończona i sześćset spraw innych...“. Dopiero po kilkunastu dniach od przyjazdu Jana III obozy wypełniły się o tyle żołnierzem, że można było nareszcie pomyśleć o założeniu na Pokuciu generalnego obozu,

skąd zamierzał Sobieski rozpocząć kampanję, omijając trudną przeprawę dniestrową. Wreszcie 29-go czerwca wyruszył Król do tego obozu, założonego pod Kolińcami opodal magazynów w Ujściu i brodów pod Niżniowem, Łuką i Rakowcem. Około 8-go lipca zaczęło przeprawiać się wojsko litewskie, ciągnące do generalnego obozu.

Tymczasem ze strony kozackiej nadchodziły niepokojące wieści o wyłamaniu się części pułkowników z pod rozkazów hetmana Mohiły. Podczas gdy wierna mu część wojska pozostała z hetmanem w Winnikach, druga część pociągnęła wprost na połączenie z armją królewską w kierunku Jazłowca. Skłoniło to Sobieskiego do pozostawienia Mohiły na straży granic i przyłączenia rebelizantów do armji głównej.

Przed wyruszeniem z obozu poczynił Król ostateczne zarządzenia w sprawie osłony granic i izolowania Kamieńca. Zadanie to zostało zlecone kasztelanowi Drużkiewiczowi, pod którego rozkazy przeszły wszystkie załogi zamków i zameczków, oraz kozacy Mohiły i Barabasza, rozłożeni w Pasiecznej i Satanowie oraz Skałacie i Bilczu. Ogółem na osłonę granic pozostawił Król pod rozkazami Drużkiewicza około 6.000 ludzi, nie licząc załóg, stojących po prywatnych twierdzach.

Liczebność armji królewskiej, mającej wyruszyć na wyprawę, dosięgała wielce okazałej cyfry 100.000 chlebojadców, mając w swoich szeregach około 36.000 bojowników, 88 dział, 18 moździerzy i ponoć kilkadziesiąt tysięcy wozów. Uderzał w tej armji ogromny przerost ilości czeladzi i służby obozowej w stosunku do przeznaczonych do walki oddziałów.

Ogromna pustynna przestrzeń do przebycia zmuszała Sobieskiego do ciągnięcia za sobą potwornych taborów, mających zapewnić zaopatrzenie armji a wlokących się za nią, jak kula u nogi. Na wzrost tych taborów wpływała i ta okoliczność, iż wobec suchego lata projekty wyzyskania arteryj rzecznych okazały się wręcz nie do urzeczywistnienia. Z tem wszystkiem armja jednak sprawiała wrażenie, iż „nigdy jeszcze wojska polskie nie były piękniejsze, lepiej uzbrojone i wyekwipowane“.

Tymczasem armja cesarska na dobre rozpoczęła działania, zapoczątkowane zagonem na Mosty Osieckie, i 23-go czerwca przystąpiła już do oblężenia Budy, podczas gdy Scherfenbergowe oddziały podejmowały już w Siedmiogrodzie akcję o charakterze politycznym raczej, niż wojskowym. W początkach lipca wezyr Soliman-pasza stał już pod Beogradem, jakby wahając się w wyborze kierunku między ruszeniem na odsiecz Budy a zwróceniem się przeciw Królowi. Można się było obawiać, że — o ile cesarscy, zdobywszy Budę, ustaną w działaniach — cała jego potęga obróci się przeciwko Polakom. Przed wyruszeniem posiadał Król jednak wiadomość, że siły wezyra nie przedstawiają się tym razem zbyt imponująco. Według tej wieści, przeznaczony do działań przeciwko siłom Rzeczypospolitej, Mustafa-Bujukly-pasza posiadał około 10.000 żołnierza, sam wezyr zaś, Soliman-pasza, zebrał pod Beogradem zaledwie kilkanaście tysięcy. Chan krymski, spłoszony wieścią o gotującym się najeździe moskiewskim, miał — wedle tych wieści — przeznaczyć 20.000 Tatarów do działań na

Węgrzech i tylko 10.000 przeciwko Polakom. Na kontyngenty multańskie, mołdawskie i siedmiogrodzkie Turcy podobno nie mogli liczyć.

W ten sposób mogło się zdawać, że przy potężnej sile swej armji Król może się ważyć na wręcz śmiałe przedsięwzięcie. Z drugiej przecież strony do chwili ostatecznego wyjaśnienia stanowiska naddunajskich książątek nie można się było zdecydować na ostateczny wybór kierunku, zwłaszcza gdy teren, o którym nie posiadano dokładnych wiadomości, stanowił zagadkę. Jedno było narazie pewne, że — pomimo wszystko — zamiar zaskoczenia nieprzyjaciela wczesną ofensywą zawiódł już całkowicie i że działać w przyszłości wypadnie zależnie od okoliczności. To też na radzie wojennej, odbytej 20 lipca w Chocimierzu, gdy jedni wypowiadali się za marszem ku Budziakom, drudzy, idąc za poglądami obecnego w obozie francuskiego posła de Béthune'a, za zbliżeniem się do Suczawy i Siedmiogrodu, trzeci zaś wraz z Jabłonowskim bredzili znów o Kamieńcu, Sobieski, nie mając w rękę wszystkich elementów decyzji, ograniczył się, nie precyzując dalszych szczegółów, do postanowienia wkroczenia do Mołdawji.

21 lipca armja ruszyła wreszcie ku bukowińskim lasom, ciągnąc po przekroczeniu granicy lewym brzegiem Prutu. Wcześniej wyruszyły już silne straże przednie, obsadzając i rozbudowując przy wejściu do bukowińskich ciaśnin dawny szaniec w Linowcach. Naprzód i na boki, szczególnie w kierunku dniestrowego szlaku, raz po raz wysuwały się podjazdy i zagony, mające strzec głównej kolumny przed niespo-

dzianką ze strony przeciwnika, który — uderzając wśród puszczy bukowińskich — mógł nielada kłopotu nabawić Króla. Wojsko, obciążone ogromnym taborem i wielką ilością ciurów, postępujące drogą nad wyraz niedogodną i niebezpieczną, posuwało się naprzód aż do Ostrzycy zaiste żółwym krokiem, nie przypominającym nawet zdaleka piorunowych zwykle marszów Sobieskiego. Dopiero 30 lipca dotarł Król do Bojana, budując po drodze w Ostrzycy drugą redutę, która wraz z Linowcami została oddana pod komendę pułkownika Jaskulskiego i miała wraz z nią zabezpieczyć szlak, wiodący do kraju. 2 sierpnia stanął Król wreszcie pod Pererytą na kilkudniowy postój, by założyć tu trzecią i ostatnią warownię w celu zabezpieczenia swych komunikacyj, jak też w celu odcięcia od południa Kamieńca. Tu też uporządkował Sobieski swą armję i podzielił ją dawnym zwyczajem na dwa skrzydła i korpus.

Wobec niewyjaśnionej wciąż sytuacji wojskowej i politycznej, dalszy kierunek marszu i jego cel strategiczny nie był wciąż jeszcze ustalony. Sobieski wahał się między zwróceniem się ku Mołdawji i Multanom a wyprawą ku Budziakom. Nęciły go zdala Budziaki i wybrzeża morza Czarnego, błyskając zoddali chwałą osiągnięcia Tatarów w ich własnem gnieździe i wróżąc — prócz pomsty — ogromne korzyści wojskowe, lecz z drugiej strony instynkt wojskowy i polityczny kazał mieć baczne oko na obu wołoskich gospodarów. Coprawda, multański Serban oświadczał się już z gotowością zbrojnego poparcia poczynañ królewskich, lecz osadzony przez Turków mołdawski

Kantemir był zgoła niepewny. Już wcześniej poczynił Sobieski kroki, by przygotować przejście na swoją stronę jego poddanych, lecz teraz trzeba było poznać postawę samego hospodara, którego wysłaniec przedstawiał właśnie Królowi w obozie pod Pererytą pokorną prośbę, by wojska nie pustoszyły ziem jego pana. Skwapliwie więc skorzystał Sobieski z okazji, by ostatecznie wyjaśnić położenie, wysyłając do hospodara swojego posła z żądaniem przygotowania dla wojska prowiantów, przejścia na stronę Króla i grożąc wojną w razie oporu. Gdyby hospodar odrzucił żądania królewskie, był Sobieski gotów poniechać myśli o Budziakach, ruszyć wszystkimi siłami na jego stolicę i przez kraje wołoskie ciągnąć ku Dunajowi, mając oko i na siedmiogrodzką granicę, gdzie poczynania cesarskie budziły pewien niepokój.

Od Pererytej ciągnęło wojsko wśród utyskiwań starszyny na Króla, krzywej nań, że zbyt mało liczy się z radą wojenną, wśród swarów jej między sobą, wśród intryg francuskiego posła de Béthune'a, który za wszelką cenę chciał zmusić Jana III do zbliżenia się ku siedmiogrodzkiej granicy, zgodnie z widokami swojego dworu. Gdy teraz bliższy się zdawał marsz ku Budziakom, szwagier królewski głośno odważał się krytykować w gronie oficerów plany wojenne i przedkładać im we wszelki sposób trudności i niebezpieczeństwa budziackiej wyprawy. Tak więc, gdy była potrzebna wojsku jak największa spoistość i wiara w Wodza, zabiegi de Béthune'a podkopywały tę wiarę i siały nieufność, osłabiając zarazem wytrzymałość i zdolność bojową armji.

Tymczasem nadeszła odpowiedź od Kantemira, która niemałego nabawiła Króla kłopotu. Gospodar przyjmował niby w zasadzie żądania królewskie, obiecywał nawet przyłączyć się osobiście do akcji, ale po ostatecznem zwycięstwie; zapewniał, że pozostawił rozkazy do przygotowania prowiantów i innych potrzeb, słał bałamutne wieści o Tatarach i Turkach, lecz sam opuszczał już Jassy, by ciągnąć rzekomo ku Multanom na połączenie z Serbanem. Nie było zatem pretekstu do zbrojnej przeciw niemu wyprawy, choć położenie nadal pozostawało niepewne. Jednocześnie od dworu cesarskiego nadeszły wieści o zaprzestaniu na żądanie królewskie wystąpień Scherfenbergowych o politycznem zacięciu na Siedmiogrodzie. Gdy wieści niosły o przekroczeniu Dunaju przez Turków i siłach tatarskich nad Prutem, Sobieski na radzie wojennej 9-go sierpnia pod Awreszanami przevorsował myśl dal-szego marszu ku polom Cecory, mając na względzie zniesienie Budziaków. Odczuwał głód bitwy, o której wyniku nie wątpił, a która miała mu przynieść pod-niesienie ducha wśród wojska i zapewnić powodzenie całej wyprawy. Rozumiał dobrze, że piękna armja, wystawiona takim wysiłkiem, musi co prędzej dosię-gnąć nieprzyjaciela, gdyż w przeciwnym wypadku stopnieje, toczona od wewnątrz brakami, zwątpieniem i chorobami. Zresztą, żywiołem jego była walka, nie zaś same marsze, wojna bez walnej rozprawy, oparta na samych manewrach, nie wiodąca do zniszczenia żywych sił przeciwnika, była mu zawsze obca.

W kilka dni później, gdy wysłany na załogę Jass oddział polski wkroczył do mołdawskiej stolicy, wi-

tany entuzjastycznie przez ludność, stało się jasnem, że gospodar zwiódł tylko Króla i ciąży raczej ku Turkom, gdyż nie dotrzymał żadnej z obietnic, a nawet, uchodząc ze swej stolicy, ogłosił zamek i uprowadził ze sobą wszystkich bojarów. Bardziej pocieszające wieści przychodziły natomiast ze strony multańskiego Serbana, który donosił o zamknięciu Tatarom przez siebie przełęczy karpackich i oświadczał się z gotowością do dalszych posług. Niemniej radosne było przybycie do polskiego obozu części oddziałów mołdawskich, pobuntowanych przez królewskich wysłańców. Sobieski był więc naogół zupełnie dobrej myśli i nadal trwał przy zamiarze budziackim. Nawet zgodnie z planem budziackim kierował polecenie do Serbana, by przybył na połączenie z Królem pod Falczyn.

14-go sierpnia stanęła wreszcie armja królewska na sławnych polach cecorskich, pamiętnych bohaterką obroną królewskiego pradziada. Przejęty nawskroś podniosłym nastrojem, zwiedzał Król pobożewisko cecorskie, uroczyste odprawiał za dusze poległych na niem nabożeństwo i w skupieniu rozważał krwią wypisany Żółkiewskiego testament. Bardziej, niż kiedykolwiek, czuł się teraz mścicielem wielkiego pradziada i bardziej, niż kiedykolwiek, pałał pragnieniem wielkiego czynu i zniesienia ordy tatarskiej. To też tu okrzepł i ustalił się ostatecznie plan wyprawy budziackiej. Sobieski snuł już zamiary na przyszłość i plany przyszłorocznej kampanji, która — wedle jego zamysłów — otworzyć mu miała bramy Konstantynopola. Zwiedzenie Jass, gdzie podejmowała go ludność jako wybawiciela z niewysłowionym

entuzjazmem, jeszcze bardziej rozpałiło wyobraźnię Jana III i jego zapal do wielkiego czynu, który, jak mniemał, największą miał okryć go chwałą i uwieńczyć wszystkie jego pragnienia i plany.

W dalszym pochodzie, zamierzył Sobieski stworzyć sobie z Jass podstawę działań. To też skupiano tu żywność, odnawiano umocnienia i pozostawiano załogę, która miała zapewnić bezpieczeństwo podstawy. Wszystko zdawało się zapowiadać sukces. Król śpieszył naprzód do bitwy i zgniecenia sił przeciwnika.

Pomimo zgodnych ostrzeżeń znajdujących się przy armji Francuzów, wskazujących na ogromne ryzyko marszu w głąb kraju, o którego ukształtowaniu posiadano zgoła fantastyczne wiadomości, pomimo ostrzeżeń Kantemira, że nieprzyjaciel w celu utrudniania pochodu w pustynnym terenie zamierza się cofać z całym dobytkiem, paląc wokoło trawy, pomimo panującej przeraźliwej suszy, która uniemożliwiła już transport drogami rzeczniemi, a mogła w najbliższej przyszłości wysuszyć zgoła pomniejsze rzeki, pomimo wiadomości, że oddziały tatarskie poczęły już zaglądać na tyłach wojska w kierunku traktu bukowińskiego i mogły lada chwila przeciąć komunikację z krajem, Sobieski — rankiem 19-go sierpnia — rozpoczął dalszy marsz ku siedzibom budziackich Tatarów. Z właściwym sobie uporem i nieugiętą wolą odrzucał wszystkie perswazje i, jakby zaczarowany własnym pomysłem i wiarą w swą gwiazdę, szedł po zajęciu Jass z cecorskiego obozu ku swemu przeznaczeniu, jak później Napoleon po zdobyciu Smoleńska,

wbrew wszelkim przestrogom, miał ciągnąć z uporem ku Moskwie, by dopełnić swych losów. Pomimo całego zapału i całej wiary Jana III gwiazda jego zaczynała już gasnąć na polu walki, a wieniec zwycięskich wawrzynów, zdobiących skroń Wodza, jął więdnąć.

Już w dniu ruszenia z obozowisk cecorskich nad wieczorem ordyńcy podpadli pod strażę polskie i porwali kilku kozaków. Nazajutrz nowy napad tatarski zaalarmował wojsko i całą armję postawił na nogi. Trzeciego dnia liczniejsze oddziały wdały się w harce z polskimi czatami marszowemi. Nieprzyjaciel utrzymywał odtąd nieprzerwaną styczność, nigdzie nie wdając się w poważniejszą walkę i nie stając do znaczniejszej rozprawy. Ukazywał się przed nimi, po bokach, za nimi, wieszał się wszędy, napadał pasące się stada koni i bydła, porywał oddalającą się niebacznie od obozu czeladź, trapił ustawicznemi alarmami, ale gdy tylko próbowano dosięgnąć go i przymusić do walki, pryskał na rączych konikach, jak pryska spłoszone stado szakali, śledząc wciąż z oddali swą przyszlą ofiarę. Prowadził, słowem, wojnę szarpaną, podjazdową, uciążliwą, nużącą i straszną, pozerającą siły i nie dającą żadnych sukcesów. Nieustanne alarmy, brak wypoczynku i wciąż napięta uwaga wyczerpywały siły żołnierza i zżerały jego odporność na trudy i jego wiarę w zwycięstwo. Niebawem poczęła orda spełniać swą groźbę — wokół jęły płonąć stepy. Armja królewska, rozciągnięta na dziesiątkach kilometrów, będąca w nieustannem pogotowiu do odparcia niespodziewanego napadu, posuwała się naprzód wśród unoszących się wokół dymów, poprzez grudy

spalonej, płonącej jeszcze niemal pod nogami ziemi. Z nieba lał się na ziemię istny potok spiekoty. Teren stawał się stopniowo coraz bardziej górzysty i coraz trudniejszy do marszu. Niemożliwe jednak było wymijanie tych gór, gdyż wszelkie oddalenie się od Prutu oznaczało zupełny brak wody — dopływy Prutu powysychały niemal całkowicie. Brak paszy dawał się we znaki koniom i bydłu — zaczynały już padać.

Doszedłszy 22-go sierpnia do t. zw. doliny Łopusznej, pchnął naprzód Sobieski silny podjazd Rzewuskiego, złożony z 30 chorągwi, nietyle dla rozpoznania poprzeryzanego wąwozami terenu, ile, by przykładem wojniłowskim zdybać nieprzyjaciela i sprowokować do walki. Plan jednak zawiódł całkowicie. Spłoszył coprawda Rzewuski 23-go sierpnia większy czambuł i, biorąc go za przednie straże nuradyn-sołtana, zawiadomił o starciu Króla, lecz wkrótce sam został znienacka napadnięty podczas odpoczynku przez dwudziestotysięczną ordę, która z niesłychanem zacięciem szturmowała jego taborek, ale na pierwszą wiadomość o zbliżeniu się straży przednich Jana III zniknęła, jak dym, rozwiany silnym podmuchem wiatru. Próżno sądził Sobieski, że po tem starciu stanie już nieprzyjaciel do walki i, gotując się do rozprawy, szedł poprzez góry w rozwiniętych sztykach — nieprzyjaciel nie przyjmował wyzwania. Z wyniosłych gór śledziły tylko z oddali ruchy Polaków tatarskie torhaki, a wokół wznosiły się ku niebu dymy i ognie płonących stepów. Wreszcie 25-go opodał obozowiska polskiego pod Saratą wyrosły strome, nieprzebyte zbocza gór, zatarasowując

taborom polskim trakt ponad Prutem. Nie mogło być mowy o oderwaniu się od rzeki dla braku wody i paszy i nie mogło być mowy o przejściu gór wraz z taborom, a marsz bez taboru oznaczał skazanie armji w kraju pustynnym i niezamieszkałym na śmierć głodową. Teren mścił się niejako za jego zlekceważenie przy układaniu planów królewskich i nieprzebytą zaporą kładł się na drodze ku Budziakom. Ułuda budziacka uleciała z dymem płonących stepów, pokonana przez ową piętrzącą się ku niebu zaporę i posuchę, wiążącą do Prutu armję królewską. Mistrz w wyzyskiwaniu terenu po raz pierwszy w życiu sam został zwyciężony przez teren, którego nie znał i nie mógł poznać ani z map, bałamutniejszych jeszcze, niż owe z pod Wiednia, ani z opisów mołdawskiej ludności. Po raz pierwszy też ugięła się wola Jana III na widowni wojennej. Król postanowił opuścić lewy brzeg rzeki i kontynuować ofensywę prawym, łatwiejszym, według pogłosek, do przebycia i obfitszym w paszę. Oznaczało to porzucenie imprezy budziackiej i skierowanie się przez Falczyn ku Gałaczowi, wciąż mając na oku brzeg Dunaju.

W ciągu trzech dni zbudowała dragonja most i 29-go zaczęły przeprawiać się na prawy brzeg Prutu tabory. Tegoż dnia przechodzili rzekę również Tatarzy, lecz wojsko, stojące podczas całej przeprawy w ustawicznym pogotowiu do bitwy, nie miało wciąż do niej okazji. Co więcej, pierwsze ujęte nareszcie języki zeznały, że seraskier, którego się spodziewano, został pod Falczynem, nie przekroczył jeszcze Dunaju, a Tatarzy bez niego bitwy nie przyjmą. Do tego, już

w dniu poprzednim doszły Sobieskiego niepomyślne wieści, nakazujące wątpić — po „zdradzie“ Kantemirowej — również o rzetelności Serbana. 30-go sierpnia stanęła przecież armja w sprawie po przeciwnym brzegu Prutu, a w dniu następnym ruszyła w dalszy pochód, znów poprzez dymy stepowych pożarów, poprzez wzgórza i góry, i znów pod baczną eskortą, ustawicznie szarpiących ją Tatarów. Gdy wojsko stanęło wreszcie na spoczynek opodal Werycy, zaczęły się w niem żywe dyskusje o celowości dalszego marszu, wobec napotykaných przeszkód.

Niejako pod naciskiem powszechnej opinii zwołał tedy Sobieski 1-go września radę wojenną, przekonawszy się już z doświadczenia i opinii „życzliwych Wołochów“ o naturze leżącego przed nim terenu. Wśród gorzkich narzekań na trudności marszu, brak paszy i wody, padanie bydła i koni i ciężkie choroby w piechocie, wśród utyskiwań na zdradliwość Wołoszy i lekkomyślność Króla odbywała się rada. Zastanawiano się na niej nad możliwością dalszego marszu przez Falczyn ku Gałacowi i roztrząsano sprawę ruszenia przez Berład wprost ku Multanom a nawet zawrócenia ku Jassom i podjęcia stamtąd na nowo działań doliną Seretu. Raptem przerwano radę na radosną wiadomość, że nuradyn - sołtan przekroczyć miał Prut i stoi wpobliżu. Wnet poleciały podjazdy, by odszukać ordyńców, a w serca wstąpiła otucha, że nareszcie przyjść może do upragnionej oddawna bitwy. Wnet też cała jazda stanęła w pogotowiu, by ruszyć na pogrom Tatarów. Próżne były jednak nadzieje. Chorągwie, stojące w sprawie przez całą noc,

musiały się znowu rozkładać, skoro podjazdy nie przyniosły potwierdzenia pogłoski.

Znów tedy 2-go września zebrała się rada wojenna, tym razem jednak wśród gorszych jeszcze nastrojów, gdyż wywiad nigdzie nie odkrył nieprzyjaciela, stwierdził natomiast wszędzie, aż do samego Dunaju, posuchę, pustkę i głód, który kazał całej ludności ratować się przed śmiercią głodową ucieczką na drugi brzeg tej rzeki do Dobrudży. Rada wojenna zajęła teraz wrogą zgoła postawę względem zamiarów marszu ku Gałaczowi, lub wprost ku Multanom i domagała się całkiem wyraźnie powrotu na Jassy. I oto niezłomna wola Jana III ugięła się znowu o krok od celu wyprawy, tym razem pod naciskiem opinii podwładnych, których żadne perswazje nie mogły skłonić do dalszego prowadzenia imprezy. Po raz pierwszy od czasu Podhajec ustępował Sobieski przed opinią rady i po raz pierwszy w swem życiu nie mógł przelać własnego zapалу w serca żołnierskie. Wypadł mu z rąk rząd nad duszami, wiernych dotąd i zapatrzonych w gwiazdę królewską, żołnierzy. Mając przed sobą pustynię i głód, wokół chmarę szarpiącego ustawicznie Tatarstwa, otoczony niechęcią i zwątpieniem swych oficerów oraz ciężącym nad wojskiem znużeniem, pozbawiony wszelkich wieści z kraju, nie wiedząc, co się dzieje pod Budą i jakie są dalsze zamiary cesarza, widząc „zdradę“ książąt wołoskich i groźną postawę, niezwiązanego zapowiedzianą wyprawą moskiewską, nuradyna, łamał się z sobą Sobieski, czując, jak gaśnie gwiazda zwycięstwa i fortuna odwraca odeń swe lice. Nie mógł się zdobyć teraz na pełne

wiary oświadczenie, jak ongiś po porażce parkańskiej, że „zdepce fortunę, jak małpę“. Jak wąż jadowity i zdradliwy, zakradało się w serce królewskie nieznane mu dotąd zwątpienie i odbierało mu siły. I oto w dniu, kiedy wojska cesarskie zatknęły na murach Budy swoje sztandary, Sobieski, nie mając wieści, która go mogła pokrzepić, dał się nagiąć swoim podwładnym do powzięcia decyzji odwrotu na Jassy.

Tak tedy, gdy armja cesarska, pełna świeżego zapалу po budzyńskich wawrzynach, gotowała się właśnie do realizacji dawnych planów królewskich i marszu na Temeszwars ku Multanom, by podać tam rękę Królowi, Sobieski, nie mając na to najmniejszej nadziei, zawracał w górę Prutu ku Jassom. A w drodze widziano na drugim brzegu powracające z pobranym na Bukowinie jassyrem czambuły tatarskie. 4-go sierpnia, stojąc nad starą chańską mogiłą, zwaną Rebeja, dojrzał nareszcie Sobieski na drugim brzegu gęste namioty tureckie. Znow miał nadzieję, że będzie miał sposobność z nieprzyjacielem „eksperyment uczynić“ i pragnął tego gorąco. Już nawet nazajutrz przeprowadzili się w paru miejscach ordyńcy i zaczynały się walki, jednak seraskier nie angażował się wcale w walną rozprawę. Napróżno Sobieski zamierzał przeprowadzić się komunikiem i zmusić Turków do walki, jego zapaly rozbijały się o postawę rady wojennej, odkładającej, ponoć za sprawą Jabłonowskiego, rozprawę „do czasu sposobniejszego“. Ciągnęły więc obie wrogie armje po dwu przeciwnych brzegach rzeki, przedzielone tylko jej szerokością, ciągnęły w ciągłej gotowości — Polacy do walnej rozprawy,

Turcy — do uchylenia się od niej. I tylko Tatarzy i kozacy ustawicznie infestowali nawzajem obie kolumny, dając świadectwo, że ten marsz równoległy nie oznacza bynajmniej pokoju.

Wiedział już Król, że armja nieprzyjacielska liczy 16.000 Turków i 60.000 Tatarów, że ma 30 dział, lecz wiedział również, że nie przyjmie seraskier bitwy. Miał jeszcze nadzieję, że skoro zawróci z nad Prutu ku Jassom, pociągnie za nim nieprzyjaciół i da sposobność do walki. Raz po raz rozpalały się pomniejsze utarczki z Tatarem, raz po raz działa tureckie raziły przez rzekę tabor królewski, raz po raz generał Kątski spędzał z pozycji działa nieprzyjacielskie ogniem swej artylerji, lecz na rozprawę płonne były nadzieje. I tylko krwią płacił żołnierz każdy łyk wody, rażony z drugiego brzegu z janczarek tureckich za każdym zbliżeniem się do Prutu.

Zbliżono się wreszcie ku Jassom. Nadbiegła od dawna upragniona poczta. Wciąż brak było wszelkiej wieści o wojsku cesarskiem i wciąż poomacku wypadało prowadzić działania. Tylko wiedziano teraz, że Serban czeka w 18.000 na przechylenie się szali na jedną lub drugą stronę i przyszły wieści, zgoda niepożyczające, z kraju o nieprzybyciu kozaków Barabaszowych na stanowiska, wyznaczone im pod Skałą i Bilczem, i o dokonanych na skutek tego bez przeszkód zagonach kamienieckiej załogi ku Pere-rytej.

15-go września przybyła wreszcie armja pod Jassy. I oto cios nowy spadł teraz na Króla. W tym samym dniu, podpalony ręką złoczyńców, spłonął jeden z kla-

sztorów i pożar jął się szerzyć z niepowstrzymaną siłą. Płonęły monastery jeden za drugim, płonęły składy żywności, niebawem w płomieniach stanęło całe miasto, a ogień trawił świeżo wzniesione umocnienia. Swawolna czeladź, wspomagana przez kozactwo, rzuciła się na rabunek. Rozprzęgły się więzy karności. A same Jassy, ważne jako stolica kraju, traciły w rękę królewskiem wszelkie znaczenie, zaś ludność stolicy rzucała przekleństwa wojskom, witanym niedawno z takim entuzjazmem i zaufaniem. Spalona stolica nie mogła teraz stanowić nawet oparcia dla pozostawionej załogi. Chociaż więc opuszczenie Jass oznaczało utratę moralnego prestiżu w Mołdawji i pociągało za sobą również konieczność ewakuacji Pererytej, Sobieski zdecydował się teraz na dalszy odwrót na Krasny-Targ w żyźniejsze okolice Seretu, wciąż mając nadzieję, że pociągnie w ten sposób za sobą seraskiera i znajdzie sposobność do walki. 17-go września ruszyła armja w dalszą drogę, napierana już zbliżająca się przez depcących jej po piętach Tatarów i towarzyszące im oddziały tureckie.

Pod Bachlujcem zdawało się nawet, że przyjdzie do bitwy. I tym jednak razem płonniemi okazały się nadzieje. Tymczasem w wojsku szerzyła się zastraszająca dezercja. Nareszcie dotarło wojsko 23-go września do brzegów Seretu pod Paszkanami, lecz tu upadły już wszelkie nadzieje na walną bitwę. Zdobył jeńcy zeznali, że Mustafa-Bujukly-pasza poza Jassy nie ruszył i, maskując swój ruch trapiącymi armję Tatarami, ciągnie w kierunku Kamieńca. Wszystkie rachuby Króla zawiodły. „Jest prawdziwą męczarnią

jego duszy — pisał poseł wenecki — gdy widzi, że wyprawa nie odpowiada oczekiwaniom i to z wielkim uszczerbkiem dla jego sławy“. W tem położeniu trzeba już było myśleć nie o sukcesach, lecz o bezpieczeństwie własnego kraju. 28-go września zdecydował Sobieski zawrócić do Polski, „by nie dopuścić konwoju do Kamieńca“. Wszystkie plany dunajskie załamały się ostatecznie. Zaczynał się odwrót, a do kraju biegły raz po raz uniwersały, ostrzegające przed grożącym niebezpieczeństwem.

1-go października stanęło wojsko pod opuszczoną przez ludność Suczawą. Nazajutrz udało się Miączyńskiemu, wysłanemu przodem, zaskoczyć i znieść pod Perehorcami kosz tatarski. Była to może jedyna jaśniejsza chwila w całym odwrocie i jedyne zwycięstwo podczas wyprawy. Walka ta nie zapewniała jednak nawet spokojnego odwrotu. Ukazanie się Tatarów przed armją zapowiadało raczej, że wódz turecki próbował zamknąć przejścia przez Bukowinę i pragnął zgotować wśród puszczy jej Królowi los olbrachtowych rycerzy. Tem energiczniej więc naglił Sobieski swe wojsko do marszu. 6-go października, gdy wojsko stało na spoczynku pod Hamanką, przyszła nareszcie długo wyczekiwana poczta z wieściami o armji cesarskiej, donosząc o zdobyciu Budy, odwrocie wezryra ku Osiekowi i marszu oddziałów cesarskich ku Szegedynowi. Przed trzema tygodniami mogły te wieści uchronić Króla od decyzji odwrotu i dać mu siły do przeforsowania swych planów. Teraz nie posiadały już żadnej wartości i nową tylko goryczą napawały serce królewskie. Trwał więc marsz dalszy

doliną Seretu, a 8-go października stoczono ostatnią potyczkę z Tatarami pod uroczyszcem Budy. Armja, podzielona na kilka kolumn, przekroczyła wbrew przewidywaniom bukowińskie lasy bez przeszkód, 10—12. października połączyła się znowu pod Kalinowcami i stanęła nareszcie pod Śniatynem. Zamierzał jeszcze Sobieski ruszyć stamtąd ku Chocimowi, by przeciąć seraskierowi szlak do Kamieńca i stoczyć z nim walkę. Wyruszyły już nawet z obozu wyniszczone, obdarte i pozbawione zapłału oddziały, których szeregi coraz straszniejsza przerzedzała dezercja. Wojsko rozsypywało się w oczach. Tymczasem 17-go października doszła wiadomość, iż seraskier dotarł już do Kamieńca, a Tatarzy gotują się do zagonów w głąb Polski. Tak więc i to ostatnie zadanie spęzło na niczem. Wypadało już myśleć o obronie własnego kraju. Wydawszy dyspozycje co do sposobu przeprowadzenia osłony, zlecił Sobieski dowództwo hetmanom i odjechał 21-go października do Stryja, by stamtąd podążyć do Lwowa, gdzie czekało na powrót królewski wielkie poselstwo moskiewskie, aby przedłożyć do zaprzysiężenia traktat Grzymułtowski.

Wielkie plany, mające podźwignąć i rozszerzyć Polskę, opromienić nową sławą skroń Sobieskiego, utwierdzić na tronie jego dynastję, stworzyć potęgę z jego państwa, leżały w gruzach. Przed Królem, odartym z wawrzynu, stała nowa czara goryczy w postaci ratyfikacji owego traktatu.

W grudniu 1686 roku nadszedł dla Króla gorzki moment podpisania traktatu Grzymułtowskiego,

który stawał się koniecznością wobec nastawienia polityki królewskiej w kierunku anty-tureckim, t. j. w jedynym kierunku, który mógł obudzić drżemącą w sercach szlacheckich ambicję narodu do odegrania czynnej roli w polityce międzynarodowej i porwać go za sobą. Traktat, który miał zapewnić współdziałanie moskiewskie i umożliwić doprowadzenie do skutku wielkich planów dunajskich Sobieskiego, utwierdzić przez to jego pozycję i ułatwić sprawę dziedzictwa tronu polskiego, nie przyniósł upragnionej pomocy, a po zmarnowanej kampanji był jedynie nieznośnym ciężarem i legalizacją strat polskich na rzecz zaborczych apetytów Moskwy. Jedyną dodatnią stroną jego było uratowanie Rzeczypospolitej przed wojną moskiewską obok tureckiej. Po zwycięskiej kampanji możnaby było przeboleć straty, wynikające z traktatu, rozszerzając znakomicie granice i wpływy Rzeczypospolitej w kierunku Dunaju i morza Czarnego, można było w aureoli świeżych zwycięstw zakwestjonować ważność traktatu i odmówić jego ratyfikacji. Po straconej wyprawie i zniweczeniu tak potężnego wysiłku zbrojnego, ratyfikacja stawała się koniecznością, a w duszy królewskiej nieznośnym cierniem tkwiła świadomość utraty ziem polskich, odrywanych traktatem od pnia macierzy i gorycz zmarnowanej ofiary. To też posypały się z oczu Jana III łzy gorące, gdy pod naciskiem rady senatu musiał zaprzysiąc przed moskiewskimi posłami nieszczęśny traktat. Rozdzierała mu duszę i serce świadomość, że jego rządy, co miały pomnożyć potęgę Rzeczypospolitej, opromienić ją sławą, przy całym

genjuszowi wojskowemu i poświęceniu, przyniosły oto utratę jej ziem, będąc świadectwem niemocy.

Jedyną pociechą w tym ciężkim bólu było, że senat pozwolił pod baldachimem sięść obok wielkiego Ojca królewiczowi, wznawiając tradycję Wazowską i tym formalnym aktem niejako przyznając prawa Jakóba do tronu, że posłowie moskiewscy podchodzili na uroczystej audjencji, by ucałować rękę Króla i jego syna. O, jakżeż słaba to była pociecha w tak ciężkiej chwili!

XIX

POMIĘDZY AUSTRJĄ A FRANCJĄ

Sojusz Rzeczypospolitej z Austrią i Liga Święta największe korzyści przyniosły dotąd polityce cesarskiej. Zakończona zupełnem niepowodzeniem wyprawa mołdawska 1686, której Sobieski przypisywał tak doniosłe znaczenie, po której spodziewał się znakomitego wzrostu powagi Rzeczypospolitej i własnych wpływów, z którą wiązał wybitne swe dynastyczne nadzieje, przyniosła Królowi zupełne rozczarowanie. Ogromny wysiłek organizacyjny i pieniężny, straty terytorjalne na rzecz Moskwy wzamian za złudną jej pomoc i przyciągnięcie w szeregi Ligi, twarde wysiłki żołnierza i Wodza w kampanji, nieopromienionej żadnym znaczniejszym sukcesem, dały Sobieskiemu w ostatecznym wyniku jedynie ruinę jego wielkich planów politycznych, zmierzch jego sławy wojennej, osłabienie królewskiego autorytetu i wzmożenie opozycji w kraju. Znów jedyne korzyści z wyprawy polskiej odnosił dwór austriacki, który w okresie jej przygotowań i trwania zachowywał jedynie pozory lojalności względem Króla, interpretując na swoją korzyść brzmienie traktatu Ligi i wykorzystując wyłącznie dla własnych celów pomysły królewskie.

Wyprawa, podczas której Wiedeń nie uważał nawet za stosowne informować Jana III na czas o swych zamierzeniach i przebiegu własnych działań, co mogło być wpłynąć znakomicie i na samo stawianie celów strategicznych i na wytrwałość armji przy dążeniu do nich, zamieniła się jedynie w dywersję, ułatwiającą zadanie austriackiemu sojusznikowi. Wstrzymywała ona i wiązała znaczne siły turecko-tatarskie i rozwiązywała ręce wodzom cesarskim pod Budą, otwierając zarazem orężowi i polityce austriackiej drogę ku nowym sukcesom. I oto w wyniku ostatecznym polski wysiłek przynosił tylko wzmożenie potęgi Wiednia i wzrost jego znaczenia w Lidze. Po mołdawskiej wyprawie Sobieski zostaje stanowczo zepchnięty w Lidze na plan dalszy. Stolica Apostolska widzi odtąd wyraźnie sukcesy austriackie i, zestawiając je z brakiem polskich powodzeń na polu walki, zaczyna liczyć w swej polityce przeciwtureckiej jedynie na Wiedeń, zapominając o tym, któremu ten Wiedeń zawdzięczał samo swe ocalenie. Do Wiednia też będzie odtąd szeroką rzeką płynęło złoto papieskie na wojnę z Turcją, dochodząc do Polski jedynie wątłym strumykiem.

Ten sam rok zresztą przyniósł Królowi jeszcze jedno rozczarowanie ze strony Wiednia. Oto cesarska córka, arcyksiężniczka Marja Antonina, którą Jan III już widział niemal, jako przyszłą małżonkę królewicza Jakóba, została wydana za elektora bawarskiego, Maksa Emanuela, gdyż polityka cesarska kazała w ten sposób Leopoldowi odciągnąć od Francji bawarskiego księcia, przykuwając go do swego rydwanu.

W okresie powiedeńskim nastąpiło tymczasem dosyć poważne przesunięcie układu sił politycznych. Brandenburgja, Holandja i Szwecja zaczęły w swej polityce występować coraz wyraźniej przeciwko Francji Króla-Słońca (Ludwika XIV). W zagrożonych przez antyprotestancką politykę Francji ksiąstewkach niemieckich wzbierała fala uczuć narodowych i nastrojów, jej niechętnych. Powodzenia oręża austriackiego na Węgrzech budziły w Niemczech entuzjazm. W tych warunkach Leopold I gotował się, ośmielony również swem powodzeniem w walce z Turcją i powstańcami węgierskimi, do skupienia dokoła siebie wszystkich sił niemieckich do walki z odwiecznym swym wrogiem francuskim. W wyniku tych przygotowań w marcu 1686 roku doszło do zawarcia przymierza pomiędzy Austrią a Brandenburgją, w lipcu tegoż roku do zawiązania ligi augsburskiej przy udziale książąt niemieckich, zarówno protestanckich, jak katolickich, ligi, mającej na celu obronę całości terytorjum cesarstwa, a skierowanej ostrzem przeciwko Francji. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa położenia, Ludwik XIV zamierzał wyzyskać moment, kiedy cesarz związany był jeszcze wojną z Turcją — pragnął sam wymierzyć cios cesarstwu nad Renem i z tego względu, szukając sprzymierzeńców, szedł wyraźnie na zbliżenie ku Polsce, gotów poprzeć dynastyczne projekty jej Króla.

Rozgoryczony dotychczasową polityką Austrii, zdając sobie sprawę z korzystnego dla siebie i Polski zwrotu w polityce francuskiej i z bankructwa swych

planów czarnomorskich, Sobieski również pragnął zbliżenia do Francji, nie zrywając narazie otwarcie z cesarzem i, być może, licząc się z tem, że w przyszłości będzie mógł — zajmując niejako stanowisko środkowe pomiędzy temi dwoma mocarstwami — odegrać zawsze korzystną rolę arbitra w ich sporze i w ten przynajmniej sposób zyskać poważny głos dla Rzeczypospolitej w koncercie europejskim. Narazie jednak na pierwszy plan wysuwała się w jego polityce sprawa zapewnienia sukcesji tronu królewiczowi Jakóbowi przez stopniowe przyzwyczajanie narodu do myśli o tej sukcesji, stopniowe wysuwanie na widownię państwową królewskiego syna i zapewnienie mu dostatecznej potęgi do późniejszego ubiegania się o koronę. Była to sprawa nietylko egoizmu królewskiego i jego rodzinnych ambicyj, lecz zarazem sprawa naprawy Rzeczypospolitej, uchronienia jej przed wstrząsami elekcyjnymi, ta sama sprawa, która w okresie „po-potopowym“ zajmowała najlepszych synów Polski, a która u schyłku panowania Stanisława Augusta miała stać się jedną z kardynalnych podstaw ratowania upadającego już bytu państwowego Rzeczypospolitej. Sprawa ta wymagała jednak postępowania nadzwyczaj ostrożnego, a droga do celu była nad wyraz żmudna i trudna; chodziło bowiem o to, iż — działając zbyt pośpiesznie i otwarcie — łatwo można było wzbudzić przeciwko sobie odium szlacheckiego narodu, tak zazdrosnego o swą „złotą wolność“ i tak czujnego na wszystko, co zdawało się mu zapowiadać groźbę: „absolutum dominium“. Zadanie było tem trudniejsze, że dwory berliński, wie-

deński i sztokholmski, widząc w ustaleniu się na tronie polskim dynastji niebezpieczeństwo wzmożenia się sił Rzeczypospolitej, związały się ze sobą porozumieniem w sprawie niedopuszczenia żadnych zmian w jej ustroju i gotowe były nietylko podtrzymywać wszelką opozycję przeciwko planom królewskim, lecz na wszelki sposób podsycać ją i tworzyć.

To też rozpoczął Sobieski akcję od próby zapewnienia królewiczowi pierwszego po sobie miejsca przy okazji oficjalnych wystąpień. Wystąpienia te królewicza najpierw obok Ojca w radzie senatu, następnie w senacie, wreszcie w sejmie miały niejako przelewać nań stopniowo atrybucje władzy królewskiej i przyzwyczajać powoli naród szlachecki do traktowania Jakóba, jako naturalnego następcy tronu. Danie mu okazji do sprawowania dowództwa i pozyskania sławy wojennej miało ułatwić przeprowadzenie akcji.

Pierwszym krokiem na drodze przeprowadzenia tych planów królewskich było posadzenie Jakóba pod baldachimem obok ojcowskiego tronu podczas gorzkich chwil ratyfikacji traktatu z Moskwą. Po tym pierwszym kroku nastąpić miały dalsze. Słyszając odgłosy wysunięcia Jakóba we Lwowie po niektórych sejmikach, wyraźnie aprobujących postanowienie w tym względzie rady senatu, musiał Sobieski cieszyć się w duchu i dobrze sobie tuszyć na przyszłość co do sprawy urabiania tą drogą opinji mas. Tymczasem stanęły na drodze planom królewskim zgola niespodziewane przeszkody, mające znacznie utrudnić całą akcję. Przeszkody te stworzyło posunięcie ze strony

Stolicy Apostolskiej, zaszczytne nawet dla Polski. Mianowanie niechętnego królowi nuncjusza Pallaviciniego kardynałem i obdarzenie kardynalskimi kapeluszami dwóch polskich biskupów: Radziejowskiego i Denhoffa wytworzyło bardzo niemiłe dla Króla położenie. Pallavicini domagał się z tytułu swego kardynalstwa pierwszego miejsca po Królu na wszystkich uroczystych wystąpieniach, a Radziejowski, pyszniąc się swą purpurą, naśladował go pod tym względem, zwracając się nawet do Rzymu o wskazówki, jak ma jako purpurat traktować królewicza. W ten sposób królewicz Jakób był spychany przez świeżo kreowanych kardynałów na plan dalszy i owe czerwone kapelusze stawały na drodze zamierzeń królewskich. Jedynie skromniejszy i dbały o łański dwór Denhoff starał się nie wchodzić Królowi w drogę. To też energicznie zabiegał Sobieski u Rzymu w sprawie pierwszeństwa swego pierworodnego przed kardynałami i gorzko się skarżył przed posłem swym u papieża: „Te nieszczęsne kardynalstwa, jaki nam codziennie przynoszą kłopot, wypisać niepodobna...”.

Sprawa pozyskania przez królewicza sławy wojennej i oddania rzeczywistych usług narodowi w potrzebie wojennej zdawała się Sobieskiemu jedną z ważniejszych spraw, obok przygotowywania dla Jakóba gruntu w drodze tworzenia precedensów w polityce dynastycznej. To też gdy po wyprawie mołdawskiej wojna weszła na tory, nie wróżące zasadniczych rozstrzygnięć i nie wymagające osobistego udziału Króla, wysłał Sobieski w 1687 roku pod Kamieniec Jakóba,

który w zastępstwie Ojca miał sprawować dowództwo w obecności hetmanów. Zresztą, również i tu stwarzał Jan III synowi uprzywilejowane stanowisko, wynosząc go ponad wodzów z mocy prawa. Z niechęcią poddawał się Jabłonowski pod rozkazy młodzika, lecz ze względu na autorytet jego królewskiego Ojca i zaostrenie chwilowe własnych stosunków z opozycją, okazywał mu swą czołobitność, podejmując uroczyscie i po królewsku i oddając najwyższe honory. Za jego przykładem nadskakiwali królewiczowi również i inni dowódcy. Więc chociażby Jakób nie zdołał zdobyć Kamieńca, czego się zresztą i po doświadczonej dowódcy nie można było spodziewać, to jednak rosła chwilowo w wojsku popularność królewicza i jego powaga i z satysfakcją czytał Król raporty swego wysłańca, Szczuki, o tem, jak na radzie wojennej, zwołanej przez siebie po bombardowaniu Kamieńca, królewicz Jakób „mądrze i tak dobrze jako anioł mówił...” Zdawać się mogło, że sprawa urabiania dynastycznych nastrojów jest na dobrej drodze i posuwa się naprzód.

W miarę, jak Król prowadził coraz wyraźniej politykę dynastyczną, wzmagala się coraz bardziej opozycja magnacka przeciwko dworowi, wspierana wydatnie przez Brandenburgję, Austriję i Szwecję. Już w 1684 roku opozycja ta — kierowana przez słuźalca brandenburskiego, Grzymułtowskiego, ambitnego i przebiegłego „Salomona polskiego“, marszałka wielkiego Stanisława Lubomirskiego, godnego dziedzica rokoszanina z czasów Jana Kazimierza, i przez potężny na Litwie a wrogi Królowi dom Sa-

piehów — pozyskała dla „obrony wolności“, t. j. przeciw polityce Sobieskiego, skompromitowanego już przez spisek Morsztyna i ostrożnego teraz Jabłonowskiego, pożeranego przez zazdrość o wawrzyny wojskowe Jana III, który swą potężną postacią usuwał w cień ambitnego hetmana wielkiego, zawsze skłonnieszego do działań przeciw Królowi pod osłoną cienia, niż do jawnych wystąpień. I wtedy już opozycja zaczęła knuć spisek. Po chwilowem zbliżeniu się ambitnego hetmana do dworu i utracie jego wyraźnej pomocy, odżyła z nową siłą wówczas, gdy niepowodzenie mołdawskiej wyprawy przyćmiło blask chwały orężnej Jana III, a jej szeregi, złączone wspólną obawą przed królewskimi planami, pomnażali znakomicie miłośnicy dawnych swobód szlacheckich. Wroga Królowi magnateria nie przebierała w środkach i nie wahała się w swych paszkwilach najpotworniejszych na Sobieskiego rzucać potwarzy. On to, według tych plugawych piśmideł, ściągał na Polskę najazdy tatarskie, by utwierdzić w niej absolutyzm; on zamierzał zgubić wojsko na Bukowinie, on przywłaszczał sobie dukaty papieskie. Za nic były królewskie znoje i trudy, gdy własną piersią osłaniał wewnątrz Rzeczypospolitej, za nic chwała, jaką ją opromieniał w walce z Półksiężycem, za nic stałe na pomnożenie wojska z własnej szkatuły ekspensa, za nic i owa opieka, którą otaczał z taką miłością zbiedzonego żołnierza, lecząc go nieraz z ran, odniesionych w potrzebie, we własnym namiocie. Tem zajadlej szczuła opozycja na Sobieskiego, im bardziej czuła, że niepozabawiona jest racji opinia dworskich stronników, że „ten Król

umie i chce być królem i nie da sobie... chrząszcza przez nos przepuścić...“.

Rok 1687 zaznaczył się poważnem rozszerzeniem szeregów opozycji. Zwłaszcza nowa choroba Jana III i powtarzające się ataki apoplektyczne, zdające się zapowiadać rychłą śmierć starzejącego się Króla, wpłynęły na wzmożenie działalności „malkontentów“, obawiających się ze strony dworu zamachu dynastycznego, i przyciągnęły na ich stronę nawet część dotychczasowych stronników dworu, przemyślujących już o nowej elekcji i nieprzychylnie usposobionych do kandydatury Jakóba. „Malkontenci“ stawiali sobie za cel udaremnienie projektów królewskich, za program — odsunięcie od tronu „Piasta“ t. j. rodaka, mając na myśli przede wszystkim królewicza, rozglądali się natomiast za obcym kandydatem i poparciem obcego dworu. Już wiosną 1687 roku wyjeżdżał do Wiednia i Rzymu jeden z filarów opozycji, Stanisław Lubomirski, zamawiał poparcie cesarskiego dworu dla planów malkontenckich i prowadził rozmowy o przyszłej elekcji z kandydatem opozycyjnym, księciem Karolem Lotaryńskim. Nieobca — ponoć — była wtedy magnatom opozycyjnym nawet myśl detronizacji zniechęconego przez nich Króla. W ciągu lata, czy też jesieni tegoż roku zawiązał się w Warszawie, już od wiosny będącej kwaterą główną „malkontentów“, spisek magnacki, skierowany ostrzem przeciwko planom królewskim. Brali w nim udział, poza marszałkiem wielkim Lubomirskim, dwaj Sapiehowie: hetman wielki litewski Kazimierz i Benedykt, podskarbi litewski, maczający w pieniądzach

skarbowych nieczyste swe ręce, przywódca opozycji na Litwie, dalej Rafał Leszczyński, reprezentujący opozycję wielkopolską po śmierci Grzymułtowskiego, obok nich kanclerz koronny Wielopolski, zawdzięczający swą pieczęć Królowi, a także Opalińscy, Potoccy, bezbarwny miłośnik swobód szlacheckich Marcin Zamoyski, spokrewniony z dworem prymas Radziejowski i wielu innych. Zbliżała się do opozycji i część biskupów, idących za natchnieniem nuncjusza Pallaviciniego, zdawna już niechętnego dworowi i wspierającego malkontentów.

Stronnictwo królewskie nie miało w swoich szeregach tak głośnych nazwisk. Dwaj wierni starzy druhowie Króla, Marek Matczyński i Stefan Bidziński, co stale przy nim szczerbili swe szable i nadstawiali karków w potrzebach wojennych, drobniejsi magnaci litewscy, wśród których hetman polny litewski, Słuszka, stanowił cenną przeciwwagę wobec Sapiehy, część wiernych Janowi III biskupów, nie mogli iść w paragon pod względem wpływów i znaczenia z magnaterją opozycyjną. To też dwór opierał się głównie na masie szlacheckiej, z której szeregów wyszli przywódcy królewskiego stronnictwa, zdolni i energiczni: referendarz koronny Stanisław Szczuka i chorąży nurski Stanisław Godlewski. Do dworu zbliżał się też przejściowo i Jabłonowski, kokietowany — ponoć za wiedzą królewską — nadzieją na rękę przyszłej Królowej-Wdowy, Marji Kazimierzy, snujący swe dawne marzenia o koronie i zrażony odrzuceniem zgóry przez opozycję kandydatury „Piasta“, zatem i jego własnej.

Tymczasem Sobieski, przyszedłszy do zdrowia, szykował się do sejmu, zwołanego przez siebie na styczeń 1688 roku do Grodna. Na sejmie tym właśnie zamierzał poruszyć wyprawę 1686 roku i sprawy dalszej wojny. W instrukcjach omawiał zwiększające się szanse zwycięstwa wobec rewolucji pałacowej i rozruchów wojskowych w Stambule, oraz możliwość uzyskania z tych samych względów korzystnego pokoju. Żądał postawienia przez sejm wyraźnych celów wojny, oddając zarazem szlachcie decyzję rozstrzygnięcia sprawy dalszej wojny w pętach Świętej Ligi i zdążania do bram Carogrodu, czy też odrębnego pokoju, który mógłby określić naturalną granicę państwa nad Dunajem. Przedkładał konieczność ratyfikacji moskiewskiego traktatu przez sejm i domagał się załatwienia w sposób ostateczny podatków na wojsko, tak, by nie mogły już ich kwestjonować sejmiki. Występował, słowem, z szeregiem doniosłych spraw państwowych, traktując je nader poważnie. Spodziewając się przecież niechybnego ataku opozycji, zaklinał przyszłych posłów, by — nie dając posłuchu intrygom — czynili „to, co gruntowna rada i prawdziwa miłość ojczyzny podyktuje“. Nie wyrzekał się przytem Sobieski swych dynastycznych projektów i mocno liczył, że zdoła posadzić na sejmie przy swoim boku królewicza Jakóba. Pomny jednak na burzę, wywołaną próbami Jana Kazimierza przeprowadzenia elekcji następcy „vivente rege“, i na drażliwość szlachty w tej sprawie, pragnął jedynie przygotować grunt do wyboru syna po swojej śmierci i gotów był raz jeszcze zagwarantować prawo wolnej elekcji w zgłoszonej

przez dwór konstytucji, wymierzając w ten sposób poważny cios opozycji, prowadzącej właśnie kon-szachty z Lotaryńczykiem i pragnącej narzucić go szlachcie siłą swych wpływów.

Gdy spisek magnacki sposobił się do potężnego na Króla ataku, Król szukał oparcia w masie szlacheckiej i przygotował wybory po własnej myśli, a przygotowywał je z dużym powodzeniem, gdyż — dzięki popularności osoby sławnego Wodza w tej masie — miała zasiadać na sejmie grodzieńskim poważna większość stronników dworu.

Tymczasem sejm rozpoczął się zwykłym trybem od swarów, tym razem jednak tem niebezpieczniejszych, że wybuchły one przed wyborem marszałka. Opozycja, popierana energicznie przez posła austriackiego, który obawiał się planów królewskich i wzmożenia się wpływów francuskich, wyzyskała zakwestjonowanie mandatów jednego ze swych posłów i groziła zerwaniem sejmu. Nie pomogło ani zgłoszenie przez stronnictwo królewskie prawa o zawarowaniu wolnej elekcji, ani wyrzeczenie się przez Sobieskiego wprowadzenia do sejmu królewicza Jakóba i wysłanie go z Grodna, by jeno ugłaskać rozbujałe nastroje, Sejm rozpadł się nieznany jeszcze przykładem przed wyborem marszałka, a więc zanim mogły się odbyć prawomocnie jego obrady. Gdy szereg spraw wielce doniosłych czekało rozstrzygnięcia, gdy trwała wciąż wojna z Turcją, sejm rozchodził się bez żadnych uchwał, pozostawiając Rzeczpospolitą w obliczu wojny bez środków na jej prowadzenie.

Większość sejmowa ułożyła manifest do szlachty,

uderzając na metody kliki magnackiej, podkreślając dobrą wolę Króla i widząc jedyny ratunek w odwołaniu się do pospolitego ruszenia. Sejm konny stawał się tedy hasłem do skruszenia intrygi magnackiej. Ponoć i sam Sobieski miał się skłaniać do tego pomysłu, a rozgoryczony przebiegiem sejmu, miał się wyrazić: „Otóż kiedy tak, to ja złożę pospolite ruszenie i na niem złożę dyplomy elekcyjne, a będę się skarżył na tych“. Jan III gotował się zatem do walki z opozycją, a to tem bardziej, że, zdobywszy po śmierci Wielopolskiego w pozostałych po nim papierach dowody spisku, zaczynał teraz dostawać do ręki coraz to nowe jego nici.

Tymczasem odbyła się posejmowa rada senatu, która miała załatwić szereg nierozstrzygniętych spraw. Położenie było nader poważne, gdyż właśnie nadeszły wieści, wprowadzające w nastrój paniczny i część rozjeżdżających się posłów, i pozostających w Grodnie senatorów. Były to wieści o wtargnięciu na Ruś Tatarów i złupieniu przez nich posiadłości królewskich.

Groźna postawa stronnictwa dworskiego skruszyła jednak słabszych opozycjonistów, którzy — wpławszy się w akcję spiskową — teraz, na radzie senatu, za przewodem prymasa Radziejowskiego znów sterowali ku dworowi w swych wotach. Rozlegały się jednak jeszcze i głosy opozycyjne. Zwłaszcza niedawny stronnik królewski, obecnie zażarty trybun opozycyjnej magnaterji, łakomy na grosz, a zawiedziony w swych nadziejach na starostwo krakowskie wojewoda sieradzki Jan Chryzostom Odrowąż-Pienią-

żek, w sposób zgoła nieprzystojny pozwalał sobie na napaści na Króla, wysuwał groźbę wojny domowej, utyskując na zagrożenie wolności i nawołując, by Król te wolności zostawił w spokoju. W tym głosie, brzmiącym wyraźną nutą rokoszu, słyszał Sobieski dobitnie groźbę dalszego rozdarcia kraju i dalszych knowań opozycyjnych, a wystąpienie Lubomirskiego, który niedawno jeszcze knuł zdradę na dworze cesarskim, teraz zaś w spokojnej napozór mowie stroił się w szatę stróża wolności, nie mogło zatrzeć tego wrażenia.

Mając w ręku nici akcji spiskowej, pełen obawy o przyszłość państwa, które wśród intryg magnackich toczyło się ku upadkowi, pełen najgorszych przeczuć, z boleścią rozdartem sercem, zamykał Sobieski 24-go marca radę senatu wspaniałą mową, pełną proroczego natchnienia. „Musiał ten być dobrze w żalach wyćwiczony — wołał wśród grobowego milczenia — który to powiedział, że małe frasunki gadają, a wielkie nie-mieją. Zdumiewa się — i słusznie — cały świat nad nami i nad rządami naszymi, zdumiewa się Rzym z Głową Chrześcijaństwa, zdumiewają się sprzymierzeńcy, zdumiewa się pogaństwo, ale zdumiewa się i sama natura, która najmniejszemu i najlichszemu zwierzęciu dawszy sposób obrony, nam tylko samym odejmuje nie jakąś przemoc albo nieuniknione przeznaczenie, ale jakby z umysłu jakiego narodzona zło-śliwość. O, dopieroż zdumieje się potomność, że po takowych zwycięstwach i triumfach, po tak szeroko na świat rozgłoszonej sławie, spotkała nas teraz, ach, żal się Boże, wiekuista hańba i niepowetowana szko-

da, gdy się tedy widzimy bez sposobów (ratunku) i prawie bezradni albo niezdolni do rady“. Złożywszy raz jeszcze uroczyste zapewnienie szanowania wolności, przestrzegał przed istniejącym stanem rzeczy, wskazywał, że pożera naród, pozbawiony instynktu samozachowawczego, niepojęta namiętność szkodenia samemu sobie i grzmiał słowami strasznego proctwa: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zniszczoną zostanie“. Z jakąż straszną goryczą, wiedząc o spisach magnackich, kończył wstrząsające swe przemówienie: „Okaze się kiedyś za pomocą Boga, który przenika najskrytsze tajniki serca, o czym to mówi się i myśli za życia króla... Gdzie każdy na wszystko ważyć się może, gdzie przeciw ołtarzowi wznosi się ołtarze, tam grzmi już zemsta Boga!...“

Próżne jednak było wołanie do ludzi, którzy właśnie podczas trwania owego nieszczęsnego sejmu, w tem samem Grodnie, nowy uknuli spisek przeciw planom królewskim, większe w nich widząc niebezpieczeństwo, niżli w wojnie z Turczyнем. To też Rzeczpospolita znów stała niemal bezbronna i, rozdarta waśnią wewnętrzną, nie mogła się zdobyć na poważniejszy czyn wojenny. Anemiczny być musiał jej zbrojny wysiłek w tym roku. Gdy tylko z trudem doszły podatki na wojsko, wyblągane przez Króla u poszczególnych sejmików, gdy z kasy papieskiej wątłym strumykiem wpłynęło subsydjum na wojnę, nie mogło być mowy o realizacji jakichś poważniejszych planów wojennych. To też chociaż pragnął Sobieski sam ciągnąć wzdłuż Prutu na Wołoszczyznę, chociaż nowy nuncjusz, Cantelmi, wraz z dworem ce-

sarskim i w myśl jego planów wskazywał jako cel wyprawy Budziaki, wypadło ograniczyć się do akcji w okolicy Kamieńca i zlecić jej prowadzenie Jabłonowskiemu. I tu przecież hetman nie zdołał nietylko nic znacniejszego uczynić, lecz podczas kampanij, w których strach miał wielkie oczy w polskich szeregach, nie potrafił nawet przeszkodzić wprowadzeniu żywności i świeżej załogi do Kamieńca, podczas gdy austriacki sojusznik nowe święcił triumfy.

W kraju dalsza wrzała walka. Opozycja rozpowszechniała swój paszkwil na Króla, ukuty na dworze Benedykta Sapiehy. Jadowne piśmidło porównywało Króla do Tyberjusza i Heroda, nicowało jego przeszłość wojskową i uderzało w najświętsze jego uczucia, nie oszczędzając nawet pamięci pradziada, co złożył swą siwą głowę w cecorskiej potrzebie, i wydrwiwając, tak drogą Królowi, jego misję mściciela: „...że to przodkowie pańscy (w Dzikie Pola), żal się Boże, nieostrożnie weszli, dlatego ich w tamtych krajach znieśli. Nagrobek ich czytaliśmy... i to „*exurget aliquis nostris ex ossibus ultor*“ (z kości naszych powstanie mściciel)... ale go teraz nie usłuchano, że się jeszcze na Turkach mało co pomszczono“.

Król, trafiwszy raz na ślady spisku, w którym widział zapowiedź jeszcze poważniejszego zamętu, energicznie prowadził śledztwo i gotował się do zdruzgotania opozycji i wpuszczenia przez to nieco świeżego powietrza do stęchłej atmosfery wewnętrznych spraw Rzeczypospolitej. Śledztwo owo przerażało słabszych „malkontentów“, to też niejednen z nich, gęsto tłumacząc się przed dworem, zapewniał o swych

dla niego afektach. A gdy krewcy sandomierzenie za przewodem wiernego Królowi towarzysza broni, Bidzińskiego, zawiązali konfederację wojewódzką w obronie powagi Króla i skłonili innych do naśladowania tego przykładu, nawet Benedykt Sapieha począł stroić pojednawcze miny pod wrażeniem energii dworskiego stronnictwa, a niedawny warcholski trybun wolności, Pieniążek, zapewniał skromnie: „żem był, jestem i będę wierny i uniżony poddany JKMei i przeciwko wielkości jego znam się jedna plewa, jeden mizerny robaczek“ i mocno wyrzekał na tych, co go podstępna sztuką z łaski pańskiej obdarli. Opozycja jednak tylko przycichła, by niebawem z nową wybuchnąć siłą.

Zaszły tymczasem wypadki, które raz jeszcze miały odstręczyć Króla od polityki austriackiej i zbliżyć go jeszcze bardziej do Francji, nadarżając zarazem kołom opozycyjnym, dzielnie wspieranym przez zagranicę, nową okazję do podjęcia zacieklej walki przeciw Sobieskiemu i jego planom. Śmierć Ludwika Hohenzollerna otwarła znowu widoki na małżeństwo królewicza Jakóba z owdowiałą po nim Radziwiłłówną. Jej zamki i dobra litewskie znów mogły trafić pod zwierzchnią władzę Rzeczypospolitej, a w ręku rodziny królewskiej mogły się stać nielada pomocą w przeprowadzaniu planów dynastycznych Jana III. Rozległe dobra litewskie ciepłej wdówki dać mogły jej przyszłemu mężowi taką potęgę na Litwie, która obiecywała mu możliwość nietylko stawienia czoła oligarchji sapieżyńskiej, lecz nawet zgniecenia jej w przyszłości. Sobieski rozpoczął tedy ponowne sta-

rania o rękę margrabiny dla swego syna. Starania jego wspierał z ochotą Ludwik XIV w tej błogiej nadziei, że owo małżeństwo pomoże Królowi do wyzwolenia się z pęt austriackiej przyjaźni i ułatwi dalsze zbliżenie do Francji. Z tych samych jednak powodów dwór cesarski popierał w Berlinie innego kandydata na męża, księcia neoburskiego, Karola Filipa, brata cesarzowej. Jakób Sobieski, jako przyszły król polski, świetniejsze przecież rokował widoki. To też podczas swego pobytu w Berlinie uzyskał słowo łaknącej małżeństwa wdowy, a nawet skrypt, którym oblubienica kwitowała ze wszystkich swych dóbr w Rzeczypospolitej na wypadek cofnięcia swej obietnicy. Sprawa zdawała się na najlepszej być drodze i w żółkwi już krzątano się raźnie koło przygotowań weselnych, gdy raptem wszystkie nadzieje runęły.

Oto wnet po wyjeździe królewicza Jakóba z Berlina zjawił się tam słynący z urody i siły młody Neoburczyk i pod opieką Berlina i Wiednia tak szybko potrafił oczarować płochą wdówkę, że — w dwa tygodnie po zaręczynach z Jakóbem — wzięła w pałacu cesarskiego posła ślub z neoburskim Parysem.

Był to niesłychany policzek, wymierzony Królowi przez Berlin i Wiedeń. Wzburzenie Sobieskiego niebywałym afrontem groziło z trudem hamowanym wybuchem. Bezczelna obelga, zadana królewskiemu domowi, wywoływała wśród wszystkich, którzy — nie będąc związani z dworem cesarskim, berlińskim lub neoburskim argumentem brzęczących w kieszeni obcych talarów — mogli dać wyraz swym uczuciom, potężną falę oburzenia. Naród szlachecki odczuł bo-

leśnie obelgę, wyrządzoną królewiczowi, którego popularność wzrosła raptem nad miarę na skutek krzywdy, zadanej mu przez znienawidzonych Habsburgów i Hohenzollernów. Zaciskały się pięści i ręce sięgały do szabel. Niem mało więc było takich, co radzili Królowi, jak Hieronim Lubomirski, „pokornie... aby miał w rejestrze tych, którzy za dostojenstwem Majestatu Pańskiego... krwi swojej żałować nie będą“. Opozycja, przerażona powszechnem oburzeniem i deklarowaniem się szlachty w obronie honoru Króla, siedziała chwilowo cicho, jak mysz pod miotłą. Opinia zwracała się całkiem wyraźnie przeciwko przewrotnym dworom i przyjmowała groźną postawę wobec niemieckich sąsiadów. Nigdy za panowania Sobieskiego nie było w kraju jeszcze tak pomyślnego nastroju do podjęcia akcji bądź w kierunku odzyskania Prus Wschodnich, bądź też w kierunku Śląska. Nigdy, być może, też nie ciążyły tak Królowi pęta Świętej Ligi, jak w chwili po doznanym afrontie. To też mocniej zaczynał żeglować ku zbliżeniu do Francji, która w obecnej chwili bardziej niż kiedy indziej liczyła na jego pomoc w swych zmaganiach z Habsburgiem.

Na terenie Rzeszy Niemieckiej istniał już zwarty blok antyfrancuski. Gotowe były przystąpić doń Holandia, Hiszpanja, a nawet Szwecja. We wrześniu Ludwik XIV zdecydował się na czynne wystąpienie przeciwko cesarstwu i wojska jego wkroczyły do Palatynatu, wbijając się klinem pomiędzy Holandję a Rzeszę. Wojna przyniosła mu jednak szereg niemiłych niespodzianek. Wilhelm Orański w listopadzie wkroczył do Anglii i, obaliwszy tam przyjaznego Francji

Jakóba II Stuarta, wciągnął swe nowe królestwo do koalicji przeciwfrancuskiej, a w maju następnego roku przystąpiły do niej Hiszpanja, Holandja i Sabaudja. Francja stopniowo zostawała niemal całkowicie osamotniona i coraz skwapliwiej oglądała się za polską pomocą. Stopniowo też coraz jaśniej wypływał na widownię plan polityczny Ludwika XIV. Zawarcie przez Polskę — przy pośrednictwie Francji — odrębnego pokoju z Turcją, pchnięcie w ten sposób całej potęgi tureckiej przeciwko cesarstwu, skłonienie Jana III do wystąpienia bądź przeciw Habsburgom na Śląsku, bądź przeciw elektorowi w Prusach — oto główne planu tego podstawy. Podszepty francuskie znalazły oddźwięk na dworze warszawskim. Liga Święta zdawała się trzeszczeć.

Przerażony wzburzeniem opinii polskiej, elektor zarzekał się swego udziału w sprawie berlińskiej, a w listopadzie wyrażał gotowość poparcia kandydatury królewicza Jakóba do tronu. Dyplomacja papieska łatała zatarg pomiędzy cesarzem a Królem i pod jej wpływem w pierwszych dniach obrad nowego sejmu cesarz wykrztusił wreszcie wyparcie się swego udziału w sprawie nieszczęsnego małżeństwa. Zabiegi Wersalu, Berlina i Wiednia o względy Króla, przy jednoczesnych knowaniach opozycji z Wiedniem i Neoburgiem wewnątrz Rzeczypospolitej — oto obraz położenia Sobieskiego w okresie po afroncie berlińskim.

Król zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że odnowienie się wojny nad Renem zmusi cesarza do szukania nad Dunajem pokoju. Rozumiał, że byle cesarscy wzięli Beograd „tedy już pewny i nieodmienny

pokój“, że cesarz za cenę tego pokoju gotów jest sprzedać interesy polskie. Tem ważniejsza stawała się sprawa zbliżenia ku Francji, by zyskać przy jej pomocy możność zawarcia odrębnego traktatu. Gdy dyplomacja papieska, snując nadzieje na dalszą wojnę, pragnęła skłonić cesarza do dania Królowi posiłków nad Dniestrem w myśl dawnych planów Jana III, gdy roiła pomysły wspólnej wyprawy Rzeczypospolitej, Austrii i Moskwy na odzyskanie Kamieńca i zniesienie Budziaków, gdy teraz, w obliczu niebezpieczeństwa rozpadnięcia się Ligi, uznać gotowa była słuszność pretensyj polskich do Wołoszczyzny, Leopold tymczasem myślał całkiem poważnie o zawarciu pokoju i w listopadzie 1688 roku wzywał już Króla, któremu podejrzany się zdawał zbyt szybki pośpiech, do wysłania swych pełnomocników w tej sprawie do Wiednia, lecz z drugiej strony hojnie rozdawał złoto wśród przeciwników królewskich, by — w razie niedojścia pokoju — uniemożliwić Królowi zerwanie Ligi. Jan III, co prawda, słał swoich posłów, lecz zachowywał w tej sprawie dużą ostrożność, by nie wpaść w sidła cesarskie, i myślał raczej o traktacie na własną rękę. Punkt ciężkości leżał dlań jednak w sprawach wewnętrznych, gdyż Sobieski zdawał sobie dokładnie sprawę, iż bez złamania opozycji i utwierdzenia w kraju własnej powagi, poczynania zewnętrzne mogą zawisnąć w powietrzu.

Pierwszym odruchem po afroncie berlińskim, gdy, ogłuszona wybuchem powszechnego oburzenia, opozycja stuliła uszy, było powetowanie krzywdy przez konfiskatę dóbr radziwiłłowskich na Litwie. Tymcza-

sem za cenę złota, płynącego ze skarbu cesarza i od „neoburskiego Paryska“, oraz w obawie wzrostu znaczenia królewskiego domu, Sapiehowie opanowali zagrążyli zamki radziwiłłowskie i oświadczyli z zuchwalstwem niesłychanem, że innych załóg nie puszcza. Czuając za sobą poparcie Berlina i Wiednia, opozycja z wolna podnosiła głowę i sposobila się do walki ze znienawidzonym przez siebie Królem. Jak Sapiehowie, tak również, strojący się w togę polskiego Katona, Stanisław Lubomirski z lubością słuchał brzęku obcych talarów, płynących do jego kieszeni, i żywą utrzymywał z Wiedniem korespondencję. Król bacznie okiem śledził jednak nici intrygi i gotów był przeciąć je niespodzianym ciosem na sejmie, ciosem na wzór owego, który w przededniu wyprawy wiedeńskiej powalił Morsztyna.

Sejm miał się stać w planach królewskich terenem walnej rozprawy. To też na jego marszałka sposobili Jan III oddanego sobie, zdolnego i wytrawnego Szczukę. I chociaż w instrukcjach przedsejmowych z rozmysłem odsuwał na dalszy plan swój żal, wywołany „afrontem berlińskim“, chociaż wyrzekał się wszelkich przeciwwolnościowych zamachów, w listach do senatorów wyraźnie wskazywał cesarza, jako głównego autora owego afrontu. Zwołany na grudzień 1688 roku do Warszawy, sejm miał — według planów królewskich — przynieść skruszenie opozycji, rozstrzygnąć doniosłe sprawy dalszej polityki polskiej i w ostatecznym wyniku — wzmocnić pozycję Króla, otworzyć przed nim widoki pracy, mającej szeroką perspektywę.

Sejm warszawski, otwarty 17-go grudnia, znakomicie przygotowany na sejmikach przez partję królewską, pod względem liczebnym posiadał przygniatą ilość stronników dworu. Cóż, kiedy nieliczna opozycja gotowa była w sposób najbezwzględniejszy zerwać go w każdej chwili, gdyby jej interesom zagrażać miało niebezpieczeństwo. Jaki był poziom moralny filarów tej opozycji, już pominąwszy sprawę jurgieltu, pobieranego przez nich od obcych dworów, świadczy najlepiej, że — według korespondencji, przejętej przez dwór podczas śledztwa — jeden z 63 artykułów warszawskiego spisku zmierzał do zamachu na skarb królewski w Malborgu i do podziału łupu pomiędzy przywódców, po przeznaczeniu jego części na obronę „wolnej elekcji“. Tego rodzaju ludzie mogli chwycić się każdego środka i uczynić z liberum veto igraszkę w swem ręku, mogącą obalić wszelkie poczynania państwowe Króla. Ich prawem jedynem był własny interes, żywiołem — anarchja. Czyż można się dziwić, że taka opozycja miała zamienić obrady sejmowe w nieustanną burdę i pograć w niej wszystkie zamiary królewskie?

Po wielkim wstępnym sukcesie dworu, po zgodnym wyborze na marszałka sejmu „najwierniejszego ministra“, referendarza koronnego, Szczuki, sejm stał się widownią gorszących a wielce przewlekłych walk o obie pieczęcie koronne, do których obok mnóstwa kandydatów duchownych i świeckich nie wstydzili się zgłaszać, podnosząc swe rzekome zasługi, najzacieklejsi opozycjoniści tego typu, co bezczelny w swych napaściach na Jana III Pieniążek, lub płatny przez za-

granicę przywódca wielkopolskich malkontentów, Rafał Leszczyński. Gdy pieczęć kancelarska oddana została biskupowi Denhoffowi a podkanclerstwo wojewodzie lubelskiemu Tarle, z pośród zawiedzionych kandydatów jedynie biskup Załuski, odniedawna stojący znowu w szrankach partji królewskiej, niezrażony zawodem, bronił na sejmie uczciwie interesów dworu, a w senacie wybijał się nawet na czoło dworskiego stronnictwa. Reszta ziała nienawiścią do Sobieskiego i, stając w szeregach opozycyjnych, rzucała mu kłody pod nogi. Gdy interesy Króla i państwa łączyły się w jedno, opozycja z zaciekłością niszczyła interes państwa, byle Król tylko przy tem nie zyskał. Obalała ona wszelkie poczynania Króla gwoili swym interesom i w myśl swojej zasady, że Król zawsze jest wrogiem i przeciwieństwem Rzeczypospolitej. Naczelnem przeciwieństwem wrogów królewskich było zniszczenie każdego szczebla, po którym królewicz mógłby się być zbliżyć w przyszłości do tronu.

Gdy, po połączeniu izb, marszałek sejmu przystąpił do czytania mądrego projektu konstytucji o porządku sejmowania, rozpętała się chaotyczna dyskusja i w powodzi namiętnych przemówień utopiono doniosły ten projekt, przenosząc punkt ciężkości utarczek na sprawę dóbr radziwiłłowskich. Stronnicy królewscy rozpoczynali „od politowania nad familją królewską“ i z zaciekłością bronili jej interesów, domagając się satysfakcji za „afront berliński“, a nawet konfiskaty tych dóbr, przedewszystkiem zaś wyprowadzenia obcych załóg z twierdz radziwiłłowskich. Opozycja, a zwłaszcza Sapiehowie, czujący w kieszeni neo-

burskie i austriackie złoto, zwalczali zawzięcie wszelkie zakusy większości na dobra, będące faktycznie w ich ręku. Namietności się rozpały — sejm się zawichrzył i obie strony coraz to bardziej nieprzejednane zajmowały stanowisko. Napróżno Sobieski rezygnował z osobistych pretensyj, napróżno przyznawał i margrabinie, i jej potomstwu swobodne władanie posiadłościami, żądając jedynie, by administratorzy tych dóbr pochodzili ze szlachty litewskiej, komen-danci twierdz składali przysięgę na wierność Rzeczypospolitej i Królowi, a w razie wojny dochody były obracane na potrzeby wojenne, napróżno zrzekał się praw, wypływających dla rodziny królewskiej ze skryptu Radziwiłłówny. Stronnictwo dworskie domagało się satysfakcji dla Króla i nawet groziło zerwaniem sejmu, gdyby odpowiednia uchwała nie została powzięta, a opozycja ziała nienawiścią do Króla, szarpiąc go przy każdej okazji w najniegodziwszy sposób.

Próbując zwrócić obrady na inne tory, biskup Opa-liński atakował Jana III pod pretekstem sprawy, oskarżonego o ateizm, Łuszczewskiego i, broniąc rzekomo uciśnionego katolicyzmu, rzucił Królowi zu-chwałę słowa: „Wysłuchaj uciśnionych, lub przestań rządzić“. I gdy słuchając ataków biskupa-rebelizanta, Król w milczeniu „tylko parę łez uronił“, wybuchła w izbie nieopisana burza. Stronnicy królewscy porwali za szablę. Rozległy się głosy: „Godzi się rzucić, uciąć-głowę biskupowi, pod nogi Majestatu“. Bidziński wołał: „Rzeczypospolita jest w malignie, trzeba jej krwi upuścić“ i nawoływał do konfederacji przy

Królu. Opozycja kuła broń nową ze sprawy Opalińskiego, gardlując o uciśnionej wolności.

Stronnictwo królewskie wracało znowu z uporem do sprawy radziwiłłowskiej w konstytucji o bezpieczeństwie wewnętrznym, a Benedykt Sapieha oświadczał z uporem: „Szkoda czytać i tak z tego nic nie będzie“. I znowu zrywała się burza i rozlegały się groźby pod adresem elektora i Neoburczyka, i znowu leciały do Króla wezwania o zwołanie sejmu konnego i pokonanie zaprzedańców. I znowu napróżno Król wzywał do przejścia nad jego sprawą do porządku dziennego. Stronnicy dworu dziękowali mu uroczyście, lecz „postponowali“ prośbę królewską, domagając się konstytucji o dobrach radziwiłłowskich. Opozycja wrzała namiętnością i bryzgała pod stopnie tronu nienawiścią i jadem, a Sapiehowie pilnowali mocno swoich stronników, „żeby im jednak refleksja nad ginącą ojczyzną kiedy lucida intervalla¹ nie przyniosła“. I oto wśród intryg i wrzasku zacietrzewienia ginęły na sejmie sprawy wagi państwowej, sprawy polityki państwa na przyszłość i stosunku Polski do sąsiadów i Ligi, sprawy pokoju lub dalszej wojny.

Dopiero teraz Sobieski postanowił rzucić na szalę sprawę spisku i, zgniótlszy nią opozycję, wyprowadzić nareszcie obrady ze ślepej uliczki bezpłodnych ujadów. Lecz cios, który niegdyś powalił Morsztyna, zawiódł tym razem. Za spiskującą magnaterją stało teraz państwo i cesarz. Skandal, wybuchając na sejmie, mógł zerwać Ligę chrześcijańską w chwili, gdy rokowania cesarza nie były jeszcze na pewnej drodze.

¹ chwil otrzeźwienia

Więc dyplomacja cesarska i papieska czyniła wszelkie wysiłki, by nie dopuścić do tego skandalu. Sprawa poszła zatem zamiast przed plenum sejmu pod obrady komisji sejmowej; pod naciskiem nuncjusza opat Hacki zapomniał raptem czytania szyfru, pod tym samym naciskiem biskupi, wchodzący w skład owej komisji, woleli łagodzącą przyjąć postawę i stanąć przed sejmem z próżnemi rękami. Ośmieliło to ostatecznie opozycję i gdy Sobieski, usłyszawszy z ust Benedykta Sapiehy — przy okazji czytania jednej z konstytucyj — powątpiewanie, czy wszyscy życzą sobie „wiecznie trwającej szczęśliwości domu Sobieskich“, wołał do sejmu, że ma w swem ręku nici spisku Sapiehów, pan Benedykt zadziwił wszystkich swą bezczelnością. Sam oto odczytał akt spisku, pewien swej bezkarności. I znowu wybuchła burza. Do nóg królewskich rzucał się obecny stronnik dworu, podpisany na skrypcie Unichowski i błagał o przebaczenie. Przedkładali sapieżyńscy stronnicy, że spisek nie jest wymierzony przeciw Królowi, ani też przeciw kandydaturze królewicza Jakóba. Wołano znowu o pospolite ruszenie przeciw spiskowcom, a gdy wśród powszechnego oburzenia łagodził sprawę nuncjusz Cantelmi, sami Sapiehowie postanowili ją skończyć zerwaniem sejmu. Gdy sprawa nierozstrzygnięta pokoju lub wojny wymagała decyzji sejmu, znalazł się teraz niejaki Szolkowski, który wykrzyknął swój protest przeciw dalszym obradom.

Nazajutrz, 1 kwietnia, przez cały dzień do godziny 9 wieczór przebywał Sobieski w izbie, czekając na powrót Szolkowskiego i przywrócenie sejmu. Cze-

kał napróżno. A w izbie toczyła się burda. Wśród wzajemnych wymysłów porwał się jeden z sapieżyńskich stronników czynnie na biskupa Brzostowskiego, wołającego do opozycji: „Wy zawsze naoślep przeciw Królowi jesteście“. W obronie biskupa skoczył ze szpadą wojewoda malborski Denhoff ku znieważającemu go Dąbrowskiemu, a cała ciżba poselska rzuciła się ku nim z dobytymi szablami. Zaledwie wprowadzenie przez Króla gwardji przywróciło porządek i uchroniło przed krwawą bójką. Lecz oto opozycja grzmiała teraz, że „broni dobyto, wprowadzono do senatu piechoty“. Wreszcie wszelką nadzieję wznowienia obrad odjęła kartka od Szołkowskiego, że pozwoli na prolongatę sejmu, kartka z dopiskiem: *prima aprilis*.

Nazajutrz zęgnął marszałek Szczuka w imieniu sejmu Jana III, piętnując praktyki opozycji, sławiąc zasługi Króla, jego ofiarność i trudy nad utrzymaniem sejmu: „Skupcie się wszystkie — wołał do mal-kontentów — jaknajjadowitsze inwidje i zawziętości, nakręcajcie wymyślne przeciw niewinnym akcjom instrumenta, obwijajcie niedobre w bawełnę postępki, nie unikniecie czasu, który zdziera... maskary i szczerą odkrywa prawdę“.

XX

W JARZMIE ŚWIĘTEGO PRZYMIERZA

Drugi zerwany zkolei sejm przyniósł Królowi zupełną klęskę. Jeden pozostawał mu jeszcze atut — konfederacja przeciwko malkontentom i pospolite ruszenie; atut ten mógł niewątpliwie skruszyć opozycyjnych magnatów. Toć już na sejmie posłowie małopolscy i wielkopolscy na sesjach prowincjonalnych powzięli 15 marca uchwałę zwrócenia się do Króla z prośbą o sejm konny i konfederację wojskową dla ukarania opozycji na gardle i majątku, o ile nie przejdą potrzebne dworowi konstytucje. Toć nie darmo wołał Bidziński o puszczenie krwi Rzeczypospolitej. Toć na sejmikach relacyjnych deklarowała się szlachta stać przy boku królewskim, głosząc: „jednostajnem i nieodmiennem słowem JKMcI pod obowiązkiem sumienia przyrzekamy, iż w żadnej okazji JKMcI nie odstąpimy, razem przy dostojęństwie jego zdrowia swoje substancje ochotnie ważyć chcemy“, toć upraszała Króla, „aby tej obłąkanej Rzeczypospolitej nawą... raczył kierować“, podkreślając gotowość zawiązania się w konfederację „przy dostojęństwie JKMcI“. Toć nawet posejmowa rada senatu w pospolitem ruszeniu widziała ostateczny ratunek. Nie dziw,

że stronnictwo królewskie wygotowało już nawet akt przyszłej konfederacji, licząc na zdrowy instynkt masy szlacheckiej i niezmienną popularność wśród niej królewskiego imienia. Jeśli za czasów nieboraka króla Michała tak ochotnie stanęła szlachta w obronie swego wybrańca przeciw magnatom, o ileż chętniej stanęłaby była przy tym, którego czyny tylekroć wywodziły Rzeczpospolitą z ciężkich opresyj, którego imię chwałą okryło jej wojenne sztandary. Była to chwila, kiedy oparłszy się na wrogo usposobionej w stosunku do magnaterji szarej masie szlacheckiej, mógł Król zadać magnaterji tej cios śmiertelny i wywodzić państwo na drogę, wiodącą ku uzdrowieniu.

Lecz odwołanie się do mas szlacheckich znaczyło wojnę domową i zamęt wewnętrzny. Król Jan Sobieski widział już wojnę domową w okresie rokoszu Lubomirskiego i widział, jak w ogniu tej wojny spłonęła powaga królewska Jana Kazimierza. Przeżył następnie okres zamieszek za Korybuta podczas konfederacji gołabskiej i drugiej, pod własnym przewodem zawiązanej pod Szczebrzeszynem. Widział, że teraz położenie w polityce międzynarodowej jest znacznie trudniejsze. Toć w tej polityce ważyła się właśnie sprawa upadku czy trwania Ligi, sprawa pokoju z Turcją, zawartego wspólnie z cesarzem, lub też wbrew niemu. Toć sam Król teraz sposobił się właśnie do odegrania roli pośrednika w walce pomiędzy cesarstwem a Francją i przywrócenia — w ten sposób przynajmniej — Polsce mocarstwowego znaczenia. Toć widział jasno, jak wojna domowa osłabi głos Polski w owych niepewnych jeszcze z Turcją trakta-

tach. I widział także jak Brandenburczyk, cesarz i papież czynią mu szczyrby we własnem stronnictwie, by nie dopuścić do zerwania przymierza, widział i to, że, zerwawszy przymierze, jedyne oparcie znajdzie we Francji i że ta Francja nie zdołała nawet Jakóba Stuarta ochronić przed upadkiem. Czyż zdoła ochronić jego? Widział Sobieski, jak pod naciskiem papieża wycofują się z jego stronnictwa biskupi. Czuł, że gdy przegra możność korzystnego z Turcją pokoju lub nie mniej korzystnej wojny, nie znajdzie już hasła, które zjednoczy przy jego tronie masy szlacheckie. Czyż można się dziwić, że w tych warunkach cofnęło się serce królewskie przed krwawem widmem wojny domowej, że Król nie podjął ostatniego atutu, który złamać mógł magnaterję? Klęska Króla, poniesiona na sejmie warszawskim, była tym razem ostateczna.

Sprawa traktatów o pokój podwójnym toczyła się torem. Prowadził je u siebie cesarz, żądając udziału w nich Wenecji i Polski, próbował prowadzić je na własną rękę Sobieski za pośrednictwem chana i dyplomacji francuskiej. Lecz sprawa pokoju nie wróżyła wciąż Polsce korzystnych warunków, skoro Turek dość silny jeszcze, by stawić cesarstwu czoło, godził się co najwyżej na przyjęcie stanu faktycznego i odstąpienie Polsce Kamieńca i skoro cesarz, nawet wbrew papieżowi, nie zamierzał popierać polskich pretensyj do Mołdawji i Wołoszczyzny. Spełzły tedy na niczem rozmowy o wspólny pokój. Lecz gdy pertraktacje, prowadzone za pośrednictwem Tatarów i Francji, zaczęły wchodzić dopiero na tory realne, zburzyła je próba zdobycia przez zaskoczenie Kamieńca, doko-

nana przez Jabłonowskiego, zapewne za wiedzą Króla. W razie sukcesu wróżyła ona „smarowniejsze“ traktaty, nieudana — prowadziła jedynie do ich zerwania. Próba ta stała się teraz jedynie niespodziewaną dywersją na korzyść Austrii.

Na szczęście dla Sobieskiego zerwanie przez Turcję rokowań z cesarzem stworzyło dlań teraz korzystniejsze o wiele nastroje na dworze wiedeńskim. Ujęta pomiędzy Turcję a Francję, pragnęła Austria za wszelką cenę utrzymać Jana III w jarzmie Świętego Przymierza. I oto teraz chwytając od lat już kilku podsuwaną przez dyplomację papieską myśl ożenienia królewicza Jakóba z siostrą cesarzowej, oraz szczęśliwego rywala w staraniach o rękę Radziwiłłówny, księżniczką neoburską Jadwigą. W ten sposób mógł Jakób uzyskać nareszcie poparcie Wiednia przy staraniach o tron ojcowski, Wiedeń zaś zyskać ze strony polskiego Króla dalszą pomoc w walce. Dynastyczne zamiary Jana III zdawały się wchodzić na tory realne. Zwracał się Król teraz wyraźnie ku cesarzowi, ale nie pragnął zerwania z Francją. Przyjmował ofertę chętnie, lecz myślał przede wszystkim o zawarowaniu korzyści dla swego państwa.

Chociaż dyplomacja francuska pragnęła teraz zerwać Polskę wewnętrznie, by uczynić ją tak samo bezużyteczną dla celów cesarskich, jak stawała się bezużyteczną dla planów Wersalu, wysiłki jej jednak zostały złamane, jej dyplomaci kompromitowali się tylko, płacząc się we własnych intrygach. Nie powiodły się próby konszachtów z królewiczem Jakóbem i uzbrojenie go przeciwko ojcu. Dały tylko możliwość

przecięcia intryg francuskich. Trudne też było i odbudowanie opozycji pod chorągwiami Francji, gdyż znaczyło to dla niej zmianę dotychczasowego nastawienia. Zwrot Króla ciężkiem był dla malkontentów zaskoczeniem. Dyplomatom francuskim wątplązaledwie udało się skłonić opozycję przeciwko planom dalszej wojny. Brali coprawda chętnie liwry francuskie Sapiehowie, lecz ograniczali swą działalność do zalecania pokoju, z tem jednak, że sprawę tę raczej należy rozważać na tajnej sesji senatu, na której mogli nawet popierać wojnę bez narażania się Wersalowi. Szczerzej przechodził na stronę francuską Rafał Leszczyński, ale i jego wpływy mogłyzaledwie skłonić do uchwał pokojowych wielkopolskie sejmiki, kiedy już sejm opowiedział się za dalszą wojną. Reszta wrogów królewskich nie myślała teraz bynajmniej narażać dla Francji swych dobrych stosunków z cesarstwem i Rzymem, stosunków, niosących im poważne korzyści.

Stronnictwo królewskie bez trudu i wstrząsów, na dane przez Króla hasło, przechodziło od orientacji francuskiej zpowrotem ku Lidze chrześcijańskiej. Dla tego stronnictwa, podobnie jak dla Sobieskiego, punkt ciężkości leżał w sprawach wewnętrznych i w zapewnieniu sukcesji tronu, a w tym kierunku pomoc cesarska w obecnej chwili poważne wróżyła korzyści. Sam Król, zbliżając się przecieź do Austrii, nie myślał bynajmniej zrywać tym razem z Wersalem, a z samego zbliżenia jak największe pragnął dla swego kraju wyciągnąć korzyści.

Z trzech obecnych na dworze dyptomatów fran-

cuskich: Béthune'a, Gravelle'a i du Teila, pierwszy zachował lojalny stosunek do dworu polskiego, dążąc pomimo wszystko do jego współpracy z Wersalem, dwóch innych kompromitowało się intrygami przeciwko Królowi i jego zamiarom. Sobieski pragnął więc przez Béthune'a, który, będąc szwagrem królewskim, zawsze miał pretekst do pozostawiania przy Królu, utrzymać stosunki z dworem francuskim, co do pozostałych zaś zapowiadał: „Jednego wyrzucę, drugiego usunę z Polski“. I to wyrzucenie dwóch intrygantów podwójne miało znaczenie — przecinało intrygę, a wobec Austrii nosiło charakter odżegnywania się od wpływów francuskich. Do likwidacji obu tych intrygantów wspinały pretekst dawało przejęcie przez dwór berliński ich poczty, w której całkiem niedwuznacznie poruszali plany dywersji pruskiej. Opublikowanie korespondencji przez Króla oddawało mu jeszcze jedną ważną przysługę — wywierało nacisk na Wiedeń, zmuszając go przez ujawnienie niebezpieczeństwa do szanowania polskich poglądów na sprawę małżeństwa królewicza Jakóba oraz na sprawę państw naddunajskich. Ze swych wpływów zaś w Mołdawji i na Wołoszczyźnie Jan III, zbliżając się znów do cesarza, nie miał bynajmniej zamiaru kwitować.

Pod znakiem dalszej wojny z Półksiężycem i ponownego związania się z Ligą chrześcijańską zbierał się sejm styczniowy 1690 roku, po dwóch z kolei zerwanych sejmach, ostatni za panowania Jana III sejm niezerwany. Mając za sobą tym razem dyplomację papieską, cesarską, brandenburską, wenecką i całą

powagę duchowieństwa polskiego, mógł Sobieski doprowadzić obrady do końca, lecz doprowadzić z nie-małym wysiłkiem, gdyż aż piętnaście razy sejm był zrywany i piętnaście też razy wznawiano obrady. Czyż można się dziwić, że w latach poprzednich, gdy te potęgi, trzymające swemi wpływami opozycję w rękę, były przeciw Królowi i judziły przeciwko niemu warcholskich magnatów, nie był on w stanie dokonać tego trudnego zadania?

W senacie nie bez sprzeciwów, ale naogół dość zgodnie, powzięto uchwały za dalszą wojnę. Burzliwiej toczyły się sprawy po połączeniu izby poselskiej z senatem. Ozwały się głosy za usunięciem z Polski przedstawicieli państw obcych, z wyjątkiem należących do Ligi. A gdy Gravelle spróbował zerwać sejm za pośrednictwem jednego z posłów sejmowych, Głogowskiego, Sobieski, ułagodziwszy szlachcica gotówką i obietnicą starostwa, dotrzymał swej zapowiedzi i wyrzucił Gravelle'a z Warszawy. Sprawniej teraz toczyły się dalsze obrady, chociaż proceder zrywania sejmu podobał się posłom, jako środek wymuszania datków pieniężnych bądź to od Króla, bądź od zainteresowanych w trwaniu obrad magnatów. To też proceder ten panowie posłowie uprawiali z zapałem i rwanie sejmu przez cały czas jego trwania pospolitem było zjawiskiem. Stało się ono nawet powodem karczemnej burdy, gdy bracia poselska popiła się srodze z radości, że przywrócono czynności sejmu po którymś kolejnem zerwaniu. Gdy się Sobieski odezwał do nich, że trudno w tym stanie prowadzić obrady, ten sam Głogowski jął wołać w ferworze pijackim, że Król nie

ma na sejmie czynnego głosu tylko bierny i przez kanclerza ma się zwracać do izby. Kurzyło się mocno ze łbów szlacheckich, więc się też żwawo porwano do szabel i w obronie powagi Króla zamierzano posiekać krzykacza, że ledwie umknął bocznymi drzwiami. Sobieski, czulszy na sprawy publiczne, niż na zuchwałę krzyki pijaka, ochronił go nawet przed sądem sejmowym, byle nie dać pretekstu do rwania sejmu i móc doprowadzić do końca obrady. Cierpliwość nadmierna i wytrzymałość żelazna Jana III uwieńczone zostały zupełnym sukcesem. Obrady, które „wisiały ciągle między bojaźnią a nadzieją“, doprowadzone zostały do końca, a w dniu ostatnim sejmowania Sobieski pozostał w sejmie na stanowisku do rana i zebrał owoce swej wytrwałości w postaci doniosłych uchwał sejmowych.

Powzięte tedy zostały uchwały o poparciu dalszej wojny przy ewentualnej pomocy nawet pospolitego ruszenia, uchwalono 30.000 żołnierza z Korony, a 8.000 z Litwy na przeciąg dwóch lat, ustanowiono komisję z ramienia senatu i izby poselskiej do prowadzenia w razie potrzeby rokowań o pokój, nie wykluczając przytem możliwości odrębnego pokoju; stanęły konstytucje o trybunale skarbowym, porządku sejmowania, hybernie, zwolnieniu dóbr szlacheckich od postoju wojska i wiele innych. Szereg potrzeb państwowych został wreszcie uregulowany przez prawo, a co główna, otrzymał Król środki na wojnę i możność zawarcia pokoju, chociażby nie licząc się z Ligą. Była to nader doniosła uchwała, dająca w zamiarach królewskich swobodę działań i zmuszająca — w jego po-

jęciu — oba ugrupowania europejskie, francuskie i austriackie, do zabiegania o względy Polski. Jakoż, pomimo zbliżenia ponownego Króla do Austrii i wygnania posłów francuskich — gdyż i du Teil musiał niebawem opuścić Polskę — nie traci Francja nadziei pozyskania Jana III dla swoich celów.

Sobieski nie wyrzekął się bynajmniej zaszczytnej roli medjatora w walce pomiędzy Francją a Austrią. Przeciwnie, właśnie rok 1690 zdawał się jego pod tym względem plany wprowadzać na tory realne. Na stolicy papieskiej zasiadł, po śmierci Innocentego XI, papież, doceniający znaczenie dziejowe bitwy wiedeńskiej i rolę w niej Sobieskiego. Papieżem tym był Aleksander VIII, który w roku 1690 próbował wkroczyć pomiędzy walczące mocarstwa jako anioł pokoju. Gdy mu Jan III dał znać o swem gorącym pragnieniu, papież z radością pochwycił propozycję królewską. Do myśli Króla zapalił się również prymas Radziejowski, powracający właśnie z Rzymu do kraju. Snuł on ambitne plany odegrania poważnej roli w kongresie pokojowym, na którym widział już siebie jako reprezentanta Jana III. Te piękne marzenia prymasa i Króla rozviała jednak rzeczywistość. Strony walczące nie były zbyt skore do przyjęcia medjacji, a śmierć Aleksandra VIII w roku 1691 przecięła ostatecznie wszelkie nadzieje na rychły pokój powszechny wśród państw chrześcijańskich.

Sprawa małżeństwa królewicza Jakóba z wolna tymczasem posuwała się naprzód. Tym razem jednak zmieniły się role i dwór cesarski mocno musiał zabiegać o doprowadzenie tej sprawy do końca. Im goręcej

pragnął cesarz małżeństwa i polskiej pomocy w dalszej wojnie z Turkami, tem bardziej stanowczo i wyraźnie, zdecydowany już oddawna, Sobieski stawiał swoje warunki. Pragnął jasno postawić sprawę małżeństwa i odnowienia sojuszu w związku ze sprawą niedwuznacznego uznania ze strony cesarza polskich pretensyj do Mołdawji i Wołoszczyzny. Cesarz bronił się mocno przeciw wypowiedzeniu wyraźnej zgody. Tymczasem sprawy wojenne jego szły coraz gorzej i coraz to niezbędniejsza stawała się pomoc polskiego Króla.

To położenie postanowił Sobieski wyzyskać. W sierpniu 1690 roku w obozie hetmana Jabłonowskiego pod Śniatynem stało gotowe do nowej wyprawy 10.000 piechoty i 8.000 jazdy. Król za pośrednictwem powracającego z Rzymu prymasa postawił teraz sprawę całkiem dobitnie. Gdy cesarz mglisto wyrażał zgodę na odstąpienie Mołdawji, o ile stany węgierskie uznają polskie pretensje, warując sobie Multany, prymas wyjaśnił w Wiedniu, że Sobieski pragnie — istotnie — trwałego i rzetelnego sojuszu z cesarzem, że nosi się z myślą wtargnięcia na Budziaki po przekroczeniu Mołdawji, ale uzależnia stanowczo swój udział w tegorocznej kampanji od niedwuznacznego uznania polskich praw do Mołdawji, chociaż sprawa multańska może być odłożona do czasu zawarcia ogólnego pokoju. I tym razem cesarz próbował uniknąć odpowiedzi wyraźnej, zapewniając jedynie, że w sprawie Mołdawji gotów jest wszelkich starań dołożyć, by stany węgierskie rozstrzygnęły ją po myśli królewskiej, Multany przecież zastrzegął dla siebie.

Sprawy cesarza na polu walki rozwijały się zgoła dlań niepomysłnie. Większe masy tureckie wszczyły ofensywę na Węgrzech, Tököly, desygnowany przez Portę król Siedmiogrodu, gotował się do wzniecenia nowego powstania na Węgrzech, na polach Cecory stały potężne siły, gotowe go wesprzeć, o ile działania polskie nie zwiążą ich na innym terenie. Niebawem wojska cesarskie na pograniczu Siedmiogrodu ciężką poniosły klęskę, a broń austriacka doznawała porażek na Węgrzech. Pomoc więc polska coraz to bardziej była niezbędna. To też cesarz wyrażał swą zgodę na polskie warunki małżeńskiego traktatu, a nieco później zgodził się również na rozłożenie polskich oddziałów w Mołdawji, a nawet i Siedmiogrodzie, błagając jeno o energiczne działania. Jabłonowski tymczasem, który w początku września przekroczył Dniestr i obsadził silnemi partjami Suczawę i Kimpolung, raptem pod wpływem Béthune'a cofnął swoje oddziały zpowrotem i rozpuścił je. Sprawa zajęcia Mołdawji za zgodą cesarza w tym roku została więc pogrzebana pod wpływem Francji, a wbrew zamiarom Jana III. Jednak klęski wojsk austriackich, zdobycie Widynia, Niszu i Beogradu przez Turków wykazywały zupełną przewagę tureckiego oręża i zmuszały cesarza do dalszych zabiegów o pomoc polską, przynajmniej w następnym roku.

Wreszcie 15-go listopada przedłożył Król w Żółkwi na radzie senatu traktat małżeński królewicza Jakóba do zatwierdzenia. Tem samem sprawa ta nabierała cech sprawy państwowej, a przez to i sprawa dynastji robiła krok naprzód. W grudniu wyjeżdżał do

Wiednia poseł królewski z ratyfikacją traktatu i z poleceniem ostatecznego omówienia kampanji w roku następnym przeciwko Porcie. 25 marca 1691 roku król Lewicz Jakób nareszcie wziął ślub i stał się szwagrem cesarskim. Król mógł liczyć teraz na stanowcze poparcie dynastycznych swych planów przez Austrię. Po siedmiu latach wchodziła ponownie Rzeczpospolita do Ligi chrześcijańskiej, by tym razem trwać w jarzmie tej Ligi do końca rządów Jana III. W owej chwili plany królewskie zdawały się wchodzić na drogę realizacji — przyszłość miała rozwiązać złudzenia.

Wkrótce po hucznym weselu stanął przed Królem polskim poseł cesarza, hr. Thun, z obietnicą posiłków cesarskich w przyszłej kampanji. W maju poczynił sposobić już siły na pograniczu hetman Wielki Koronny, lecz wojsko z niemniejszą niż zazwyczaj opieszałością kupiło się do obozów. U schyłku więc lata dopiero miał rozpocząć Sobieski nową wyprawę do ziem mołdawskich, mając przy sobie obu starszych swych synów, Jakóba i Aleksandra, pomiędzy których w najbliższym już czasie wślizgnąć się miała zawzięta rywalizacja. Armja królewska liczyła ponoć 30.000 żołnierza, gdy w nadziei na rychłe przybycie cesarskiego korpusu do Siedmiogrodu wkroczył Sobieski na ziemię mołdawską przez Bukowinę.

Posuwał się naprzód znacznie ostrożniej niż w owej nieszczęsnej wyprawie 1686 roku. Kampanję prowadził, rozdzieliwszy swe siły „wojennym na trzy części aparatem”: Dniestrem ku Budziakowi, dolinami Prutu, oraz Seretu. Na szlaku dniestrowym zdobył Drużkiewicz wraz z kozakami Sorokę, skąd, jak są-

dził Jan III, nieprzyjacieli „może być głębiej dotykany, aniżeli nasze od niego kraje“. Kamieniec zamierzał Sobieski blokować i przez blokadę ogłodzić i zmusić do poddania. W tym celu o dwie mile od twierdzy nad Dniestrem stanęły Okopy Świętej Trójcy, których załoga miała przeciąć dowóz „zahary“ (żywności) do Kamieńca. Wreszcie od gór siedmiogrodzkich, zajmując twierdze mołdawskie, zapewniał sobie Król łączność z cesarzem. Po kilku zwycięskich potyczkach, zajęta została Suczawa, zdobyta „forteca starożytna“ — Neamtu, obsadzone warowne klasztory Kimpolung i Drogomiiny.

Nie nadchodziły tymczasem posiłki cesarskie, nadeszli natomiast Turcy wraz z Tatarami. I oto 12 września stoczył Sobieski zaciętą walkę na polach Pererytej. Ostatni raz na tych polach błysnęła zwycięstwem szabla Wielkiego Wodza. Porażeni na głowę zasłali nieprzyjaciele swemi trupami pole bitewne i uszli w popłochu. Gdy jednak Leopold nie myślał bynajmniej o wywiązaniu się z zobowiązań, zwycięstwo to nie dało możliwości zebrania plonów. Próżno wyczekiwał Sobieski posiłków cesarskich, zdradliwy cesarz sam zbierał owoce akcji polskiego Króla, która teraz stawała się znów jedynie dywersją na rzecz Austriaków. Odciążony od potężnej nawały tureckiej, oręż cesarski zbierał wawrzyny, odnosząc — możliwe dzięki Janowi III — zwycięstwo pod Słonym Kamieniem (19 sierpnia 1691 roku). Raz jeszcze Polska pracowała na rzecz nieszczerzego sąsiada.

Przedwczesna jesień i zima zżerały tymczasem, daremnie oczekujące na sojusznika, wojsko polskiego

Króla. Zimna, okres deszczowy i straszne roztopy trzymały armję na miejscu i nie pozwalały posunąć się dalej. Głód i choroby trapiły żołnierza, a w jego szeregach wkradała się zwolna coraz to większa demoralizacja, której już nie mogły przełamać ani animusz, ani wytrwałość starzejącego się Króla. Sterany w przeszło czterdziestoletniej pracy żołnierskiej, schorzały na ciele Sobieski zatracił sam powoli wiarę w zwycięstwo i nie mógł wykrzesać dawnego porywu ze swego żołnierza. Szeregi topniały z dnia na dzień. Król, nakazawszy wreszcie, po próżnem wyczekiwaniu na pomoc cesarską, odwrót, prowadził do Polski przez fatalne dla jej oręża bukowińskie puszcze zgłodniałą, obdartą, zdziesiątkowaną chorobami armję upiorów. Tak się skończyła ostatnia wyprawa Jana III.

XXI

POD TCHNIENIEM ŚMIERCI

Kołał się jeszcze duch w niemocnem ciele Wielkiego Wodza, lecz próżno było myśleć o dalszych wyprawach, gdy siły Króla opadały niemal z dniem każdym, i próżno snuć większe zamiary, gdy żaden z wodzów nie był w stanie sprostać zadaniom na miarę genjuszu. Słaby i anemiczny wysiłek polskiego oręża obracał się teraz bezpłodnie dokoła Kamieńca, którego sprawa przez lat szeregi będzie czekała na rozwiązanie. Po nieszczęsnej wyprawie, która zgasiła rozmach orlego lotu Wielkiego Wodza, wlokła się Polska w jarzmie Świętego Przymierza, zatracając coraz to bardziej swe wpływy, nie mogąc poszczycić się żadnym znaczniejszym sukcesem.

Raz jeszcze stanęła przed Królem możność zawarcia odrębnego pokoju i to na korzystnych warunkach. Staął oto przed Królem następnego lata poseł chański, „dziwnie rozumny“ Tatar, z propozycją pokoju w imieniu chana i Porty. Deklarowali Turcy nawet zwrot Kamieńca i zrzeczenie się wszelkich pretensyj do Ukrainy i Podola, od chana oświadczył poseł, że „Tatarowie sto tysięcy szabel na wszelką usługę i potrzebę Rzeczypospolitej ofiarują i takową przyjaźń,

że choćby kiedy znowu przyszło do wojny z Turkami, oni przeciwko nam stawać nie mają“. Zachęcał poseł tatarski do wojny z Moskwą, wykazywał jej zdrady i obiecywał chańską pomoc przy odzyskiwaniu ziem utraconych. Zbyt mocno był jednak Sobieski spętany sidłami austriackiego sojuszu, zbyt uwikłany w wiry dynastycznych swych planów, by ważyć się teraz na narażenie się Austrii i utracenie jej cennej pomocy w staraniach o tron dla królewicza Jakóba. Pragnął przynajmniej pozorów przymusu ze strony kraju do zawarcia tego pokoju, lecz nawet pozorów nie było. Spełzła ostatnia możność wyrwania się z pęt austriackich, gdy opozycja baczyła, by nie narazić sprawy cesarskiej. Minęła ostatnia możność prowadzenia polityki w nowym kierunku.

Rzeczpospolitą toczył tymczasem rak swarów wewnętrznych i hulała bezkarnie prywata. Wzrastał w potęgę na Litwie dom sapieżyński, prowadząc wprost wojnę z biskupem Brzostowskim, nie bojąc się klątwy rzuconej, ni powagi papieskiej, ni sejmu, ni Króla. Jeden za drugim zrywała prywata sejmy. Kraj zawichrzony, pozbawiony środków na wojnę, pozbawiony egzekutywy staczał się w przepaść. Szarpano na sejmach imię królewskie, rwano je za łada powodem, a Król, słabnący na siłach, nie zawsze mógł przybyć na sejm, by bronić spraw państwa. Najeżdżał granice, niemal bezbronne, Tatarzyn i łupił je prawie bezkarnie. Próżno próbował Sobieski łagodzić właśnie i wołać o jedność, nie słuchała tego wołania rozszalała w swej bezkarności anarchja. „Stan kraju łatwiej było opisać łzami, aniżeli piórem“ — pisał Za-

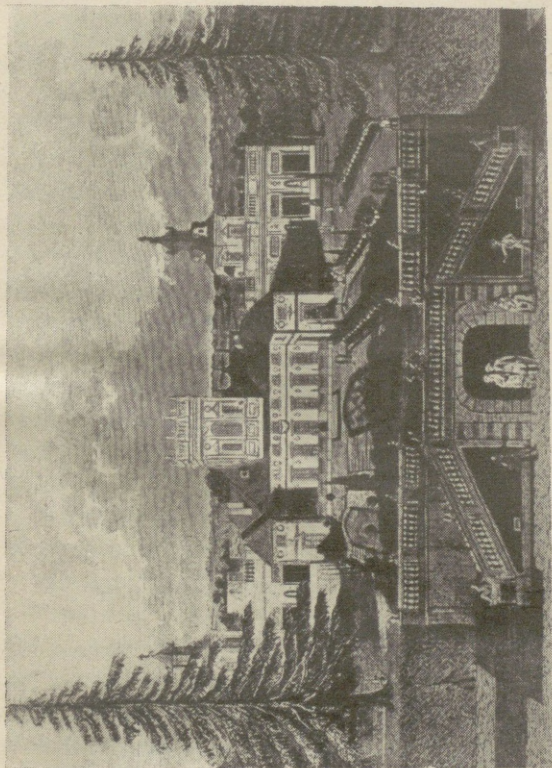
łuski. Dźwignięta potężnie zbrojnym ramieniem Jana III, toczyła się Rzeczpospolita ku przepaści.

Król coraz bardziej wpadał w apatię, odsuwał się od spraw publicznych i coraz to chętniej szukał spokoju w żółkwi, Jaworowie, lub we wzniesionym przez siebie wilanowskim pałacu, zdala od zgiełku, intryg i waśni, hulających po zamku warszawskim. Tam, w ciszy wiejskich swych siedzib, oddawać się mógł rozmyślaniom nad gorzkim losem, który mu zgótowała polska korona, nad dawną sławą wojenną i obecną swą bezsilnością, rozważać orle swe wzloty i teraźniejszy upadek. On, niegdyś potężny tytan, własną swą pierśią broniący kraju, on, który skruszył niepowstrzymany napór Półksiężycy i tron upadający cesarza podtrzymał, on, żywe wcielenie pewności siebie i wiary we własne siły, on, śniący o wywyższeniu przez siebie umiłowanej Ojczyzny, o przywróceniu w niej ładu, pragnący rozkwitu państwa za rządów swej dynastji, teraz, złamany twardem zmaganiem się z losem, trapiiony ciężką chorobą, przyglądał się zdala przygasłem okiem, jak rozpada się w gruzy gmach jego trudów i marzeń, jak rozdartą prywatą, pogrążona w anarchji, kroczy jego Ojczyzna ku zgubie. Coraz większą goryczą wzbierało wielkie serce królewskie, coraz to mocniej zdawał sam sobie sprawę, że słabiejące wciąż dłonie nie będą w stanie jej przed tą zgubą powstrzymać, coraz posępniej spoglądał w przyszłość i coraz mniej wierzył w tężyznę i zachońność serc polskich. Pod technieniem śmierci czuł swoją niemoc gasnący orzeł. Nie mogły już wznieść się do lotu omdlałe skrzydła. Bezsilny i zniechęcony, przesta-

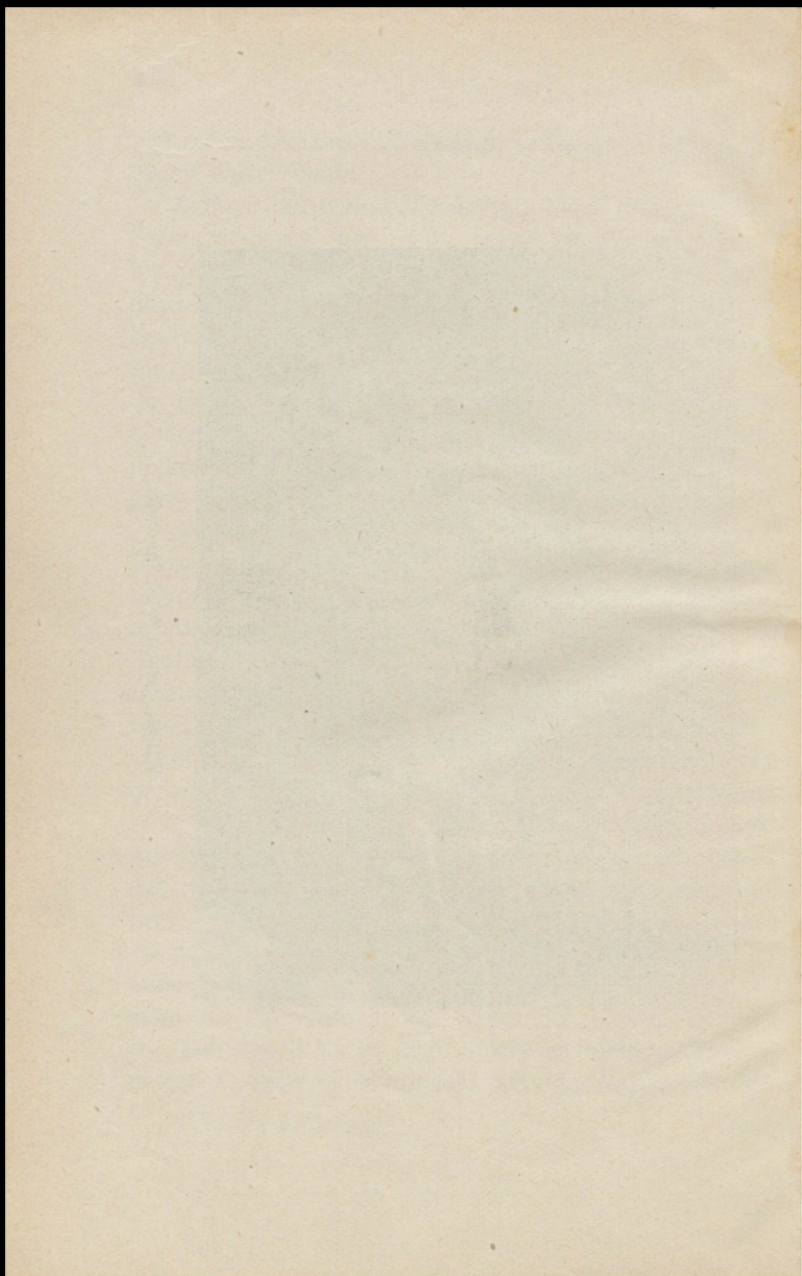
wał coraz bardziej być królem, szukając w swych dobrach wytchnienia.

Jeden z najwykształceńszych ludzi swojej epoki, Sobieski przez całe życie, pełne znojów wojennych i trudów rządzenia niesfornym krajem, zawsze znajdował chwile, by śledzić rozwój nauki, literatury i sztuki. Nie było — rzecz można — dziedzin, na którą nie miał własnego poglądu. Od sztuki wojennej — do filozofji, od teologii i dziejów — do geografji i astronomji, wszystko, poprzez politykę i sztuki piękne, znajdowało oddźwięk w tym jasnym, rozległym umyśle. Utrzymywał bliską korespondencję z Leibnitzem, poprawiał mapy geograficzne Sansona, śledził wraz z Heweljuszem gwiazdy w jego obserwatorium gdańskim i na jego to cześć słynny gdański astronom nazwał odkryty przez siebie gwiazdozbiór *Scutum Sobiescii*¹. Związany swemi zamiłowaniem z nauką, znajdował rozkosz duchową w organizowaniu i podtrzymywaniu naukowej dyskusji, w której zawsze potrafił dorzucić jakąś cenną uwagę do zdań swych uczonych współbiesiadników lub gości. Rozmówiony w książce, nie rozstawał się z nią podczas najcięższych wypraw w obozie, a po swych dobrach posiadał przepiękne księgozbiory, obficie wyposażone, prócz pięknej literatury, w dzieła wojskowe, filozoficzne, geograficzne, teologiczne i prawnicze. Miłośnik sztuk pięknych, sprowadził do Polski szereg obcych artystów takich, jak Altomonte, Kessel, Desportes, Schülter i Locci. Jego opiece zawdzięczał rozwój swego talentu głośny polski artysta pędzla Semigi-

¹ „Tarcza Sobieskiego“



Widok pałacu w Wilanowie



nowski. A założona w wilanowskiej siedzibie Króla akademja malarska stała się szkołą rodzimych talentów. Sam pałac, wzniesiony przez Króla nad łąką wiślaną, był w równej mierze dziełem jego samego, jak i jego oddanego doradcy Locciego. Każdy w nim szczegół w częściach, powstałych za Sobieskiego, był wynikiem gorących dyskusyj z artystą, dostosowującym własne pomysły do gustów i upodobań swojego Pana. Rozmiłowany w orjentalnym przepychu, rozkochany w klejnotach i broni, Sobieski w dziedzinie sztuki stosowanej tworzył jakiś odrębny, własny swój styl, posługując się przy ozdabianiu swej broni, nieraz otrzymanej z Zachodu, pracą ormiańskich złotników. Ujmujący i prosty w obejściu, tchnący wrodzoną dobrocią i szlachetnością, dostępny dla wszystkich, czarował osobistym swym wdziękiem i oryginalnym umysłem i przyciągał do siebie rzesze uczonych, artystów i miłośników nauki, literatury i sztuki i w ich towarzystwie znajdował prawdziwe wytechnienie, zwłaszcza w ostatnich latach swego żywota, gdy zniechęcony do rządów, szukał zdala od stolicy odpoczynku od zgryzot i zapomnienia.

Wspaniały i skrzętny gospodarz, odczuwający głęboko niemal mistyczną więź, łączącą go, jako typowego polskiego szlachcica, z ziemią, wrażliwy był na wdzięk świeżo zoranej roli i kołyszących się brzemieniami kłosami łąnów pszenicy lub żyta, oddychał wśród nich szeroko, pełną piersią. Wkładał też wiele pracy we własną ziemię, a ziemia mu płaciła. Wśród ciągłych najazdów i spustoszeń tatarskich, ruskie jego majątki nawet w kwitjącym wciąż były stanie

i, dzięki niezwyklej energji Króla, po każdym zniszczeniu powstawały ze zgliszcz ze zdumiewającą szybkością. Zamiłowany myśliwy, do lat ostatnich wyjeżdżał na łowy, by cieszyć ucho graniem ogarów, lub oko lotem sokoła. Lecz teraz, gdy w wiejskiej siedzibie stary, schorzały Sobieski nie mógł już dosiąść rumaka, nie brał już w łowach czynnego udziału, śledząc je jeno z otwartego powozu lub ustawionego wśród kniei fotelu, patrząc, jak inni folgują myśliwskiej ochocie.

Opiekun i przyjaciel wieśniaka, znajdował w ostatnich latach pociechę w miłości prostego ludu, zakochanego w swym Pánu, który — pomimo swego Maje-statu — niedawno potrafił tańczyć z prostą kowalichą, a każdemu chłopkowi był zawsze nietylko dobrym panem, lecz uczynnym sąsiadem i doradcą.

Zdala od zgiełku miejskiego szukał Król, zstępujący powoli do grobu, wytechnienia wśród swych pól ukochanych, bliżej ziemi, w zaciszu swoich bibliotek, otoczony zbiorami dzieł sztuki, w dyskusjach z uczonymi i artystami, by jeno zapomnieć o toczących go troskach. Lecz nawet w swym własnym domu nie znajdował spokoju. Ożenek Jakóba, który miał stworzyć stopnie do tronu dla dynastji Sobieskich, stał się źródłem bolesnych swarów. Gdy Jakób coraz to bliżej wiązał się z dworem cesarskim i coraz bardziej przejmował jego wpływami, Królowa, zawsze sercem lgnąca do Francji, zaczynała na własną rękę wiązać się z Wersalem, a później wśród ciągłych waśni z Jakóbem wysuwać przeciwko niemu miłszego sobie, zdolniejszego i układniejszego Aleksandra, który — jako zrodzony

w purpurze — więcej w jej pojęciu miał praw do tronu od wydanego na świat za czasów hetmańskich Jakóba. Zbliżenie Królowej do Francji zmusiło do oddalenia pod wpływem cesarza miłego Królowi szwagra de Béthune'a, który przy swem wykształceniu i takcie był jednym z najbliższych przyjaciół Jana III. Rywalizacja synów i kłótnie Jakóba z matką i braćmi, przybierające gorszące formy, rozrywały rodzinę. Kochający i pełen dobroci, szlachetny i wyrozumiały, mający wszelkie po temu dane, by zażyć wśród rodziny szczęścia, był Sobieski wśród tej rodziny w ostatnich latach swych tak samo samotny, jak w sprawach publicznych. To też nowa boleść rozrywała mu serce i zalewała goryczą. Nie mogąc ugasić niesnasek rodzinnych, intryg i waśni, mawiał podobno z bólem: „Łatwiej mi bić nieprzyjaciół, niż zgodę utrzymać we własnym domu“. Jakąż goryczą przepełnione były słowa dogorywającego mocarza, gdy, odpowiadając odmownie biskupowi Załuskiemu na propozycję napisania testamentu, zawołał: „Widzisz przecie, że za życia nie chcą mię słuchać, będąż po śmierci“?!

W czerwcu 1696 roku stojący oddawna nad Janem III anioł śmierci ostrzył swą kosę. Nadworni lekarze dostrzegali zastraszające postępy puchliny wodnej. Senat upoważniał teraz gasnącego Króla do wyjazdu na zagraniczną kurację. Było zapóźno.

17-go czerwca, w dzień Świętej Trójcy, ludność stolicy tłoczyła się po kościołach, błagając o długie lata dla Króla jako w rocznicę elekcji. Gorące modły, płynące z serc prostych ludzi o tego, który był chlubą narodu, jego jedynem w tych strasznych czasach uo-

sobieniem honoru i zacności, jedynym obrońcą i nadzieją, leciały ku Bogu. W wilanowskich ogrodach Król zastał po krótkiej przechadzce i dogorywał w pałacu. Obecny biskup Załuski ostrożnie spytał umierającego, czy z okazji rocznicy nie zechce się wyspowiadać. Sobieski zrozumiał, lecz spowiedź odłożył na dzień następny. Chwilowo było mu lepiej. Po obiedzie rozmawiał jeszcze przez kilka godzin. Nagle raził go atak apoplektyczny, odzyskał jednak wkrótce przytomność i poprosił o spowiednika. O godzinie 8-ej wieczorem powtórny atak skrócił jego męczarnie. Odszedł najlepszy syn swej Ojczyzny, największa jej chwała.

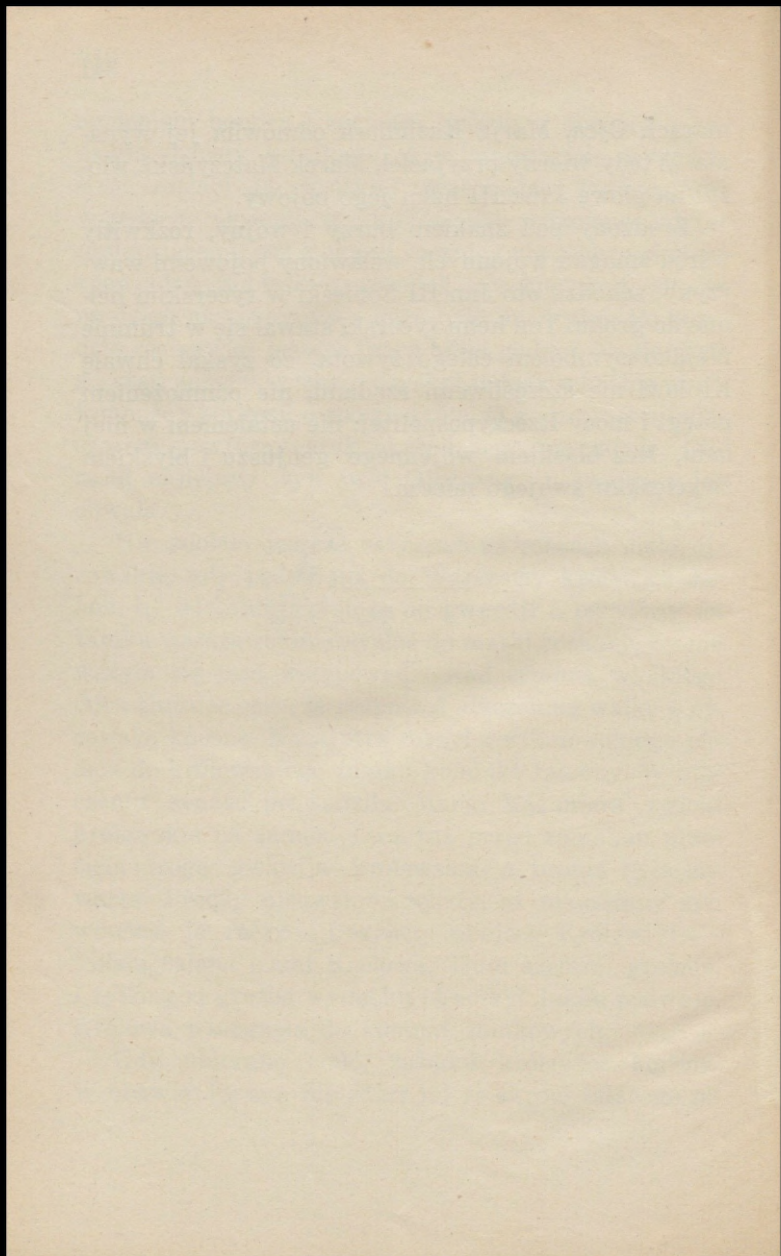
Nie zdołało jeszcze ostygnąć na marach ciało ojcowskie, gdy pędził już do Warszawy królewicz Jakób, by odebrać przysięgę od gwardji i, osiadłszy na zamku warszawskim, wysłać do matki rozkazy, by nie ważyła się tam wstępować. Nad trumną wielkiego Ojca służalec cesarza rozpoczął nikczemną walkę o ojcowską koronę. Nazajutrz ruszył z wilanowskiego pałacu do królewskiego zamku kondukt żałobny. W otoczeniu senatu prowadziła Marja Kazimiera zwłoki królewskie na zamek. Lecz tuż przed zamkiem przecięła drogę gwardja królewska, a brama była zamknięta. Prochy ojcowskie czekały, aż nikczemny syn wpuścić je raczy. „Uczyńcie miejsce Królowi!“ — wołała zalana łzami Królowa. Tłum szemrał groźnie. I tylko pod groźbą wybuchu otworzył Jakób podwoje. Królowa wtargnęła do komnat zamkowych.

Gdy ubierano ciało, zażądał królewicz korony. W obawie, by syn nie zdarł jej ze skroni leżącego na

marach Ojca, Marja Kazimiera odmówiła jej wydania. Wtedy wierny przyjaciel, Marek Matczyński, włożył na głowę Jana III hełm jego bojowy.

Zrodzony pod znakiem burzy i wojny, rozkwitły wśród zmagających wojennych, wślawiony bojowymi wawrzyny, schodził oto Jan III Sobieski w rycerskim hełmie do grobu. Ten hełm rycerski stał się w trumnie niejako symbolem całego żywota, co zyskał chwałę Królowi nie szczęśliwymi rządami, nie pomnożeniem potęgi i mocy Rzeczypospolitej, nie ustaleniem w niej ładu, lecz blaskiem wojennego genjuszu i błyskiem zwycięskim swojego miecza.





SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
Od autora	V
Literatura i źródła	XV
I Atmosfera rodzinna i wychowanie	1
II W terminie żołnierskim	11
III W służbie królowej i w walce z rokoszem	22
IV Podhajecka potrzeba	37
V O krok od dyktatury	50
VI Elekcja i początki rządów Króla-Piasta	58
VII Ku polom Batohu	69
VIII Wyprawa na czambuły i traktat buczacki	83
IX Dwie konfederacje	100
X Chocim	110
XI Elekcja	120
XII Wyprawa na Ukrainę i traktat jaworowski	134
XIII Kampanja lwowska	141
XIV Koronacja i próby reform	153
XV Żórawno	159
XVI Przed wyprawą wiedeńską	167
XVII Odsiecz Wiednia	183
XVIII Ku ujściom Dunaju. Zmierzch sławy wojennej	235
XIX Pomiedzy Austrią a Francją	291
XX W jarzmie świętego przymierza	319
XXI Pod technieniem śmierci	333

SPIS RYCIN

1. Król Jan III Sobieski (portret olejny w zbiorach Zygmunta hr. Kaszowskiego w Warszawie).
 2. Królowa Marysieńka (portret olejny w zbiorach Ordynacji Krasieńskich w Warszawie).
 3. Jan Sobieski jako marszałek wielki koronny.
 4. Kamienica królewska we Lwowie.
 5. Plan bitwy pod Lesienicami.
 6. Plan obrony obozu pod Żórawnem.
 7. Król Jan III błogosławi chorągiew królewicza Aleksandra pod Wiedniem (obraz Juljusza Kossaka)
 8. Król Jan III Sobieski pod Wiedniem (obraz Jana Matejki).
 9. Plan bitwy pod Wiedniem.
 10. Widok pałacu w Wilanowie.
-

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

5746/1



11-005746-000-0